

Szarpiąca nerwy wizja wojny przyszłości
- może bardzo bliskiej.
„*Publishers Weekly*”

Książka pobrana ze strony
<http://www.ksiazki4u.prv.pl>

Michael Dimercurio

ZASIEG RAŻENIA

Część Pierwsza

Czerwony Sztylet

Prolog

Ostatni silnik zgasł, kiedy opadający samolot zanurkował ostro w dół. Przy wyłączonych silnikach słyhać było wibrację skrzydeł. Wielka, błękitna powierzchnia oceanu wypełniła całe pole widzenia. Fale zalały przednią szybę, gdy maszyna ciężko uderzyła w wodę. Zapięty w uprząż pasów bezpieczeństwa pilot szarpnął stery i masywny, czterosilnikowy hydroplan, ustawivszy się pod właściwym kątem, zaczął płynąć po lekko wzburzonej powierzchni Morza Wschodniochińskiego. Mężczyzna raz jeszcze rzucił okiem na tablicę rozdzielczą, skinął głową drugiemu pilotowi, rozpiął pasy i zszedł do dużej kabiny na rufie. Siedzący tam ludzie spoglądali na niego bez strachu, z błyskiem podniecenia w oczach. Pilot zwrócił się ku prawej burcie, gdzie przy wysokiej konsoli siedział człowiek otoczony klawiaturami i ekranami. Na jednym z ekranów, w graficznym uproszczeniu, przedstawiony był ich hydroplan na powierzchni morza, z otwartym włazem u dołu, przez który coraz niżej i niżej - jak wskazywały cyfry z boku ekranu - opuszczała się kula na linie. Na ekranie obok zatańczyły na ciemnym tle świetlne punkty, aż wreszcie zlały się w jeden, większy i jaśniejszy, który wolno się przesuwiał.

- Za dziesięć minut znajdzie się pięćset metrów od nas. Płynie wolno - z szybkością piętnastu węzłów. To znaczy, że już trzeba zaczynać, żeby za dwie minuty, z trzyminutowym zapasem czasu, zająć pozycje.

Komandor Chu Hua-Feng stanął pośrodku swoich ludzi i spojrział na nich. Wszyscy byli ubrani w nieoznakowane czarne kombinezony, uzbrojeni w pistolety maszynowe, granaty i sztylety.

Uwaga, żołnierze - powiedział głębokim głosem. Szczupły, muskularny Chu miał metr osiemdziesiąt wzrostu, ale w butach na grubych, gumowych podszewkach wydawał się wyższy. Patrzył z góry na swoją załogę. Choć miał zaledwie trzydzieści parę lat, wyróżniał się wśród oficerów Marynarki Wojennej Czerwonych Chin. Mówił z pewnością siebie nawykłego do posłuchu starszego brata. Oczy wszystkich dwudziestu czterech członków załogi zwróciły się na niego. - Za trzydzieści sekund schodzimy na pokład. Spotkanie z namierzoną koreańską łodzią podwodną za dwanaście minut. Każdy z was przez ostatni rok przećwiczył to setki razy. To już nie są ćwiczenia. To nasz operacyjny sprawdzian. - Zamilkł, mrużąc oczy. - Admiracja uważnie nam się przygląda. Powiedzieli, że to niewykonalne. Że nie da się po kryjomu zająć zanurzonej atomowej łodzi podwodnej z pełną załogą na pokładzie. Ale kiedy udowodnimy, że jest to możliwe, kiedy wykonamy naszą misję, zmienimy mapę Chin. I każdy z was wie, co to oznacza. - Rozejrzał się po twarzach swoich ludzi. - A więc życzę wam powodzenia. Pierwszy, czy jest pan gotów?

Komandor porucznik Lo Sun wstał od konsoli, zdjął słuchawki.

- Gotów, komandorze.

- Świetnie. Pluton, na pokład!

W jednej chwili wszyscy wstali i jeden po drugim zniknęli w luku. Chu spojrział do góry, zobaczył stojącego w drzwiach drugiego pilota, zasalutował mu, raz jeszcze się obejrzał i zszedł za innymi, zatrzasnąwszy za sobą właz.

W wąskim, zatłoczonym, oświetlonym czerwonym światłem wnętrzu batyskafu przecisnął się do konsoli na przedzie. Stanowisko kontrolne było obite miękką wykładziną i tak wymodelowane, żeby pilot mógł wygodnie leżeć na brzuchu. Chu założył słuchawki z mikrofonem, sprawdził, czy działają, i wydał rozkaz drugiemu pilotowi. Klapy w brzuchu hydroplanu otworzyły się i zalało ich światło paździenikowego dnia.

Chu sięgnął nad głowę i pociągnął pomarańczową dźwignię. Batyskaf wypadł z wnętrza hydroplanu. Im głębiej się zanurzali, tym błękitne niebo stawało się ciemniejsze. Nie minęła minuta, a w wizjerze zapanowała czarna noc. Hydroplan kołysał się na falach sto metrów nad nimi.

Okręt pojawił się tam, gdzie tego oczekiwali. W mocnym świetle reflektora ujrzeli jego długi, potężny, cylindryczny kształt. Ich celem był właz ratunkowy. Komputer, przejąwszy kontrolę, dostosował prędkość batyskafu do prędkości okrętu tak, by kołnierz ich śluzy powietrznej trafił dokładnie na pierścień włazu.

Zgodnie z danymi dostarczonymi przez Mai Sheng, łączniczkę wywiadu Ludowej Armii Wyzwolenia, był to koreański okręt „Dae Gu”, klasy Los Angeles 688 I, dawniej USS „Louisville”. Sprzedano go Korei cztery lata temu w ramach programu, pozwalającego sprzymierzeńcom USA nabywać stare łodzie podwodne o napędzie atomowym. Amerykanie nadzorowali ich eksploatację, zwracając szczególną uwagę na stan reaktorów. Dane wywiadu dokładnie określały położenie włazu, przez który mieli wejść; jego śluza powietrzna prowadziła wprost do maszynowni.

Z głuchym dźwiękiem „Czerwony Sztylet” osiadł na pokładzie łodzi podwodnej. Chu napelnił zbiornik balastowy i ciężar batyskafu wzrósł o parę ton. To powinno ich utrzymać w miejscu. Z cichym sykiem wysunęła się śluza powietrzna, łącząc ich z włazem bezpieczeństwa koreańskiego okrętu.

Chu wyłączył zasilanie batyskafu, zostawiając jedynie działający komputer i wewnętrzne oświetlenie. Obolały wyczołgał się ze stanowiska kontrolnego i przeszedł na rufę. Lo Sun zajął się włazem. Przekręcił wielkie, metalowe koło z uchwyty i właz powoli otworzył się do wewnątrz batyskafu. Na kadłubie okrętu ujrzeli wąski rowek włazu bezpieczeństwa.

Chu wyciągnął potrzebny klucz z torby z narzędziami. Pośrodku włazu znajdował się niewielki otwór z metalowym sworzniem o kwadratowym przekroju. Od kilkudziesięciu lat włazy ewakuacyjne łodzi podwodnych wykonywano według standardów Międzynarodowej Organizacji Normalizacyjnej, dzięki czemu, w razie zatonięcia łodzi, każdy przepływający statek mógł jej udzielić pomocy, otwierając właz za pomocą standardowych narzędzi. Chu umocował klucz i kręcił nim, aż usłyszał metaliczny szcęk. Spojrzał na Lo.

- Pluton, czas - minus jeden. Założyć sprzęt!

Chu wciągnął na siebie uprząż z dwiema butlami sprężonego powietrza, wychodzącą z nich rurę z maską na końcu owinął sobie dookoła szyi, przypiął do pasa dwa pistolety automatyczne i wiązkę granatów. Umocował na głowie słuchawki z mikrofonem i spojrzał na swoich ludzi: też byli gotowi.

- Panie Lo, czas zero, kiedy podniosę właz. Sygnalizator na ich mostku da im o tym znać.

Okręt ma być opanowany w dwie minuty. Uwaga na mój znak. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Teraz!

Chu bez trudu podniósł ciężką pokrywę włazu dzięki zamontowanemu w nią mechanizmowi sprężynowemu. Uchwycił drabinkę i bezszelestnie ześlizgnął się do ciemnej komory. Zapalił latarkę i uklęknął nad zaopatrzonym w chromowane koło dolnym włazem. Zaparł się, przekręcił je i otworzył właz. Z dołu, z jasno oświetlonej maszynowni, buchnęły kłęby pary. Słychać było szum pracujących turbin.

Chu ześlizgnął się po następnej drabince. Kiedy jego stopy dotknęły podłogi maszynowni, uniósł zaopatrzoną w długi tłumik lufę pistoletu automatycznego AK-80 i odsunął się. Zrobił miejsce dla swoich ludzi, którzy bez żadnego szmeru jeden za drugim lądowali za nim. Chu cicho ruszył w stronę rufy do centrum kontroli nuklearnej. Zajrzał przez wąskie, boczne drzwi. Ludzie wewnątrz zajęci byli rozmową, słychać było śpiewny, koreański język.

Chu trzykrotnie strzelił do każdego. Jednego z członków załogi odrzuciło w bok, dwaj inni padli na konsolę, przy której pracowali. Stojący za nimi oficer rozglądał się zaskoczony i zdezorientowany. Gdy kule ugodziły go w pierś, osunął się powoli na podłogę i zamknął oczy dopiero wtedy, kiedy -uderzył o nią twarzą.

Chu przywołał skinieniem ręki jednego ze swoich ludzi, kazał mu tu zostać i ruszył dalej, w stronę rufy. Po drodze wymienił zużyty magazynek nie patrząc nawet na to, co robi.

Jazgotliwy hałas narastał. Nagle dostrzegł kogoś między dwoma potężnymi turbinami.

Strzelił. Trafiony w rękę starszy oficer rzucił się do ucieczki, ale Chu wpakował mu w klatkę piersiową następne cztery kule.

Następnego członka załogi znalazł przy zaworze redukcyjnym. Zabił go i zszedł po drabinie na środkowy poziom. Tu także ktoś powinien być. Już po chwili znalazł go, z notatnikiem w ręku, spisującego jakieś pomiary. Człowiek ten nagle chwycił się za pierś, krew popłynęła mu spomiędzy palców, spojrzał w górę, na Chu, i upadł.

Kiedy Chu wrócił z niższego poziomu, zastał swych ludzi przy drabinie na lewej burcie. To Lo Sun ich tam zebrał, ponieważ znalazł kanał prowadzący do pomieszczenia, w którym odbywało się filtrowanie powietrza rozprowadzanego na cały statek. Na znak Chu wszyscy założyli i sprawdzili maski przeciwgazowe. Chu założył swoją, wciągnął do płuc suche powietrze o metalicznym posmaku i cztery razy strzelił w osłaniającą kanał siatkę. Odpiął od pasa granat, wyrwał zawleczkę i wrzucił go do kanału. Wybuch nie był głośny, pojemnik z cyjanowodorem rozpęknął się z głośnym trzaskiem. Śmiertelnie trujący gaz popłynął do rozdzielni powietrza.

Drzwi na mostek były otwarte. Kiedy Chu tam wszedł, zobaczył martwe ciała. Leżały wszędzie. Zaskoczyło go, jak wielu ludzi wymagała amerykańska technologia do obsługi tego okrętu. Z prawej strony znajdowały się stery, podobne do używanych w samolotach. Jeden z jego ludzi ściągnął z fotela zwłoki koreańskiego sternika i sam usiadł na miejscu. Wkrótce przejście pełne było martwych ciał, a ludzie Chu zajęli wszystkie stanowiska. Chu wszedł na platformę peryskopu i rozejrzał się po pomieszczeniu. Zameldowano mu, że znajdują się na głębokości pięćset pięćdziesiąt. Oczywiście stóp, nie metrów. Wskaźnik prędkości wskazywał piętnaście węzłów.

Chu wychylił się zza peryskopu, żeby spojrzeć na otaczający go panel. Pulsujące czerwone światelko sygnalizowało, że właz pozostaje otwarty. To było najważniejsze. Chu wydał swoim ludziom rozkaz - zebrać dokumentację techniczną: instrukcje obsługi, wykazy, schematy - wszystko, co znajdą. Dał im na to cztery minuty. Przy stole z mapami znalazł pełną księżkę szafkę, a w niej podręcznik pod tytułem Standardowe procedury operacyjne okrętów podwodnych. Zaczaj: go przeglądać. Przerwał na chwilę, kiedy usłyszał odgłos wybuchu. To któryś z żołnierzy wysadził w powietrze zamek sejfu. Kiedy dym opadł, zawartość sejfu przejrzano i ułożono na podłodze, obok stosu innych rzeczy. Inne sejfy na okręcie, jeśli takie jeszcze były, czekał ten sam los.

Zostało niewiele czasu. Zapasy powietrza skończą się za parę minut. Wreszcie Chu znalazł tak teraz potrzebną procedurę.

- Przystawić wskaźnik pracy silnika na stop! - krzyknął zniekształconym przez maskę głosem. Człowiek przy konsoli sterowniczej wykonał jego rozkaz i w położonym na rufie pomieszczeniu kontroli nuklearnej zadzwonił dzwonek. W maszynowni zaczęły się zamykać zawory turbin parowych.

Prędkość okrętu spadła z piętnastu do dwunastu, a potem do dziesięciu węzłów. Chu znów zajrzał do spisu procedur, szukając ustępu dotyczącego zatrzymania w miejscu. Jeśli uda mu się zatrzymać okręt, będą mogli wynurzyć się, nie walcząc z jego siłą rozpędu. Przeglądał zawartość komputera, aż znalazł to, czego szukał.

Spojrzał na wskaźnik prędkości, była już bliska zeru. To tak, jakby wyłączyć silniki na sterowcu. Mogli teraz równie dobrze zatonać, zacząć się wynurzać, popłynąć dalej lub ruszyć do tyłu. Zależało to od tego, jak okręt poruszał się tuż przed zatrzymaniem. Zaczekał, aż okręt całkiem zwolni, i wystukał na klawiaturze pożądane zanurzenie, po czym sprawdził zanurzenie rzeczywiste - były takie same. Okręt stał w miejscu.

Gwałtownym ruchem ręki ustawił pożądaną głębokość poniżej krytycznego zanurzenia, posyłając okręt prostopadle w dół.

- Wszyscy wychodzić! - krzyknął.

- Dalej - syknął Chu. Jeden z ludzi zajął stanowisko kontrolne i zalał komorę włazu, rozłączając tym samym obie jednostki. Byli mniej więcej na czterystu metrach głębokości, niedaleko od krytycznego zanurzenia okrętu. „Czerwony Sztylet” mógł wytrzymać prawie siedemset metrów.

Włączyli turbiny i „Czerwony Sztylet” zaczął oddalać się od wciąż opadającego okrętu.

Pokład wznoszącego się z alarmową prędkością batyskafu przechylił się pod ostrym kątem. Ze względu na obecność śmiertelnej trucizny nie mogli zdjąć masek, a wszystkim kończyło się powietrze. Chu czuł, że goni resztkami sił. Oddychał z coraz większym trudem. Wreszcie batyskaf dosięgnął powierzchni i zaczęto wietrzyć wewnątrz. Chu poczekał, póki powietrze z butli nie wyczerpało się zupełnie. Mając nadzieję, że nic mu już nie zagraża, zdjął z twarzy mokrą od potu maskę i wciągnął do płuc słone morskie powietrze. Żołnierze patrzyli na niego, czekając, czy nie padnie martwy. Wziął drugi oddech i skinął głową. Teraz wreszcie z ulgą wszyscy ściągnęli maski.

Z głębi morza dobiegł gwałtowny, głuchy huk, a potem rozległ się chrzęst rozdieranego metalu.

- Okręt został zmiażdżony ciśnieniem wody - powiedział Lo Sun.

Chu bez słowa wspiął się do komory górnego włazu. Przez okrągłe okienko widać było zachmurzone niebo. Odblokował zabezpieczenie, otworzył właz, wystawił głowę i rozejrzał się dookoła. Batyskaf kołysał się lekko na spokojnej wodzie. Gdzieś daleko Chu usłyszał silniki samolotu; to leciał po nich hydroplan.

Chu zatrzaskał właz, zszedł na dół, położył się na swoim miejscu i zamknął oczy. Kiedy Admiralicja dowie się o powodzeniu ich misji, zapoczątkuje to łańcuch zdarzeń, który przywróci Chinom należną im pozycję. Reszta świata nie będzie ich już nazywać Czerwonymi Chinami, dla odróżnienia ich od Białych Chin, państwa rebeliantów. Naród, ponownie zjednoczony, znów znany będzie pod swą prawdziwą nazwą, jako Chińska Republika Ludowa.

Dwadzieścia minut później batyskaf został wciągnięty do hydroplanu. Chu, siedząc na miejscu pierwszego pilota, uruchomił silniki i wystartował w drogę do Pekinu.

1

Niedziela 13 października

Wielki Dom Ludu Pekin, Czerwone Chiny

Toaleta męska jarzyła się światłami. Ściany z włoskiego marmuru błyszcząły w ciepłym świetle kryształowego kandelabru. Pośrodku gładkiej, kamiennej podłogi cicho szemrała fontanna, wysoko ponad nią, pod rzeźbionym na indonezyjską modłę sufitem tęczo-wo załamywało się światło. Umywalki osadzone były w marmurze, kurki kranów odlane z czystego złota. Uzbrojony czerwonogwardzista stał sztywno przy drzwiach.

Komandor Chu Hua-Feng nie widział tego wszystkiego. Stał przed oprawionym w złote ramy lustrem i patrzył na własne odbicie. Nie miał już na sobie czarnego kombinezonu. Ubrany był w czarny galowy mundur ze złotymi, komandorskimi dystynkcjami na ramionach. Na jego piersi lśniły cztery bojowe medale. Ktoś zapukał do drzwi toalety, ale Chu wciąż patrzył z niedowierzaniem na swoje odbicie w lustrze. Twarz mogła należeć do jego ojca: wydatne kości policzkowe, szeroki nos, ciemne oczy o surowym spojrzeniu, pełne usta, a pod nimi twardy, kwadratowy podbródek. Wzrost też prawie ten sam. I chociaż bardzo cenił swojego ojca, to podobieństwo zamiast dumą, napełniało go żalem i smutkiem.

Jego ojciec, admirał Chu Hsueh-Fan, dowodził pomocną flotą Liisan. W zatoce Bo Bohai Wan był na pokładzie swojego okrętu flagowego, lotniskowca „Shaoguan”, kiedy całą jego flotę, razem z okrętem flagowym, zaatakowało i zatopiło zbójceckie stado amerykańskich łodzi podwodnych, idące na ratunek jednemu ze swoich okrętów, przyłapanemu na szpiegowaniu. Zdarzyło się to dziesięć lat temu. Młody Chu był wówczas podporucznikiem lotnictwa. Latał na Jaku 36 A, niszczycielu łodzi podwodnych pionowego startu. W

momencie ataku był właśnie w powietrzu nad teatrem zdarzeń i mógł oglądać tragedię „Shaoguana” jak z łoża. Jeden z okrętów podwodnych wystrzelił rakietę, która wyskoczyła z morza i zatoczyła ognistą parabolę, zakończoną dokładnie na okręcie ojca Chu. „Shaoguan” wybuchnął płomieniami, przekreślił się dnem do góry i zatonął w szarym morzu.

Młody Chu mógł się temu tylko przyglądać, ponieważ zdążył już wystrzelić wszystkie pociski. Mimo że zostało mu już niewiele paliwa, krążył tak długo nad zatoką, póki nie wypatrzył go amerykański myśliwiec. Trafiony jak utracił skrzydło, Chu katapultował się, ale dwudziestodwuletniemu Lo Yunowi, jego strzelcowi i przyjacielowi, nie udało się tego zrobić. Jak runął do morza, eksplodując tuż przed uderzeniem o jego powierzchnię. Chu ponad czterdzieści godzin unosił się na falach, które zmywały z jego twarzy łyzy bólu i złości. Wierzył, że nie umrze. W środku deszczowej nocy uratował go niszczyciel. Helikopterów nie było - wszystkie zostały strącone przez amerykańskie myśliwce.

Chu miał szczęście, przynajmniej tak mu powiedziano. Wyszedł z opresji bez jednego zadrapania. Innym nie powiodło się tak dobrze. Z niemal siedemdziesięciu okrętów ponad połowa poszła na dno razem z załogą. Tego dnia zginęło ponad trzy tysiące ludzi. Wszystko przez tę watahę amerykańskich okrętów podwodnych, które zniszczyły ich flotę przy wyjściu z zatoki. Ten potworny dzień był punktem zwrotnym w życiu Chu. Ciągłe prześladował go obraz tego, jak okręt jego ojca eksploduje i wywraca się do góry dnem.

Po przeszło czterech latach, kiedy ból osłabł na tyle, że Chu mógł zacząć normalnie żyć, stwierdził, że cierpi na obsesję, która dręczyła go zarówno na jawie, jak i we śnie. Nocami rzucał się na łożku, dręczony koszmarnymi snami. Budził się na zmiętym, mokrym prześcieradle z jedną myślą-jak zdobyć nowoczesne, niewykrywalne okręty podwodne?

W stosunku do innych jednostek, atakujący w zanurzeniu okręt podwodny ma wielką przewagę. Zaatakowany, może niezauważony przepłynąć w inne miejsce, tak jak to się zdarzyło w czasie wojny o Falklandy, potem w zatoce Bohai, a także ostatnio, podczas amerykańskiej blokady Japonii, kiedy garstka japońskich okrętów podwodnych typu Destiny posłała całą amerykańską flotę na dno Pacyfiku. Cztery lata po zatonięciu „Shaoguana”, Chu z nieba zszedł pod wodę. Zajął się okrętami podwodnymi.

Był tylko jeden problem - wojna domowa. Białe Chiny zepchnęły w głąb kraju armie Czerwonych Chin i zajęły całą linię brzegową od Hongkongu do Penglai. Jedynie wybrzeże zatoki Bohai na wschód od Pekinu pozostało w rękach Czerwonych Chin. Biali odcięli także dostęp do Zatoki Koreańskiej i Morza Wschodniochińskiego. Gdyby Chu nie opracował swojego rewolucyjnego planu, Czerwone Chiny zmuszone byłyby pozostać w tej pożałowania godnej sytuacji. Właśnie po to, żeby przedstawić ten plan kierownictwu, Chu znalazł się tutaj, w Wielkim Domu Ludu.

Ktoś wciąż pukał do drzwi, wreszcie kobiecy głos zawołał go po imieniu. Chu odwrócił się od lustra. W półotwartych drzwiach stała młoda kobieta, ubrana w oliwkowy mundur Ludowej Armii Wyzwolenia, ze złotym sznurem oficera sztabowego na ramieniu. Była wysoka i szczupła. Miała czarne lśniące włosy i piękną twarz. Mai Sheng patrzyła na Chu uważnie.

- Spóźni się pan, komandorze. Już czas na pana. Chu skinął głową i wyszedł za nią na bogato zdobiony korytarz. Zaczął myśleć o tym, co go zaraz czeka, gdy nagle Mai Sheng coś powiedziała:

- Nie powinien pan spędzać tyle czasu na podziwianiu siebie, komandorze. Lepiej, żebym ja to robiła.

- Przepraszam, co pani powiedziała, pani porucznik? - nie zrozumiał Chu, wyrwany z zamyślenia. Mówiła niezobowiązującym, swobodnym tonem, głos jej lekko zadrżał. Spojrzał na nią zaintrygowany.

- Nic, panie komandorze - odpowiedziała, uśmiechając się.

Znali się od zawsze, ich ojcowie byli bliskimi kolegami. Przez długie lata jej nie zauważał - była dzieckiem, małą przyjaciółką rodziny, natrętną siostrzyczką, a on był poważnym studentem. Dziesięć lat temu, tuż przed wybuchem wojny domowej, zaczęła pracować w

Admiralicji. Dopiero rozpoczęła studia. Była szczupła i delikatna jak młoda łania, nosiła wdzięcznie upięte włosy. Wojna zbliżała się nieuchronnie. Chu nie był w nastroju do romansów, ale sprawiało mu satysfakcję, że taka dziewczyna jak Mai flirtuje z nim, wpatruje się w niego jak w obrazek i bierze za dobrą monetę każde jego słowo. Dawniejszą wstydlivość młodej dziewczyny wyparł czar dojrzałej, świadomej siebie kobiecości. Kiedy wymawiał się od spotkania z nią, na przykład pod pretekstem, że umówił się wcześniej na drinka z Lo Yunem, swoim strzelcem pokładowym i przyjacielem, nie mógł nie dostrzec spojrzenia, jakim go odprowadzała. Teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, że już wtedy, w tak niesprzyjających warunkach, rodziło się w nim uczucie do niej.

Zagryzł wargi, zmuszając się do powrotu do terażniejszości. Miał przed sobą najważniejsze spotkanie w życiu, spotkanie, które mogło zaważyć na losach wojny. Mai Sheng była po prostu odprowadzającym go na miejsce tego spotkania oficerem. W końcu dotarli do końca długiego korytarza, gdzie dwóch czerwonogwardzistów stało po bokach wielkich, ciężkich, rzeźbionych mahoniowych drzwi. Gwardziści stanęli na baczność i zasalutowali.

- Jesteśmy na miejscu, komandorze - jej uśmiech zniknął, jakby czytała w jego myślach.

Jeden z gwardzistów otworzył przed nimi drzwi, przez które weszli do mrocznego pomieszczenia o ścianach obitych grubym, dźwiękochłonnym materiałem. Puszysty dywan tłumiał odgłos ich kroków. Sufit obity był tym samym co ściany czarnym, wyciszającym materiałem. Kilka miękkich foteli stało przed pięciometrowym ekranem. Po jednej stronie ekranu umieszczono przekrój „Czerwonego Sztyletu” w skali 1:4, po drugiej stronie stał sam batyskaf, a pokryte czerwonym chodnikiem schody prowadziły do otwartych włazów. Tutaj, w budynku, poza swoim żywiołem, batyskaf wydawał się wielki i niezgrabny. Chu wszedł na podium między ekranem i modelem, by spojrzeć na stojącą tam konsolę. Zdawało się, że zapomniał o porucznik Mai Sheng.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała cicho.

- Nie teraz - odpowiedział Chu. Przypominał sobie, co miał powiedzieć Przewodniczącemu Yangowi, admirałowi Loenowi i generałowi Fengowi.

- Spotkanie odbędzie się dopiero za godzinę.

- Więc dlaczego mnie już wywołałaś? Zdawało mi się, że mieliśmy tu być o drugiej? -

Przełknął ślinę, zastanawiając się, czy nie ściągnęła go tu po to, żeby porozmawiać na tematy osobiste. Nie był na to przygotowany.

- Spotkanie zostało przesunięte na godzinę trzecią. Zanim się zaczniesz, powiem ci o naszym ostatnim odkryciu. Nawet Przewodniczący jeszcze o tym nie wie.

Chu zeszywniał.

- Dowiedzieliśmy się, że za dziesięć dni na Pacyfiku będą się odbywać ćwiczenia japońskich Morskich Sił Samoobrony. W morze wypłynie sześć nowych okrętów klasy Wschodzące Słońce. Najpierw odbędą rutynowe manewry jako flotylla, potem rozdzielią się i przeprowadzą symulacje walki podwodnej.

Chu dech zapało z wrażenia.

- Jak dowiedzieliście się o tym? Czy to wiarygodne źródło informacji? Jaki jest cel tych ćwiczeń? Czy jednostki nawodne będą brały w tym udział? Mai Sheng uśmiechnęła się i zaczęła szybko referować całą rzecz.

Przewodniczący Yang Pow zbliżał się do osiemdziesiątki. Był potężnym mężczyzną, lubiącym dobrze zjeść, co nie było tajemnicą w kręgu bliskich mu ludzi. Trzydzieści lat temu, w czasie podróży do USA, po raz pierwszy spróbował podwójnego cheeseburgera i jego życie nagle się odmieniło.

Jednak pomimo wieku i tuszy nosił się z godnością cesarza. Zmierzał do sali obrad szybkim krokiem, ze szczególną gracją ludzi otyłych. Miał pogodną, okrągłą twarz, na której lata zaczęły już odciskać swoje ślady. Zawsze miał cienie pod oczami, które ostatnio pogłębiły się jeszcze bardziej, podkreślając ukryte za okularami w rogowych oprawkach duże, brązowe, rozumne oczy. Szklka okularów były prawie płaskie, korygowały niewielką wadę wzroku.

Mówiono nawet, że Yang nosi je tylko po to, by upodobnić się do wielkich przywódców z

przeszłości. Tak czy inaczej, lepiej się w nich czuł.

Yang był u władzy od niemal osiemnastu lat. Przez pierwsze osiem, przed agresją Tajwańczyków, rządziło mu się całkiem łatwo.

Biała Armia Nowego Kuomintangu pod dowództwem diabolicznego generała Wong Chena opuściła swoją wyspę i wylądowała w rebelianckim Szanghaju. Pekin najpierw nie brał rebelii poważnie, ale wkrótce Szanghaj stanął po stronie Białych, a do portu zaczęły wpływać okręty wojenne i statki ze sprzętem dla rebeliantów. Kiedy Ludowa Armia Wyzwolenia gotowa była na to odpowiedzieć, Biali opanowali już duży, wciąż powiększany przyczółek. Po sześciu miesiącach zaciekłych walk Biali, zdobywając jedno miasto po drugim, zajęli sporą część kraju. Yang, mimo silnych nacisków, wciąż odrzucał możliwość użycia przeciw najeźdźcom broni jądrowej. Twierdził, że użycie jej na własnej ziemi popchnęłoby ludzi prosto w ramiona Nowego Kuomintangu. Kiedy Biali, lepiej wyszkoleni i dysponujący nowocześniejszym sprzętem, zepchnęli Ludową Armię Wyzwolenia daleko w głąb kraju, poddano Yanga ostrej krytyce za zachowawczą postawę, która do tego doprowadziła. Ale nawet wtedy nie zmienił zdania i nie zamierzał go zmienić, nawet gdyby miało się to skończyć podziałem Chin.

Negocjując rozejm z Białymi, pozwolił im zachować ziemie na wschodnim wybrzeżu. Zmusił ich do odstąpienia od żądań terytorialnych na pomocy i na zachodzie, których spełnienie podzieliłoby Czerwone Chiny na dwie części. W zamian oddał im ziemie północne aż do Penglai nad zatoką Bohai. W niecały rok Biali odnieśli niekwestionowane zwycięstwo. Zmusili Ludową Armię Wyzwolenia do odwrotu na wszystkich frontach, zajęli najważniejsze miasta Chin od Hongkongu do Szantau i ustanowili na zdobytych ziemiach demokrację typu zachodniego.

Yang czekał na okazję do rewanżu. Dał wrogom czas, żeby poczuli się pewniej, zapomnieli o wojnie, o całej przeszłości. Kiedy będą się tego najmniej spodziewali zamierzał uderzyć z zachodu i zepchnąć ich do morza.

W tym planie było jedno słabe ogniwo - Morze Wschodniochińskie. Kiedy zaatakują Białych, reszta świata nie będzie się temu beczynnie przyglądać. Zachód przyjdzie im z pomocą - szczególnie Amerykanie, ci wieczni obrońcy przegranych. Użyj ą lotniskowców, desantowców i amfibii, czołgów, wojsk spadochronowych, helikopterów i odrzutowców. Bez silnej marynarki, bez kontroli nad drogami morskimi nigdy nie zwycięży Białych. Wiele dziesiątków lat temu Alfred Thayer Mahan napisał wiele tomów na temat potęgi morskiej. Powtarzał w nich, że aby wygrać wojnę, trzeba przejąć kontrolę nad morzem. Na początku drugiej dekady nowego wieku rada ta nic nie straciła ze swojej aktualności. Nie było wyjścia z tej sytuacji, przynajmniej w najbliższym czasie. Yang poczuł się stary i słaby. Jego ojciec i dziadek nie żyli już od dawna, ale wiedział, że obaj byłiby głęboko zawiedzeni i zasmuceni tym, że oddał ziemie rebeliantom. Pocięszał się myślą, że Białe Chiny są tworem tymczasowym, choć ostatnio sam zaczął w to wątpić. Czy nie przejdzie do historii jako Przewodniczący, który dopuścił do podziału Chin?

Dwa kroki z tyłu szła porucznik Mai Sheng, jego osobista adiutantka, oficer wywiadu Ludowej Armii Wyzwolenia. Była przy nim od czasu wojny domowej, kiedy dostała swój pierwszy przydział na front. Znalazła się tam w momencie, kiedy czołgi Białej Armii wdarły się na tyły Ludowej Armii Wyzwolenia. Nie uciekła, dalej zajmowała się wywiadem, póki ranna nie dostała się do niewoli. Dowiodła wtedy, że jest odważnym, pełnym inicjatywy żołnierzem. Ćwierć wieku temu Yang poznał jej piękną matkę Xu Meng. I chociaż nikt poza nim i Xu nie wiedział o ich związku, mówiono, że Mai Sheng bardzo przypomina Yanga z czasów jego młodości.

Yang złożył podwójne przyrzeczenie. Po pierwsze, przyrzekł dbać o Mai i o jej karierę. Po drugie, przyrzekł zrobić to w taki sposób, żeby nikt się o tej opiece nie dowiedział. Jednak ambitna Mai zawsze potrafiła sama zatroszczyć się o siebie. Yang nalegał, by służyła u jego boku, ale ona po roku coraz częściej zaczęła mówić o powrocie na front. Teraz jednak od problemów Mai ważniejsze było sprawozdanie, które miał złożyć komandor Chu

Hua-Feng.

Yang zdecydował się uwzględnić to sprawozdanie w swoim planie zajęć jedynie dlatego, że Mai bardzo na to nalegała.

Po swojej prawej stronie Yang miał generała Feng Xuka, naczelnego dowódcę Ludowej Armii Wyzwolenia, po lewej admirała Loen Duna, głównodowodzącego siłami morskimi L.A.W., a raczej tym, co z nich pozostało. Kiedy Biała Armia przejęła kontrolę nad wschodnim wybrzeżem, został im tylko jeden port - Luszun, dawniejszy Port Artur, na pomocnym brzegu zatoki Bohai - przez co cała flota została zamknięta za przylądkiem Penglai, praktycznie bez możliwości wyjścia w morze. Od tej pory okręty stały tam, niszcząc i pokrywając się rdzą. W gruncie rzeczy o Marynarce Ludowej Armii Wyzwolenia można było mówić tylko w czasie przeszłym.

Jeden ze stojących pod salą obrad gwardzistów zasalutował i otworzył im drzwi. Yang wraz z towarzyszącymi mu osobami wszedł do ciemnego, wyraźnie chłodniejszego wnętrza. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, znalazł się w kompletnej ciemności. Najpierw pomyślał, że to wina jego starych oczu, ale po chwili zorientował się, że rzeczywiście panuje tu zupełna ciemność. Nagle rozbłysło światło reflektora. W mroku nad jego głową zarysował się masywny kształt jakiejś łodzi. Był to ten sam batyskaf, którego możliwości młody Chu zachwalał mu dawno temu.

Światło drugiego reflektora wydobyło z ciemności pomniejszony przekrój batyskafu. Potem oba reflektory zgasły i na ekranie ukazał się rozległy widok na otwarte, błękitne morze. Kadr rozszerzył się, co pozwoliło stwierdzić, że morze filmowano zza przedniej szyby samolotu. Ktoś wziął Yanga pod rękę i zaprowadził go do wielkiego, wygodnego fotela. Zapadł się w nim, zapatrzone w zdjęcie przedstawiające wodowanie hydroplanu. Kamera i mikrofon musiały zostać umocowane jakoś na głowie dowódcy, ponieważ wszystko widoczne było z jego perspektywy.

Yang z otwartymi ustami patrzył na film, na którym batyskaf w zanurzeniu zbliżał się do okrętu podwodnego. Wkroczyli na pokład, ich pistolety automatyczne powalały Koreańczyków jak kartonowe sylwetki na strzelnicy. Wreszcie finał, w którym dowódca nastawia przyrządy okrętu tak, by zatonął, i biegnie do wjazdu ewakuacyjnego. Kiedy na ekranie ukazała się panorama morza, widoczna z otwartego wylotu wynurzonego już batyskafu, Yang zaczął klaskać, wznosząc okrzyki zachwytu. Również Feng i Loen zareagowali entuzjastycznie.

Nie był to jednak koniec prezentacji. Ekran znów rozjarzył się światłem i ukazała się na nim twarz szanghajskiego reportera, donoszącego, że koreański okręt podwodny „Dai Gu” zaginął z całą załogą na pokładzie. Ekran znów zgasł, światło pojedynczego reflektora ukazało stojącego na podium komandora marynarki. Baretki i dystynkcje na jego mundurze błyszczą jaskrawo.

- Witam panów. Jestem komandor Chu Hua-Feng. Kiedy widzieliśmy się ostatnio, prosiłem was o finansowe wsparcie programu budowy batyskafu, którego uwieńczoną sukcesem akcją porwania okrętu podwodnego w zanurzeniu właśnie obejrzelście. Nie będę panów zanudzał szczegółami operacyjnymi misji „Czerwonego Sztyletu”, chcę jednak donieść o pewnym odkryciu. Za dziesięć dni sześć nowoczesnych japońskich atomowych okrętów podwodnych klasy Wschodzące Słońce wyjdzie w morze z portu Yoko-suka - Chu spojrział na Mai Sheng, która uśmiechnęła się do niego. - Proponuję zwodować „Czerwony Sztylet” oraz inne batyskafy i przejąć kontrolę nad tymi okrętami. Kiedy to zrobimy, umocnimy się na Morzu Wschodnio-chińskim na tyle, żeby odciąć Białych od ich zachodnich sojuszników. Mając kontrolę nad Morzem Wschodniochińskim, bez trudu odbijemy Hongkong, Szantou i Szanghaj.

Przewodniczący Yang patrzył na komandora surowym wzrokiem. Wstał i powoli wszedł na podium. Wydawało się, że zaraz rozpęta się burza. Nagle Yang rozłożył ramiona, objął Chu niedźwiedzim uściskiem i śmiejąc się, poklepał go po plecach. Napięcie w sali obrad opadło i wszyscy zaczęli klaskać.

— Komandorze Chu - powiedział Yang donośnym głosem. - Od tej chwili nie jest już pan komandorem. Nadaję panu stopień kontradmirała. Gratuluję.
Chu spojrzał na porucznik Mai Sheng. Ukłoniła mu się ceremonialnie. Nagle poczuł, że jest to pierwszy krok do zwycięstwa, że to on daje zebranim w tym pokoju ludziom.

2

Środa 23 października

Zachodni Pacyfik 200 kilometrów na południe od Zatoki Tokijskiej

Admirał Chu Hua-Feng z dłońmi splecionymi na brzuchu, z czarną przepaską na oczach, zdrzemnął się na rozłożonym siedzeniu pilota hydro-planu Tupolew TU-187. Maszyna miękko osiadła na spokojnej powierzchni morza, słychać było jedynie cichy szum systemu wentylacyjnego, zasysającego teraz słone, pachnące rybami powietrze.

We śnie Chu siedł z ojcem po skąpanym w porannym słońcu pokładzie jego niszczyciela. Mimo ostrego światła wszystko miało blady, sepiowy odcień starej fotografii. Cienkim dziecięcym głosem Chu zadawał ojcu pytanie za pytaniem. Mogły wydawać się niemądre, ale dla pięcioletka miały wielkie znaczenie. Co to jest wyrzutnia pocisków? Do czego służą pociski? Ojciec cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania tonem tak poważnym, jakby zadawał je urzędnik państwowy. Lecz oto nagle, na pokładzie między raketami a wyrzutnią torped, komandor porucznik Chu Hsueh-Fan padł przed synem na kolana i zbliżył swój a twarz do jego twarzy. Chu poczuł przesiąknięty tytoniem oddech i zobaczył naczynka krwionośne w jego oczach.

- W dole czyha niebezpieczeństwo. Musisz się spieszyć. Musisz to szybko skończyć. Jeśli będziesz się ociążał, oni przyjdą po ciebie. A oni są silni.

- Ojczy, o co ci chodzi?

- Pośpiesz się, synu. Skończ to szybko, nie zwlekaj.

- Nic nie rozumiem-jęknął Chu.

- Są dane z satelity, panie admirale - powiedział ojciec i jego twarz zaczęła zmieniać kształt i tracić ostrość.

- Co się dzieje?

- Dane z satelity, panie admirale - powiedział czyjś głos. - Obudził się pan?

Chu ściągnął opaskę i zamrugał oczyma. Ujrzał pochylonego nad sobą pilota. Chu uniósł oparcie fotela do normalnej pozycji.

- Proszę powtórzyć - powiedział. Całkiem się obudził. Wiedział, że śnił coś ważnego, ale nie mógł sobie przypomnieć, co to było.

- Mamy przekaz z satelity, panie admirale. Komandor Lo odczytuje dane na konsoli na rufie. Chu podniósł się z fotela i poszedł na rufę kołyszącym się pokładem hydroplanu.

Lo Sun siedział nad konsolą. Na ekranie widać było wyraźne satelitarne zdjęcie, przedstawiające wnętrze portu. W wielkim dole stały trzy okręty. Dziwnie wyglądały bez pokładów i ściętych ruf. W kształcie podobne do cygara, ciemnoszare, niemal nie odróżniały się od otaczającej je wody. Zdjęcie to wykazywało jego przyszły okręt. Niedługo wypłynie w morze, a wtedy Chu wejdzie na jego pokład i opanuje go siłą. Wraz z tym okrętem będzie tworzyć historię.

Na kadłubie ich batyskafu osadzony był błękitny laser. Wszystkie czujniki ustawiono w kierunku tamtego okrętu. Wskaźnik odległości pokazywał, że cel znajdował się zaledwie dwieście metrów przed nimi.

Chu przyspieszył i wkrótce dało się odczuć drżenia kadłuba, co oznaczało, że wpłynęli w

strumień wody wzburzonej przez silniki dużego okrętu. Śruba powodowała jeszcze większe zawirowania niż napęd strugowodny. Nawet przy tak małej prędkości, Chu podchodził do okrętu od lewej burty - gdyby podpłynął od rufy, zawirowania wody mogłyby zniszczyć batyskaf. I tak rzucało nimi to w dół, to w górę, komputer jednak bezbłędnie korygował ich położenie.

W półkolistym wizjerze nad głową Chu łagodnie przelewały się fale Pacyfiku. Mimo przejrzystej wody okręt, którego szukali, nie był jeszcze widoczny. Na tak niewielkiej głębokości nie było potrzeby używania reflektorów, ale choć widoczność przekraczała pięćdziesiąt metrów, nic się nie pojawiało w polu widzenia.

Zbliżyli się na odległość stu metrów, osiemdziesięciu, sześćdziesięciu. Chu wyteżał wzrok, próbując dostrzec okręt, aż oczy zaszyły mu łzami. Na chwilę je zamknął, a kiedy spojrzął znowu, coś zobaczył, ale nie powyżej, jak się tego spodziewał, tylko niżej, głębiej. Patrząc na ogromny kadłub, wylaniający się z błękitnego odmetu, przełknął ślinę. Okręt był o wiele większy niż oczekiwał, mimo że znał wszystkie jego wymiary. Chu jeszcze raz przełknął ślinę i ostrożnie skierował batyskaf w górę.

Komputer wyświetlił ostrzeżenie: fale spowodowane przez silniki są silniejsze niż zakładano, mogą wypchnąć batyskaf na powierzchnię, co spowoduje katastrofę - dostrzeżeni przez peryskop, nie zdołają zaskoczyć przeciwnika. Byli tak blisko powierzchni, że przy tej prędkości niemożliwa była pełna kontrola nad batyskafem - działała na nich zarówno siła ssąca Bernoulli'ego, powstała wokół kadłuba poruszającego się okrętu, jak i przyciąganie powierzchniowe.

Chu czuł, że akcja robi się coraz bardziej ryzykowna. Okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu, ale poradzi sobie z tym. Dokonał ponad dwadzieścia ćwiczebnych ataków na okręty podwodne, i to zarówno w pełnym zanurzeniu, jak i tuż pod powierzchnią, opanował okręty stojące w miejscu i płynące z dużą prędkością. Dokonał także ponad dwustu abordaży na symulatorze w bazie Liiszun i jeden raz zrobił to naprawdę - z koreańskim okrętem „Dae Gu”. Skierował batyskaf wyżej i przyspieszył. Dogonił wolno płynący okręt, którego wielki kadłub kołysał się lekko tuż pod powierzchnią wzburzonego morza. Teraz czekał go niebezpieczny manewr, musiał wprowadzić „Czerwony Sztylet” w wąski pas wody między pokładem okrętu a powierzchnią. Poczul się tak, jakby stanowili z batyskafem jedną całość, nawet komputer pokładowy stał się przedłużeniem jego osobowości. Z szeroko otwartymi oczami, z czołem mokrym od potu, oddychał szybko przez rozszerzone nozdrza. Zbliżał się do celu. W dole widać było przez wizjer szarą powierzchnię pokładu, kolorem przypominającą grzbiet delfina. Widoczne w górze srebrzyste grzbiety fal nagle zbieleły, a na ciemnoszarym pokładzie okrętu zatańczyła sieć reflektorów świetlnych, podobnych do tych, jakie widzi się na dnie basenu. Przemknęło mu przez myśl, że musiało wyjść zza chmur słońce.

Strużki potu spływały mu do oczu i utrudniały widzenie. Zacisnął mocniej zęby, kiedy spostrzegł, że batyskaf zaczyna znosić ku powierzchni. Ledwo poradził sobie z przyciąganiem powierzchniowym, kiedy rzuciło nim w dół, w stronę pokładu okrętu. Jeśli zaraz nie zapanuje nad sytuacją i nie doprowadzi do połączenia z okrętem, ta szarpanina może przedwcześnie wyczerpać zasób energii batyskafu. Chu skrzywił się. Teraz widział już tylko fale nad sobą, pokład okrętu w dole i wskaźniki instrumentów pomiarowych. Po raz pierwszy, odkąd wprowadził batyskaf między okręt a powierzchnię morza, odczytał to, co wyświetlały. Na jednym była odległość dzieląca ich od tylnej krawędzi statecznika okrętu. Drugi wskazywał odległość do wjazdu ewakuacyjnego, znajdującego się na rufie.

Podane przez wskaźniki odległości zaniepokoiły Chu. Statecznik widział daleko z przodu, ale minęli już wjazd. Jeśli dane zdobyte przez Mai były dokładne, to rufa batyskafu znajdowała się w tej chwili nad wjazdem ewakuacyjnym. Chu zwolnił i okręt wysunął się nieco do przodu. Podejście było o wiele trudniejsze niż w wypadku okrętu koreańskiego, na którym wjazd ewakuacyjny znajdował się daleko od śruby. Jednak ten miał grubszą powłokę wyciszającą, zaprojektowaną na podobieństwo delfiniej skóry, która minimalizowała tarcie i odbijała dźwięki sonaru. Gdyby batyskaf uderzył o jego kadłub, powinna zadziałać jak poduszka

amortyzująca. Być może lepiej dopuścić do tego, niż tracić energię na taniec wokół okrętu. Batyskaf zwalniał do momentu, kiedy jego śluza powietrzna znalazła się dwa metry od spodziewanego położenia włazu. By zlokalizować właz, Chu zaktywizował znajdującą się na końcu śluzy kamerę i przełączył komputer na zdalne sterowanie. Jednak ledwo to zrobił „Czerwony Sztylet” zadygotał, uniósł się w górę, a po chwili zaczął opadać w kierunku okrętu. Chu zaklął i pochwycił drążek sterowniczy. Komputer zawiódł w najważniejszym momencie. Na gładkiej, szarej powierzchni okrętu nie można było dostrzec włazu.

Chu podprowadził batyskaf do statecznika i ponownie zwolnił. Wiedział, że tym razem musi doprowadzić do połączenia, ręcznie kierując manewrami. Po pięciu minutach wyczerpującej pracy doprowadził batyskaf do miejsca, w którym znajdował się poprzednio. Operując sterami, próbował jednocześnie odnaleźć właz na obrazie przekazanym z kamery, ale im bardziej skupiał się na ekranie, tym trudniej mu było sterować. Musiał mu pomóc Lo Sun.

- Pierwszy, ma pan obraz z kamery ze śluzy?

- Tak, panie admirale...

- Dobrze, proszę mnie naprowadzić na właz. Nie mogę manewrować i jednocześnie szukać włazu. Komputer się zepsuł. Proszę się pośpieszyć!

- Jest pan na plus dwa. Proszę sterować w prawo jeden koma sześć...

- Do cholery, niech pan mówi po ludzku w prawo, ile w lewo.

- Trochę do tyłu, teraz o włos w lewo, dobrze, teraz pół metra do przodu, jeszcze, jeszcze. Już! Do dołu!

Chu tak delikatnie opuścił batyskaf na pokład okrętu, że ledwo dotknął on gumowanej powierzchni.

- Nie, jesteśmy odrobinę za daleko. Czy może pan cofnąć o dziesięć centymetrów?

Chu ostrożnie cofał batyskaf, który ślizgał po powierzchni przyciągającego go okrętu, póki Lo nie krzyknął, że są na pozycji. Chu wypełnił zbiorniki balastowe, przyciskając w ten sposób batyskaf do śliskiego pokładu. Wystrzelone pod ciśnieniem powietrze wypełniło śluzę, wypierając z niej wodę. Jeśli byłoby głębiej, musieliby użyć pompy, na tej głębokości wystarczało samo sprężone powietrze.

Czujniki wskazywały, że komora próżniowa działa jak należy. Można było wyłączyć silniki, ponieważ potężna siła ssąca utrzymywała razem oba statki. Chu wygaszał je powoli, nasłuchując, czy komora jest szczelna, ale nie pojawiły się żadne przecieki. Zgasił je więc zupełnie, i wy dostał się ze swojego stanowiska. Kiedy wreszcie wstał i wyprostował zdętwiałe członki, stwierdził, że cały jest zlany potem. Otarł czoło i wziął od jednego z członków załogi ręcznik i butelkę wody.

Wszyscy, prócz Chu, Lo i Wanga - który miał zamknąć włazy, kiedy znajdą się już na pokładzie okrętu, a potem odprowadzić batyskaf do hydro-planu - mieli na twarzach maski, połączone z umieszczonymi na plecach butlami ze sprężonym powietrzem. Miały one zapobiec wdychaniu unoszących się w pomieszczeniach reaktora radioaktywnych oparów. Maski będą mogli ściągnąć dopiero w pomieszczeniach mieszkalnych. Chu i Lo założyli swój ekwipunek.

- Otworzyć właz - powiedział Chu.

Kiedy Lo spełnił jego polecenie, dał się słyszeć syk sprężonego powietrza, które uniosło ciężką pokrywę włazu. Pół metra niżej widać było szarą, gumową powierzchnię okrętu. Krąg nitów otaczał właz, pośrodku którego widniał zamek, taki, jakiego się spodziewali - standardowy. Lo wręczył Chu klucz, jakby podawał chirurgowi skalpel. Chu umieścił klucz w otworze i obrócił go zgodnie z ruchem wskazówek zegara - odwrotnie niż zwykle. Żadnej reakcji. Czyżby Japończycy zamknęli właz od środka? Miałoby to sens, ponieważ właz prowadził bezpośrednio do komory reaktora. Jeśli rzeczywiście został zamknięty od środka, można by go otworzyć jedynie palnikiem acetylenowym. A Chu nie był na to przygotowany. Jednak zamek szczęknął i właz uchylił się lekko. Chu spojrzał na Lo z wyrazem zdecydowania na twarzy.

- Jest pan gotów, panie Pierwszy?

Lo Sun wziął głęboki oddech, założył maskę na twarz i spojrzął na żołnierzy plutonu.
- Gotów, admirale. Ukradnijmy ten okręt.
- Wchodzimy na zero. Czekajcie na mój znak - rozkazał Chu i sam założył maskę. Wszyscy skupili się wokół niego.
- Trzy, dwa, jeden, już!
Z błyskiem w oczach Chu odchylił do końca ciężką pokrywę włazu.

3

Właz był otwarty. Do wnętrza komory przedostawało się z niego suche, gorące powietrze. Panowały tam absolutne, niczym nie zmaćcone ciemności.
Chu nacisnął guzik w kamizelce, z umieszczonej na jego piersi latarki wystrzelił strumień światła. Umocował latarkę nad głową i skierował ją w dół, w otwór włazu. Czuł tłukące się w piersiach serce. Słyszał w masce swój głośny oddech. Miał wejść jako pierwszy, potem Lo Sun i pozostałych sześciu ludzi. Było ich mniej niż w wypadku ataku na koreańską jednostkę, ponieważ wysoce zautomatyzowany japoński okręt wymagał do obsługi zaledwie paru ludzi, zajmujących jedno niewielkie pomieszczenie mieszkalne. Inni członkowie poprzedniego zespołu Chu wykorzystywali nabyte doświadczenie na pięciu pozostałych batyskafach.
Właz prowadził do znajdującego się tuż obok komory reaktora pomieszczenia akumulacyjnego, w którym w olbrzymich bateriach gromadzono energię wytworzoną przez reaktor. Niestety, nie mogli skorzystać z przedniego włazu ratunkowego, ponieważ znajdował się tak blisko statecznika, że batyskaf mógł o niego zahaczyć. Musieli więc wyłączyć reaktor. Gdyby tego nie zrobili, promieniowanie mogłoby ich zabić. Wyłączając reaktor, zaalarmują załogę okrętu, ale musieli podjąć to ryzyko.
Chu przypomniał sobie eksperyment, sfilmowany w Medycznym Centrum Marynarki Ludowej Armii Wyzwolenia. Eksperyment pokazywał, co dzieje się z pozbawionym ochrony człowiekiem, który znajdzie się w komorze działającego reaktora. Pierwsze ujęcie przedstawiało więźnia z czasu Wojny Domowej, stojącego przed wejściem do komory reaktora elektrowni atomowej Wuhan. Przekonany argumentami nie do odrzucenia - być może obiecano lepiej traktować jego uwięzioną rodzinę - więzień otworzył właz i wszedł do pomieszczenia, w którym reaktor wytwarzał sprężoną parę, wydzielając przy tym bardzo silne promieniowanie gamma, neutronów i cząstek alfa. Ledwo zaczął schodzić po drabinie, włosy na głowie dosłownie stanęły mu dęba. Kiedy znalazł się na dole drabiny, jego chude wcześniej ciało obrzękło, a policzki wydęły się. Więzień puchł w oczach, płyny fizjologiczne napływały do niszczonej przez promieniowanie powierzchni ciała, podczas kiedy wewnątrz tworzyły się gazowe pęcherze.
Kiedy zszedł z drabiny, ledwo powłóczył nogami i chyba nic już nie widział. Jedną ręką zasłaniał oczy, a drugą po omacku szukał drogi. Jego skóra, początkowo blada, wciąż ciemniała. Teraz była już ciemnopurpurowa. Prawie okrągły od opuchlizny padł na kolana, oczy wyszły mu na wierzch i po chwili dosłownie eksplodował - gazy wytworzone w jego ciele, wyrzuciły na zewnątrz fontannę krwi i wnętrzności.
Chu wymacał stopą szczebel i zszedł do włazu. Zstępował w ciemność. Umieszczona na opasującej głowę opasce latarka słabo oświetlała wąski, pionowy tunel, wyłożony białym, połyskliwym, podobnym do aluminium metalem. Było tu pełno kabli i rur.
Chu przystanął tuż pod lukiem i zaczął się rozglądać za awaryjnym wyłącznikiem reaktora. Dane wywiadu nie określały dokładnie jego położenia, wiadomo było tylko, że najprawdopodobniej ma postać dużego uchwyty w kształcie litery T. Również we włazie był zamontowany automatyczny wyłącznik reaktora, ale najprawdopodobniej działał tylko wtedy, kiedy okręt stał przy nabrzeżu. Kto miałby otwierać zewnętrzny właz, kiedy okręt był w zanurzeniu? Tak więc prawdopodobnie reaktor nie przestał działać i jeśli Chu nie znajdzie zaraz tego przeklętego wyłącznika, może zostać napromieniowany śmiertelną dawką neutronów i promieni gamma.

Jedną ręką trzymając się drabiny, drugą usiłował wymacać wyłącznik. Zdawało mu się, że wyczuł coś blisko krawędzi wjazdu - był to okrągły guzik w niczym nie odpowiadający podanemu przez wywiad opisowi wyłącznika. Wyglądał raczej na przycisk do włączania światła w tunelu i użycie go mogłoby zaalarmować Japończyków. Po prawej stronie Chu znalazł panel komputerowy, składający się z klawiatury, paru małych ekranów i szeregu różnych pokręteł. To także nie było to, czego szukał. Po pierwsze, wyłącznik awaryjny powinien być umieszczony tuż przy wejściu do wjazdu. Po drugie, powinien być duży, czerwony albo żółty w czarne pasy. Chyba że, pomyślał Chu ze zgrozą, dane wywiadu są błędne i nie ma tu żadnego wyłącznika.

Podniósł głowę. Nad nim, w kręgu światła zarysowała się sylwetka Lo. Tuż pod nim, w cieniu, naprzeciw zawiasów wjazdu dostrzegł wreszcie wystający ze ściany panel z pomalowanym na czerwono uchwytem w kształcie litery T.

Chu wspiął się do wyłącznika i spróbował go obrócić - bez skutku. Spojrzał na umieszczone obok japońskie litery i zrozumiał swój błąd. Przed obróceniem, dźwignię należało wyciągnąć ze ściany. Pociągnął ją, obrócił i czekał, nasłuchując, czy nie dosłysz zmian świadczących o tym, że reaktor został wyłączony. A może wyłączył się wcześniej, w momencie otwierania wjazdu? Nawet jeśli tak się stało, niebezpieczeństwo nie minęło zupełnie. Nie osłoniony reaktor, nawet wyłączony, zachowywał sześć procent swojej mocy. Wydzielał w dalszym ciągu śmiertelnie groźne promieniowanie. I działało się tak, póki reakcje zachodzące w rdzeniu nie ustały całkowicie. Musiałyby minąć całe lata, zanim promieniowanie reaktora osiągnęłoby bezpieczny poziom, a Chu i jego ludzie mieli najwyżej parę minut, żeby wydostać się stąd, na drugą stronę osłony przeciwpromiennej.

- Teraz, wchodzimy! - krzyknął Chu do wmontowanego w maskę mikrofonu. Szybko zjechał na dół po pionowej rurze, jak wyruszający na akcję strażacy. Tam, gdzie tunel się rozszerzał zeskoczył i pochylił się nad dolnym wjazdem. Zaczął odkręcać mocujące go koło. Przez ten czas dołączyła do niego reszta plutonu. Otworzył wjazd i z dołu buchnęło zimne, jasne światło. Całe pomieszczenie pomalowane było na biało jak w szpitalu. Prowadziła stąd drabina na pomost przypominający wybieg dla modelek.

Chu wszedł na pierwszy. Czekając, aż dołączy do niego reszta plutonu, sięgnął po AK-80 i włożył do niego większy niż zwykle magazynek na dwadzieścia naboń. Pomieszczenie było ciasne, duszne i bardzo jasno oświetlone - prawdopodobnie zamontowano tu kamery, by mieć na oku całą maszynię. Nad nimi znajdowały się dwa ażurowe podesty, umieszczone jeden nad drugim. Stali pomiędzy ścianą a jakąś dużą maszyną. Na ścianie, tuż obok wyjścia z wjazdu, zamontowana była mała kamera. Chu spojrział na nią - to był znak, że mógł czekać na nich komitet powitalny.

- Ruszać się, idziemy!

Wskazał ręką na prawą burtę, gdzie podest prowadził w stronę dziobu. Biegł szybko, pomimo ciężaru niesionego sprzętu.

Podest dochodził do ściany i zakręcał pod kątem prostym. Chu zatrzymał swoich ludzi. Na ścianie przed nimi znajdował się duży rozmiarów wjazd. Prowadził prawdopodobnie do komory reaktora, przez którą musieli przejść. Nad wjazdem wisiała czerwona tabliczka z japońskimi napisami. U góry pulsowało alarmowe światło.

- Co jest tam napisane? - Chu spytał Lo, który znał japoński. Specjalnością Chu był koreański i angielski.

- „Uwaga, silne promieniowanie”.

- Wchodzimy.

- Admirale, czy jest możliwe, żeby reaktor wciąż pracował? - zapytał Lo.

- To pomieszczenie jest tak samo radioaktywne jak komora reaktora.

Jeśli reaktor wciąż jest czynny, to i tak już po nas - sięgnął do widniejącego pośrodku wjazdu koła, szarpnąwszy mocno, odblokował je i obracał aż do oporu. Pchnął, otworzył wjazd do wewnątrz, przekroczył wysoki, metalowy kołnierz i wszedł do wnętrza komory reaktora. Powietrze było bardziej wilgotne i o wiele cieplejsze niż w pierwszym pomieszczeniu.

Wszędzie znajdowały się jakieś urządzenia, co potęgowało wrażenie ciasnoty. Pompy, rury i zbiorniki rzucały przedziwne cienie. Chu od razu podszedł do najwyższego zbiornika. Pomyślał, że musi to być zbiornik osłony reaktora. Chu spróbował obejść go dookoła, ale z drugiej strony podest dochodził do ściany i kończył się ślepo. Zawrócił, przecisnął się między ludźmi wchodzącymi przez właz i skierował się ku prawej burcie. Podest omijał trzy wysokie maszyny - według danych wywiadu pompy cyrkulacji osłony reaktora - i zwęzał się. Potem biegł dalej dookoła zbiornika ze sprężonym płynnym metalem i między czterema kotłami parowymi. Pośrodku ściany, między rurami i zbiornikami znajdował się następny właz. Chu właśnie sięgał, żeby go otworzyć, kiedy za jego plecami rozległ się głośny trzask. Po nim nastąpiło jeszcze parę innych. Jakby uruchomiono reaktor. Może Wang zamknął górny i dolny właz do pomieszczenia akumulacyjnego i umieszczony w nich obwód automatycznie włączył rozruch reaktora? A może to sprawka japońskiej załogi? Albo komputera pokładowego? Chu wreszcie poradził sobie z zamkniętym włazem. Przywołał resztą plutonu. Dalej było pomieszczenie pełne rur, turbin i kondensatorów - znajdowały się tu urządzenia wytwarzające, sprężające i rozsyłające parę. Chu nie zwracał na nie uwagi, ponieważ musieli dotrzeć do włazu prowadzącego do pomieszczeń mieszkalnych, zanim reaktor znów zacznie pracować.

Przystanął przy drabinie prowadzącej na górny podest, tak jak inne zbudowany z azurowych kratownic, przez które można było dostrzec drugi właz. Oddychał jak sprinter po długim biegu - w butlach zostało mu powietrza najwyżej na parę minut. Usiłował odtworzyć w myślach plany przejść, przedziałów, całej konstrukcji okrętu. Z tego, co pamiętał, nie było na nich włazu na tym poziomie.

Dolny właz powinien prowadzić tam, gdzie znajdowały się panele elektryczne i moduły komputera zwanego Drugim Kapitanem. Ten właz powyżej musiał prowadzić na środkowy poziom, gdzie znajdowały się kabiny oficerów i ich mesa. Mogły ich tam spotkać przykre niespodzianki.

Uchwycił chromowane koło otwierające dolny właz, ale nie udało mu się go obrócić ani o milimetr. Nawet gdy pomogło mu paru ludzi, koło nie poruszyło się ani o włos.

Chu doszedł do wniosku, że właz został zamknięty z drugiej strony, najwyraźniej po to, by nie było dostępu do pionu dowódczego. A on i jego ludzie są uwięzieni w maszynowni, w której zaraz zacznie pracować reaktor. Za parę minut stanie się z nimi to, co z tamtym więźniem.

Ze wszystkich stron rozległ się donośny kobiecy głos, brzmiący naturalnie, choć elektronicznie generowany.

- Co to znaczy? - zapytał Chu.

- Reaktor jest w fazie krytycznej - odparł Lo Sun.

A więc już po nas, pomyślał Chu i poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie.

Chu zrezygnował z dalszych, beznadziejnych prób otwarcia dolnego włazu, który najwyraźniej został zablokowany i zamknięty od środka. Nie mogli ani go przestrzelić, ani wysadzić w powietrze, nawet gdyby mieli granaty przeciwpancerne. Uszkodzenie ołowianej osłony uniemożliwiłoby potem uruchomienie reaktora.

- Drabiną do góry - rozkazał pewnym głosem, chociaż strach ściskał mu gardło. Jeśli reaktor jest w fazie krytycznej, to już teraz promieniowanie jest bardzo silne. A kiedy przekaże energię do pierścienia z płynnego metalu, promieniowanie może wzrosnąć tysiąc, a może nawet sto tysięcy razy. Należało natychmiast znaleźć stąd wyjście.

Chu wspiął się po drabinie za Lo i porucznikiem Li Xinminem. Lo napiął się ze wszystkich sił, usiłując otworzyć właz - ale bez skutku. Chu też chwycił za promieniste koło, próbując mu pomóc. Wiedział, że jeśli nie uda im się otworzyć włazu, wszystko na nic. To mógł być ostami jego wysiłek na tej ziemi. Ciekawe, czy zobaczy tuż przed śmiercią najważniejsze sceny ze swego życia. Szkoda, że zaprzepaścił swój związek z Mai Sheng. Zmusił się, by o tym nie myśleć i skupić się na chwili bieżącej. Wreszcie opadł z sił.

- Jesteśmy w pułapce, panie admirale - powiedział Lo.

- Wszyscy do koła, ciągnąć na mój znak - wychrypiał Chu do mikrofonu w masce. Oddychanie przychodziło mu z trudem, nie miał już prawie powietrza. Do koła przyłożyło się teraz sześciu mężczyzn. Stłoczeni, przeszkadzali sobie nawzajem.

- Ciągnąć razem! Teraz! - krzyknął Chu. Mężczyźni napięli się, spod masek słychać było ich ciężkie oddechy. Chu miał ochotę krzyknąć z wściekłości, kiedy jego ludzie poddali się. Dwóch z nich przewróciło się, wyczerpanych bezowocnym wysiłkiem, a jemu skończyło się powietrze. Charcząc, odetchnął ostatni raz i maska przyssała mu się do twarzy. Zerwał ją i odrzucił ze wstrętem - była pełna potu i śliny. Połączona rurą z pustymi butlami maska okręciła mu się dookoła szyi i uderzyła go z drugiej strony w twarz. Tak spoliczkowany, nagle poznał odpowiedź. Zaczaj się śmiać.

Co prawda przyjrzał się mechanizmowi z bliska, ale w chwili paniki stracił głowę. Teraz wszystko było jasne. Tak jasne, że czuł się jak głupiec.

Kiedy Chu zbliżał się do włazu, znów rozległ się tamten kobiecy głos.

- Co się dzieje? - zapytał Chu.

-Panie admirale - Lo Sun wyrzeźbił resztkami powietrza - reaktor osią- ' gnał pełną moc. Zaraz nas usmaży...

- Weź się pan w garść, panie Pierwszy - warknął Chu.

Pochylił się nad włazem, przyciskając twarz do piasty koła. Jego trzon miał nieznaczną wypukłość, jakby mały guziczek z zębatką. To proste mechaniczne zabezpieczenie stanowiło przeszkodę w otwarciu włazu. Właz nie był ani obwiązany łańcuchami, ani zamknięty od środka na klucz, był po prostu zabezpieczony przeciw samoistnemu otwarciu w razie wystąpienia mocnych wstrząsów czy wibracji. Trzeba było tylko podciągnąć ten guzik i uwolnić trzon koła od zębatego. Obrócił kołem zgodnie z ruchem wskazówek zegara, tak, jakby zamykał właz. Podciągnął guzik, uwolnił pierścień i obrócił kołem przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Zaczęło się obracać, jakby zostało naoliwione tego dnia rano.

Rygle się przesunęły i po chwili właz był gotów do otwarcia. Nagle ich sytuacja zmieniła się diametralnie. Nie walczyli już o przeżycie jak mysz we _włączonej kuchence mikrofalowej, ale szykowali się do tego, żeby opanować japoński okręt podwodny. Przestali być zwierzyną i stali się łowcami.

Chu musiał powstrzymać się, żeby od razu nie otworzyć pokrywy włazu. Najpierw musiał przygotować swoich ludzi do ataku. Odwrócił się tyłem do włazu, odrzucił puste butle i wziął w ręce AK-80. Jego ludzie, przed chwilą tak samo przerażeni jak on, również zdjęli niepotrzebne już butle z dołączonymi do nich maskami, założyli na głowy słuchawki z mikrofonami i włączyli swoje radia. Chu szybko zlustrował ich wzrokiem i odwrócił się do włazu.

Był gotowy do wtargnięcia na drugi poziom. Położył dłonie na pokrywie włazu. Po tamtej stronie mogła na nich czekać gromada gotowych do walki żołnierzy japońskich. Serce zaczęło bić mu mocniej. Teraz nie było już odwrotu.

4

Komandor Suruki Gama czuł się fatalnie, choć długo czekał na ten dzień dziewiczego rejsu floty okrętów podwodnych klasy Wschodzące Słońce. O pierwszej w nocy obudził go telefon. Dzwonił komputerowy system, zwany Drugim Kapitanem.

- Automatyczny meldunek dla kapitana Gamy - odezwał się kobiecym głosem. Automatyczny głos powtarzał te słowa w kółko, póki Gama nie podał swego stopnia i nazwiska. Wtedy głos powiedział, że reaktor jest w fazie krytycznej. Po dwudziestu minutach udało się Gamie znów zasnąć, ale już o drugiej telefon zawiadomił go, że reaktor osiągnął temperaturę operacyjną. O trzeciej zaczęła działać instalacja parowa. O czwartej okręt mógł już sam zaspokajać swoje potrzeby energetyczne i dopływ energii z nabrzeża został odcięty. O piątej rano, kiedy blade światło świtu zaczęło się przesączać przez zasłony, zadzwonił budzik. Gama, zły i zmęczony po nieprzespanej nocy, cisnął nim w kąt pokoju.

Kiedy przyjechał do portu, wszedł na piętro stojącego na nabrzeżu budynku i przez duże okna sali narad przyglądał się stojącemu poniżej przy kei okrętowi. Na jego burcie wielkimi literami wypisany był numer SS-403. Zgodnie z wytycznymi głównego dowództwa, według których okręty klasy Wschodzące Słońce miały otrzymać nazwy zjawisk naturalnych, Gama nadał SS-403 imię „Arktyczny Sztorm”.

Okręt miał cylindryczny kształt i w porównaniu z konwencjonalnymi okrętami podwodnymi był szerszy i krótszy. Statecznik, proporcjonalny do kształtu kadłuba, był wyższy niż zwykle. Ster, zwany ogonem, miał kształt litery X, a jego płaszczyzny pełniły zarazem funkcje stateczników. Szary kadłub pokryty został gładką jak skóra rekina pianką, pochłaniającą dźwięki sonaru.

Kiedy już Gama porozmawiał ze swoim pierwszym oficerem i z systemem komputerowym, na pokład wszedł głównodowodzący floty admirał Tanaka, który podczas amerykańskiej blokady stracił swojego jedyne go syna.

Przywitał się z Gamą gorąco i życzył mu wszystkiego najlepszego. Potem Gama wszedł na szczyt statecznika, który w czasie wynurzenia pełnił funkcję mostka, i razem z pierwszym oficerem wyprowadzili „Arktyczny Sztorm” z portu. Przepłynąwszy sto kilometrów na południe, Gama zanurzył okręt na głębokość stu metrów. Pięć godzin później „Arktyczny Sztorm” przeszedł pierwszą poważną próbę: z maksymalną prędkością, w maksymalnym zanurzeniu, pod pełną kontrolą systemu komputerowego wykonał szereg manewrów unikowych. Jego rozkołysany ciągłymi zmianami kierunku, poddawany olbrzymiemu ciśnieniu wody kadłub wydawał dziwne jęki. Pomyłka rzędu jednej dziesiątej stopnia zanurzenia mogła sprowadzić okręt poniżej głębokości krytycznej, gdzie nadmierne ciśnienie zmiażdżyłoby jego kadłub z równą łatwością, z jaką młot parowy miażdży jajko.

Godzinę po zakończeniu manewrów wynurzyli się na głębokość peryskopową, żeby wraz z innymi okrętami wziąć udział w wideokonferencji, której z Yokosuki przewodniczył admirał Tanaka. Wtedy zaczął się cały ten koszmar.

Kiedy reaktor został wyłączony, Gama pobiegł na mostek, usiłując ustalić, co się stało.

Główny mechanik nalegał, żeby włączyć awaryjny silnik dieslowski. Wreszcie udało się stwierdzić, że sygnał wyłączający reaktor I pochodził z włazu ewakuacyjnego na rufie. Było to bardzo dziwne. Spadek energii po wyłączeniu reaktora spowodował, że kamery kontrolne przez jakiś czas nie działały. Teraz znów były sprawne i nie widać było żadnych przecieków, jednak przyrządy zarejestrowały, że tylny właz został otwarty, a potem znów zamknięty.

W dodatku okręt zaczął zachowywać się dziwnie, jakby jego rufa stała się cięższa. Po paru minutach wypytywania Drugiego Kapitana, system wreszcie doniósł, że na kilka minut przed wygaszeniem reaktora w okolicy rufy nastąpił nagły przyrost wagi. Po dłuższej chwili udało się ustalić, że ten dodatkowy ciężar pojawił się dokładnie w miejscu, w którym znajdował się właz ewakuacyjny.

Pierwszy oficer Fumio Sugimota zbladł, uznawszy, że ten dodatkowy ciężar stanowiła łódź ratunkowa głębokiego zanurzenia. Suruki Gama w pierwszej chwili się nie zgodził z nim. Pomyśl, że jakiś wrogi oddział chciałby opanować okręt, wydał mu się niedorzeczny. Ale potem kamera z modułu parowego przekazała obraz przedstawiający sporą grupę wyglądających na pływaczy, uzbrojonych w pistolety maszynowe postaci, stłoczonych wokół przedniego włazu na środkowym podeście. Rozkazy organizujące obronę okrętu Gama wydawał z dziwnym odczuciem nierealności całej tej sytuacji.

- Panie poruczniku, proszę przejąć okręt - rzucił siedzącemu przy konsoli kontrolnej porucznikowi Jinsu. Rzucił słuchawki z mikrofonem i wyszedł szybkim krokiem.

Kiedy pędził wykładanym boazerią korytarzem, rozległ się kobiecy głos Drugiego Kapitana.

- Reaktor w stanie gotowości.

Najwyraźniej głównemu mechanikowi udało się włączyć reaktor. Ze ścian dobył się głęboki, basowy dźwięk - to zaczęła działać klimatyzacja. Mokra od potu włosy Gamy owiał chłodny powiew. Przynajmniej jedno nieszczęście zostało zażegnane.

Kiedy był w połowie korytarza, drzwi jego kajuty otworzyły się i wyszło mu naprzeciw

trzech najstarszych stopniem oficerów. Na ich czele szedł Sugimota, w każdej ręce trzymając automatyczny pistolet R-35. Sugimota bez słowa podał Gamie jeden z pistoletów i wąskimi schodkami zeszli wszyscy na środkowy poziom.

Środkowy poziom miał bogatsze wykończenie wnętrza niż bardziej funkcjonalny poziom trzeci. Okrągłe kryształowe lampy, równomiernie rozmieszczone na ścianach tuż pod sufitem, jasno oświetlały pokrywającą ściany boazerię i niebieską, zdobioną motywem winorośli wykładzinę. Schodki prowadziły na korytarz, po którego prawej stronie znajdowały się kajuty oficerskie. Drzwi po lewej prowadziły do centrum rekreacyjnego z mesą, salą konferencyjną i salami do ćwiczeń. Od strony rufy korytarz kończył się przegrodą, w której znajdował się właz prowadzący do modułu parowego. Po tej stronie, tak jak całe ściany, pokryty był drewnem.

Gama nie czuł się dobrze w tej sytuacji, chociaż wiedział, że obrona tak małej przestrzeni jest łatwiejszym zadaniem niż jej zdobycie. Wrócił myślami do dawnych czasów, kiedy jako aspirant Sił Samoobrony w czasie ćwiczeń biegał po lesie z zielonym kamuflażem na twarzy i z karabinem automatycznym R-35 w dłoni. Tamte ćwiczenia traktował jak zabawę w wojnę. Teraz czuł niepokój i obawę, że utraci powierzony mu okręt, wart trylion jenów cud techniki, za który ponosił pełną odpowiedzialność. Towarzyszył mu także strach przed śmiercią.

Gama zmagął się ze swą słabością. Niezależnie od wszystkiego, zachowa się jak najstarszy rangą oficer, zachowa się, jak przystało dowódcy okrętu wojennego.

Następne rozkazy wydał pewnym, twardym jak stal, pozbawionym śladu niepewności głosem.

- Pierwszy, niech pan stanie przy włazie. Nawigator w drzwiach kajuty numer trzy. Oficer operacyjny do drzwi mesy, ja pomagam Sugimocie. Strzelać nisko, bo będą się czołgać.

Wszystko jasne?

Nikt nie odpowiedział, ale wszyscy najwyraźniej nabrali pewności siebie.

Porucznik Umirigi, młody nawigator, spojrział na niego bez śladu strachu w wąskich oczach.

- Panie kapitanie, a jeśli to są nasi, przysłani przez admirała Tanakę? Może to dalszy ciąg ćwiczeń?

- Wykluczone - rzucił Gama, idąc z Sugimota w stronę włazu. - Zostałbym o tym powiadomiony. Koniec dyskusji. Wszyscy na pozycje.

Chu właśnie miał pchnąć pokrywę włazu, kiedy kobiecy głos w głośnikach obwieścił po japońsku:

- Reaktor w stanie gotowości.

- Co ona powiedziała? - zapytał, ale po chwili sam znał odpowiedź. Niski, brzęczący dźwięk wypełnił panującą na pokładzie ciszę. Zaczęła działać klimatyzacja.

- Reaktor znów pracuje - powiedział Lo, rozglądając się dookoła.

- Bądźcie cicho - szepnął Chu. Obrońcy mogli się już zacząć organizować, więc najlepiej byłoby wejść już teraz. - Gotuj broń. Wchodzimy na j mój znak... trzy, dwa...

Chu ze zdziwieniem odkrył, że spodziewa się śmierci. Nigdy nie czuł się tak blisko niej, nawet kiedy katapultował się z eksplodującego jaka nad zatoką Bohai. A teraz ją czuł, była po drugiej stronie włazu. Jakiś głos wewnątrz jego czaszki mówił: „Chu Hua-Feng nie żyje”. • Poczul narastającą wściekłość. Był wściekły na siebie z powodu nieudanej misji, na zabójców swojego ojca, na Japończyków, na całe życie. Gniew wypełniał go jak ognista kula. Odslonił ostre zęby w drapieźnym grymasie. Z pełnym furii krzykiem, jednym błyskawicznym pchnięciem otworzył właz i strzelając, rzucił się do przodu.

Stojący tuż przy włazie Fumio Sugimota uniósł odbezpieczony R-35, trzymając palec na spuście.

Nagle pokrywa włazu odskoczyła gwałtownie, uderzając go w ramię. Zanim jeszcze zdążył się zorientować, że ma złamaną rękę, pokrywa odbiła się od ściany i w drodze powrotnej rąbnęła go w twarz, miażdżąc mu nos.

W otwartym włazie pojawiło się kilka postaci. Jedna z nich ochryplym i głosem wydawała przeciągły, bojowy okrzyk. Fumio Sugimota nie usłyszał "czterech zgłuszonych tłumikiem wystrzałów, oddanych z AK-80. Nie poczuł tego, że dziewięciomilimetrowe pociski przeszywają jego ciało, trafiając w ramię, w klatkę piersiową, w łopatkę, w plecy. Zdało mu się, że go pchnęło powrotem w stronę włazu, miał dziwne wrażenie lekkości, nierealności własnego ciała. Powoli opadał na pokład pokryty wykładziną z ciemnym ornamentem liści i gron winorośli, na który nigdy przedtem nie zwrócił uwagi. Teraz, kiedy padał, wzór ten wydał mu się fascynujący. Urósł przed oczami niesamowitych rozmiarów i zawibrował, kiedy jego ciało ciężko uderzyło o pokład.

Fumio Sugimota dalej obserwował grona i liście, które wyglądały teraz jeszcze bardziej interesująco, spryskane jakimś czerwonym płynem. Nagle poczuł, że jest mu zimno, bardzo zimno, jakby leżał w zaspie śniegowej. Potem zgniłozielony rysunek winorośli poszarzał, zaczął ciemnieć jak ekran wyłączzonego telewizora. Zapadła głęboka ciemność, przez chwilę rozświetlona jeszcze rozbłyskami światła. A potem wszystko rozwiało się jak mgła, nic już nie pozostało.

Właz otworzył się tak gwałtownie, że sam Chu był tym zaskoczony. Pokrywa uderzyła i odrzuciła japońskiego oficera. Chu, wciąż krzycząc, obrócił się w jego stronę. Nacisnął spust na ułamek sekundy, co wystarczyło, żeby w Japończyka trafiły cztery kule. Na jego pomarańczowej kamizelce wykwitły cztery krwawe plamy.

Teraz Chu zwrócił się w stronę drugiego mężczyzny, także w pomarańczowym stroju z oficerskimi dystynkcjami. Człowiek ten mierzył z trzymanego oburącz karabinu w stronę jego kolan. Pistolet Chu niemal z własnej woli wystrzelił trzy naboje i z torsu japońskiego oficera wytrysnęła jasno-czerwona krew. Wykonał półobrót i padł. Chu miał wrażenie, że jego upadek trwa całą wieczność. Nie czekał dłużej i pchnął ciało mężczyzny na podłogę.

Suruki Gama czuł się jak w koszmarnym śnie.

Właz otworzył się tak gwałtownie, jakby użyto granatu, ale towarzyszył temu dziwny dźwięk, wściekły ludzki krzyk, prawdziwe wycie z dna piekieł. Pokrywa uderzyła Sugimotę i rzuciła nim o ścianę, jakby był kukielką. Ubrany na czarno demon wskoczył przez właz - usta miał otwarte, widać było białe zęby i czerwony język. Niezwykle mocne, jasne światło bijące z jego piersi oślepiło Gamę.

Z tyłu, za plecami demona stało jeszcze parę ubranych na czarno postaci. Gama uniósł R-35, ale zanim zdążył nacisnąć spust, coś, jakby gorąca brzytwa, przecięło jego ciało.

Jasnoczerwona tętnicza krew wytrysnęła z prawej strony klatki piersiowej. Gama obserwował lot kropli krwi padających na ścianę, która nagle wypełniła cały jego obraz widzenia. Potem wszystko zawirowało i zniknęło.

Krzyk dalej trwał i Gama poczuł, jak uderza go jakiś wielki ciężar. W prawym boku wzmogło się uczucie gorąca i długo leciał w kierunku podłogi, która wyszła mu na spotkanie. Znowu wszystko zawirowało, a kiedy się uspokoiło, to, co przedtem było podłogą, stało się ścianą, z której Gama, jak przyklejony do niej, cudem się nie ześlizgiwał.

Głuche strzały, odgłosy zgłuszonych wykładziną kroków, drżenie pokładu pod głową - jego odbiór świata ograniczał się teraz do wrażeń słuchowych. Wreszcie ustał krzyk pierwszego napastnika i dała się słyszeć wymiana jakiś piskliwych, urywanych słów. Jeden głos dochodził gdzieś z dołu, drugi z tyłu. Gama zobaczył but blisko swojej twarzy, duży, czarny but bez sznurowadeł. Patrzył na niego, nie mrugając powiekami.

Ktoś chwycił go za policzek dłonią o krótkich, grubych, ciepłych palcach i obrócił jego głowę twarzą do góry. Znowu ujrzał to, co kiedyś było sufitem. Jakiś czarny niewyraźny cień uklęknął przy nim. Cień ten miał oczy i usta.

Z ust cienia dobieły się głębokie, gardłowe dźwięki. Gama nie mógł zamknąć oczu,

nieruchomym spojrzeniem wpatrywał się w sufit. Dłoń cofnęła się z jego policzka i pokład znów się przekręcił tak, że widział tylko kawałek podłogi i ściany. I to, co widział, po chwili zaczęło blednąć.

Poczuł, jak język wypada mu z ust i dotyka szorstkiej powierzchni podłogi. Po chwili poczuł na nim metaliczny smak własnej krwi. Wciąż nie mogąc nawet zamrużyć powiekami, leżał tam, gdzie padł. Robiło mu się coraz zimniej, aż w końcu poczuł się, jakby leżał w kadzi pełnej lodowatej wody.

Ciemność zawężyła jego pole widzenia, tworząc coś w rodzaju tunelu, - na końcu którego widniały tracące kolor, malejące fragmenty ściany i podłogi. Wreszcie zostały z nich dwa punkty, które stopiły się w jeden i zostały i wchłonięte przez ciemność.

I nie było już żadnego tunelu, była tylko ciemność, wszechobecna ciemność. A on pogodził się z tym.

Chu, idąc korytarzem, rozglądał się, szukając jasnych plam twarzy, metalicznego odbłasku luf karabinowych, pomarańczowych japońskich ubiorów. W drugich drzwiach po lewej znalazł to wszystko naraz - nisko pochyloną lufę, bladą twarz z czarnymi oczami, patrzącymi na niego z panicznym strachem, i pomarańczowy, wyraziście podkreślający sylwetkę ubiór. Chu wykazał większy refleks. Na ćwiczeniach często miewał takie sytuacje. Cztery pociski zamieniły tę bladą twarz w czerwonoszarą miazgę. Nagły ruch po prawej. Następna pomarańczowa sylwetka, następna lufa karabinu, następna twarz z szeroko otwartymi oczami. Trzy pociski wystrzelone w twarz mężczyzny i karabin wysunął się z jego bezwładnych dłoni. Chu odwrócił się i zobaczył, jak jego ludzie powoli wychodzą z wjazdu. Lo Sun kopnięciem otworzył pierwsze z brzegu drzwi po prawej. Chu poszedł dalej, czujny, z bronią gotową do strzału. Sprawdzał wszystkie drzwi.

Po obu stronach korytarza. Po lewej puste kajuty. Po prawej - pokoje wypoczynkowe albo jadalnie.

Na końcu korytarza były wąskie schodki, prowadzące na wyższy i niższy poziom, a obok nich drzwi. Chu otworzył je kopnięciem. Znalazł się w łazience z trzema kabinami i trzema umywalkami. Chu podbiegł do kabin i zajrzał do każdej z nich - wszystkie były puste.

Zwrócił uwagę na drzwi znajdujące się na ścianie między umywalkami, jednak była za nimi tylko izolowana pianką burta okrętu. Pozostałe drzwi prowadziły do różnych pomieszczeń magazynowych. Sprawdziwszy wszystkie, Chu wrócił na wyłożony miękką wykładziną korytarz.

- Li, na dolny poziom. Weź Yonga i Zhanga i zabezpieczcie pomieszczenie głównego komputera. Xhiu, zajmij radiostację. Lo do kajuty kapitana. Chen, sprawdź kajutę pierwszego oficera. Ja pójdę naprzód i sprawdzę mostek. Ludzie z górnego poziomu po zabezpieczeniu terenu dołączają do mnie. Meldować się przez radio co minutę. Ruszajcie!

Chu, uchwyciwszy się chromowanych poręczy, wbiegł po schodkach dużymi susami na czele plutonu.

Po drodze wymienił magazynek, mimo że w poprzednim zostało mu jeszcze kilka naboji. Wolał tam wejść z pełnym magazynkiem. Wykładany boazerią korytarz prowadził do luksusowych kajut kapitana i pierwszego oficera. Biegiem minął pomieszczenie radiowe i komputerowe i zatrzymał się na końcu korytarza, przy zasłonie z grubego plastyku. Znał rozkład pomieszczeń na pamięć, bo dokładnie przestudiował dane dostarczone przez Mai Sheng.

Żeby porwać okręt, trzeba przejąć kontrolę nad mostkiem. Na mostku kule mogły uszkodzić urządzenia, bez których okręt okazałby się bezwartościowym złomem. Jednak nie udało się uniknąć strzelania. Trzeba wybić obsadę mostka, zanim zdążą sięgnąć po broń.

Dzisiaj wielokrotnie stawiał czoło śmierci, ale tego spotkania obawiał się najbardziej. Szkoda byłoby stracić okręt, który miał już prawie w rękach. Gdyby zginął, jego śmierć byłaby końcem misji, wszelkich marzeń o zdobyciu panowania na Morzu Wschodniochińskim. Jedna kula i Czerwone Chiny nigdy nie staną się na powrót Chińską Republiką Ludową. Jego dale-

kosiężne plany spełzną na niczym. Rosnący pesymizm wywołał w nim gniew. Chu wpadł na mostek z okrzykiem mrozącym krew w żyłach.

Kiedy kapitan Gama opuszczał mostek, przekazał kontrolę nad okrętem porucznikowi Teshio Jintsu.

Jintsu drżącymi rękami zapiął pasy fotela dowódcy, który zachował jeszcze ciepło ciała Gamy. Zdenerwowany, ustawił na monitorze obraz wideo ze środkowego poziomu i widział, jak komandosi wychodzą z wjazdu i zabijają

wszystkich czterech starszych oficerów. Słyszał straszny wrzask pierwszego f, komandosów, przypominające suchy kaszel odgłosy strzałów, miękkie odgłosy padających na pokład ciał, widział, jak głowy dwóch oficerów pękają niby kopnięte ciężkim butem arbuzy, bluzgając na pokład mózgiem i krwią. Gdy komandosi dotarli do schodków łączących wszystkie trzy poziomy, Jintsu przełączył na monitor obraz z korytarza na górnym poziomie.

Dowódca komandosów biegł korytarzem w stronę mostka - w jego stronę. Jintsu widział, że zostało mu tylko parę sekund życia. Jęk wyrwał mu się z gardła. Po policzkach popłynęły łzy. Wstyd mu było, że w najcięższej chwili swojego życia tak się rozkleił, ale nie mógł nad sobą zapanować. Jakby z zewnątrz obserwował, jak odpina pasy i wstaje z fotela dowódcy.

Zrobiwszy to, pobiegł w najdalszy kąt pomieszczenia. Odliczanie ostatnich sekund jego życia dobiegało końca.

Teshio Jintsu rozejrzył się po raz ostatni, a potem zamknął oczy, mocno je zacisnął i skrył twarz w dłoniach.

Chu zaskoczony był ciasnotą mostka, szczelnie wypełnionego elektronicznymi urządzeniami, z przypominającym kokon kokpitem pośrodku, z kilkoma długimi konsolami. Po prawej stronie na platformie znajdowało się dziwne urządzenie. Pewnie był to peryskop.

Wojenny okrzyk zamarł na jego ustach, kiedy Chu zorientował się, że nikogo tu nie ma. Wszedł na platformę i upewnił się, że nikt się tam nie schował. Nikogo nie było także przy peryskopie ani przy konsolach.

Z AK-80 wciąż gotowym do strzału powoli zszedł z platformy. Właśnie obchodził dookoła stanowisko pierwszej konsoli, kiedy usłyszał, że ktoś pociągnął nosem. Skręcił na lewo. Pod tablicami rozdzielczymi dostrzegł wciśniętą w kąt postać mężczyzny - właściwie chłopca - w pomarańczowym kombinezonie. Wygięty w pałąk, z kolanami podciągniętymi pod brodę, płakał z zamkniętymi oczami, trzymając uniesione w górę trzęsące się ręce.

Chu powoli opuścił pistolet, aż wylot jego lufy znalazł się dokładnie między oczami chłopca. Już chciał nacisnąć spust, gdy nagle zmienił zdanie. Pochylił się, podniósł trzęsącego się chłopca, wyciągnął na korytarz i rzucił go na pokład. Znow wyciągnął swój AK-80 i przystawił ciągle dygocące-i mu chłopcu lufą do czoła.

Tutaj nie było sprzętu, który mógłby uszkodzić. Chu mógłby wpakować w młodego oficera cały magazynek, nie niszcząc przy tym okrętu, który był teraz jego okrętem. Reszta jego ludzi zebrała się w drugim końcu korytarza i Chu dał im znak, że wszystko jest w porządku. Ten chłopak był ostatnią przeszkodą na drodze do przejęcia statku.

Nie mógł go zostawić przy życiu. Zbyt wiele by ryzykował. Mogłoby to zaszkodzić ostatecznemu powodzeniu misji. Zresztą rozkazy dowództwa jednoznacznie zakazywały brania jeńców.

Chu już naciskał spust, ale zatrzymał palec, słysząc płacz młodego Japończyka.

Im dłużej Chu na niego patrzył, tym bardziej przypominał mu Lo Yuna, brata jego obecnego pierwszego oficera. Wyglądał tak, jak Lo Yun dziesięć lat temu, kiedy na pilotowanym przez Chu Jaku 36A pełnił funkcje strzelca pokładowego. Lo Yun miał w chwili śmierci dwadzieścia trzy lata, mniej więcej tyle samo, co ten tutaj.

Młody oficer wciąż płakał, a Chu wciąż trzymał lufę pistoletu przy jego czole.

Trzeba go zabić. Jedna kula i wszystko potoczy się dalej bez przeszkód. Zrobi to szybko i bezboleśnie.

Chu nienawidził siebie za to, co miał właśnie zrobić. Przyłożył tłumik pistoletu do prawego oka chłopca. Powoli nacisnął spust.

Pomimo tłumika wystrzał zabrzmiał głośno. Głowa jeńca eksplodowała, ochlapując mózgiem ścianę, zalewając podłogę krwią. Tam, gdzie przed chwilą była jego niewinna twarz, teraz znajdowała się bezkształtna, krwawa masa.

- Poruczniku Wong, proszę to posprzątać - polecił Chu i poszedł do swojej kajuty.

Kiedy już tam się znalazł, on, admirał Chu Hua-Feng, oficer dowodzący okrętem podwodnym „Arktyczny Sztorm”, pełniący funkcje admirała floty najnowocześniejszych w historii okrętów podwodnych, pochylał się i zwymiotował.

Pięć minut później, leżąc na podłodze kajuty, zaciskając palcami zamknięte oczy, mamrotał w kółko te same dwa słowa:

- Dobry Boże...dobry Boże.. .dobry Boże...

Japoński kapitan był najwyraźniej szczuplejszy i Chu musiał poluzować pasy w fotelu przy konsoli dowódcy. Fotel był wygodny, konsola dobrze zaprojektowana. Przez chwilę przyglądał się urządzeniom. Wszystkie były zaopatrzone w japońskie opisy, nawet urządzenie sterujące kamerą umieszczoną na szczycie statecznika, która przesyłała obraz fal przepływających nad okrętem.

Peryskop był opuszczony, musiano go wciągnąć, gdy byli już na pokładzie. Chu nie wiedział, jak się nim posługiwać, ale nie było to teraz najważniejsze. Jak sprawić, żeby okręt podporządkował się jego woli? Nie było tu zbyt wiele guzików, drążków sterowniczych ani przrządów. Większość funkcji spełniało parę stanowisk komputerowych. Wszystkie składały się z płaskich, nowoczesnych tablic kontrolnych i holograficznych ekranów. Tutaj nie wystarczy, jak w wypadku okrętu koreańskiego, przeczytać sfatygowany I podręcznik, nacisnąć parę guzików, dźwignią otworzyć zawory i po sprawdzeniu zanurzenia na głębokościomierzu zmienić pozycję, naciskając jeden I tych drążków.

Ten okręt był w pełni kontrolowany przez system komputerowy. Dobrze, że udało się go zdobyć bez wystrzelenia choćby jednego pocisku w pomieszczeniu głównego komputera, a także to, że jego ludzie i on sam wyszli z tego bez jednego draśnięcia. Jednak okręt wciąż był pod kontrolą systemu komputerowego, o którym w danych wywiadu zaledwie wspomniano. Operowanie nim mogło okazać się beznadziejnie skomplikowane. Okręt wciąż był na zanurzeniu masztowym, to znaczy na tyle płytko, że dziesięciometrowy maszt - peryskop czy antena radiowa - mógł wystawać pięć metrów nad powierzchnię wody. Co oznaczało, że przepływający nad nimi statek mógł ich poważnie uszkodzić, a może nawet zatopić. W dodatku okręt był ślepy i głuchy.

Chu wiedział, że musi zanurzyć okręt głębiej i odpłynąć nim na zachód, jak najdalej od reszty japońskiej floty. Pewnie Japończycy już wiedzieli, że I ich okręty podwodne znalazły się w obcych rękach. Musiał się śpieszyć. W pomieszczeniu kontrolnym systemu Chu zostawił swojego specjalistę od komputerów, porucznika Zhang Penga. Teraz Peng pewnie przeglądał pali mięć komputera w poszukiwaniu informacji na temat tego, jak kierować systemem. Mogły jednak minąć całe tygodnie, zanim dowie się, jak wydać najprostsze polecenie albo jak ominąć system i przejść na ręczne sterowanie.

Chu zanurzył dłoń w swoje krótkie włosy i ponuro patrzył w ekran przedstawiający obraz przesłany z kamery umieszczonej na szczycie statecznika. Już otwierał usta, żeby przywołać Zhanga, ale tylko spojrzął na zegarek. Zaledwie trzy minuty temu Zhang zameldował mu, że jeszcze nie opanował systemu.

- Ster jeden prawo, zmienić kurs na jeden osiem pięć. Rozkazy potwierdzone, panie kapitanie
- w słuchawce Chu odezwał się nienaturalny kobiecy głos Drugiego Kapitana. Chu polecił Zhangowi przestawić system na zrozumiały dla reszty załogi angielski.

Na pokładzie obok konsoli Chu znalazł bezprzewodowy komunikator, zamontowany na umieszczonej na głowie opasce, składający się z jednej słuchawki, mikrofonu i dziwnego,

umieszczonego tuż przed prawym okiem urządzenia, które zdawało się odczytywać to, na co w danym momencie patrzył.

Z ekranu w dole konsoli zniknął odczyt poziomu wypełnienia zbiorników i pojawiła się na nim komputerowa animacja ich okrętu, widzianego od dziobu. Obraz był zadziwiająco realistyczny, widać było nawet świetlne refleksy, rzucane na pokład przez przepływające w górze fale. Z tyłu kadłuba majaczył ogon w kształcie litery X, widać było pomalowane na czerwono końce jego czterech płetw. Obraz nagle się zmienił i teraz widać było z góry, jak okręt powoli skręca w prawo, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, odchylając się od oznaczającej jego poprzednie położenie linii o pięć stopni, do linii oznaczonej cyfrą 185. Kiedy głos Drugiego Kapitana odezwał się w słuchawce Chu, na ekranie cyfra 185 na sekundę pojaśniała.

- Panie kapitanie, okręt na kursie jeden osiem pięć. Wszystkie stery na zero.

Chu przez chwilę zastanawiał się, jak powinna brzmieć właściwa odpowiedź, aż wreszcie wzruszył ramionami i powiedział:

- Bardzo dobrze.

- Zdaje się, że to działa - zameldował Zhang.

Chu uśmiechnął się sam do siebie. Jego plan udał się. Teraz trzeba głębiej zanurzyć okręt, wziąć kurs na Morze Wschodniochińskie, jak najdalej od uczęszczanych szlaków morskich. Wkrótce w poszukiwaniu zaginionych okrętów podwodnych pojawi się tu cała flota japońska. Za jakiś czas skontaktuje się przez satelitę z Admiralicją Ludowej Armii Wyzwolenia i przekaze dobre wieści. Wtedy oni wyślą samoloty, które zrzucą do morza zaminowane wraki, wypełnione olejem silnikowym, szczątkami urządzeń, rurami, kablami itp. A wszystko po to, żeby zyskać na czasie. Niech Japończycy myślą, że ich okręty potonęły.

Teraz najważniejszą rzeczą było nauczyć się, jak działa ten okręt, jak nim sterować, jak walczyć, a przede wszystkim trzeba zorientować się, jak dokładnie działa Drugi Kapitan. Chu był śmiertelnie zmęczony, a miał przed sobą jeszcze tyle do zrobienia. Trzeba jednak przyznać, że dokonali rzeczy niezwyklej.

Chu był dumny jak młody ojciec, patrzący na stawiającego pierwsze kroki swojego syna. Jego plan został zrealizowany.

Część druga

Ostrzeżenie przed sztormem

5

Niedziela 27 października

**Budynek DynaCorp New Construction (NEWCON)
Stocznia Morska
Pearl Harbor, Hawaje**

Wceadmirał Michael Pacino uniósł głowę i spojrzął na wznoszący się lad nim ogon okrętu. Licząc od dna suchego doku, szczyt steru sięgał wysokości siódmego piętra. Widziany pod tym kątem okręt wyglądał potężnie i zarazem wdzięcznie. Gładkie linie kadłuba i ostre krawędzie ogona sprawiały wrażenie, że wrywa się ku morzu, gotów zerwać trzymające go w doku okowy. Był piękny, a Pacino w dużej mierze sam go zaprojektował. Dzisiaj jednak ta myśl nie cieszyła go już tak, jak dawniej.

Pacino miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ubrany w kombinezon koloru khaki i ciężkie, robocze buty wyglądał wręcz na chudego. Na jego białym kasku, między oficerskim orłem i skrzyżowanymi kotwicami, widniały trzy oznaczające rangę gwiazdki a pod nimi napisane było: GŁÓWNODOWODZĄCY ZJEDNOCZONYCH SIŁ PODWODNYCH. Na kołnierzyku również miał trzy srebrne gwiazdki, a nad lewą kieszenią bluzy złoty podwodniacki znaczek, przedstawiający skaczącego delfina. Na serdecznym palcu lewej dłoni miał wykonany z białego złota pierścień Akademii Marynarki Annapolis, zaś na rękę pokryty wieloma rysami, wysłużony rolex. Skóra na jego twarzy i ramionach wydawała się opalona, ale w rzeczywistości ściemniała od ostrych mrozów w czasie nieudanej misji arktycznej. Gdyby przytył z pięć, dziesięć kilo, można by go uznać za przystojnego. Teraz jego kości

policzkowe zdawały się przebijać skórę, duże, zielone oczy wyglądały jak wytrzeszczone ze zdziwienia czy przestachu, usta także były zbyt duże, a nos zbyt długi. Siwe włosy kontrastowały z czarnymi brwiami, ciemną karnacją i młodzieńczą postawą. Efekt tego kontrastu wzmocniały jeszcze głębokie zmarszczki wokół oczu, jakby spędził na morzu całe życie. Kiedy ludzie spotykali go po raz pierwszy, patrzyli na niego zdezorientowani, próbując odgadnąć, ile właściwie ma lat. Miał figurę, twarz i głos pełnego wigoru trzydziestolatka, a włosy i cerę sześćdziesięcioletniego rybaka.

Pacino miał czterdzieści pięć lat, a czuł się tak, jakby miał dziewięćdziesiąt pięć. Równy rok temu odebrał ten telefon. Eileen, jego młoda żona jechała z Florydy do Wirginia Beach.

Jechała, żeby się z nim spotkać. Krótco po pomocy, na biegnącym przez pustkowia Karoliny Pomocnej odcinku międzystanowej autostrady 95, przy prędkości sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, wpadł na nią pijany kierowca. Eileen zawieszono helikopterem na ostry dyżur w Rocky Mount, ale kiedy helikopter wylądował na dachu szpitala, już nie żyła.

Dziesięć minut potem na biurku Pacina w kwaterze głównej Zjednoczonych Sił Podwodnych, kiedy właśnie wysyłał e-mail, że bierze urlop, który zamierzał spędzić z Eileen, zadzwieczał dzwonek wideofonu. Od razu go odebrał, sądząc, że to ona dzwoni. Zamiast niej pojawiła się skonsternowana twarz szefa policji Pomocnej Karoliny. Pacino od razu wiedział, co się stało. Od tej pory Pacino żył i pracował jakby we śnie. Kiedy zadzwonił wideofon, już od trzech lat pełnił funkcję głównodowodzącego Zjednoczonych Sił Podwodnych, a od blokady Japonii minął ledwo rok. Po jej pogrzebie, który odbył się w Boca Raton, Pacino zaczął spędzać całe dnie i noce w pracy, w biurze, na spotkaniach, na okrętach podwodnych, w centrach treningowych, wizytując okręty, wygłaszając odczyty na temat nowego programu budowy okrętu podwodnego NPOA, walcząc o niego w Kongresie. Budził się o trzeciej rano i biegał po plaży - dziesięć, piętnaście, dwadzieścia kilometrów - biegł, aż ból rozsadał mu klatkę piersiową i palił mięśnie nóg tak, że musiał stanąć. Potem wracał do domu na plażę w Sandbridge i przez dwie godziny podnosił ciężary, po czym przez godzinę jeszcze trenował na sztucznej bieżni. Jego adiutant nieraz głośno zastanawiał się przy nim, czy Pacino chce w ten sposób popełnić samobójstwo. Ale on machał tylko ręką.

Poznał Eileen, kiedy leżał w szpitalu okrętowym, oślepiiony po zatonięciu USS „Reagan”. Była pielęgniarką na pokładzie „Mont Whitney” i spędzała wiele czasu, rozmawiając z nim, usiłując przywołać go do życia. Od czasu rozwodu z Janice, kiedy odebrano mu syna, nie mógł dojść do siebie. Był pewien, że nie zwiąże się już z żadną kobietą. Jednak Eileen była tak inteligentna, wesoła, ciepła, że od razu poczuł się przy niej, jakby znali się od lat. Ona również czuła to samo.

Wzięli ślub w kaplicy Akademii Morskiej USA, z której wyszli pod szpalerem skrzyżowanych szpad, trzymany przez dwunastu najbliższych przyjaciół. Cóż mógł chcieć jeszcze od życia? Miał ukochaną kobietę i dowodził najnowocześniejszą flotą podwodną świata.

Teraz, kiedy ona odeszła, nie mógł sobie poradzić z życiem. Myślał o niej, kiedy zasypiał, jeśli w ogóle mógł spać, i budził się z jej imieniem na ustach. Czuł się jak chory na postępujące zapalenie płuc albo na groźną odmianę grypy, z której nie mógł się wyleczyć. Jedynym wybawieniem od myślenia o niej była praca po dwanaście, czter-1 naście, szesnaście godzin na dobę. Dzisiaj była niedziela. Pacino spędził cały dzień w suchym doku, pracując i próbując nie myśleć o niej.

Odwrócił wzrok od okrętu i rozejrzał się po ścianach doku. Zwykle suchy dok miał kształt otwartego z przodu, z tyłu i od góry prostopadłościanu, ale teraz stocznia zainstalowała w tych miejscach ściany z matowego szkła. Osłona ta chroniła dok od kaprysów pogody, ale zainstalowana została z innego powodu - ze względów bezpieczeństwa. Pacino nie chciał, żeby ktokolwiek fotografował okręt, ani prasa, ani nie oznakowane małe samoloty, p a rym bardziej satelity szpiegowskie. To przecież był PEOA, czyli podwodny eksperymentalny okręt atomowy, pierwszy okręt klasy NPOA, gdzie litera N oznaczała skrót od słowa „nowy”. Marynarka Wojenna USA nie wykazała w tym przypadku zbyt inwencji nazewniczej,

najważniejsze jednak, że jej plany, to znaczy przede wszystkim finanse, przewidywały wejście w następny wiek z kilkudziesięcioma nowymi okrętami podwodnymi tej klasy. | Skróty PEOA i NPOA nie zostały zastąpione, jak było to w zwyczaju, ogólną nazwą klasy. Najczęściej nazwa pierwszego okrętu danej klasy, stawała się automatycznie nazwą klasy, tak, jak w przypadku „Seawolfa”. Ten okręt określano jednak ciągle mianem PEOA, przy czym upierał się Pacino, wbrew oporowi współpracowników i argumentom, że okręt, by uzyskać przychylność Kongresu, musi otrzymać poruszające wyobraźnię imię. Pacino upierał się przy swoim, twierdząc, że ten okręt jest zbyt ważny, by w pośpiechu nadać mu niewłaściwe imię. Imiona mają bardzo istotne znaczenie - wystarczy przypomnieć sobie „Titanica” albo „Hindenburga”. Tak jak dziecko „pozostaje bezimienne, dopóki oboje rodzice go nie zobaczą, tak samo nowo budowany okręt powinien chwilowo nosić imię zastępcze. Nawet bez imienia, PEOA przedstawiał widok zapierający dech w piersiach. Od gładkiego, przypominającego pocisk dziobu, po lśniący, stożkowaty „żagiel” wieżyczki obserwacyjnej na rufie i dalej, do zakończonej głowicą w kształcie kropli płetwy ogona, wznoszącej się nad pokładem jak dziesięciometrowy żagiel. W miarę postępowania prac nad okrętem Pacino zaczął i odczuwać pokusę wyprowadzenia go samemu w morze, mimo że czasy, w których dowodził okrętami, dawno już minęły. Teraz był dowódcą floty.

Spojrzał na zegarek i nie zdziwił się, że zbliża się już ósma wieczór. Był ; tu od wczesnego rana i biorąc pod uwagę masę czekających go następnego dnia spotkań, nie było sensu, żeby dłużej tu zostawał. A może jednak lepsze to niż całonocne, bezsenne patrzenie w sufit. Powoli wspinał się metalowymi schodkami na szczyt bocznej ściany doku, by spojrzeć na okręt z góry. Z tej perspektywy jego kadłub wyglądał niezwykle zgrabnie. Okręt, nawet leżąc tutaj, w suchym doku, zdawał się płynąć przez głębiny jak smukły pocisk.

Był jeszcze inny powód, dla którego właśnie tutaj, w Pearl Harbor, doglądał budowy PEOA, zamiast zajmować się tym na Wschodnim Wybrzeżu. Zbyt dużo wspomnień o Eileen łączyło się i Norfolk i Groton w Connecticut, gdzie powstał kadłub okrętu. Nalegał, żeby budowę ukończono na Hawajach, i po długich zmaganiach z biurokratycznymi przeszkodami zwyciężył - kadłub został umieszczony w pływającym suchym doku i przyholowany tutaj. Sam kadłub i wszystkie mechaniczne systemy były już gotowe, pozostała do wykończenia elektronika, system kontroli bojowej i uzbrojenie. Kiedy te trzy ostatnie rzeczy zostaną zrobione, okręt będzie zwodowany i ostateczne wykończenie go zajmie jeszcze około roku. Tak więc i on ma jeszcze cały rok na ułożenie swojego życia przed powrotem na Wschód. Najpierw musi jednak dokończyć budowę tego okrętu. Powiedział sobie, że kiedy się z tym upora, kiedy okręt, już sprawdzony, wypłynie w morze, wtedy złoży dymisję i przekaze dowództwo Zjednoczonych Sił Podwodnych kontradmirałowi Davidowi Kane'owi, byłemu kapitanowi „Barakudy”.

Spoglądając z góry na PEOA, zastanawiał się, czy rzeczywiście zrzeknie się dowództwa floty. Kane bez wątpliwości poradziłby sobie na tym stanowisku. Być może należy odejść z marynarki i zamknąć ten rozdział swego życia. Kiedy jednak patrzył na ten okręt czuł, że zostawiłby coś niedokończonego. Niewiele go tu trzymało, ale, nawet jeśli by nie miało to sensu, zostanie i będzie pracował. Może w ten sposób odzyska spokój, którego tak szukał. Nie myślał o powrocie do swojej kwatery i położeniu się do łóżka. A tym bardziej o jutrzejszym poranku, o rytualnym prysznicu i o białym tropikalnym mundurze, który miał potem założyć. W swoim gabinecie siadł za dębowym biurkiem, próbując skupić się na kolejnym bezsensownym raporcie, opisującym problemy z zainstalowaniem na pokładzie PEOA systemu kontroli i dowodzenia nazwanego Cyklopem.

Po całonocnej pracy odsunął fotel od biurka i spojrzął za okno. Zasłony nie były całkiem zasunięte, ale szyby tak polaryzowały światło słoneczne, by nie przeszkadzało ono w pracy na komputerze. Minęła już szósta rano i nad Pacyfikiem wschodziło słońce. Zaczynał się kolejny, gorączkowy poniedziałek. O Siódmej trzydzieści odprawa personelu, o ósmej pięćdziesiąt wideokonferencja z bazą w Norfolk, o dziewiątej trzydzieści wideokonferencja z Pentagonem, o dziesiątej czterdzieści pięć odprawa w stoczni, dwa spotkania umówione na

południe i jeszcze pięć po popołudniu. Kiedy wszystko ucichnie, Pacino zamierzał zwolnić adiutanta i jeszcze popracować z sześć godzin.

Pierwsze spotkania minęły szybko. Niewiele się wydarzyło i niewiele było do ustalenia.

Wideokonferencja z Pentagonem potwierdziła obojętność tamtejszych decydentów.

Głównodowodzący Operacji Morskich, Naczelny Dowódca Marynarki Wojennej USA admirał Dick O'Shaughnessy patrzył bez słowa w ekran, kiedy Pacino zdawał mu raport o postępach prac. Podczas wystąpienia następnego admirała parę razy coś mruknął. Potem zabrał głos następny admirał. Wszystkie wystąpienia były drętwe i nudne. Wreszcie O'Shaughnessy, mówiąc jakby od niechcenia niskim barytonem, zamknął spotkanie, życząc im wszystkiego najlepszego.

W stoczni Pacino wysiadł przed budynkiem NEWCON-u, należącym do DynaCorp New Construction. Wszedł do środka po schodach i skierował się do położonej na końcu długiego holu sali konferencyjnej, w której już od jakiegoś czasu trwało spotkanie. Inżynierowie zajmujący się mechaniką i kadłubem właśnie wstali, żeby wyjść, kiedy pojawił się Pacino.

Uklonili mu się z szacunkiem. Na końcu stołu leżała tradycyjna „piłka kryzysowa” tej Stoczni. Była to stara, skórzana piłka nożna z wypisanym na białych polach f r fowem „kryzys”, którą podawały sobie poszczególne zespoły w zależności t Od tego, jakim problemem zajmowano się w danym momencie. Przed chwilą właśnie inżynierowie zajmujący się uzbrojeniem podali ją elektronikom, I odpowiedzialnym za system kontroli bojowej Cyklop, który był najsłabszym ogniwem w całej konstrukcji okrętu.

Kiedy weszła Colleen O'Shaughnessy, wicedyrektor DynaCorp od spraw systemów komputerowych, skrzywiła się na widok piłki i bezceremonialnie wrzuciła ją do kosza na śmieci. O'Shaughnessy była młoda jak na piastowane stanowisko, miała najwyżej trzydzieści lat, ale w wypadku komputerowców taki wiek stanowił regułę. Równie niezwykły był jej wygląd, szokujący w tym miejscu. Kiedy przechodziła milkły rozmowy, przerywano pracę, a ona szła dalej, zdając się tego nie dostrzegać. Miała czarne, lśniące włosy, spływające na ramiona, mocno zarysowane brwi, wyraziste kości policzkowe i duże, ciemne oczy. Mimo średniego wzrostu miała bardzo długie, silne nogi. Dzisiaj ubrana była w brązową spódniczkę i beżową bluzkę z prostym, złotym łańcuszkiem na szyi.

Podeszła do Pacina, pokazując w czarującym uśmiechu swoje zęby gwiazdy filmowej, mocno uścisnęła jego dłoń i zapytała, jak postępuje praca nad PEOA. Miała naturalny sposób bycia, była bardzo bezpośrednia i jednocześnie pewna siebie. Pacino szorstko zapytał, jak mają się sprawy z Cyklopem. Natychmiast zmieniła ton i rzeczowo zaczęła przedstawiać kolejne problemy i sposoby ich rozwiązania. Mówiła zwięźle, co chwila sprawdzając pytającym spojrzeniem, czy wszystko zrozumiał.

Pacino zorientował się, że ma do czynienia z właściwą osobą na właściwym miejscu.

Pracował z nią od paru miesięcy. Kiedy na miejsce Tony'ego Wadswortha został mianowany nowy człowiek Operacji Morskiej, admirał Richard O'Shaughnessy, Pacino połączył się z nim za pomocą wideofonu. Rysy twarzy starszego, przystojnego Irlandczyka wydały mu się dziwnie znajome i dopiero po chwili Pacino zorientował się, że zbieżność nazwisk admirała i wicedyrektor DynaCorp nie była przypadkowa. Pacino spodziewał się, że Colleen wspomni o swoim ojcu, który był przecież teraz jego szefem, ale nie zrobiła tego ani razu. W końcu, po kolejnej odprawie w stoczni, zapytał:

- Jesteś córką Dicka? Uśmiechnęła się i powiedziała, że tak, a potem zapytała o jakąś związaną ze stoczną sprawę, jakby to, czyją jest córką, nie miało żadnego znaczenia. Obawiał się, że to zdarzenie zepsuje stosunki między nimi, ale Colleen O'Shaughnessy zachowywała się tak samo jak dawniej.

Tego ranka, pojawiwszy się w sali konferencyjnej, uśmiechnęła się nieco do niego i powiedziała:

- Dzień dobry, panie admirale.

Skinęła głową reszcie zebranych, wyrzuciła do śmieci „piłkę kryzysową”, usiadła przy stole, rozłożyła przed sobą papiery i notebook. Popatrzyła na ekran i powiedziała, zwracając się do

Pacina..

- Nośniki pamięci, jak również sama pamięć i oprogramowanie Cyklopa nie przeszły testu C-1, a to znaczy, że nie mogą zostać zainstalowane na pokładzie okrętu. Teraz musimy podjąć trudną decyzję.

Bez długiego wstępu przeszła do rzeczy.

Wieści były tak złe, że Pacino aż zacisnął szczękę.

- Nie sądziłem, że tak to wygląda - powiedział w końcu. - Opóźnienia planu - zgoda.

Przekroczenie kosztów - jasne. Nie działające niektóre funkcje -trudno. Pewne ograniczenie skuteczności w pierwszym roku działania - niech i tak będzie. Ale żeby zawalić C-1? Co z tymi cholernymi nośnikami pamięci?

- Nawet mnie to zaskoczyło, panie admirale - powiedziała niskim głosem, patrząc mu głęboko w oczy. - Problemy z nośnikami to podstawowa sprawa, ale naprawienie ich nie sprawi kłopotu. Bardziej martwimy się oprogramowaniem.

- Powiedziała pani, że trzeba podjąć decyzję.

- Właśnie. Trzeba zdecydować, czy kasujemy wszystko i zaczynamy od nowa, czy staramy się poprawić sekwencje i kody, które są już wpisane. Tę decyzję muszę podjąć ja sama. Kiedy zawaliliśmy C-1, zostały także podjęte inne decyzje na wyższym szczeblu.

- Tak?

- Nie jestem tutaj już tylko czasowo. Zostałam przydzielona do pracy nad projektem PEOA do momentu, kiedy oprogramowanie przejdzie test C-9. Sama będę wprowadzać kody.

Pacino spojrział na nią zdziwiony. Do tej pory uważał ją za businesswoman, która tylko kieruje pracą innych. Nie wyobrażał jej sobie naprawiającej usterki sprzętu ani, tym bardziej, samodzielnie kodującej system.

- Pani sama będzie kodować?

- Właśnie - powtórzyła swoje ulubione wyrażenie. - Byłam właścicielką firmy, która rozpoczęła pracę nad Cyklopem. System nosi tę nazwę, ponieważ tak nazywała się moja firma, zanim wykupiło nas DynaCorp. Po wykupieniu zostaliśmy ich programistami. I teraz oni, to znaczy my, wracamy do początków.

- Ile czasu trzeba, żeby system ruszył pełną parą?

- Dobrze powiedziane - odrzekła wstając i porządkując swoje papiery - ponieważ rzeczywiście przypomina to niesprawny pociąg, panie admirale. Pan jako drugi dowie się, kiedy ruszy on z miejsca.

- A kto będzie wiedział o tym pierwszy? Uśmiechnęła się do niego.

- Ja. - Założyła torbę na ramię. - A tak przy okazji: nie będę już przychodziła na żadne odprawy w stoczni, ani na odprawy u pana i nie będę brała udziału w wideokonferencjach DynaCorp. Zajmę się wyłącznie wprowadzaniem kodu.

- Gdzie będzie można panią znaleźć?

- Na pokładzie - odpowiedziała, wyglądając przez okno. - Dopóki Cyklop nie zacznie działać, PEOA będzie moim domem.

Kiedy wyszła, kartki na tablicy przy drzwiach załopotwały. Pacino przez chwilę bębnił palcami po stole. Potem wstał, podszedł do kosza na śmieci, wyjął z niego „piłkę kryzysową” i położył na parapecie. Właśnie zbierał swoje rzeczy, kiedy wszedł oficer kancelaryjny.

- Panie admirale, jest pilne wideofoniczne połączenie na pańskim laptopie. Kapitan White, sir.

- Odbiorę tutaj - odpowiedział Pacino. - Proszę zamknąć drzwi.

Przełączył laptopa na odbiór przekazu wideo, zastanawiając się, co też Paullly White miał mu do powiedzenia na tyle ważnego, że nie mógł poczekać do ustalonego na popołudnie połączenia.

Wschodnie Wybrzeże USA

Służbowy lincoln był czterodrzwiowym, sportowym samochodem, pomalowanym błyszczącym, czarnym lakierem. Jego drzwi i klapę bagażnika zdobił wynurzony okręt

podwodny, płynący pod piracką banderą, stanowiący emblemat Dowództwa Zjednoczonych Sił Podwodnych.

Lincoln pędził na północ z prędkością sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę po dość zatłoczonej w to poniedziałkowe popołudnie autostradzie 1-95. Kierował się w stronę położonego na przedmieściach Waszyngtonu szpitala marynarki wojennej w Bethesda. W tej chwili znajdował się w okolicy Fredericksburga w Wirginii. Poprzedzała go jadąca na sygnale, z włączonymi światłami, eskorta samochodów policji stanu Wirginia. Samochód miał przyciemnione szyby, dzięki czemu zewnętrzne światło nie przeszkadzało w korzystaniu z ekranu wideo, wmontowanego w zagłówek przedniego prawego fotela.

Na tylnej kanapie lincolna siedział kapitan Paul „Pully” White, ubrany w czarny mundur z trzema rzędami baretek i złotym, podwodniackim delfinem na lewej piersi. Złoty sznur, zwisający z jego lewego ramienia, świadczył o tym, że pełni funkcję adiutanta dowódcy floty. Pograżony w ponurym zamyśleniu, patrzył w ekran, czekając, aż pojawi się na nim Pacino. Pully White właśnie skończył czterdziesty ósmy rok życia, a każde kolejne urodziny były boleśniejsze od poprzednich. Chociaż palił jednego papierosa za drugim, ostatnio przybyło mu z pięć kilo. White został adiutantem Pacina w czasie blokady Japonii z braku innych kandydatów, kiedy okazał się jedynym podwodniackim oficerem na pokładzie lotniskowca „Reagan”. Kiedy w okręt trafiły japońskie torpedy, obaj byli na mostku. „Reagan” prawie się przełamał i zaczął przechylać się tak gwałtownie, jakby zaraz miał się wywrócić do góry dnem. Kolejna torpeda wybuchła pod mostkiem, rzucając Pacinem o ścianę, po której bezwładnie się osunął, zostawiwszy na niej smugę krwi. White rzucił się do admirała i zniósł go cztery piętra w dół, na główny pokład. Dzięki krążącej we krwi adrenalinie wazący osiemdziesiąt pięć kilogramów Pacino nie wydawał mu się zbyt ciężki. Wydostał się na główny pokład w tym momencie, kiedy lotniskowiec jeszcze bardziej przechylił się na lewą burtę. White miał wrażenie, że za chwilę ześlizgnie się z pokładu i spadnie dwadzieścia metrów w dół, do morza. Nagle usłyszał z tyłu warkot helikoptera. Na pochylonym pokładzie lądował helikopter sea king. Czołgając się, White dotarł do jego otwartych drzwi, wpełznął Pacina i sam wszedł do środka. Ledwie śmigłowiec uniósł się, pokład okrętu przechylił się do pionu. Wielkie, blaszane pudło mostku kapitańskiego z głośnym pluskiem uderzyło o powierzchnię morza i po chwili zniknęło. Przez jakiś czas widać tylko było pęknięty na pół kadłub „Reagana”.

Potem rozpętała się wojna. Pacino dowodził flotą, która w końcu tę wojnę wygrała, i jako zwycięzcy obaj wrócili do Stanów.

Rok później Pacino poślubił Eileen i wszystko zaczęło się układać tak dobrze, jak nigdy dotąd, również w Dowództwie Zjednoczonych Sił Podwodnych. Pacino wciąż starał się o fundusze na budowę nowego okrętu podwodnego NPOA, aż w końcu nie ochrzczony prototyp, PEOA, zyskał aprobatę Kongresu. Jego budowę rozpoczęto w stoczni DynaCorp w Groton, w stanie Connecticut, i Pacino chodził w tym czasie dumny jak paw.

Można by pomyśleć, że nadmierną dumą sprowokował bogów, którzy przemienili jego powodzenie w tragedię. White był tuż za ścianą, kiedy we wtorkowy wieczór w gabinecie Pacina zadzwonił ten straszny telefon. Od tego czasu Pacino zmienił się nie do poznania. White poszedł z Pacinem do zakładu pogrzebowego. Na godzinę przed nabożeństwem żałobnym Pacino zaczął nalegać, żeby pokazano mu ciało Eileen. Przedsiębiorca pogrzebowy uniósł wieko trumny. Ciało było tak zmasakrowane, że można ją było rozpoznać tylko po włosach. Pacino objął ją czule i pocałował po raz ostatni. White wraz z synem Pacina, Tonym, prowadzili go między rzędami grobowców. Gdyby nie podtrzymywali go z obu stron, runąłby na ziemię.

W ciągu następnych miesięcy Pacino coraz bardziej pogrążał się w bólu. Z dnia na dzień czuł się coraz gorzej, aż wreszcie White zaproponował mu zmianę miejsca pobytu. Pacino najpierw nie chciał się na to zgodzić, ale w końcu, obsadziwszy na stanowisku dowódcy w Norfolk admirała Kane'a, przewiózł nie wykończony kadłub PEOA do stoczni w Pearl Harbor, żeby tam dokończyć prace nad nim. White towarzyszył mu, pełniąc od tej pory

funkcję łącznika między Norfolk a Pearl Harbor. Pacino wciąż odmawiał powrotu do Norfolk i ponownego wzięcia dowództwa w swoje ręce.

I wtedy, tego dnia rano, zadzwonił telefon. Dzwoniono z Fort Meade, z siedziby Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, jednej z pozostałych po reformie organizacji wywiadowczych. Siedem lat temu dokonano reorganizacji wywiadu, w ramach której CIA i Agencja Kontrwywiadu połączyły się w Połączoną Agencję Wywiadowczą. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego zajmowała się do tej pory wszystkimi formami podsłuchu i niejawnej JT kontroli przepływu informacji, od odczytywania sygnałów radiowych przez podsłuch rozmów telefonicznych do kontroli Internetu. Posługiwali się satelitami szpiegowskimi, atomowymi okrętami podwodnymi, które wpływały w tym celu do wrogich portów, a nawet podobno używali sprzętu wielkich, światowych firm telekomunikacyjnych. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego również miała ulec reorganizacji, stać się częścią Połączonej Agencji Wywiadowczej, ale jej ówczesny dyrektor Mason Daniels, mając dobre stosunki w Kapitolu, zdołał jakoś wywalczyć dla niej niezależność i Agencja Bezpieczeństwa Narodowego przetrwała tę burzę, co prawda z ograniczonymi funduszami i trochę zubożonym sprzętem. Uważano nawet, że sprawuje ona swego rodzaju niezależną kontrolę nad Połączoną Agencją Wywiadowczą. Wkrótce potem Mason Daniels ustąpił ze stanowiska, przekazując je dotychczasowemu Głównodowodzącemu Operacji Morskich, Richardowi Donchezowi. Ten poranny telefon do Pacina tyczył właśnie Doncheza. Kiedy zadzwonił, White był w drodze do Pentagonu, gdzie po południu miał umówione spotkanie. Doncheza znaleziono leżącego w śpiączce na dywanie w jego własnym gabinecie. Natychmiast przewieziono go helikopterem do szpitala marynarki wojennej w Bethesda. White dowiedział się o tym jako pierwszy. Od razu zadzwonił do głównej siedziby policji stanowej, żeby dali mu eskortę na drogę I-95. Potem zadzwonił do stoczni marynarki wojennej w Pearl Harbor do admirała Pacino, który był najlepszym przyjacielem Richarda Doncheza.

- Złe wieści, panie admirałe - powiedział White do ekranu, na którym pojawiła się twarz Pacina.

- Czyżby Cyklop nie przeszedł testu C-1?

White zmarszczył brwi. Teraz dopiero dowiedział się o tych kłopotach, które mogły opóźnić cały program o rok albo i więcej.

- Nie, sir. Chodzi o to, że parę minut temu odebrałem telefon z Fortu Meade.

Pacino spojrzał pytająco.

- Chodzi o admirała Doncheza. Jest w śpiączce. Lekarze stwierdzili, że to zaawansowane stadium raka płuc.

- Ile dają mu czasu? - spytał Pacino przez zaciśnięte szczęki.

- Nie określili tego wyraźnie. Może parę dni, może parę godzin. Rozmawiałem z opiekującym się nim lekarzem. Powiedział, że jeśli członkowie rodziny i przyjaciele chcą się z nim zobaczyć, muszą przyjechać natychmiast. Może umrzeć w każdej chwili.

- Podstaw samochód do bazy lotniczej w Andrews. Będę tam za parę godzin.

- Przecież SS-12 jeszcze nie wrócił - powiedział White, mając na myśli dwunastoosobowy służbowy odrzutowiec, który jakiś czas temu wyleciał z Pearl Harbor i żeby tam wrócić, potrzebował międzylądowania w Norfolk.

- Polecę myśliwcem f-22. Dowództwo lotnictwa jest mi winne przysługę.

- Będę czekał w Andrews, sir.

- Nie, Paully, zostań przy Dicku Donchezie. Powiedz mu, że już tam jadę. Powiedz mu to, jeśli nawet jest nieprzytomny.

- Tak jest, sir.

Połączenie zostało przerwane. White pochylił się do przodu.

- Dlaczego jedziemy tak wolno? Powiedz temu policjantowi z przodu, że jeśli nie doda gazu, to go wyprzedzimy — polecił kierowcy.

- Tak jest.

W cichym do tej pory samochodzie dał się słyszeć głos silnika i gwizd wiatru. Paully White

oparł się wygodnie i zaczął rozmyślać.

6

Wtorek 29 października

Pentagon
Siedziba głównodowodzącego Operacji Morskich
Aleksandria, Wirginia

Admirał Richard O'Shaughnessy odebrał wideofon, kiedy jego adiutant-, porucznik Doreen O'Connell, powiedziała, że na linii jest dyrektor Połączonej Agencji Wywiadowczej.

- Cześć, Chris - powitał O'Shaughnessy, samym tonem głosu dając do zrozumienia, że wolałby od razu przejść do rzeczy.

- Cześć, Dick. Musimy spotkać się o trzeciej. O'Shaughnessy spojrział na zegarek. Była za kwadrans trzecia. Chris, dyrektor PAW, nigdy nie umawiał się z tak małym wyprzedzeniem. Znaczyło to, że ma bardzo pilną sprawę.

- Skąd dzwonicz?

- Z samochodu. Jestem już w drodze.

- Nie przebrałeś się - powiedział O'Shaughnessy, ze zdziwieniem patrząc na Osgooda ubranego w samą koszulę z pasiastym krawatem.

- Chciałbyś, żebym zrobił dla ciebie widowisko? Żeby jakiś idiota z dobrym sprzętem nagrał to i sprzedał do wieczornych wiadomości? - Osgood uśmiechnął się i zmrużył oczy za okularami.

- A więc o trzeciej - powiedział O'Shaughnessy i rozłączył się. A potem zwrócił się do swojej adiutantki: - Doreen, dziś idę pobiegać wcześniej i zwykle.

O'Shaughnessy był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu [wazył osiemdziesiąt pięć kilo. Wyglądał na sportowca i rzeczywiście dawniej uprawiał dziesięciobój. Skończył pięćdziesiąt osiem lat, ale zwykle dawano mu o dziesięć lat mniej. Nie postarzały go nawet wysokie zakola na ile. Twarz miał bladą, o mocnych szczękach i wystających kościach potowych. Ciemnobrązowe oczy spoglądały spod nawisłych brwi. Jednak największe wrażenie robiły jego wielkie, odstające uszy. Początkowo nazywano go Małpim Uchem, ale teraz, kiedy był wielkim szefem, nikt nie ważył i o tym wspomnieć. Raz, kiedy przyjął nowego adiutanta, powiedział:

- Przyjąłem go tylko z jednego powodu - ma duże uszy. A nic tak nie świadczy o dobrym charakterze człowieka jak jego duże uszy.

Był urodzonym mówcą. Miał dźwięczny, niski głos. Mówiąc, bardzo iłował i ni stąd, ni zowąd wtrącał głupie dowcipy.

Ci, którzy musieli składać mu sprawozdania, na długo zapamiętywali jego nieruchome spojrzenie, tę ciszę, która zapadała po każdym jego słowie. O'Shaughnessy miał wrażenie, że niektórzy ludzie, nawet bardzo mu bliscy, obawiając się jego reakcji, nie mówią mu całej prawdy.

Żeby nie peszyć ludzi swym spojrzeniem, zaczął nosić okulary, dzięki którym wyglądał bardziej ojcowsko. Nie były zresztą tylko rekwizytem, z biegiem lat coraz bardziej ich potrzebował. Niestety, wciąż je gubił. DeAnna znajdowała je we wszystkich jego kieszeniach, w teczkach, na ziemi dookoła domu, kiedy jednak akurat były potrzebne, nigdy nie było ich pod ręką. DeAnna zamówiła więc czterdzieści pięć sztuk takich samych okularów i rozdała je jego adiutantom, asystentom, kierowcom, umieściła po pięć par przy jego ulubionym fotelu i w służbowym samochodzie, trzy w teczce, dwie w walizce, pięć par na jego biurku i po jednej w każdej z jego kieszeni. A on gubił je dalej.

Kiedy adiutantka wyszła z gabinetu, O'Shaughnessy szybko przebrał się w stary, wygodny sweter i szorty do biegania i także wyszedł. Przy drzwiach dla VIP-ów zorientował się, że musi wrócić do biura po magnetyczną kartę identyfikacyjną- pamięć znów spłatała mu figla.

Rozgrzewał się już na zewnątrz od dobrych paru minut, kiedy zajechała czarna limuzyna Osgooda.

Christopher Osgood IV był młody jak na dyrektora PAW. Nie miał jeszcze pięćdziesiątki i mimo lekko rzednących włosów wciąż wyglądał świetnie. Podobnie jak O'Shaughnessy zachował linię i dobre zdrowie. Był anglikańskim protestantem z Bostonu, pochodził z tak zwanej dobrej rodziny, jego ojciec zajmował się polityką.

Poznali się cztery lata temu, podczas dorocznego, wiosennego Maratonu Marines.

O'Shaughnessy był w tym czasie jednym z kilku zastępców Doncheza. Osgood natomiast przedstawił się jako pracownik PAW średniego stopnia i zaproponował O'Shaughnessy'emu wspólne bieganie, bo tak się składało, że często bywał w mieście w czasie lunchu i po pracy. O'Shaughnessy zgodził się i w czasie ich trzeciej, wspólnej przebieżki spytał Osgooda o pracę. Osgood odpowiedział zdawkowo, najwyraźniej nie chcąc o tym mówić.

O'Shaughnessy dowiedział się jedynie, że pracuje w wywiadzie, ale żadnych dokładniejszych informacji na temat jego pracy nie uzyskał. Od tej pory zwykle omijali te tematy, ciesząc się samym bieganiem i wymieniając opinię na temat pogody.

Przez ostatnie dwa lata ich wspólne bieganie przestało być tylko sposobem spędzania wolnego czasu. Odkąd O'Shaughnessy został głównodowodzącym marynarki a Osgood dyrektorem PAW, ich przebieżki stały się dla O'Shaughnessy'ego źródłem cennych informacji wywiadowczych, natomiast dla Osgooda źródłem równie cennych plotek o politykach z samych szczytów drabiny władzy. Czasami, kiedy działo się coś ważnego, Osgood przekładał ich spotkanie na wcześniejszą godzinę, tak jak zrobił to dzisiaj. Nigdy dotąd jednak nie zdarzyło się, by zadzwonił za ledwie z piętnastominutowym wyprzedzeniem. Musiało zajść coś naprawdę ważnego.

Jak zwykle zaczęli od powolnego biegu, przyśpieszając tylko przy przekraczaniu mostu Arlington. Dopiero kiedy minęli pomnik Lincolna i w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich usłyszeć, Osgood zaczął mówić.

- Coś się szykuje w Czerwonych Chinach - powiedział bez żadnego Wstępu.

- Co? - spytał O'Shaughnessy.

- Wzdłuż granicy z Białymi Chinami skoncentrowano cztery miliony żołnierzy.

Siedemdziesiąt dywizji pancernych, sto czterdzieści dywizji piechoty i jednostki pomocnicze.

- Wygląda na to, że zebrała się tam cała Ludowa Armia Wyzwolenia.

- Tak właśnie jest.

- Nazywają to manewrami?

- Nic na ten temat nie mówią. Nie wydali żadnego oświadczenia. - Osgood spojrzął w bok. - Biegniemy dłuższą drogą dookoła basenu Tidal?

- Tak. A może to naprawdę są manewry?

- Ściągnęli wszystkie dywizje znad granicy z Mongolią. Większość z nich przerzucili samolotami.

- Samo paliwo musiało kosztować miliony.

- Ściągnęli także dywizje znad indyjskiej granicy.

- Wielki błąd. Nipun nie jest najmilszym facetem i potrzebuje nowych terytoriów.

- Poza tym w Ludowej Armii Wyzwolenia odwołano urlopy.

- Jak dowiedzieliście się o tym?

- Jakoś - Osgood zawsze tak go zbywał, kiedy nie chciał odpowiedzieć na zadane pytanie.

- Wszystkie urlopy?

- Wszystkie.

- Nienawidzę, kiedy tak wcześnie robi się zimno - powiedział O'Shaughnessy, kiedy mijali dwie ładne, młode kobiety, biegnące w przeciwną stronę. Osgood uśmiechnął się do nich, a one odpowiedziały uśmiechem. - Co jeszcze? - zapytał O'Shaughnessy, kiedy kobiety nie mogły już ich usłyszeć.

- Cały sprzęt lotniczy z baz w środkowej i zachodniej części kraju został przeniesiony na wschód, wszystkie samoloty stacjonują teraz w odległości najwyżej kilkuset kilometrów od

granicy z Białymi Chinami.

- Następne kilka milionów na paliwo. Dokonują jakiś lotów czy stoją na lotniskach?

- Stoją na ziemi, ukryte jak się tylko da. W prowizorycznych bunkrach, pod namiotami, w stodołach, pod kamuflującymi płachtami.⁵⁷

- A poza tym wszystko normalnie?

- Niezupełnie - odpowiedział Osgood.

Zbliżali się do pomnika Thomasa Jeffersona, który w szarym świetle zmierzchu wyglądał ponuro i niepokojąco.

- Więc co jeszcze?

- Klauzula 24. Oznaczało to sklasyfikowanie informacji na tak wysokim stopniu utajnienia, że dostęp do nich miał tylko prezydent, członkowie gabinetu i paru wybranych szefów agencji.

Wyższą klasyfikację tajności miała tylko klauzula 12, zastrzeżona jedynie dla prezydenta.

- Rozumiem.

- Najwyższe kierownictwo Czerwonych Chin zostało ewakuowane z Pekinu wraz z całym zapleczem. W tej chwili Pekin to opuszczone miasto.

Ścieżka, którą biegli, zaczęła oddalać się od basenu Tidal w kierunku pomnika Waszyngtona.

- To nie są manewry - powiedział w końcu O'Shaughnessy.

- Trafiłeś w dziesiątkę. A nawet nie skończyłeś Harvardu.

- Wypchaj się, Osgood.

Z naprzeciwka zbliżała się duża grupa biegaczy, więc na chwilę zamilkli.

- Prezydent już wie o wszystkim i chce zasięgnąć opinii Pinka - odezwał się znów Osgood.

Bili Pinkenson, czterogwiazdkowy generał kawalerii pancерnej, był przewodniczącym Rady Dyrektorów Agencji. Średniego wzrostu, o ogorzalej, dziecięcej twarzy był człowiekiem niezwykle towarzyskim, skorym do żartów. Nie miał tak dostojnego wyglądu jak O'Shaughnessy, a jednak pozostawał w pamięci ludzi, którzy choć raz go spotkali. Był wytrawnym politykiem, od dziesięcioleci obecnym w Pentagonie, i widać było, że lubi swoją robotę. Poznali się z O'Shaughnessy'em w Waszyngtonie, kiedy rozpoczynali służbę. Z miejsca przypadli sobie do gustu.

- A Pink prawdopodobnie będzie chciał zasięgnąć twojej rady.

- Mojej? Niby dlaczego?

- Ponieważ w tej sytuacji marynarka będzie miała do spełnienia bardzo ważną rolę.

- Nie wiem, dlaczego tak uważasz. Spójrzmy, jak to wygląda. Na wschodzie kraju Czerwone Chiny koncentrują siły, szykując się do odebrania terenów zajmowanych przez Białych. A więc znów wojna domowa, z tym, że Czerwoni zamierzają rundę wygrać. Skręcili na wschód, w stronę odległego o niecałe dwa kilometry Kapitulu. - Nie wygląda na to, żeby marynarka miała też coś do roboty. Chociaż prezydent Warner na pewno zdecyduje się wesprzeć Białe Chiny i może nawet będziemy musieli wylądować w Szanghaju czy gdziekolwiek indziej. Wtedy zostaną użyte moje siły specjalne, trzeba też będzie przecież jakoś dowieźć marines na miejsce i wysadzić ich na ląd. Żeby skutecznie eskortować flotę desantową aż na Morze Wschodniochińskie, trzeba będzie postawić na nogi całą flotę Pacyfiku, trzeba też będzie wysłać silną flotę lotniskowców, żeby wspomagały ogniem działania lądowe. Jedno jest pewne - siły lądowe będą miały więcej roboty. Dlaczego więc ktoś miałby pytać o moje zdanie?

- Pomyśl, coś się tu nie zgadza.

O'Shaughnessy zaczął się zastanawiać, patrząc w lewo na Smithsonian Institute. Po drugiej stronie ścieżki, wysoko w górze, wznosiło się Muzeum Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej.

- Nie wiem, o co chodzi.

- A nie pomyślałeś, dlaczego Czerwoni sądzą, że tym razem im się upiecze? Dlaczego zamierzają przekroczyć granicę i zepchnąć Białych do morza, nie licząc się w ogóle z twoją flotą i ze stacjonującymi tuż obok, w Japonii, Siłami Szybkiego Reagowania? Czyżby myśleli, że im na to pozwolimy? Że nie wysadzimy na ląd marines, piechoty, wojsk pancernych i artylerii, że nie wyślemy przeciw nim lotnictwa z samonaprowadzającymi się

paciskami i bombami, że nie utrzymamy im nosa? Dlaczego chcą to zrobić właśnie teraz? Przecież wiedzą, że jeśli zaatakują, będą mieli przeciw sobie całą flotę zachodniego Pacyfiku i Siły Szybkiego Reagowania. Dlaczego więc nagle przestało im to przeszkadzać?

O'Shaughnessy patrzył na sadzawkę przy Kapitolu.

- Pobiegniemy tam? - spytał Osgooda. Jeśli teraz nie zawrócą, będą musieli okrążyć gmach Kapitolu od strony Biblioteki Kongresu i Sądu Najwyższego.

- Dobrze.

- Może Czerwoni po prostu liczą na przewagę liczebną - nasze pół miliona ludzi przeciw ich czterech milionom.

- Sam pan nie wierzy w to, co pan mówi, admirale. Już dwadzieścia pięć lat temu udowodniono, że jest to błędna teoria. W czasie inwazji na Cha Bachar liczebny stosunek ich sił do sił aliantów wynosił jak dziesięć do jednego. Ale nowocześniejsza broń zwielokrotniła nasze siły. Natomiast tutaj coś...

- Wiem, wiem - przerwał mu O'Shaughnessy. - Zastanawiam się tylko, czy Czerwoni wyciągnęli z tego właściwe wnioski.

- Oczywiście, że tak. Dlatego aż do teraz zachowywali się spokojnie. Biegli w milczeniu. Okrążyli Kapitel i minęli sadzawkę.

- Może to błąd? - w końcu odezwał się O'Shaughnessy. - Może prowadzą z Białymi jakieś negocjacje i chcą zaszachować ich tymi manewrami?

- Zbyt dobrze ukrywają, Dick. Ciężko napracowaliśmy się, żeby zdobyć te informacje. Gwarantuję ci, że dla Białych będzie to niespodzianka jak cholera. W ogóle nie zarządzili mobilizacji. Może to się zacząć na przykład w Boże Narodzenie, bo tego dnia w Białych Chinach zamiera życie. To nie jest tylko pobrzękiwanie szablą. I jest jeszcze jeden dowód na to, że nie robią tego na pokaz.

- Jaki?

- Czerwoni podejmują zbyt wielkie ryzyko. Czy pozbawiliby granice ochrony tylko po to, żeby zademonstrować swoją siłę? Może granicę z Mongolią, ale nie granicę z Indiami po tych wszystkich groźbach Nipuna. Gdyby Nipun teraz uderzył, mógłby zająć połowę ich kraju.

- To znaczy, że coś ich nagli, Chris. Zaatakują Białe Chiny, odbiorą swoje ziemie i utworzą Chiny Nowego Kuomintangu, z którymi będziemy musieli się układać. Niezbyt miła perspektywa. Jeśli im się powiedzie, zabezpieczą granice z Indiami i wszystko wróci do normy, do normy w ich pojęciu.

- Zapomniałeś o Morzu Wschodniochińskim. Kiedy tylko Czerwoni wkroczą do kraju Białych, twoje okręty wysadzana ich brzeg siły, które utracą im nosa. I oni o tym wiedzą, więc dlaczego to robią?

- Może wydaje im się, że prezydent Warner nie przystąpi do wojny z tak błahego powodu. Liczą na to, że ani ONZ, ani USA, ani Europa nie będą chciały przelewać krwi za chińskie sprawy. Zbyt blisko do Bożego Narodzenia. Zbyt blisko do najbliższych wyborów. Zbyt duże ryzyko.

- Po tym, jak Warner umieściła Siły Szybkiego Reagowania wraz z okrętami w porcie Yokosuka? Ma tam teraz dość żołnierzy i sprzętu, żeby wygrać wojnę nawet bez wspomaganie z baz lądowych. Przypadkowo dowiedziałem się, że dziś chińskie sprawy obchodzą ją bardziej niż kiedykolwiek indziej. Poza tym w czasie blokady Japonii Warner przekonała się, że lepiej nie zwlekać i od razu pchnąć marynarkę do działania. Teraz już wie, że w razie jakichś kłopotów w Chinach nie należy przeciągać w nieskończoność narad z ekspertami, jak to miało miejsce w czasie blokady. Wkroczy od razu z gotowym planem działania i załatwi Czerwone Chiny.

- Nie pytam, skąd to wiesz - powiedział O'Shaughnessy. - Nie chciałbym stawiać cię w niezręcznej sytuacji.

- A więc, admirale, ja zapytam po raz kolejny: dlaczego Czerwoni myślą, że im się to upiecze?

- Dobra, poddaję się. Mówisz, że prezydent Warner od razu sięgnie po broń, kiedy Czerwoni

przekroczą granicę. Wierzę ci. Mówisz, że natychmiast zbierze siły, żeby pomóc Białym. Też uważam, że tak będzie. Mówisz, że Czerwoni nie negocjują z Białymi ani nie przeprowadzają manewrów. Rzeczywiście tak to wygląda. Jednak Czerwoni nie są głupi, są cholernie niebezpieczni. A więc moja odpowiedź brzmi: Nie wiem. Głównodowodzący Operacji Morskich nie zdał dziś egzaminu w twoim quizie. Departament Marynarki Wojennej składa broń. Chris, jak brzmi ta cholerna odpowiedź? Dlaczego Czerwoni myślą, że ujdzie im to na sucho?

W milczeniu minęli Muzeum Historii Ameryki, a potem pomnik Waszyngtona.

- Cóż, Dick, Połączona Agencja Wywiadowcza uzyskała z tego testu ten sam wynik co ty. Nie mamy zielonego pojęcia, dlaczego Czerwonym zdaje się, że mogą wygrać tę wojnę. O'Shaughnessy nagle poczuł zmęczenie. - Dobra, zawracamy - wysapał.

Kiedy w apartamencie przy swoim biurze O'Shaughnessy brał prysznic, ciągle bezskutecznie próbował rozwiązać te zagadki. Musieli z Osgoodem coś przeoczyć. Coś ważnego.

7

Szpital marynarki wojennej w Bethesda

Pacino szybkim krokiem podszedł do drzwi pokoju szpitalnego, otworzył je po cichu i wszedł do ciemnego wnętrza z jednym łóżkiem stojącym pod ścianą.

Okno zasłonięte było okiennicami. Na przykrytym białym prześcieradłem łóżku leżała drobna, krucha postać. W pokoju tyle było sprzętu medycznego jak na oddziale intensywnej terapii. Przez głowę Pacina przemknęła myśl, że tak wygląda umieralnia. Pacjent leżał bez ruchu. Przez długą chwilę Pacino przyglądał mu się uważnie, bo w pierwszej chwili nie był pewien, czy rzeczywiście jest to Richard Donchez. Podszedł do łóżka i pochylił się nad nim. Dopiero z tej odległości usłyszał jego słaby oddech, jedyny dźwięk w tym pokoju oprócz pisku kardiografii. Dotknął dłoni chorego: była zimna i bezwładna.

- Wujku - powiedział cicho, kiedy usłyszał drzenie własnego głosu, oczy zaszyły mu łzami. Zagryzł usta i przysiągł sobie w myślach, że nie straci panowania nad sobą. Obejrzał się i z zadowoleniem stwierdził, że kapitan White został na korytarzu.

- To ja, Mikey.

Dick wciąż oddychał powoli i spokojnie. Pacino stał nad łóżkiem z pochyloną głową. Oczy miał otwarte, ale nic nie widział; myślami błędził w przeszłości.

Można powiedzieć, że był związany z tym człowiekiem od zawsze. Podczas studiów na Akademii Marynarki Wojennej Donchez dzielił pokój z jego ojcem. Potem Donchez został dowódcą starej „Piranii”, a Anthony Pacino kapitanem „Stingraya”. Pewnego razu, kiedy Pacino junior był młodszym kadetem w Annapolis, wezwano go do sekretariatu. Ujrzał tam komandora Doncheza. Pacino stanął przed nim na baczność. Przyjaciel jego ojca grobowym głosem powiedział:

- Mikey, „Stingray” tydzień temu zatonął na środkowym Atlantyku w okolicy Azorów. Nie mogliśmy tego potwierdzić, póki go nie odnaleziono. Niestety, twój ojciec nie żyje. Donchez dodał jeszcze, że „Stingray” poszedł na dno wskutek głupiego wypadku. Jedna z jego własnych torped eksplodowała na pokładzie, wrywając w burcie wielką dziurę. Nikt z załogi nie ocalał.

Dwie dekady później, kiedy Donchez dowodził Atlantycką Flotą Okrętów Podwodnych, Pacinowi przydzielono dowództwo USS „Devilfish”. I to właśnie Donchez wysłał go pod polarną pokrywą lodową na poszukiwania rosyjskiego okrętu podwodnego klasy Omega, na pokładzie którego przebywał dowódca rosyjskiej Floty Północnej, przed laty dowodzący radzieckim okrętem podwodnym klasy Wiktor III, który, jak się okazało, zatopił okręt jego ojca. Niepowodzenie tej misji i utratę „Devilfisha” utajniono tak głęboko, że wiedziało o tym zaledwie kilku najwyższych rangą dowódców marynarki.

Po tej misji Pacino złożył dymisję i zajął się nauczaniem na Akademii Marynarki Wojennej. Czuł, że jego życie stało się puste. Czegoś w nim brakowało. Zawsze zaprzeczał, kiedy jego ówczesna żona Janice mówiła, że brakuje mu pokładu pod stopami, ale chyba miała rację. Był naprawdę w złym stanie, kiedy pojawił się admirał Donchez i zaproponował mu dowództwo USS „Saewolfa”. W zatoce Bohai niedaleko Pekinu została przyłapana na szpiegowaniu łódź podwodna „Tampa” i Pacino miał ją uwolnić. Kiedy Pacino dowiedział się, że dowodził nią Sean Murphy, jego kolega ze studiów, natychmiast poleciał z Donchezem do portu Yokosuka, objął dowództwo „Seawolfa” i z trzema plutonami marines popłynął odbić „Tampę”.

„Tampa” uciekła z chińskiego nabrzeża, ale to był dopiero początek misji, ponieważ okazało się, że u wąskiego ujścia z zatoki Bohai czeka na nich cała Pomocna Flota Czerwonych Chin. Pacino wystrzelił wszystkie torpedy, jakie miał na pokładzie, i wydawało się, że „Seawolf” jest już zgubiony. W końcu jednak, po zaciętej walce, jaką „Tampa” stoczyła z okrętami chińskimi, zatapiając wiele z nich, udało im się wydostać na wody międzynarodowe. Około trzydziestu Amerykanów zginęło w chińskiej niewoli, ale resztę udało się uratować.

W nagrodę Donchez na stałe mianował Pacina kapitanem „Seawolfa”. Pacino rozkoszował się każdą minutą dowodzenia aż do chwili zatonięcia „Seawolfa” w wyniku konfrontacji z islamskim okrętem podwodnym. Kiedy Pacino doszedł do siebie, z rekomendacji Doncheza otrzymał dowództwo nowo utworzonych Zjednoczonych Sił Podwodnych. Nawet wtedy Donchez pozostał jego mentorem i doradcą.

Kiedy prezydent Warner zarządziła blokadę Japonii, Donchez poradził Pacinowi, by dowodził operacją z pokładu okrętu znajdującego się na pierwszej linii działań. W ten sposób Pacino mógł podejmować szybkie, niezależne decyzje, dzięki którym operacja zakończyła się powodzeniem.

Gdyby nie Donchez, Pacino nigdy nie zaszedłby tak daleko. Poza tym w najcięższych dniach Donchez zastąpił mu ojca. Ich stosunki nie zawsze układały się gładko, ale to właśnie dowodziło, jak blisko byli związani: ojciec rządzi synem, chcąc go dobrze wychować, a syn walczy o niezależność.

Zdawało mu się, że pogrążony we wspomnieniach przesiedział na tym łóżku wiele godzin. Potem przystawił do łóżka krzesło, przesiadł się na nie i po chwili zasnął.

Gdy obudził się, w pokoju było całkiem ciemno. Świeciło się tylko jakieś urządzenie nad łóżkiem.

Wyprostował się, napinając zdrętwiałe mięśnie. Spojrzał na swojego starego roleksa, ale cyferblat stracił już luminescencyjny blask i musiał przystawić go do światelka przy łóżku. Kilka minut po czwartej rano. Ziewnął i kiedy spojrzął w dół, zobaczył, że wciąż ma na sobie kombinezon, w którym przyleciał na pokładzie myśliwca F-22. Na podłodze leżała jego torba, prawdopodobnie przyniesiona tu przez White'a. Rzuciwszy okiem na wciąż nieruchomego Doncheza, poszedł z torbą do znajdującej się obok małej łazienki. Po dziesięciu minutach, wykąpany, przebrany w połowy mundur khaki, znów znalazł się przy łóżku Doncheza.

Tylko po ledwo słyszalnym oddechu i po cichym pisku kardiografu można było zorientować się, że pacjent jeszcze żyje. Pacino usiadł na łóżku.

Musiał się zdrzemnąć, bo kiedy znowu spojrzął na Doncheza, miał on otwarte oczy, zwrócone w jego stronę.

- Dick, obudziłeś się - wykrzyknął Pacino ochryłym, stłumionym głosem.

Donchez nie od razu odpowiedział. Spoglądał na niego nabiegłymi krwią oczyma.

- Czerwoni won - przemówił wreszcie słabym głosem.

- Co? Dick, lepiej nic nie mów.

- Znowu musisz wyruszyć na Czerwonych, Mikey. I to szybko... oooch -zajęczał.

- Dick...

- Zdobyli okręty podwodne.

- Co? Dick, może lepiej...

- Dlaczego pan mnie nie słucha, admirale? - powiedział Donchez silnym jak dawniej głosem, a jego łysa głowa pokryła się kropelkami potu.

- Dobrze, wujku, już cię słucham. - Pacino patrzył mu w oczy w napięciu, ściskając obie jego dłonie. Donchez zakaszłał, chrypliwie. Oczy zaszyły mu mgłą z bólu. Krztusząc się, długo nie mógł złapać oddechu.

- Spokojnie, wujku, powoli. O co właściwie chodzi?

- Czerwoni... mają... będą mieć... atomowe okręty podwodne. Torpedy... plazmowe. Morze...

- Następny atak kaszlu. Pacino chwycił go za ramiona i uniósł do góry, żeby mógł odkrztusić płyn zalewający płuca. Stojący w kącie kardiograf zaczął natarczywie piszczeć, pracując coraz szybciej i szybciej.

- Wschodniochińskie.

- Co? Co powiedziałeś?

- Morze... Wschodnio...chińskie. Czerwoni. Okręty podwodne. Trzeba wkroczyć. Szybko.

- Dick, ja nie...

- Patrz... patrz... oon...ooo...

Pacino w poczuciu beznadziejności potrząsnął głową.

- Ooch... głównie... dowodzący... opera...

- Głównodowodzący Operacji Morskich? O'Shaughnessy?

- Taaa... poro... .zmawiaj...zzz... .nim... - z zamkniętych z bólu oczu Doncheza spływały łzy.

Znów zaczął kaszleć, ale po chwili opanował się i wziął głęboki oddech.

- Czerwone okręty. Trzeba działać... szybko.

- Dick, odpocznij trochę i postaraj się odkaszlnąć. Donchez spojrzał do góry zamglonymi od bólu oczami. Teraz były już prawie białe, Pacino z trudnością dostrzegł ich tęczy.

- Trzymaj się... Mikey... mój... synu...

Zakaszłał rozdzierająco, a jego zwiotczałe ciało opadło na posłanie. Zdawał się dziwnie bezwładny w objęciach Pacina. Pokój wypełniał ciągły, wysoki pisk kardiografu.

- Wujku! Wujku! Dick! Do cholery, siostró - Pacino sięgnął do znajdującego się nad łóżkiem dzwonka alarmowego. Do pokoju wbiegło troje ludzi, ubranych w jednakowe szpitalne stroje. Ktoś przyłożył do piersi Doncheza słuchawkę stetoskopu, ktoś chwycił w przegubie jego dłoń, spojrzał na zawieszoną w nogach łóżka kartę choroby. Po chwili lekarze odeszli od łóżka i stanęli na środku pokoju.

- - Nie spróbujecie nawet go reanimować?

- Nie możemy, sir. Polecenia pacjenta były wyraźne. Żadnych nadzwyczajnych środków, nawet respiratora. Sam pan może sprawdzić.

Pacino machnięciem ręki odprawił ich z pokoju. Nawet nie był pewien, czy wyszli. Nie obchodziło go to. Pochylił się nad łóżkiem i objąwszy martwego Doncheza, bez końca powtarzał jego imię.

8

Sobota 2 listopada

Annapolis, Maryland

Słońce wczesnego poranka oświetlało kryte miedzią dachy kompleksu budynków Akademii Marynarki Wojennej. Admirał Michael Pacino patrzył na nie ponad zimnymi wodami rzeki Severn, stojąc na dachu swojego położonego blisko brzegu domu. Spędzał tam większość nocy, spoglądając na światła Akademii, widoczne z drugiej strony czarnej, połyskliwej rzeki. Patrzył, jak jedno po drugim otwierają się okna w akademikach, patrzył na śpieszących na sobotnie zajęcia kadetów, na powoli wypełniające się sale Bancroft Hali. Nie był tam od czasu ślubu z Janice, który brał jako tamtejszy wykładowca mechaniki ciał ciekłych. Na krawędzi biurka leżała oprawiona w ramki z rzeźbionego drewna wyblakła fotografia. Na jej drugim planie widać było wysoką, opływową w kształcie płetwę atomowego okrętu

podwodnego klasy Pirania. Właśnie po płetwach można poznać, jak stary jest okręt. Na tym zdjęciu lśnił nowością. Na płetwie białymi literami wypisano „Deyilfish” SSN-666. Pokład został udekorowany amerykańskimi flagami. Dwaj mężczyźni na pierwszym planie ubrani byli w białe, galowe mundury, ozdobione kolorowymi baretkami i złotymi podwodniackimi delfinami, obaj mieli paradne szpady. Po prawej stronie stał młody Pacino, czarnowłosy, beztrzesko uśmiechnięty, z zaledwie trzema złotymi paskami na mundurze. Stojący obok niego niższy, f łyśy mężczyzna mocno obejmował go ramieniem. Donchez uśmiechał się i z dumą, trzymając w kąciku ust grube kubańskie cygaro. Zdjęcie zostało zrobione ponad piętnaście lat temu, kiedy Pacino przejmował dowództwo nad „Devilfishem”.

Na przykrywającym zdjęcie szkle widać było ślady ścieranego palcami kurzu. W poprzek zdjęcia leżało wypalone do połowy kubańskie cygaro, obok stała masywna szklanka z resztką bourbona na dnie. Pacino znalazł w biurku niebieską czapkę baseballową ze złotym delfinem i napisem: USS „Deyilfish”, SSN-666.

Poprzedniego dnia pochował Dicka Doncheza. Pozostały mu w pamięci chaotyczne wspomnienia z pogrzebu: niezwykle o tej porze roku zielona trawa cmentarza w Arlington, flaga państwowa okrywająca czarną trumnę, wyprężone sylwetki żołnierzy kompanii honorowej, huk salutu, kamery telewizyjne, pani prezydent w otoczeniu członków gabinetu, tłum urzędników różnego stopnia, agenci tajnych służb, próbujący pozostać niezauważeni i przez to właśnie widoczni. Wszyscy przyjaciele Pacina byli tam obecni i otaczali go jak wierna straż przyboczna: Paully White, David Kane, C.B. McDonne, Sean Murphy, Jackson Yaughn, Bruce Phillips i inni. Janice, jego dawna żona, stała po drugiej stronie trumny, ubrana w prostą, czarną sukienkę, z obciętymi krótko blond włosami. Obok niego stał ich syn Tony, niezgrabny chłopak w swoim źle leżącym garniturze. Kiedy zagrała trąbka sygnałowa, Pacino zajrzał do grobu, podtrzymywany z obu stron przez Tony'ego i White'a. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń i usłyszał niski głos:

- Bardzo ci współczujemy, Patch. On był dla ciebie jak ojciec. Sam znałem Dicka Doncheza od lat. DeAnna i ja pomyśleliśmy, że mógłbyś do nas wpaść, na przykład jutro po południu. Opowiedziałbym ci o Dicku parę historii, które, jak sądzę, chciałbyś usłyszeć. Omówię to z kapitanem Whitem. Wszystko będzie dobrze, Patch. Do zobaczenia jutro. Był to O'Shaughnessy. Zwracał się do niego tak, jak mówił kiedyś do jego ojca.

Dygnitarze, urzędnicy, oficerowie i wszyscy inni obecni na pogrzebie zaczęli się rozchodzić. Kiedy słońce zawisło tuż nad horyzontem Pacino został sam, siedząc na jednym z otaczających trumnę krzeseł.

Teraz Pacino przypomniał sobie to wszystko, siedząc w domu w Anna-polis. Ubrał się szybko, i postanowiwszy popływać na żaglówce, wziął z biurka czapkę, cygaro i fotografię. Nie zapomniał też o bourbonie.

A może złożyć próbę o dymisję. Sprzeda domy, przewiezie łódkę na Karaiby. Będąc blisko morza czuje się bliżej żony, obu ojców i wszystkich kolegów, których stracił. Pomysł ten coraz bardziej mu się podobał. I nagle usłyszał swój własny, stanowczy głos:

- Nigdy tego nie zrobisz.

Stare miasto, Aleksandria, Wirginia

Dom był żółty, z czerwonymi okiennicami. Umieszczona na ścianie brązowa tabliczka informowała, że jest to budynek zabytkowy, wzniesiony w 1817 roku. Od wijącej się przez całe stare miasto, wybrukowanej kocimi łbami uliczki prowadził do jego drzwi klinkierowy chodnik. Po obu stronach uliczki wznosiły się równe rzędy podobnych, wzniesionych w tym samym okresie domów. Na drzwiach wisiała tabliczka z wypalanej gliny, z umieszczonym pod irlandzką, białą koniczyną zielonym napisem - O'SHAUGHNESSY.

W drzwiach ukazała się ładna, zadbana, czterdziestoparoletnia blondynka z krótkimi włosami. Uśmiechnęła się i gestem zapraszała go do środka.

- Admirale Pacino - powiedziała ciepłym głosem - jak to miło w końcu pana poznać. Jestem DeAnna. Tyle o panu słyszałam. Artykuł o panu w marcowym numerze „Washington Post” był po prostu pasjonujący. Czytał go pan?

Wcisnęła mu w dłoń szklaneczkę szkockiej whisky i zaczęła oprowadzać po domu. Na każdej półce, na każdym stole stały zdjęcia ich dzieci.

Zawsąd patrzyła na niego twarz Colleen O'Shaughnessy. Na jednym zdjęciu ukazana była w dużym zbliżeniu, roześmiana, z rozwianymi przez wiatr włosami, z figlarnym wyrazem oczu. Na innym była niezgrabną nastolatką z dłońmi wysuniętymi do obiektywu na znak protestu. Zatrzymał się przy późniejszym, szkolnym zdjęciu, na którym uśmiechnięta jak gwiazda filmowa stała w drzwiach szkoły. DeAnna powiedziała cicho:

- Colleen jest piękna, prawda?

Zgodził się z tym, dodając coś jeszcze na temat jej niezwyklej inteligencji. I wtedy wszedł admirał Dick O'Shaughnessy, mimo domowego swetra i dżinsowych spodni wyglądający okazale i dostojnie. Był o parę centymetrów w wyższy od Pacina. Uśmiechnął się i mocno uściskał jego dłoń. Pacino dopiero teraz zauważył, że jest bardzo podobny do swego ojca. O'Shaughnessy zaprowadził go do gabinetu na tyłach domu. Okno tego pokoju wychodziło na podwórze, na środku którego stał górujący nad okolicznymi domami dąb. W gasnącym świetle dnia widać było i żółte, jesienne liście. Pacino usiadł na jednym z dwóch stojących przy kominku skórzanych foteli. O'Shaughnessy usiadł na drugim. Parę dużych ni żarzyło się w kominku. O'Shaughnessy napił się whisky i postawił szklankę na wiśniowym stoliku.

- Wiesz, Patch - powiedział - przez wiele lat pracowałem dla Doncheza. Byłem jego zastępcą do specjalnych poruczeń jeszcze przed wojną islamską i wiesz, przez cały ten czas wciąż mówił o tobie. Pacino spojrzał w swoją pustą szklankę.

- Kiedyś powiedział, że jesteś najlepszym kapitanem okrętów podwodnych, jaki kiedykolwiek pływał po morzach tego świata. Pacino chrząknął z powątpiewaniem.

- Opowiedział mi o twojej misji w Arktyce. Czytałem wszystkie raporty te prawdziwe, nie przeznaczone na pokaz. Czytałem także raporty z zatoki Bohai i z akcji, która zakończyła się zatonięciem „Seawolfa”. Czytałem sprawozdanie z Operacji Oświełona Kurtyna po blokadzie Japonii. Nie mogłem się doczekać, kiedy poznam wielkiego Michaela Pacino, kawalera trzech odznaczeń marynarki wojennej, z których jedno, jak powiedział mi Donchez, to Krzyż Honoru. Ale jest coś, co mnie niepokoi. Pacino spojrzał sufit. - Gdzie się podział ten człowiek, o którym czytałem? Ten współczesny admirał Nelson? Może ty mi powiesz, Patch, gdzie on, do diabła, jest teraz?

- Słucham, sir?

O'Shaughnessy patrzył na Pacina spod zmarszczonych brwi, w panującym w pokoju półmroku jego oczy wydawały się czarne.

- Rok temu Donchez przyszedł do mnie do biura i powiedział mi, że rozpoznano u niego zaawansowanego raka płuc. Powiedział, że dają mu parę tygodni życia - sam widzisz, ile są warte prognozy lekarzy, przekroczył je wielokrotnie. W każdym razie poprosił mnie wtedy, żebym coś dla niego zrobił, ponieważ uważa mnie za swego najlepszego współpracownika. Spytałem go, co mam zrobić. Spojrzał na mnie i powiedział: Richard, musisz mi obiecać, że zaopiekujesz się Mikeyem Pacino. Odpowiedziałem, że z tego, co wiem, ten facet nie potrzebuje opieki. Wkurzył się strasznie, więc spytałem go, co właściwie miałbym zrobić. A ten stary zrzęda zapalił cygaro i powiedział: „O'Shaughnessy, jesteś już dorosły, jako czterogwiazdkowy admirał sam powinieneś wiedzieć, co masz robić”. A teraz bez żartów, co on właściwie miał na myśli?

O'Shaughnessy wstał, dołożył do ognia dwa duże polana, podszedł do biurka i z kryształowej karafki nalał whisky do obu szklanek. Podał jedną Pacinowi i z powrotem usiadł w swoim fotelu.

- Potem mi powiedział: „Posłuchaj, Richard. Ja nie tylko traktuję Mikeya jak syna, on jest moim synem. Kiedy już mnie nie będzie, żebyś go chronił”. Odparłem, że zrobię to. Przed wyjściem wręczył mi kopertę. „Nie otwieraj tego, póki nie umrę” - powiedział i wyszedł.

- Co to było?

- Właśnie do tego zmierzam. Ale zanim do tego przejdziemy, wróćmy jeszcze do mojego pierwszego pytania. Gdzie jest Patch Pacino? Co się z nim stało?

- Nie jestem pewien...

- Ależ jesteś, Patch - powiedział O'Shaughnessy, patrząc na niego stalowym wzrokiem. W pokoju zapanowała niezręczna cisza, słychać było tylko trzaski i syki palącego się w kominku drewna.

- Sir, nie wiem, czego pan oczekuje. Może po prostu powinienem sobie już pójść - powiedział Pacino, wstając z fotela.

- Siadaj - rozkazał O'Shaughnessy. - Dwa lata temu, tuż po zakończeniu blokady, prezydent Warner zdecydowała się pchnąć program PEOA i tobie zlecono jego kierownictwo. Świetnie. Jednak po roku okręt został przeniesiony na Hawaje, tysiące mil od wszystkich specjalistów, postępy w pracy są mierne, a twoje raporty nie wyjaśniają, dlaczego tak się dzieje. Opuściłeś swoją siedzibę główną, twoi ludzie w Norfolk odwalają za ciebie całą robotę, całe Zjednoczone Siły Podwodne są zdeorganizowane, a Sztab Główny, Kongres i Biały Dom chcą wiedzieć, dlaczego tak się dzieje. I ja też chcę to wiedzieć.

- Sir...

- Zamknij się, jeszcze nie skończyłem. Ostatnio dowiedziałem się, że system kontroli bojowej Cyklop nie przeszedł testu C-1, co, jeśli dobrze się orientuję, przedłuża realizację programu o rok. I nie dowiedziałem się tego od ciebie, nie dowiedziałem się tego od nikogo z twojego personelu, od nikogo z zarządu DynaCorp.

- Więc jak się pan dowiedział? - Pacino zaczął podejrzewać Colleen.

O'Shaughnessy sięgnął na dolną półkę stolika po laptop. Przez chwilę przeszukiwał jego pamięć, po czym wręczył go Pacinowi, z wyświetlonym na ekranie artykułem z „Washington Post”, którego nagłówek brzmiał:

TRACHEA NADAJE NAJNOWSZEMU OKRĘTOWI PODWODNY PEOA IMIĘ „KAWAŁ ZŁOMU”

Pacino przejrzał artykuł. Senator Eve Trachea, członek Partii Narodowej w Komitecie Służb Zbrojnych i przeciwniczka Warner w zbliżających się wyborach, domaga się zastopowania programu PEOA, uzasadniając to niemożliwą do naprawienia wadliwością jego systemu komputerowego. Okręt najprawdopodobniej nigdy nie będzie mógł ruszyć do walki, straty finansowe są olbrzymie i dowodzą niekompetencji administracji prezydent Warner, która nie potrafi wykorzystać bezcennego czasu pokoju.

- Nie rozumiem tego, Pacino. Wypinasz się na swoje obowiązki dowódcy, decydujesz się poświęcić cały swój czas programowi, a potem pozwalasz, żeby ten program został rozłożony. Z tego, co widzę, utrzymujesz się na tym stanowisku tylko dlatego, że lubi cię prezydent Warner. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że ten okręt może kosztować ją przegraną w najbliższych wyborach. Więc spytam jeszcze raz, Patch, co się z tobą dzieje? Pacino spojrzał na niego, zastanawiając się, po co te wszystkie przyjacielskie podjazdy. Jeśli chciał go zwolnić, dlaczego od razu nie przeszedł do rzeczy?

- Posłuchaj, Patch. Wiem o twojej żonie, Eileen. Byłem na pogrzebie. Wiem, że ją kochałeś, i że całe twoje życie legło w gruzach, kiedy odeszła. Wiem także, że chciałeś wówczas odejść z marynarki, ale Donchez nie pozwolił ci na to. Teraz i jego nie ma już z nami, ale, zgodnie z jego ostatnim życzeniem, muszę się tobą zająć. A poza tym jestem twoim szefem, więc słuchaj, co ci powiem. Wiem, jak to jest stracić żonę. Mary, matka Colleen, zmarła, kiedy Colleen miała osiemnaście lat. To był dla nas obojga straszny cios. Myślałem, że nigdy się z tego nie otrząsnę, że resztę życia spędzę w bólu i samotności. I wiesz co? Ciągłe czuję ten ból, wciąż powtarzam jej imię we śnie. Jednak z biegiem czasu człowiek staje się silniejszy, zdolny unieść to brzemie nieszczęścia. I wtedy może ruszyć dalej. Muszę się dowiedzieć, kiedy się tak stanie w twoim wypadku. Nie mogę pozwolić, żeby cała flota zardzewiała, zanim weźmiesz się w garść, Patch. Tak więc, krótko mówiąc, zostajesz w marynarce czy z niej odchodzisz?

- Cóż, sir - powoli odpowiedział Pacino - chyba odchodzę. W poniedziałek na pańskie biurko trafi moje podanie o zwolnienie ze służby.

- Może być lepiej najpierw spojrzaj na to - powiedział O'Shaughnessy, robiąc tajemniczą minę.

- Czyli na co?

- Cholera, miałem to gdzieś tutaj. - O'Shaughnessy, klnąc pod nosem, zaczął przeszukiwać swoją aktówkę, wszystkie szuflady biurka i stojące naprzeciw kominka szafki. - DeAnna! Widziałas gdzieś ten list?

- Jaki list, kochanie?

- Ten od Doncheza. Który kazał mi zachować.

- Sir, co jest w tym liście?

O'Shaughnessy, w uchylonych drzwiach gabinetu czekając na żonę, na chwilę odwrócił głowę i powiedział:

- Drugie z ostatnich życzeń Doncheza.

Weszła DeAnna uśmiechając się porozumiewawczo do Pacina.

- Naprawdę, Dick, straciłbyś głowę, gdybym ja ci jej nie pilnowała - powiedziała, idąc wprost do stojącego w kącie małego stolika, tak samo jak biurko i stół przy kominku wykonanego z wiśniowego drewna. - Proszę - wręczyła O'Shaughnessy'emu kopertę. - Nie macie już zbyt dużo czasu, chłopcy, zaraz podaję kolację.

Drzwi zamknęły się za nią. Pacino wziął kopertę od O'Shaughnessy'ego i usiadł w fotelu. List był otwarty ostrym nożem do papieru. Charakter pisma nie pozostawiał żadnych wątpliwości. To było pismo Doncheza, bardzo niestaranne jak na człowieka w jego wieku.

O'Shaughnessy!

Mam nadzieję, że opiekujesz się Mikeyem tak, jak mi obiecałeś. Oto moje drugie życzenie.

Spodziewam się, że sam się tym zajmiesz, i żebyś nic nie zepsuł.

Imię dla nowego PEOA to ogromnie ważna sprawa.

Pacino oderwał wzrok od listu i spojrzął na O'Shaughnessy'ego.

- Chodziło mi po głowie, żeby PEOA nazwać USS „Richard Donchez” - powiedział.

- Przeczytaj ten cholerny list. Pacino znów zabrał się do czytania.

Zrób wszystko, co trzeba, O'Shaughnessy.

Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale dopilnuj, żeby okręt otrzymał właściwe imię i, do cholery, upewnij się, że Mikey będzie nim dowodził. Imię nowego okrętu ma brzmieć „Devilfish”.

Pacino zakaszłał, spojrzął na O'Shaughnessy'ego i oddał mu list.

- I co? - spytał O'Shaughnessy.

- Z czym?

- Co o tym myślisz?

Pacino zdał sobie sprawę, że nie zna odpowiedzi. To, że Donchez chciał (! nazwać nowy okręt imieniem jego pierwszego okrętu, wyglądało początkowo na głupi żart.

Potem wyobraził sobie spoczywający w suchym doku kadłub okrętu z wypisanymi na stateczniku białymi literami USS „Devilfish”, PEOA-1 i coś się w nim poruszyło, coś zaczęło się zmieniać. Podobne uczucie miał wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy czytał rozkaz szefa personalnego marynarki, nakazujący mu objąć dowództwo starego „Devilfisha”. Wtedy po raz pierwszy jego imię połączyło się z imieniem tego okrętu. Kiedy wyobraził sobie PEOA pod tym starym imieniem, poczuł jak wracają tamte lata i dawna pewność siebie. Spojrzął na O'Shaughnessy'ego.

- Nazwijmy go PEOA USS „Devilfish”. Trzeba powiadomić prezydent Warner, że będzie

gotowy na czas. I proszę się nie martwić o mnie ani o Zjednoczone Siły Podwodne. Zrobię wszystko, co trzeba.

-O'Shaughnessy uśmiechnął się, poklepał go po ramieniu i obaj poszli na obiad. Czując zapach smażonej ryby, Pacino pierwszy raz od roku poczuł głód.

Jednak potem, w wiozącym go do domu służbowym samochodzie, poczuł, jak energia go opuszcza, jak pustka z powrotem zajmuje jej miejsce. Nie było Eileen, nie było Doncheza. Może jednak należało zrezygnować?

Spojrzał na czapkę baseballową. Jak by to wyglądało, gdyby zamiast USS „Devilfish” SSN-666 było na niej napisane USS „Devilfish” PEOA-1? Czy zmieniłoby to coś w jego życiu?

Część trzecia

Decydujący krok

Poniedziałek 4 listopada

Szanghaj, Białe Chiny

Było parę minut po drugiej rano. Na morzu, kilka kilometrów od błyszczącego jak wielki klejnot Szanghaju, komputer pokładowy pocisku typu Lśniący Marsz zbadał układ gwiazd na bezchmurnym niebie i według niego ustalił dalszy kurs. Nadszedł już czas, żeby z powrotem skierować się na zachód. Tylne stateczniki dziesięciotonowego pocisku drgnęły, na żyrokompasie pojawił się nowy odczyt, w obiektywie umieszczonej na czubku pocisku kamery ukazały się światła miasta, odbite w znajdującej się pięć metrów niżej powierzchni wody, i pocisk przyspieszył do prędkości bojowej 1,2 macha. Kiedy przekraczał barierę dźwięku, targnął nim nagły wstrząs, ale tuż nad wodą nie towarzyszył temu zwykły huk. Światła Szanghaju rosły przed nim coraz szybciej. Jego cel - pałac otoczony murami, strzeżony przez oddziały piechoty i helikoptery - znajdował się w centrum miasta. Pocisk oznaczony był numerem jeden, jego cel był najważniejszy w tym ataku raketowym. Oprócz niego i trzech innych pocisków, również na uniemożliwiającej wykrycie wysokości, w stronę Szanghaju zmierzała eskadra myśliwców mig-51, z których cztery kierowały się na ten sam cel, co pocisk numer jeden.

Atak był skoordynowany. Pociski nadlatywały z czterech stron świata, jako pierwszy miał dotrzeć do celu pocisk numer jeden, pociski nadlatujące z zachodu, z południa i z północy miały uderzyć po nim w półtorasekundowych odstępach. Także kierujące się na pałac myśliwce miały nadlecieć w dwóch grupach, pierwsza w dziesięć sekund po ostatnim pocisku, druga trzydzieści sekund później. Żeby zmieścić się w czasie, pociski potrzebowały dokładnych wskazówek nawigacyjnych i korygowały swój lot według gwiazd i linii brzegowej.

Wybrzeże zbliżało się w zawrotnym tempie. Moc turboodrzutowych silników spadła, zwalniając prędkość lotu poniżej prędkości dźwięku. Pocisk odrobinę wyprzedzał wcześniej ustalony plan, który zresztą zakładał zbliżenie się do pierwszego punktu orientacyjnego na minimalnej prędkości. W polu widzenia pojawił się rzęsiście oświetlony budynek kasyna, zwany Pałacem Pik. Kryształowa fasada lśniła wszystkimi kolorami, sam budynek, wysoki, zgrabny drapacz chmur, również tonął w świetle. Mimo tak późnej pory kolorowe chińskie i angielskie napisy zapraszały graczy do środka. Kasyno było jednym z trzech punktów orientacyjnych, dzięki którym pocisk miał trafić do celu. Minąwszy budynek kasyna, skierował się na południe, w głąb lądu.

Sto metrów od Pałacu Pik pocisk skręcił na północny wschód i skierował się wprost do drugiego punktu orientacyjnego, którym był pomnik ku czci generała Wong Chena, zwycięzcy wojny domowej i założyciela Białych Chin. Pomnik miał formę dwustumetrowego, opartego rękojeścią o ziemię miecza, czubkiem ukośnie pochylonego w stronę morza. Całe niezwykle długie ostrze oświetlone było światłem reflektorów, a na jego końcu mrugało czerwone, ostrzegawcze światło. Pocisk numer jeden zrobił kilka rund wokół podstawy Miecza Wonga, po czym, zgodnie z programem misji, oddalił się na poszukiwania Pałacu Prezydenckiego.

Trzecim punktem orientacyjnym był hotel Hilton, wznoszący się na ponad czterysta metrów w nocne niebo. Ten olbrzymi gmach wzniesiono w rok po powstaniu Białych Chin, jako kolejny wyraz czci składanej kapitalizmowi. Światła hotelu widać było na morzu z odległości kilkudziesięciu kilometrów, a w poprzek wielkiego, czarnego cylindra jego bryły, biegł olbrzymi napis: HILTON. Pocisk minął hotel tak, jak powinien, w odległości, z której nie spowodował nawet drżenia szyb, i skierował się wprost na Pałac Prezydencki; przyspieszając do prędkości bojowej, ponownie osiągnął 1,2 macha.

Kiedy przeleciał nad trzydziestometrowej wysokości murem, otaczającym pałacowy kompleks, był spóźniony o pełne dwadzieścia trzy milisekundy. W jego zbiornikach pozostało niecałe dwadzieścia procent paliwa, więc, będąc lżejszy, z maksymalnie otwartymi zaworami, przyspieszył do 1,24 macha. Kiedy przelatował nad ogrodem, parę czarnych psów zmarszczyło pyski, podniosło głowy, ale nie zdążyło wydobyć głosu z gardła.

Pocisk przeleciał nad zewnętrznym pierścieniem budynków mieszkalnych i biurowych. Potem minął zaciemniony, centralny pierścień, w którym znajdowały się sypialnie personelu, i ponad trzecim, ostatnim rzędem budynków przeleciał nad piękny, rozległy dziedziniec. Na dziedzińcu znajdowało się kilkadziesiąt podświetlanych fontann, zgodnie ze wschodnimi zasadami budowy ogrodów cały teren podzielony był na wiele odrębnych zakątków, w których można było prowadzić swobodne, nieskrępowane rozmowy. Pośrodku dziedzińca, oświetlony jedynie odbłaskami światła padającymi z fontann, stał Pałac Prezydencki. Pałac, wysokości zaledwie trzech pięter, miał ponad kilometr długości. Fasada z włoskiego marmuru była zdobiona pilastrami, pośrodku budynku otoczone kolumnami wejście prowadziło do wysokiej rotundy, a schody kończyły się wymyślnie rzeźbionymi drzwiami z brązu. Prezydent mieszkał na trzecim piętrze północnego skrzydła pałacu, z jego okien rozciągał się piękny widok na rozległą zielen dziedzińca zamkniętą monumentalną ścianą wewnętrznego kręgu. Pośrodku jego mieszkania znajdowało się małe podwórko wykładane kaflami, pełne ogrodowych mebli i doniczkowych kwiatów, z basenem.

Czubek pocisku Lśniący Marsz uderzył w grubą, kuloodporną szybę okna prezydenckiej sypialni. Szkło popękało na drobne kawałki i rozprysło się na zewnątrz. Dla pokładowego komputera był to sygnał, że czas zdetonować ładunek. Kondensator, wysyłając silny, elektryczny impuls, pobudził zapalnik. Zapalnik rozjarzył się, przesyłając w głąb głowicy impuls rozpoczynający reakcję łańcuchową.

W ciągu paru milisekund pocisk, lecąc pod rzeźbionym, marmurowym sufitem, prawie piętnaście metrów nad wyłożoną twardym, polerowanym drewnem podłogą, przebył prawie całą długość sypialni. W tym momencie nie miał już stateczników, które zostały zniszczone przez grube szkło rozbitego okna, a reakcja łańcuchowa była w połowie drogi do ostatecznego wybuchu. W drugim z trzech stadiów reakcji głowica rozeszła się do temperatury stosu płonącego drewna. Trzecie stadium reakcji rozpoczęło się, kiedy pocisk był pięć metrów od łóżka śpiącego prezydenta. Na ciemnej powierzchni wciąż nie było widać wewnętrznego żaru, ale głowica miała teraz taką temperaturę, jaka panuje na powierzchni Słońca.

W końcu pocisk detonował i jego powłoka wyparowała. Głowica zanurzyła się w ognistą kulę rozjarzonej plazmy, i to, co przed chwilą było ciałem stałym, zamieniło się w płyn, potem w parę, a potem w gaz. Kiedy temperatura osiągnęła poziom termojądrowy, elektrony odłączyły się od atomów i rozbiegły się w przestrzeni, zostawiając naładowane energią jądra. Kula plazmy zaczęła się rozprzestrzeniać, promieniując z niej gorąco momentalnie zamieniło ciało prezydenta w obłoczek wrzącego gazu, który rozwiął się z prędkością dźwięku, pierzchając przed siłą wybuchu. Potem jego kości roztopiły się i wyparowały, wchłonięte przez ognistą kulę, która zajmowała teraz cały pokój. Jej energia wciąż rosła. Parę mikrosekund później wszystko stało się bombardowaną przez płonące fotony, deszcze protonów i neutronów, zalewaną przez fale elektronów otchłanią.

Na 1,5 milisekundy przed tym, zanim drugi pocisk uderzył w prezydencki pałac, plazma przekroczyła ściany prezydenckiej sypialni i poprzedzana ścianą płomieni zaczęła się

rozprzestrzeniać, niszcząc doszczętnie ściany i sufity sąsiadujących pokoi; w ułamku sekundy trzecie piętro w promieniu stu metrów od mieszkania prezydenta znikło, zamieniając się w jedną, wielką, czarną jaskinię.

Potem nadleciały pociski drugi, trzeci i czwarty. Z każdym uderzeniem to, co było kiedyś pałacem stawało się coraz bardziej niematerialne. Kiedy po wybuchu czwartego pocisku pomarańczowa, płonąca chmura w kształcie grzyba unosiła się nad miejscem, w którym stał pałac, na niebie pojawił się pierwszy myśliwiec. Zrzuciwszy bomby, samoloty rozproszyły się, żeby uniknąć strącenia. Dwadzieścia bomb Rewolucji Kulturalnej wpadło w czarnopomarańczową chmurę i wybuchając ze straszliwą siłą, dopełniło obrazu piekielnego zniszczenia. Ponieważ w pierwszych dwudziestu pięciu sekundach ataku na Szanghaj najważniejszy cel dosłownie zniknął z powierzchni ziemi, druga grupa samolotów nie zrzuciła tu bomb i ruszyła w kierunku celów drugorzędnych.

Dwie minuty po detonacji pierwszego pocisku w miejscu, gdzie przedtem dumnie wznosił się pałac, otoczony pięknym dziedzińcem i rozległym pierścieniem budynków, ział trzydziestometrowej głębokości czarny, spopielały krater. Ze środkowego rzędu budynków zostały zaledwie kupki cegieł i żużlu, zwoje przewodów elektrycznych, pojedyncze elementy zbrojenia murów, samotnie sterczące na tle ognistego nieba, i tężejące kałuże stopionego szkła. Z zewnętrznego pierścienia ocalało parę budynków, ale i te stały w ogniu. Dwa kręgi murów, zbudowane, żeby powstrzymać terrorystów i wszelkich innych niechcianych gości, zostały również prawie zrównane z ziemią.

W mieście sto dwadzieścia pięć innych pocisków typu Lśniący Marsz trafiło w swoje cele. Powstały w ten sposób chaos powiększony został przez sto myśliwców bombardujących. W porównaniu z tym, niczym były dokonane w zeszłym stuleciu zniszczenia Hiroszimy, Nagasaki, Drezna, Teheranu i Kairu. Z hotelu Hilton zostały tylko fundamenty i trzymetrowej wielkości litera H, leżąca na stercie na wpół stopionego szkła, które kiedyś było zewnętrzną windą, a Miecz Wonga był teraz bezkształtnym stosem granitowego pyłu.

Płonęły stojące w porcie statki, olbrzymi tankowice, pełen ropy naftowej, eksplodował ognistą kulą kilometrowej średnicy i przez miasto przeszła kolejna tej nocy fala uderzeniowa. Nie ocalał żaden mający więcej niż trzy piętra budynek. Nie widać było żadnego samochodu, wszystkie wykonane ze stali, żelaza czy gumy przedmioty, jeśli nie zostały zniszczone w wyniku wybuchów, spłonęły w szalejących w całym mieście pożarach. W promieniu dziesięciu kilometrów nie przetrwało ani jedno drzewo, ani jeden trawnik czy klomb. W promieniu dwudziestu kilometrów wokół Pałacu Prezydenckiego nie przeżyła ani jedna osoba. W promieniu dziewięćdziesięciu kilometrów szalały pożary, na płonących ulicach zataczali się poparzeni ludzie o szklistych oczach. Cicho płaczący mężczyzna niósł dwie córki, jedna z dziewczynek miała spaloną twarz, druga szeroko otwartymi oczami wpatrywała się nieruchomo w przestrzeń. Scenę tę sfilmował kamerzysta o okopconej twarzy.

Umieszczony na jego plecach przekaźnik natychmiast przesłał to do znajdującego się kilometr dalej wozu transmisyjnego, wóz przekazał tę scenę do satelity komunikacyjnego SNN, który przesłał sfilmowany na ulicy zniszczonego Szanghaju obraz do centralnej siedziby SNN w Denver, w stanie Kolorado, skąd obraz trafił do telewizji i użytkowników laptopów na całym świecie.

Kiedy w Szanghaju była druga rano w poniedziałek, czwartego listopada, na Wschodnim Wybrzeżu USA była dopiero druga po południu w niedzielę, trzeciego listopada. Już dziesiąty tydzień trwały rozgrywki Narodowej Ligi Footballu. Rozgrywający Dallas Cowboys złożył się do rzutu i cisnął daleką piłkę do skrzydłowego przechwytyjącego, Kevina McConkeya, gotującego się do przyjęcia w końcowej strefie Redskins. Piłka jeszcze szybowwała w powietrzu, kiedy obraz zniknął i na ekranie pojawiła się twarz reportera z biegnącym w dole ekranu napisem: PRZERWA NA WIADOMOŚCI - BIAŁE CHINY ZBOMBARDOWANE. Twarz reportera zastąpił obraz przedstawiający płaczącego ojca niosącego martwe, spalone ciała dwójki dzieci na Szanghajskiej ulicy.

- Przerwywamy program, żeby podać najświeższe wiadomości z Szanghaju, stolicy Białych

Chin. Parę minut po drugiej w nocy czasu wschodnio-azjatyckiego atak bomb zapalających zrównał miasto z ziemią. Zdjęcia te, udostępnione przez sieć SNN, pokazują jak straszne skutki...

Siedzący przed telewizorem doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Stephen Cogster postawił butelkę z piwem na stoliku do kawy i odpiął od paska telefon komórkowy. Przed podniesieniem go do ucha nacisnął tylko jeden guzik.

- Kod siedem, DBN do numeru pierwszego. Dajcie ją do telefonu. Powtarzam, kod siedem. Zanim minęto dziesięć sekund, usłyszał w telefonie jej głos. Prezydent Jaisal Warner była wściekła jak diabli.

10

Ubrana była w czarną spódniczkę mini. Stojąc na drewnianej platformie rusztowania, trzymała w rękach trzymetrowej długości rękajeść malarskiego wałka. To była Eileen. Długie, jasne włosy spadły jej na ramiona, kiedy zanurzała wałek w kubelku z czerwoną farbą. Wygięła się w łuk, kładąc farbę na łagodnie zakrzywioną ścianę nad sobą, parę kropel farby spadło na jej sukienkę. Nagle spojrzała na niego. Jej twarz była bezkształtną, krwawą miazgą. Nagle poczuł chęć, żeby wejść tam do niej i objąć ją, ale czuł też, że ona tego nie chce. Może wstydziła się swojej twarzy? Kiedy malowała ścianę zamasztyrmi, ale dokładnymi pociągnięciami wałka, wydawała się taka poważna, zupełnie inna niż kiedyś. Zanim zdążył się do niej odezwać, przemówiła pierwsza, nie poruszając ustami.

- Czerwone okręty podwodne, Mikey. Znowu będziesz z nimi walczył.

Jej postać zaczęła się oddalać, ściana nad nią zamieniła się w cylinder, na pierwszym planie pojawił się ster, cztery ramiona ogona, osłona turbiny napędowej. To był stojący w suchym doku PEOA, dół rufowej części kadłuba miał teraz krwiste czerwony kolor. Eileen wciąż się oddalała, nie przerywając malowania. Odwróciła się jeszcze w jego stronę i krzyknęła:

- Pośpiesz się, musimy już iść!

- Co? - zapytał wciąż zachrypniętym głosem.

- Proszę się pośpieszyć, sir, musimy już iść - to nie był już głos Eileen, to był głos jakiegoś mężczyzny. - Sir, czeka samolot O'Shaughnessy'ego. Powiedzieli, że pana zawiadomią.

Cholera! - zaklął Paully White, podnosząc do ucha nieczynny telefon i ciskając nim w kąt pokoju. - Sir, co pan robi w łóżku o wpół do trzeciej po południu? Chryste!

- A co ty tutaj robisz, Paully? Co się stało, do diabła? White znalazł pilota i włączył telewizor. Na ekranie ukazała się reporterka.

- ...czerwone dywizje przekroczyły granice Białych Chin w okolicach Zhengzhou i zajęły miasto w ciągu godziny. W tym czasie kilka dywizji pancernych przekroczyło północno-zachodnią granicę, wygląda na to, że mają zamiar opanować Xuzhou, główne miasto prowincji. Na południu kilkaset dywizji piechoty przekroczyło granicę w okolicach Quanzhou, prawdopodobnie kierując się na Hongkong. W środkowej części kraju przełęcz górska została obsadzona przez kilkanaście dywizji pancernych i piechotę, żeby odciąć południową część kraju od pomocnej. Przetransportowano je tam za pomocą setek bombowców, myśliwców i helikopterów Ludowej Armii Wyzwolenia. Mamy na razie tylko pobieżne doniesienia na temat walk w środkowej części kraju, ale wydaje się, że wojska Białych Chin zostały zupełnie zaskoczone nietypowym manewrem przeciwnika i wycofują się na całej linii, ponosząc duże straty. Czerwoni zbliżają się do wybrzeży Morza Wschodniochińskiego. Mówiła dla państwa Christie Cronkite z sieci SNN w Tsing-tao w Białych Chinach. Oddaję ci głos, Bernardzie.

- Dziękuję, Christie. Łączymy się ponownie z Hongkongiem, który parę minut temu został zaatakowany z powietrza. Jest tam Brett Hedley. Brett, mógłbyś nam powiedzieć, co się teraz dzieje? Brett? Brett? Z przyczyn technicznych połączenie jest niemożliwe, wrócimy do niego za chwilę. Dla tych, którzy dopiero włączyli odbiorniki, powtórzę: Czerwone Chiny zaatakowały Białe Chiny, wygląda na to, że jest to największa ofensywa lądowa od czasu

Bitwy o Iran. Teraz połączymy się z naszym korespondentem spod prezydenckiego domu zimowego w Teton Yillage w stanie Wyoming. Dianę...

White wyłączył telewizor i cisnął pilota na łóżko. Pacino przez chwilę patrzył na ciemniejący ekran szeroko otwartymi oczami, po czym spojrzął na Paully'ego.

- Co do diabła...

- Możemy pooglądać więcej wiadomości na pokładzie 777 O'Shaughnessy'ego. Mamy być za godzinę w bazie lotniczej w Andrews. Pacino wstał, poszedł do łazienki i odkręcił prysznic. White usiadł na łóżku i znowu włączył wiadomości.

Droga Stanowa Maryland 50/1-595 Okolice Bowie, Maryland

Służbowy lincoln mknął naprzód z prędkością dwustu kilometrów na godzinę.

Tym razem policja stanowa nie została ostrzeżona, ponieważ wszystkie telefony, wszystkie częstotliwości radiowe i połączenia sieciowe były zajęte. Kiedy wyprzedził ich radiowóz z włączonymi, migającymi na dachu kogutami, kierowca lincolna zignorował go. Wtedy kierowca radiowozu zrównał się z nimi i gestem ręki kazał im zjechać na pobocze. Paully White nacisnął w swoim telefonie satelitarnym jakiś guzik i okna samochodu rozjaśniły się, wpuszczając do środka ostre, popołudniowe słoneczne światło. Wciąż rozmawiając przez telefon, przyłożył do szyby podaną przez jadącą z przodu adiutantkę tabliczkę z napisem: BAZA SIŁ LOTNICZYCH ANDREWS. To wystarczyło, policjant zsalutował im, włączył syrenę i ruszył do przodu.

- Słyszałeś, co powiedziałem? - Paully White znów zaciemniał okna - dotyczy to wszystkich okrętów podwodnych Floty Pacyfiku. Macie dwie godziny, żeby ściągnąć załogi i uzupełnić zapasy. Biercie tylko konserwy.

Już teraz włączcie reaktory i kiedy tylko będzie można, wypływajcie w morze. Tak, powiemy im, kiedy będą na otwartym morzu. Usłyszą to w odpowiednim czasie bezpośrednio od admirała Pacino. Zrozumiano? No to cześć.

- Co z Flotą Atlantycką? - spytał Pacino.

- Możemy ich zmobilizować, ale wtedy Atlantyk pozostałby bez ochrony, a dotarcie do Chin zajęłoby im z trzy tygodnie. To jest blitzkrieg, admirale. Czerwoni dotrą nad brzeg Morza Wschodniochińskiego w tydzień, może jeszcze szybciej, i wtedy będzie już po wszystkim. Warner musi uderzyć błyskawicznie.

- Chiny to cholernie duży kraj, Paully. Nie uda im się dokonać tego w tydzień. Nawet gdyby napotkali minimalny opór, potrzebowaliby miesiąca na dotarcie do wybrzeża i skonsolidowanie sił. Na szczęście nie zabili Wong Chena. W momencie ataku był za miastem z kochanką. A Warner ma Siły Szybkiego Reagowania już na pokładach okrętów Floty Pacyfiku.

- To prawda. I właśnie odbijają od brzegu.

- Żartujesz.

- Proszę przeczytać, sir. Okręty wypływają w morze i zbierają się w okolicy Shikoku. Konwój wyruszy za około sześć godzin. Są już w drodze.

- To znaczy, że Warner czegoś się nauczyła - powiedział Pacino, przypominając sobie jej niezdecydowanie w czasie blokady Japonii.

- Więc co pan zdecydował w sprawie Floty Atlantyckiej? - zapytał White. - Niech ładuje zapasy i wypływa. Grupa Norfolk popłynie pod lodową pokrywę polarną, Grupa Kings Bay przez Kanał Sueski. Załozę okrętu, który pierwszy dotrze na Morze Wschodniochińskie, stawiam kolację. A przy okazji zobaczymy, jak długo to może potrwać.

- Admirale! - zawołała z przodu Kathy Cressman. Kiedy przebywał w Norfolk, była jego asystentką, teraz pracowała dla jego zastępcy, admirała Kane'a. - Na SNN Warner

wyłasza oświadczenie. Przełączę to na pański ekran.

Jackson Hole, Wyoming **Posiadłość prezydencka w Teton Yillage**

Szczyty Gór Tetońskich, „Amerykańskich Alp”, znane z setek obrazów i tysięcy pocztówek, wznosiły się piętnaście kilometrów na północ.

Miasteczko narciarskie Teton Yillage było położone na skraju Tetońskiego Parku Narodowego, u podnóża góry o podwójnym szczycie, na zboczach której, po wycięciu szerokich pasów jodłowego lasu, powstały trasy narciarskie. Potężne podpory wyciągu krzesełkowego i kolejki linowej wyglądał z oddali jak szczeble drabiny. Na zboczach kłębił się tłum ludzi, w jasnych promieniach listopadowego słońca wyglądających jak kolorowe punkciki. To małe do niedawna, zapomniane miasteczko od trzech lat oblegane było przez fotoreporterów, dziennikarzy, agentów tajnych służb i turystów, którzy nigdy nie jeździli na nartach i nigdy nie zamierzali tego robić.

Posiadłość prezydencka była czymś więcej niż zwykłą górską chatą. Na górze, pod spadzistym dachem, znajdowało się parę pomieszczeń pełniących funkcję salonów, a także prezydencka sypialnia i duża jadalnia z kamiennymi kręgami do rozpalać ognia. Na dwóch niższych piętrach znajdowały się pokoje gościnne, mały kryty basen, i bar ze stołami bilardowymi. Służby Specjalne miały miejsce na parterze, korpus prasowy i członków gabinetu umieszczono na pierwszym piętrze.

Pani prezydent zeszła w dół po schodach. Ubrana była w sweter, spodnie narciarskie i ciepłe, futrzane buty. Na czole miała okulary przeciwsłoneczne. Jej złote włosy w ostatnich dwóch latach przyprószyła siwizna, ale wyglądało to bardzo korzystnie. Skórę miała wciąż świeżą i gładką, nie licząc zmarszczek od słońca. Była wysoka, miała figurę szczupłej trzydziestolatki, mimo że tort z jej trzydziestych urodzin został zjedzony prawie dwie dekady temu. Jako pierwsza kobieta w historii USA z dumą nosiła tytuł prezydencki. Udało jej się zażegnać kryzys, który mógł skończyć się dla niej klęską. Kryzys ten pojawił się w czasie blokady Japonii. W wyniku niezdecydowania amerykańskiego dowództwa, Marynarka Wojenna USA poniosła straty tak wielkie, że konflikt omal nie skończył się przegraną. W ostatniej chwili Warner przejęła kontrolę i doprowadziła do zwycięstwa. Mimo że zatoneły trzy eskadry okrętów transportowych z tysiącami żołnierzy na pokładzie, nie zaszkodziło to Warner. Niepowodzenie skonsolidowało wokół niej naród. Uzyskała najwyższe poparcie społeczne od czasów George'a Busha po zakończeniu pierwszej wojny w Zatoce Perskiej.

Notowania pozostały wysokie do czasu, kiedy Eve Trachea, jej przeciwniczka w najbliższych wyborach z ramienia Partii Narodowej, zarzuciła niegospodarność Departamentowi Wojny, który utopił trylion dolarów w programie okrętu podwodnego NPOA. Karykatury prasowe zaczęły przedstawiać Warner w stroju kłowna, patrzącą przez złamany peryskop, w zalewanym wodą wnętrzu okrętu podwodnego. Warner wyjechała do Wyoming, żeby z dala od tego nieprzyjaznego zgiełku opracować strategię swojej reelekcji. Wysiadała właśnie z wagonika kolejki górskiej na szczycie góry Apres Voux, kiedy ktoś z obstawy wręczył jej telefon komórkowy.

Dzwonił z dołu sekretarz wojny. Kiedy stała tak z nartami w jednej ręce, z telefonem w drugiej, jej twarz chmurzyła się coraz bardziej.

Czerwoni zaatakowali terytorium Białych Chin, ale nie poprzestali na zabijaniu żołnierzy i niszczeniu celów wojskowych; masowo mordowali cywilów, bombardując najgęściej zaludnione miasta pociskami plazmowymi.

Do chwili, w której odebrała ten telefon, zginęły dziesiątki milionów ludzi, a od początku agresji upłynęło zaledwie kilka minut. Kiedy tylko skończyła rozmowę, telefon zadzwonił ponownie. Tym razem z Białego Domu dzwonił Stephen Cogster, jej doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, który po pogrzebie Doncheza został tam jeszcze na parę dni,

chcąc pozatrwiać przed powrotem pewne sprawy.

- Nie uwierzysz, co właśnie zobaczyłem - powiedział Cogster swoim charakterystycznym, miękkim głosem, co było mylące, ponieważ potrafił być bardzo wymagający i niemiły dla ludzi.

Dziewięćdziesiąt minut później przedstawiciele prasy zebrali się wokół podium ustawionego u stóp schodów prowadzących do posiadłości prezydenckiej. Prezydent Warner weszła na podium i oparła się dłońmi o mównicę.

- Witam was, Amerykanie - powiedziała, patrząc w kamery. - Witani członków Kongresu, wszystkich przedstawiciele prasy i mediów. Chciałoby się powiedzieć dzień dobry, ale nie jest to dobry dzień dla ludzi miłujących pokój i wolność. Niecałe dwie godziny temu Czerwone Chiny zaatakowały pokojowo nastawione Białe Chiny, naszych przyjaciół i sojuszników, brutalnie mordując tysiące - a być może - miliony cywilów, niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci, z których większość zginęła we śnie, w wyniku ataku bombowego na trzydzieści cztery największe miasta kraju. Mamy doniesienia o utworzeniu obozów zagłady, w których mają zostać zamknięci wszyscy polityczni wrogowie Czerwonych Chin. Szacując oględnie, przez ostatnie półtorej godziny zginęło więcej Azjatów niż w czasie całej II wojny światowej. Warner zawiesiła głos i słychać było tylko monotony szum kamer i ostre dźwięki fleszy. Obrzuciła obecnych zimnym jak lód spojrzeniem błękitnych oczu i zacisnęła pięści.

- Jest rzeczą oczywistą, że Stany Zjednoczone nie będą patrzeć beczynnym na zagładę swego sojusznika. Wydałam już rozkazy, kierujące Siły Szybkiego Reagowania i całą Flotę Pacyfiku w kierunku wybrzeży Białych Chin. W tej chwili są już w drodze. Stany Zjednoczone całą mocą swojego oręża zamierzają powstrzymać tę krwawą inwazję. W ciągu godziny zwołam za pomocą inteltele nadzwyczajne posiedzenie Kongresu, na którym, jako głównodowodząca, poproszę o pełnomocnictwo na użycie całej siły militarnej naszego kraju przeciwko Czerwonym Chinom. W najbliższych dniach wszystkie siły lądowe, morskie i powietrzne Ameryki staną u boku Białych przeciw nieludzkim potworom z Czerwonych Chin. Zwracani się do słuchających mnie teraz naszych przyjaciół w Białych Chinach: trzymajcie się, odsiecz już nadchodzi. A do tych z Czerwonych Chin mówię: wycofajcie się, w przeciwnym wypadku zginiecie.

Warner znów spojrzała w kamery, a potem rozejrzała się dookoła jak nauczycielka sprawdzająca, czy wszyscy uczniowie zrozumieli treść lekcji.

- Mówię do wszystkich Amerykanów: z Bożą pomocą Białe Chiny i Ameryka zwyciężą. Dziękuję, panie i panowie, to wszystko.

Kiedy skończyła, kamerzyści rzucili się w jej stronę, setki głosów wykrzykiwało tysiące pytań, które odbijały się echem w całej dolinie.

- Co z aliantami?

- Prezydent Unii Europejskiej rozmawiał z panią...

- Czy zaatakujecie Pekin...

- Rosyjski premier w Londynie...

- Naloty bombowe...

- Broń nuklearna...

- Co z Japonią?

- Wypowiemy wojnę?

- Pani prezydent!

Warner bez pośpiechu wchodziła po schodach wiodących do położonego w górze domu. Jej szczupła sylwetka miała w sobie coś królewskiego.

Niedziela 3 listopada

60 kilometrów na południowy wschód od Pittsburga
12 kilometrów nad ziemią

Pacino patrzył przez okno na przesuujące się w dole odległe pustkowia. Samolot powoli wspinał się na właściwy pułap lotu.

Wrócił myślami do Dicka Doncheza, tęskniąc za nim, zastanawiając się, co on by zrobił w jego sytuacji. Zamknął oczy, oparł czoło o szybę okna i pomyślał o Eileen. Za nią także tęsknił, ale ku własnemu zaskoczeniu, mniej niż za Donchezem. Wydało mu się, że śmierć Dicka otwierała w jego życiu nowy rozdział, w którym nie było już miejsca ani dla Eileen, ani dla Doncheza. Czy to było w ogóle możliwe? Czy mógłby nie czuć bólu ich utraty?

Do diabła, jeśli chce zachować swoje stanowisko, musi otrząsnąć się z takich myśli.

Przypomniał sobie sen o Eileen bez twarzy, o PEOA, a równocześnie słowa Doncheza o okrętach podwodnych Czerwonych.

Teraz, kiedy Czerwoni zaatakowali, zastanawiał się, co Donchez wtedy próbował mu powiedzieć? Do tej pory uważał, że było to majaczenie umierającego człowieka. A może jednak nie?

Ktoś zapukał w drzwi kabiny, którą zajmował razem z Paullym White'em i Kathy Cressman, co prawdopodobnie znaczyło, że O'Shaughnessy wzywa ich na zebranie do przedniej kabiny. Cressman spojrzała na niego, a on skinął głową.

- Proszę wejść - powiedziała głośno.

W otwartych drzwiach ukazał się młody, uśmiechnięty mężczyzna. Z jasnymi oczyma, dużym, spiczastym nosem, mocnymi szczękami i wystającym podbródkiem. Wyglądał dziwnie znajomo, ale Pacino był pewien, że widzi go pierwszy raz w życiu. Sprawiał wrażenie baseballisty. Miał na sobie ciemny, sportowy płaszcz, narzucony na zapiętą pod szyję lnianą koszulę bez krawata, spodnie w kolorze khaki i górskie buty.

Pacino już miał mu powiedzieć, że najwyraźniej pomylił kabiny, kiedy zwykle tak opanowana Kathy Cressman podbiegła do drzwi i rzuciła mu się na szyję.

- Jack! Jack Daniels, skurczybyku! Gdzieś ty był? - zapiszczała.

- Głównie grałem w golfa - padła zwięzła odpowiedź. Pacino spojrzał na Paully'ego, który tylko ze zdziwieniem uniośł brwi. Cressman odstąpiła od nieznajomego i rumieniąc się poprawiła ubranie i włosy.

- Przepraszam, admirale. Zna pan Jacka Danielsa?

- Muszę porozmawiać z admirałem - mruknął Daniels i wyciągnął do niego swoją dużą dłoń. - Jestem Daniels. Mason W. Daniels czwarty. Dyrektor - tymczasowy dyrektor - Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Wszyscy mówią mi Jack.

- A jak mówią do pana pańscy przyjaciele? - spytał Pacino, wyciągając dłoń do powitania.

- Tak samo - odpowiedział Daniels, cofając swoją dłoń, zanim Pacino zdążył ją uścisnąć. -

Do diabła, admirale. Chyba z osiemnaście razy próbowałem się z panem połączyć przez pański cholerny laptop. Dick Donchez powiedział: Zadzwoń do Mikeya, to nie będzie żadnych problemów. I co? Gówno prawda. Kathy powinna spytać pana, a nie mnie, gdzie pan był.

- Miło było pana poznać - powiedział Pacino. - Jestem jednak pewien, że nam pan wybaczy, jeśli...

- Nie próbowałem pana złapać bez powodu. Chciałem do pana podejść na pogrzebie Dicka, ale wyglądał pan jak żywy trup. Potem dzwoniłem do pana domu w Annapolis, Kathy powiedziała mi, że pana tam zastanę. Bez odpowiedzi. Więc przestałem dzwonić.

Pacino nie był tym zaskoczony. Po pogrzebie sam wyłączył telefon, żeby nie wydzwaniali do niego dziennikarze. Usiadł i gestem zaprosił Danielsa, żeby zrobił to samo.

- Więc dlaczego próbował pan mnie złapać? - spytał, czując się jakoś niezręcznie wobec zdenerwowanego szefa agencji.

- Kto to jest? Kapitan White?

- Przedstawiam panu Paully'ego White'a, szefa mojego personelu - powiedział Pacino, awansując go nieco w tym momencie. - Może pan wszystko przy nim mówić.

- Miło mi pana poznać. Od razu przejdę do rzeczy. Dwudziestego trzeciego października sześć japońskich okrętów klasy Wschodzące Słońce wyszło w morze...

- Wiem o tym - przerwał Pacino. - Znam admirała Tanakę.

- Więc wie pan, dlaczego zatoneły?

- Zatoneły? O czym pan mówi?

Daniels wy smarkał nos w wyjętą z kieszeni chusteczkę.

- Przepraszam, właśnie przez to przekłete przeziębienie nie podaję ręki. A więc, w momencie zatonięcia wszystkie te okręty uczestniczyły w wideo-konferencji z pańskim Tanai% Mam to na dyskietce - schował chusteczkę i rzucił dyskietkę do Pacina, który złapał ją w locie.

- Dlaczego mi o tym nie doniesiono? - zapytał Pacino.

- Jezu, dlaczego mu o tym nie doniesiono! A gdzie pan był dwudziestego czwartego października, kiedy Kathy próbowała pana umówić na tę nagle zwołaną wideokonferencję? Pacino zagryzł usta. Wymigał się od udziału w wideokonferencji, mówiąc, że ma zbyt dużo pracy w stoczni. Spotkał się wówczas z Colleen O'Shaughnessy w sprawie coraz bardziej złośliwych wirusów w systemie komputerowym okrętu.

- Wobec tego ja panu powiem, co pan wtedy robił. Wypiął się pan na to, tak jak wypiął się pan na moje próby skontaktowania się z panem. Jakie jest pana następne pytanie? Pacino rzucił okiem na White'a, który wzruszył ramionami.

- Dobrze, moje następne pytanie brzmi: jak zdobyliście tę dyskietkę? Od Tanaki?

- Nie - odpowiedział Daniels. - Jesteśmy Agencją Bezpieczeństwa Narodowego. Odbieramy, nagrywamy i dekodujemy transmisje. Jasne?

- Rozumiem, co pan mówi - powiedział Pacino, zastanawiając się, kiedy Warner przestanie się zachowywać w ten sposób.

- No, więc co jest na tej dyskietce? - spytał Paully.

- Po prostu wszystkie okręty pozniwały jeden po drugim. Było to już po zakończeniu manewrów. Według Dicka należy zwrócić uwagę na fakt, że zniknęły w zanurzeniu peryskopowym. Chciał, żebym jak najszybciej skontaktowałem się z panem.

- Dlaczego więc pan tego nie zrobił?

- Przecież mówiłem już, że dzwoniłem z osiemnaście razy.⁸⁷

- Mógł pan złapać przez Davida Kane'a, przez Paully'ego White'a albo choćby przez Kathy.

- Mogłem, ale tego nie zrobiłem. Donchez wciąż powtarzał, że pan na pewno zadzwoni, a pan nie dzwonił, a ja byłem troszeczkę zajęty całą tą sprawą z Czerwonymi Chinami.

- Więc już wcześniej było coś o tym wiadomo?

- Przepraszam, nie mogę nic na ten temat powiedzieć. Nie jest pan w wąskiej grupie dopuszczonych do tych informacji.

- Donchez na pewno by mi powiedział - stwierdził Pacino. Daniels przez chwilę walczył ze sobą, aż wreszcie skapitulował.

- No dobrze, przechwyciliśmy mnóstwo meldunków i rozszyfrowywaliśmy je praktycznie na bieżąco. Wiedzieliśmy o mobilizacji i o przemieszczeniu lotnictwa. Na trzy dni przed inwazją Ludowa Armia Wyzwolenia zniknęła z eteru. Zupełnie zamilkli. To było przerażające. Zupełna cisza, nawet nie zażądali z Pekinu uzupełnienia dostaw papieru toaletowego. Nic.

- To był efekt zagłuszenia?

- Nie. Po prostu nie było żadnej łączności. Odbieraliśmy tylko rozrywkowe programy telewizyjne, transmisje sieciowe - wszystko z Białych Chin -rozrywkowe i muzyczne programy radiowe. A potem, w niedzielę - bum.

- Mieli wcześniej przygotowane rozkazy operacyjne - stwierdził Pacino.

- Oczywiście, admirałe - odrzekł Daniels i uśmiechnął się ironicznie -Donchez mówił wprawdzie, że jest pan bystry, ale nie wspominał, że ma pan smykałkę do takich oczywistych

stwierzeń.

Tutaj przesadził. Pacino miał już wybuchnąć, kiedy dyrektor agencji wstał, wyraźnie szykując się do wyjścia.

- Cóż, skończyłem na dzisiaj służbę. Donchez mówił, że powinien pan o tym wszystkim wiedzieć. No to teraz pan wie. A to jest moja karta. - Daniels wręczył mu elektroniczną kartę, która, umieszczona w laptopie, łączyła użytkownika z jej właścicielem. - Proszę zadzwonić, jeśli bym pan potrzebował. Za osiemnastym czy dziewiętnastym razem na pewno odbiorę. I zatrasnął za sobą drzwi.

- Miły facet - powiedział White.

- Wkurzający - odparł Pacino. - Zbierz jego dane.

- Już je mam - odpowiedział White, zaglądając do swojego laptopa. - Nie ma tego zbyt dużo.

Mason W. Daniels IV, skończył Princeton w 2001 roku, ze specjalizacją z języka angielskiego, potem studiował prawo na Harvardzie, dyplom uzyskał w 2004 roku, od początku służył w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, najpierw jako zastępca dyrektora do specjalnych poruczeń.

- Kto był wtedy dyrektorem?

- Generał Mason W. Daniels III - White spojrział na niego ze zdziwieniem w oczach. - Jezu, on jest synem Masona Danielsa!

- O, kurczę - powiedział tylko Pacino. Generał Mason Daniels, poprzednik Doncheza, legenda amerykańskiego wywiadu, człowiek, który uratował Agencję Bezpieczeństwa Narodowego w czasie przeprowadzanej na siłę reorganizacji wywiadu, a także zasłużył się wieloma śmiałymi posunięciami wywiadowczymi, jako pierwszy ostrzegł przed wybuchem chińskiej wojny domowej.

Jackson Hole, Wyoming Posiadłość prezydencka w Teton Yillage

Osiem czarnych landroverów chrzęściło kołami na ubitym śniegu, zbliżając się do tylnej bramy posiadłości prezydenckiej.

Pacino przygryzł wargę, zastanawiając się, jak będzie wyglądać to spotkanie. Zebranie na pokładzie 777 O'Shaughnessy'ego nie doszło do skutku, mimo że razem z nimi leciała na wezwanie prezydent Warner połowa waszyngtońskiego establishmentu. Kiedy Daniels wyszedł z ich kabiny, Pacino wysłał Kathy, żeby sprawdziła, jak wygląda sytuacja. Kiedy wróciła, powiedziała, że przewodniczący rady dyrektorów agencji wraz z szefem sztabu generalnego są u O'Shaughnessy'ego i nie można im przeszkadzać. Wyszli stamtąd dopiero wtedy, kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania.

Z pasażerami jadących przed nimi landroverów odbyli wspólny lot, ale nawet nie zdążyli się przywitać. Na przedzie jechał ze swoimi współpracownikami Stephen Cogster, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Za nim jechał sekretarz stanu Freddy Masters ze swoim personelem. W trzecim samochodzie - dyrektor Zjednoczonej Agencji Wywiadowczej, Christopher Osgood. Następny - Mason „Jack” Daniels. Potem przewodniczący rady dyrektorów agencji Bili Pinkenson. Za nim generał James Baldini, szef sztabu generalnego, potem admirał O'Shaughnessy i na końcu Pacino i White.

Gdy przybyli na miejsce, otoczyli ich agenci służb specjalnych i uzbrojeni po zęby marines, wzięli ich bagaże, przeprowadzili przez wykrywające metal bramki, kierując do pokoiów na dolnej kondygnacji domu. Pacina zaprowadzono do korytarza z rzędami drzwi po obu stronach. Na jednych z nich widniała tabliczka z trzema złotymi gwiazdami na błękitnym polu, z napisem: ADM. M. PACINO, DOW. ZJEDN. SIŁ PODW. Pacino poczuł się niezręcznie. Dlaczego właściwie towarzyszył tutaj O'Shaughnessy'emu, jeśli od chwili ich sobotniej, niezwyklej co prawda, ale raczej osobistej rozmowy, nie zamienili ze sobą ani słowa?

Widocznie to Warner chciała, żeby szef przywiózł tutaj Pacina. Ale dlaczego? W Białych Chinach wojna toczyła się na lądzie. Rzecz jasna, do przewiezienia wojsk na miejsce trzeba będzie użyć marynarki i lotnictwa, i na pewno dojdzie do inwazji z morza, którą trzeba będzie osłaniać i wspierać skoordynowanymi działaniami lotniskowców, ale to wszystko były sprawy innych dowódców. On dowodził siłami podwodnymi. Jediną rzeczą, którą mógł zrobić w tej sytuacji, było wysłanie wraz z płynącymi na odsiecz siłami dwóch okrętów podwodnych klasy 6881. Te okręty - „Annapolis” SSN-760 i „Santa Fe” SSN-763 - poddane zostały ostatnio gruntownej modernizacji. Po blokadzie Japonii umieszczono je w suchych dokach. W zupełności wystarczą jako eskorta konwoju, wykryją i zniszczą wszystkie jednostki pływające oraz miny, które staną im na drodze.

Jednak wszystko wskazywało na to, że był tu właśnie dlatego, że znał się na okrętach podwodnych. Jack Daniels wspomniał o tajemniczym zaginięciu japońskich okrętów podwodnych. Może jednak należy poważniej potraktować ostatnie słowa Dicka Doncheza? Wszedł do przydzielonego mu pokoju. Po lewej stronie, pod ścianą, stało olbrzymie łóżko z dwoma dębowymi stolikami nocnymi po bokach, a na ścianie po prawej znajdowało się wielkie okno. Pacino rzucił okiem na miasteczko w dole, po czym wyciągnął z teczki swojego laptopa i usiadł z nim na łóżku. Błyskawicznie stukając w klawisze, znalazł w menu morską mapę tej części Azji, w której leżały Chiny, i wstukał polecenie pokazania głębokości wód. Tak jak pamiętał, wejście na Morze Wschodniochińskie było chronione przez długi łańcuch wysp Ryukyu. Morze w tych okolicach miało prawie dwa kilometry głębokości, ale już sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód Morze Wschodniochińskie na całej swej szerokości nie osiągało nawet dwustu metrów głębokości. W tych płytkich wodach, odbijające się od piaszczystego dna dźwięki sonaru rozchodziły się niezwykle daleko. Dla okrętów podwodnych miało to swoje dobre i złe strony. Dobre było to, że można było usłyszeć płynący na powierzchni statek z odległości setek mil, z drugiej jednak strony w tak płytkich wodach trudno było znaleźć bezpieczną kryjówkę, a przecież właśnie zdolność do niespodziewanego pojawiania się i znikania stanowiła podstawowy atut okrętów podwodnych.

Działające w powietrzu i na powierzchni Morza Wschodniochińskiego jednostki topiące okręty podwodne nie będą miały zbyt trudnego zadania. Fregaty i służące do walki z okrętami podwodnymi helikoptery bez trudu odnajdą swoje ofiary.

Wrócił myślami do Jacka Danielsa. Daniels próbował się z nim skontaktować w sprawie zatonięcia japońskich Wschodzących Słońc, uważając, że jego informacje są tego warte. Donchez doszedł do wniosku, że fakt, iż wszystkie okręty zginęły już po manewrach, będąc w zanurzeniu peryskopowym, jest nie bez znaczenia.

Donchez mówił coś o okrętach podwodnych Czerwonych, z którymi Pacino znowu będzie musiał walczyć. O co w tym wszystkim chodziło? A może Wschodzące Słońca wcale nie poszły na dno, tylko zostały w jakiś sposób przechwycone przez Czerwonych? Może Czerwoni mają teraz w swoich rękach najnowocześniejsze jednostki podwodne na świecie, uzbrojone w torpedy plazmowe Nagasaki II i mogą tych torped użyć przeciwko Siłom Szybkiego Reagowania? Czy Czerwoni właśnie teraz zaatakowali Białych, bo mają w zanadrzu tę niespodziankę?

Donchez miał raka płuc. Ale opiekujący się nim lekarz powiedział, że wykryto u niego także przerzuty do mózgu. Pacino nasłuchiwał się wystarczająco dużo o raku płuc od starego Gambiniego, który obsługiwał sonar na „Piranii”. Jego żona, Maureen, zmarła na raka mózgu i w ostatnim roku życia rzadko rozpoznawała członków rodziny, złośliwie przyjaźniom, których przedtem uwielbiała, i pluła na labradora, swojego dawnego ulubieńca. Jeśli utraciła zdolność logicznego myślenia, czy tak samo było w wypadku Doncheza? Czy to, co mówił o okrętach podwodnych Czerwonych, nie wynikało z choroby, czy nie był to po prostu wytwór jego fantazji?

Jak ma się ustosunkować do tego, kiedy wezwano go, żeby pomógł Warner podjąć decyzję? Jeśli jej powie, że Morze Wschodniochińskie nie jest całkowicie bezpieczne, a ona wycofa

płynące na odsiecz okręty, żeby jego okręty podwodne mogły je przeszukać, co się wtedy stanie? Dwóm eskortującym konwój okrętom podwodnym przeszukanie całego morza zajęłoby miesiące, a stacjonujące w Pearl Harbor okręty straciłyby tydzień na samo dotarcie na miejsce i potem jeszcze miesiące na sprawdzenie obszaru operacyjnego. Jeśli odsiecz nie przyjdzie na czas, Czerwoni wygrają wojnę. Jak powiedział Paully, Warner musi uderzyć natychmiast. Każda zwłoka bardzo zaszkodziłaby jej pozycji. Czyż nie powiedziała naszym przyjacielom w Białych Chinach, że odsiecz już jest w drodze?

Siły Szybkiego Reagowania i Flota Pacyfiku są w niebezpieczeństwie. Sto dziesięć wysłanych na odsiecz okrętów może nigdy nie dotrzeć do brzegu. Więc ma jej poradzić, żeby zawróciła je z drogi?

Pacino dostał Krzyż Marynarski za odwagę, ale też stracił dwa okręty podwodne. Może Warner uważa go za asekuranta? Przecież konwoju broniły uzbrojone po zęby fregaty i niszczyciele, dysponujące bombami głębinowymi i skomputeryzowanymi torpedami, zaopatrzone w sonary głębinowe i szeregowo łączone sonary linearne, w sonary pokładowe, w boje sonatowe i helikoptery seahawk V. Poza tym, lotniskowce dysponowały trzema eskadrami odrzutowców wolnego lotu blackbird S-14, przeznaczonych do walki z okrętami podwodnymi. Na pokładzie każdego z nich znajdowało się ponad tysiąc boi sonarowych, detektor anomalii magnetycznych i parę potężnych torped. Na lotniskach w Japonii czekało dziesięć większych jeszcze od 757 samolotów patrolowych pegasus P-5, z których każdy miał na pokładzie wielki wykrywacz okrętów podwodnych i osiem torped głębinowych. Czym się Donchez martwił? Pacino podszedł do stolika z telefonem, znalazł na ozdobionej prezydencką pieczęcią liście numer Paully'ego Whi-te'a i wcisnął cztery guziki.

- Kapitan White.

- Paully, to ja. Mógłbyś tu przyjść?

12

Admirale Pacino, pani prezydent zaprasza pana na spotkanie - powiedziała młoda urzędniczka i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Szefie, umieram z ciekawości - powiedział White.

- Przykro mi, Paully, ale sekretarze i adiutanci nie mają tam wstępu - odpowiedział Pacino z irytacją w głosie. Wezwano go dopiero teraz, choć spotkanie trwało już od dobrych trzech godzin. Kiedy zadzwonił do biura szefa do spraw personelu, sekretarka powiedziała mu, że pani prezydent wezwie go, kiedy będzie potrzebny.

Prawie cały wieczór spędzili z Paullym, oglądając nagranie z wideokonferencji Tanaki z okrętami podwodnymi, które później zniknęły. Oglądali to klatka po klatce i wszystko wyglądało normalnie, o ile można było wywnioskować z tłumaczenia dokonanego przez wywiad. W czasie przerw oglądali wiadomości. Nawet reporterzy SNN zaczęli się z czasem powtarzać. Czerwoni nieustannie posuwali się coraz dalej w głąb kraju, koncentrowali siły na pomocy i nękali Hongkong nalotami i atakami rakietowymi. Właśnie w czasie bombardowania Hongkongu zginął znany reporter Brett Hedley. Cały świat parę razy obejrzał nagranie przedstawiające jego śmierć w wyniku wybuchu bomby zapalającej, potem jednak kierownictwo SNN uznało, że sceny te są zbyt drastyczne i przestano je nadawać.

Pacino zadzwonił po swój samolot służbowy, ponaddzwiękowy grumman SS-12, który właśnie przeszedł przegląd w warsztatach bazy Norfolk. Samolot miał przylecieć około północy i Pacino rozkazał pilotowi, żeby nie oddalał się z lotniska.

- Paully, przeglądaj dalej nagranie i dopilnuj SS-12. Sądzę, że wkrótce stąd wyjedziemy.

Warner nie będzie tracić czasu, więc bądź gotowy. W razie czego prześpijmy się w samolocie.

- Tak jest, sir. Powodzenia.

U dołu masywnych, drewnianych schodów czekała na niego ubrana w kostium urzędniczka z identyfikatorem na szyi. Kiedy go zobaczyła, powiedziała coś do trzymanego w ręku małego

walkie-talkie i zaprowadziła go schodami na górny poziom. Pacino wszedł do dużego pomieszczenia z przeszkloną ścianą, przez którą widać było nocną iluminację miasteczka. Pośrodku, w dwóch kamiennych kręgach, paliły się kłody drewna, ogrzewając całe pomieszczenie. Na ławie wielkości królewskiego łoża stały laptopy z drukarkami i kubki kawy. Na dwóch połączonych ze sobą stołach, między wielkoekranowymi laptopami, leżały mapy Morza Wschodniochińskiego i Białych Chin. Na ścianie, przypięta do niej pinezkami, wisiała wielka, sześciometrowej wysokości mapa, przedstawiająca Białe Chiny i Morze Wschodniochińskie.

Pacino od razu zauważył, że prawie wszyscy ubrani byli bardzo swobodnie. O'Shaughnessy miał na sobie džinsy, sweter narciarski i górskie buty; szef sztabu generalnego James Baldini, ubrany w klubową marynarkę i gabardynowe spodnie, wyglądał tak, jakby wybierał się na ogrodowe cocktail party, pozostali mieli na sobie spodnie narciarskie, górskie buty i T-shirty z długimi rękawami albo golfy. Tylko sekretarz wojny Lido Gaz wyglądał, jakby był w Pentagonie - w trzyczęściowym garniturze od Armaniego, w białej koszuli z krawatem w czerwony wzorek. W swoim mundurze Pacino poczuł się tu dość głupio.

- Proszę się rozgościć, admirale - powiedziała Jaisal Warner. Stojąc przy ogniu w narciarskich spodniach i butach, z założonymi za uszy włosami, wyglądała szczupłe i ładnie. W jednej ręce trzymała kubek z parującą kawą, w drugiej małego laptopa.

- Dziękuję, pani prezydent - uśmiechnął się do niej, zdjął marynarkę i powiesił ją na stojącym przy oknie fotelu. Warner kiwnęła głową, żeby usiadł.

Po prawej stronie Pacina siedział CTShaughnessy, obok niego, na sofie, James Baldini, a jeszcze dalej Jack Daniels, Chris Osgood i Stephen Cogster. Warner zajęła miejsce w fotelu. Na stojącej naprzeciwko sofie, pomiędzy sekretarzem stanu Freddyem Mastersem i wiceprezydentem Alem Meckstarem siedział sekretarz wojny Lido Gaz. Był to dobiegający sześćdziesiątki siwy mężczyzna, średniego wzrostu, z brzuszkiem, o wyniosłej, grubo ciosanej twarzy. Zawsze świetnie ubrany, swoim wdziękiem i błyskotliwą inteligencją oczarowywał ludzi przy pierwszym spotkaniu, ale w Pentagonie okazywał swoim współpracownikom inne oblicze: bywał sarkastyczny, wybuchowy, puszył się i ulegał zmiennym nastrojom. Pacino zawsze starał się być w porządku wobec niego, co najwyraźniej opłacało się.

Pomiędzy Gazem a Pacino siedział przewodniczący rady dyrektorów Agencji generał Bili Pinkenson, który obdarzył Pacina olśniewającym uśmiechem. Pinkenson zawsze przypominał dobrego wujka, opowiadał kawały i chętnie rozmawiał z żołnierzami. Kiedy jednak trzeba było, umiał niezwykle trafnie ocenić sytuację.

Kiedy Pacino usiadł w fotelu, zorientował się, że wszyscy patrzą na niego.

Zaczął się denerwować. To nie było spotkanie, na którym mógłby tylko siedzieć i przysłuchiwać się, co mówią inni. Wezwano go po to, żeby zasięgnąć jego opinii. Po raz dziesiąty tego dnia Pacino zastanowił się, dlaczego właściwie był tu potrzebny i dlaczego O'Shaughnessy nie zamienił z nim na ten temat nawet paru słów.

- Admirale Pacino, chciałabym na początku podziękować panu za to, że przybył pan tu z admirałem O'Shaughnessym - prezydent Warner uśmiechnęła się nieznacznie. - Wiem, że długo czekał pan na dole, ale musieliśmy najpierw omówić pewne rzeczy i, niech mi pan wierzy, było to dosyć nudne. Lido Gaz skrzywił się, a Warner oparła się wygodniej i naprowadziła czerwony punkcik swojego laserowego wskaźnika na wiszącą na ścianie mapę. - Streszczę teraz admirałowi Pacino nasze wcześniejsze ustalenia i proszę mnie poprawić, jeśli popełnię jakiś błąd. Jak widać na tej dużej mapie, Siły Szybkiego Reagowania wraz z jednostkami transportowymi floty Pacyfiku popłyną do oznaczonego klauzulą 24 celu. Będzie to Wangpan Yang, zatoka na południe od Szanghaju. Panowie generałowie sądzą, że jest to dobre miejsce do dokonania desantu morskiego. Nasze siły z łatwością dotrą stamtąd do Szanghaju i opanują cały ten teren. Dyskutowaliśmy na ten temat dosyć długo, więc, jak pan widzi, zostały panu oszczędzone dwie godziny naszych sporów. Kiedy plaże zostaną już opuszczone, nasze siły podążą dalej, tutaj, gdzie drogą morską i powietrzną wysadzimy na ląd

dalsze oddziały. Nasze główne siły wylądują za kilka tygodni. Tymczasem planujemy wysłać głęboko za linie wroga 82 Dywizję Spadochronową wraz z Fokami i Zielonymi Beretami, czyli Brygadę Połączonych Sił Specjalnych. Jak pan widzi, admirale, podstawą tych wszystkich działań będzie desant morski i dlatego właśnie chcemy pana spytać o Morze Wschodniochińskie.

Pacino przełknął ślinę. Teraz się zacznie. Prezydent chciałaby wiedzieć, czy morska operacja będzie bezpieczna, mimo że Morze Wschodniochińskie to idealny teren łowiecki dla okrętów podwodnych.

- Nasze trzy lotniskowce Floty Pacyfiku mają do swej dyspozycji dwa okręty podwodne, o czym wie pan doskonale, admirale - uśmiechnęła się przelotnie. - Będą one, wraz z innymi, nawodnymi okrętami eskortować prawie siedemdziesiąt jednostek wypełnionych marines i Siłami Szybkiego Reagowania. Sądzę, że przypomina pan sobie dyskusję, jaką odbyliśmy przed blokadą Japonii.

- Tak, pani prezydent - odpowiedział, patrząc jej w oczy.

- W czasie tej dyskusji występował pan przeciwko moim pomysłom wykorzystania naszych sił zbrojnych i, jak sobie przypominam, miał pan całkowitą rację. - Warner spojrzała na siedzących wokół niej mężczyzn. - I właśnie dlatego na dzisiejszym spotkaniu widzi pan tak wiele osób, których wtedy z nami nie było.

Ona ich ostrzega, pomyślał Pacino. Nie przypadkowo O'Shaughnessy, Baldini, Pinkenson i Gaz tak urosli w siłę w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Jeśli nie sprawdzą się teraz, będą musieli pakować manatki.

- Po to pan tu jest, admirale, żeby przyjrzeć się naszym sprawom od kuchni - dodała i wszyscy zaśmiali się.

Pacino wcisnął się głębiej w fotel. Nie potrafił, tak jak Pinkenson, żartować z prezydentem i członkami Kongresu, bawić się i popijać z ludźmi, którzy decydowali o przyszłości świata. Nie mógłby, jak Dick O'Shaughnessy, jedną ręką dowodzić marynarką a drugą obłaskawiać polityków. Mógł tylko powiedzieć, co naprawdę myśli. Spojrzał na Warner, czekając na jej pytanie.

- Ponieważ ostatnio tak dobrze pan wszystko przewidział, tym razem chciałabym wiedzieć jedno - spojrzała na niego z zachęcającym uśmiechem.

- Czy ta flota będzie bezpieczna na Morzu Wschodniochińskim? Czy pańskie dwa okręty podwodne uchronią ją od wszelkich kłopotów? Czy poradzą sobie z konwencjonalnymi okrętami podwodnymi, z pływającymi minami, minami-robotami i innym sprzętem, jakim mogą dysponować Czerwoni? Czy postępujemy właściwie? Jeśli są narażone na jakieś niebezpieczeństwo, odwołam to, co powiedziałam w swoim oświadczeniu. Czy flota jest bezpieczna? Ostatnim razem ostrzegał mnie pan, a ja pana nie usłuchałam. Niech pan powie, co pan myśli teraz. Gwarantuję, że wysłucham pana.

Co podpowiadał mu instynkt? Dowiedział się od Danielsa, że sześć japońskich okrętów podwodnych klasy Wschodzące Słońce zniknęło i nie wiadomo było, czy naprawdę zatoneły. Czerwoni zaatakowali Białe Chiny, nie obawiając się reakcji sprzymierzeńców Białych. Umierający Donchez powiedział, że Pacino znów stanie naprzeciw Czerwonym.

- Pani prezydent - Pacino usłyszał swój zadziwiająco spokojny, głęboki głos. - Najchętniej wyraziłbym swoją opinię w dwóch zdaniach, co zadowoliliby wszystkich. Ale najpierw muszę zwrócić uwagę na parę rzeczy.

Daniels czekał z uniesionymi brwiami. O'Shaughnessy patrzył na niego nieruchomym wzrokiem. Pinkenson uśmiechał się zachęcająco. Cogster, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, leżał w fotelu, z dłońmi splecionymi za głową, a spod okularów w drucianej oprawie widać było jego przymknięte oczy.

- Jako głównodowodzący flotą podwodną mam kilka uwag na temat Morza Wschodniochińskiego.

- Słuchamy - powiedział Gaz prawie szeptem.

- To była zaskakująca inwazja. Wiem, że właśnie na taki wypadek pani prezydent umieściła

Siły Szybkiego Reagowania w porcie Yokosuka. To była słuszna decyzja. Również w pełni popieram pani dzisiejsze wystąpienie. Ale musimy wiedzieć, czym ryzykujemy. A ryzykujemy, że nasze siły na Morzu Wschodniochińskim zostaną zaatakowane przez wrogie okręty podwodne.

- Co? - parsknął Cogster. - O czym pan, do diabła, mówi?

- Pacino, co to ma znaczyć? - dołączył do niego rozdrażniony Baldini.

- Admirale - rzekł Lido Gaz. - Jeśli dobrze rozumiem, twierdzi pan, że na Morzu Wschodniochińskim są wrogie okręty podwodne?

- Należy się z tym liczyć - odparł Pacino twardym tonem - choć nie twierdzą, że moje obawy są w pełni uzasadnione. Coś mnie jednak niepokoi. Po pierwsze, jedenaście dni temu zaginęło sześć japońskich najnowocześniejszych okrętów podwodnych.

- Chciał pan powiedzieć: zatone? - wtrącił Cogster.

- Czyżby? Nie wypuściwszy ani jednej boi, bez żadnych transmisji z czarnych skrzynek?

- Spytajmy, co o tym sądzi Chris Osgood - powiedział Gaz, jak zwykle trochę sepleniąc. Osgood założył okulary do czytania i zajął do swojego laptopa.

- Admirale Pacino ma rację. Nie znaleziono ani jednej boi, nie odebrano też żadnej transmisji.

- W porządku - powiedział Gaz, lekko wątpięcym tonem. - Jeśli tak mówisz, Chris, to musimy się z tym zgodzić.

- Czy zdaniem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego jest to prawda? - zapytał Cogster, patrząc na Daniela.

- Nie odebraliśmy ani jednego sygnału z miejsca, gdzie miałyby zatonać.

- Czy pojawiły się jakieś statki ratownicze w miejscu zatonięcia? - zapytał Pacino.

- Było ich tam całkiem sporo - przytaknął Osgood, patrząc w ekran swojego laptopa.

- A takie, które mogłyby podnieść kadłub zatopionego okrętu podwodnego? — zapytał Pacino.

- Tylko jeden. Były tam dwa statki, zaopatrzone w ratunkowe miniaturowe łodzie podwodne, sterowane przez robota. Nie widzieliśmy, żeby coś wyciągali, ale później przestaliśmy już ich tak dokładnie obserwować. Sądzę jednak, że informacje na ten temat można by uzyskać bardziej oficjalnymi kanałami. Kontaktował się pan z admirałem Tanaką?

- Jeszcze nie - odpowiedział Pacino.

- Panie admirale - powiedział Gaz z niesmakiem w głosie. - Te okręty zatoneły. Twierdzi pan, że ich kapitanowie sfingowali własną śmierć, żeby móc się połączyć ze swoimi czerwonymi towarzyszami?

- Sprawa polega na tym - ciągnął Pacino, nie tracąc pewności siebie - że nigdy nie przeszukaliśmy Morza Wschodniochińskiego, nie zrzuciliśmy samodzielnych sonarów, nie patrolowaliśmy go okrętami podwodnymi.

O'Shaughnessy nagle ożył. Wyglądało na to, że głęboko nad czymś się zastanawia.

- Jeśli cokolwiek tam jest, lepiej znaleźć to już teraz. Wyślijmy seahawki, blackbirdy i pegasusy, niech zrzucą sonary głębinowe i boje sonarowe. A „Annapolis” i „Santa Fe” niech płyną pierwsze i dokładnie przeszukają drogę od Japonii do Szanghaju. I jeszcze jedna rzecz: flota powinna robić nagle zwroty, co utrudni ewentualny atak. Musi ustawić się w szyku, chroniącym przed atakiem spod wody - niszczyciele i fregaty na przedzie, następnie desantowce, lotniskowce, z dala od siebie, każdy chroniony przez płynące obok niszczyciele. I jeśli to Szanghaj jest celem odsieczy, upozorujmy, że flota kieruje się gdzie indziej.

Pacino rozejrzał się po twarzach wszystkich siedzących wokół. Właśnie zastanawiał się, czy nie wspomnieć o Dicku Donchezie, jego przecuciach na temat okrętów podwodnych Czerwonych, kiedy Gaz spytał go prosto z mostu:

- Panie admirale, czy pańska nadmierna przezorność ma coś wspólnego z Dickiem Donchezem? Pacino kątem oka dostrzegł jak O'Shaughnessy, patrząc gdzieś w dal, pokręcił głową.

- Nie - odrzekł Pacino. - Nie rozmawiałem z Dickiem od miesiący. Kiedy przyjechałem do szpitala, był już w śpiączce i parę godzin później zmarł. - Poczul się tak, jakby zdradził

własnego ojca. Przemógł się i postanowił przycisnąć Gaza, żeby zorientować się, o co mu naprawdę chodziło. -Ale co do tego ma Dick Donchez? Dlaczego pan o to pyta?

Gaz zignorował to pytanie.

- Admirale, wszyscy wiemy, kim dla pana był Dick Donchez - powiedziała poważnym tonem Warner, patrząc mu prosto w oczy. - Jednak ostatnio zdarzało mu się mówić bardzo dziwne rzeczy. - Pacino rzucił okiem na Danielsa. - Uważał, że Czerwone Chiny chcą w jakiś sposób zdobyć nowoczesne okręty podwodne.

- Pani prezydent, rozumiem te wątpliwości, ale nie dowiedziałem się o tym od Doncheza. Trzeba w tej sprawie poradzić się dyrektora Danielsa, który był najbliższym Doncheza podczas jego choroby.

W jednej chwili uwaga wszystkich przeniosła się na Danielsa. Warner wstała i podeszła do fotela, w którym siedział.

- No, Jack? - zapytała. - Co powiesz na to.

- Pani prezydent, w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego zajmujemy się łamaniem kodów i szyfrów, a nie ogólnie pojętym wywiadem morskim. Po zniknięciu Wschodzących Słońc zajęci byliśmy rozszyfrowywaniem japońskich komunikatów, a potem mobilizującymi się Czerwonymi Chinami. Donchez nie mówił nic szczególnego na temat zniknięcia tych okrętów ani też nie przedstawiał żadnych hipotez czy dowodów w tej sprawie. A w ogóle ostatnio zajęty był czymś innym.

- Czym mianowicie? - spytała Warner.

- Umieraniem.

Warner westchnęła i podeszła z powrotem do kręgu, w którym palił się ogień.

- Admirale Pacino, bardzo cenimy pańskie uwagi o potrzebie przedsięwzięcia szczególnych środków ostrożności. Pewnie wróci pan teraz do Norfolk?

- Nie, pani prezydent, mam dużo pracy w Pearl Harbor. - Nie chciał wspominać o PEOA, bo mógł to być drażliwy temat.

- Ma pan czym się tam dostać? - zapytała, wskazując ruchem głowy na okno. Na dworze zaczął padać śnieg, wielkie płatki wirowały w lekkich podmuchach wiatru.

- Na lotnisku w Jackson czeka na mnie służbowy samolot - odpowiedział jej, wstając i zapinając guziki marynarki.

- No to powodzenia, admirale. Dziękuję panu jeszcze raz. - Mówiąc to, podeszła do niego. O głowę niższa od niego, zarzuciła mu ramiona na szyję, przyciągnęła go lekko i w siostrzany sposób ucałowała go w policzek.

Z wrażenia zrobiło mu się gorąco. Odwrócił się do innych i skinął głową na pożegnanie.

- Pani prezydent, panowie.

Okręcił się na pięcie i podążył za tą samą urzędniczką, która go tu przyprowadziła. Na ostatnim stopniu schodów odetchnął z ulgą.

13

Land-rover, który Warner pożyczyła Pacinowi, zabuksował kołami w świeżym, sypkim śniegu i ruszył drogą prowadzącą do autostrady 390. Pacino miał teraz na sobie futrzaną kurtkę, narzuconą na mundur. Kiedy przebierał się, Paully spojrzał na niego kąpiąco.

- Całowałaś się z dziewczyną z tajnych służb?

- Co?

- Masz szminkę na policzku. Wystarczy cię zostawić samego na pół godziny i od razu pakujesz się w kłopoty.

- Zamknij się - powiedział Pacino ze śmiechem. Wycierając ślad prezydenckiej szminki, pomyślał, że nie jest to pora na żarty. Jeden z jego kapitanów, Bruce Phillips, powiedział do sonarowca Gambiniego, który stracił żonę: „Nie czuj się źle dlatego, że czujesz się dobrze”.

Niezwykle banalne słowa, ale tylko ci, którzy utracili bliską, ukochaną osobę, wiedzą, jak trudno wprowadzić je w czyn. Musi zrobić wszystko, co się da, by jego życie w końcu ruszyło z miejsca. A przeszłość mu to wybaczy.

Mieli lecieć tylko we dwóch, Paully odesłał Cressman z powrotem na wschód, z laptopem pełnym instrukcji dla admirała Kane'a. Kiedy zajechali na lotnisko w Jackson, padał gęsty śnieg niesiony wiatrem. SS-12 stał obok głównego budynku. Pacino kazał kierowcy podjechać pod sam samolot. W ciemności wyraźnie było widać palące się w środku światło. Kiedy land-rover stanął obok szerokiego skrzydła, otworzył się właz i zsunęła się na śnieg teleskopowa drabinka. Pacino wspiął się po niej, wszedł do środka, przywitał się z pilotem i dał mu znak, że można zapuszczać silniki. Ledwo Paully zamknął za sobą właz, rozległ się niski jęk turbin, po chwili przechodząc w przeraźliwy pisk.

- Wie pan, że ze względu na złą pogodę lotnisko jest zamknięte, sir? -zawołał pilot.

- Poderwij do góry to pudło, zanim zrobi się jeszcze gorsza.

Odrzutowiec pokołał na koniec pasa startowego, który został odśnieżony godzinę temu i do tej pory zdążyło już tam napadać i nawiać sporo nowego śniegu. Pilot przyśpieszał powoli na śliskiej nawierzchni, dopiero kiedy znaleźli się na środku pasa startowego, dodał gazu. Po pełnej emocji chwili samolot, przeraźliwie wyjąc, wystrzelił do góry.

Pacino zdjął kurtkę, rzucił ją na przednie siedzenie i usiadłszy wygodnie, otworzył swojego laptopa. Zamierzał przejrzeć ostatnie doniesienia SNN o chińskiej wojnie domowej, ale kiedy przeglądał menu, zaświeciła się ikonka poczty - ktoś przesłał mu pilny e-mail. Spojrzał na swojego roleksa. Po tym burzliwym spotkaniu nie miał ochoty na pracę, ale uznał, że ten e-mail nie musi być z nią związany. Okazało się, że wiadomość ta ma klauzulę 24, najwyższą dostępną Pacinowi klauzulę utajnienia. Poświadczył swoją tożsamość, musiał nawet przyłożyć swój kciuk do małego skanera, zanim program uznał, że rzeczywiście jest Michaeliem A. Pacinem i otworzył wiadomość.

Przeczytał wstępny opis, podający datę i czas transmisji, klasyfikację wiadomości, jej przedmiot i nadawcę. Przeczytał jeszcze raz i znieruchomiał ze zdziwienia. Opis brzmiał:

Data Czas Klasyfikacja Przedmiot Nadawca

4 List 0505Z ST Klauzula 24 [Zastrzeżony] R. Donchez

Wiadomość od człowieka, który nie żyje? Pacino poczuł zimny dreszcz pełnący w górę kręgosłupa.

Posiadłość prezydencka w Teton Yillage

Stojąc w oknie, Warner patrzyła na czarnego land-rovera, odwożącego admirała Michaela Pacino na lotnisko. Jej Siły Szybkiego Reagowania stawiały żagle, by ruszyć na pomoc Białym Chinom. Od tygodnia było wiadomo o mobilizacji Czerwonych Chin i była zmęczona ciągłym stawianiem sobie pytań bez odpowiedzi, niedorzecznymi spekulacjami Doncheza z jego ostatnich dni i równie niedorzecznym sprzeciwem Lido Gaza wobec hipotezy, że na Morzu Wschodniochińskim Czerwoni mogą dysponować nowoczesnymi okrętami podwodnymi.

Zgodnie ze swoim zwyczajem obeszała cały pokój, wysłuchując opinii członków swojego gabinetu. Al Meckstar stanął po stronie Pacina, przypominając wszystkim wielkie straty marynarki w czasie ostatniego konfliktu z Japończykami. Lido Gaz był zdegradowany.

Nalegał, żeby nie przejmować się wyssanymi z palca zastrzeżeniami, dodatkowo oskarżając Pacina o przysparzające kłopotów całej administracji zawalenie programu PEOA. Generał Pinkenson, jako wytrawny polityk, zajął stanowisko ugodowe, sugerując, żeby, nie

zawracając floty, zapewnić jej ochronę stacjonującego w Japonii lotnictwa. O'Shaughnessy opowiedział się za Pacinem, czym tak rozwścieczył Gaza, że Warner musiała go uspokajać. Chris Osgood, nie zgadzając się z O'Shaughnessym, opowiedział się za utrzymaniem dotychczasowego planu. Cogster zaatakował Pacina osobiście, poddając w wątpliwość jego zdolności umysłowe. Na koniec Warner doszła do sekretarza stanu. -A co pan o tym sądzi, Masters?

Masters wyprostował się w fotelu i powiedział:

- Pani prezydent, nie mogę tutaj przy innych wypowiedzieć swojej opinii.

Warner spojrzała na niego. Był jednym z najinteligentniejszych członków jej gabinetu, ale z drugiej strony był człowiekiem niezwykle konfliktowym, pod tym względem przewyższał nawet Gaza. Wiedziała, że jeśli każe mu teraz mówić, gotów zrezygnować z funkcji sekretarza stanu. A chciała poznać jego zdanie. Poza tym było już późno, dawno minęła pomoc i musiała podjąć ostateczną decyzję.

- Raz jeszcze ustąpimy - powiedziała w przestrzeń. - Proszę wszystkich, oprócz pana Mastersa, o opuszczenie pokoju. Proszę jednak nie opuszczać budynku ani nie kłaść się spać, wkrótce zawołam panów z powrotem.

Kiedy już wszyscy wyszli, Masters momentalnie złagodniał. Stał obok niej i ojcowskim gestem położył jej rękę na ramieniu.

- Jak się trzymasz, Jaisal? W porządku? Mogę coś dla ciebie zrobić?

Wdzięczna za to wsparcie, położyła swoją dłoń na jego dłoni. Poczowała się nagle strasznie zmęczona napięciem, w jakim ostatnio żyła. Ile by teraz dała za prawdziwe narciarskie wakacje; te, to koszmar w środku zimy.

- Powiedz mi po prostu Freddy, co, do diabła, mamy zrobić?

- Chciałaś raczej powiedzieć, co ty masz zrobić? Bo ja nie przyznam się, że udzieliłem ci jakiegś rady. Ale, poważnie mówiąc, nie masz czasu, żeby zajmować się tym podwodnym nonsensem. Musisz iść prosto do celu, nie zbaczając z raz obranej drogi.

- A co z patrolami lotniczymi?

- Jeśli zaczniemy to robić, te gryzpiórki, korespondenci z Pentagonu, roztrąbią na cały świat, że szukamy wrogich okrętów podwodnych.

- A co z rozciągnięciem floty?

- SNN dlatego jest na pokładzie „Webba”, bo potrzebujemy dobrej propagandy. Te niszczylice, krążowniki i siedemdziesiąt transportowców muszą być widoczne.

Zastanawiałaś się kiedyś, po co robiono parady, przeglądy wojska? Stanowiły demonstrację siły, co miało odstraszyć potencjalnych wrogów. A my zorganizujemy teraz paradę na morzu. Musimy przedefiniować przez Morze Wschodniochińskie, powiewając flagami, imponując zbrojeniem.

- A co z ryzykiem, o którym wspomniał Pacino? Co z tymi japońskimi okrętami podwodnymi, które zaginęły?

- Jaisal, one zatoneły. Nie powinnaś wierzyć w te majaki Doncheza. Nie ma duchów, ani skradzionych Japończykom okrętów pod czerwonymi banderami. Mogę już iść się położyć? Bardzo męczące są te twoje pięciogodzinne narady. Możesz mi wierzyć, że dobrze przemyślałem to wszystko. Podczas gdy inni szukali tylko różnych wykrętów, bojąc się, że ich zwolnisz i pošlesz do domu.

- Dobrze, już wystarczy, Freddy. Po prostu inni inaczej to widzą.

- Ci ludzie są ślepi.

- Freddy, mój tata powiedział kiedyś, że jeśli człowiek chce poznać rzeczywistość, powinien porozmawiać z wszystkimi, którzy coś wiedzą na ten temat.

- Zrób mi więc przysługę, Jaisal i wyłącz mnie z tego grona.

- Carol, zwołaj moich doradców - powiedziała Warner ze śmiechem.

- Co zdecydowałaś?

- Z Japonii należy wysłać patrole lotnicze. Eskortujące okręty podwodne popłyną naprzód i przeszukają morze. Nie będziemy sobie zawracać głowy okrętami podwodnymi Czerwonych.

Flota ma płynąć w paradnym szyku i wyglądać groźnie. Trzebajak najszybciej przeprowadzić chrzest. Jutro w porze kolacji będziemy już wiedzieć, jak to wyszło.
- Świetnie. Wytłumacz to im, a ja idę do łóżka.

Część czwarta

Arktyczny Sztorm

14

Poniedziałek 4 listopada

**Wschodni Oregon
15 kilometrów nad powierzchnią ziemi**

Paully powiedział Pacino głuchym głosem - spójrz na to.

- Co się stało? zapytał White.

- Przypomnij mi, co regulamin mówi o dowódcy, który postrada zmysły, jak i kiedy można go odsunąć od dowodzenia.

- A co, któremuś z twoich kapitanów odbiła szajba?

- Mnie - odpowiedział Pacino, podając laptop Paully'emu. Opis wstępny czarno na białym pokazywał, że wiadomość została wysłana przez Dicka Doncheza dwie minuty temu.

White długo się temu przyglądał. Potem, wbrew wydanemu przez Pacina zakazowi, wyciągnął paczkę cameli, wsadził papierosa do ust i zapalił zapalniczką z napisem USS „Reagan”. Wypuścił chmurę dymu i spojrzał przez nią na Pacina.

- Dwa dni temu byłem na pogrzebie tego człowieka.

- Trzy dni temu - odpowiedział Pacino, tępo gapiąc się w ekran. - Jest już po północy.

- Nie wierzę, żeby ktoś mógł powstać z grobu, nawet Donchez.

- To nie jest śmieszne.

- Otwórz to i zobaczmy, co ma nam do powiedzenia.

Pacino kliknął dwukrotnie ikonkę e-maila, ale okazało się, że nie ma tekstu pisanego. Kliknął więc ikonkę przekazu wideo.

Na ekranie ukazał się łysy mężczyzna w drogim garniturze od Armanie-go. Siedział za

biurkiem, na którym stała masywna popielniczka z leżącym w poprzek niej cygarem. To był zupełnie zdrowy Dick Donchez, przynajmniej w porównaniu z tym, jak wyglądał w Bethesda. - Cześć, Mikey - powiedział łagodnym tonem, co nieczęsto mu się zdarzało. - Kiedy będziesz to oglądać, ja już nie będę żył, a ty będziesz walczył z Czerwonymi Chinami.

Powolnym ruchem sięgnął po cygaro, puścił z niego chmurę dymu i zamiast, jak zwykle, zatrzymać je w dłoni, odłożył je do popielniczki.

- Mówią, że palenie w końcu mnie zabije - zaśmiał się. - Już mnie zabiło. Słuchaj, Mikey, słuchaj uważnie. Mam tu zastępcę, nazywa się Mason Daniels IV. Wrogowie mówią na niego Jack, nieliczni przyjaciele nazywają go „Numer Czwarty”, po trzech przodkach, którzy tak czy inaczej związani byli z wywiadem. Wiem, że nigdy go nie spotkałeś, ale wiąże z wami dalekosiężne plany. Mam nadzieję, że któregoś dnia ty zostaniesz szefem wywiadu, a Numer Czwarty przejmie Agencję Bezpieczeństwa Narodowego. W ten sposób dzięki wam - Donchez pociągnął nosem - będę żył długo po mojej śmierci. Ale przejdźmy do sprawy, która jest dla mnie prawdziwym koszmarem. Po pierwsze, Mikey, rak jest w moim gardle i w moich płucach, ale nie w moim mózgu. Wiem, że lekarz w Bethesda powiedział ci coś innego, ten ciemnowłosy facet w dużych okularach, nigdy nie ogolony. Posłuchaj tego, co ci zaraz powiem. Jeśli uważasz, że mi odbiło, po prostu skasuj to nagranie i wspominaj dobrze nasze dawne czasy. Mogłeś się o tym też dowiedzieć od Numeru Czwartego albo od Tanaki. Porwano sześć okrętów podwodnych klasy Wschodzące Słońce. One nie zatoniły, uprowadzono je. Numer Czwarty dał ci nagranie z wideokonferencji, w której uczestniczyli dowódcy w tym krytycznym momencie. Jeden z kapitanów powiedział, że wypuści boję z czarną skrzynką, żeby w Tokio widziano, co się stało. Nigdy nie znaleziono żadnej boi, prawda? Ale to nie wszystko. Przewiń nagranie do klatki 1143. Zobaczysz otwarty luk na „Świetlistym Piorunie”, przez który kapitan uciekł na mostek. A to jest fotografia tego kadru. Donchez zbliżył do kamery bardzo ziarniste zdjęcie. W luku widać było czarną plamę z pionową kreską.

- Wygląda trochę dziwnie, prawda? Ale spójrz na oczyszczoną przez komputer wersję. Donchez odłożył pierwsze zdjęcie i pokazał następne. Pojawiła się na nim wyraźna sylwetka przygarbionego człowieka, ubranego w czarny kombinezon, z czarnym makijażem na twarzy. Pionowa kreska okazała się lufą pistoletu maszynowego.

- Ten człowiek jest bardzo wysoki, zbyt wysoki jak na członka załogi japońskiego okrętu podwodnego, jego wzrost wyraźnie przekracza dopuszczalne przez ich komisje standardy. Broń, którą trzyma, jest także niezwykle interesująca. To AK-80. Nowy model, produkowany tylko w Czerwonych Chinach dla Ludowej Armii Wyzwolenia. Nie eksportują go, nigdy nie mieliśmy tych pistoletów i wątpię, żeby Japończycy mieli choć jeden. Tuż po zniknięciu Wschodzących Słońc nasz system dźwiękowego nadzoru Pacyfiku zarejestrował dziwne sygnały.

Donchez zbliżył do kamery tabliczkę z sześcioma umieszczonymi jeden nad drugim wykresami.

- Wykresy dźwięków sześciu miażdżonych ciśnieniem wody kadłubów po przekroczeniu maksymalnego zanurzenia. Analiza wykresów wykazuje jednak, że był to jeden i ten sam dźwięk, powtórzony sześć razy. Zabawne, prawda? Następna rzecz. Na miejscu wypadku znaleziono szczątki okrętów. Ilustrujący to film przesłano do Tokio za pomocą satelity Galaxy. My przechwyciliśmy go i rozkodowaliśmy. Nie chwaląc się, odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Zobacz, co tam znaleźli.

Na ekranie pojawiły się kolejno znalezione przez Japończyków rzeczy.

- Nie zauważyłeś pewnie nic szczególnego, ale mało kto by zauważył - ciągnął Donchez. - Widzisz to pływające pudełeczko pasty do butów? Nasz komputer znalazł coś ciekawego na ten temat. Japończycy bardzo dbają o czystość powietrza na okrętach podwodnych.

Obowiązuje zakaz używania pasty do podłóg, oleju do smażenia, palenia papierosów.

Wszystkie takie wyziewy mogą zakłócić system komputerowy i poważnie uszkodzić okręt. Oczywiście nie ma mowy o żadnej paście do butów. Powiesz, że ktoś wniósł ją na pokład

nieumyślnie. Otóż nie. Ta pasta została wyprodukowana w Czerwonych Chinach na użytek żołnierzy Ludowej Armii Wyzwolenia. To samo jest z płynącą obok butelką płynu czyszczącego. Gdyby użyć go na pokładzie okrętu klasy Wschodzące Słońce, w ciągu paru godzin zostałyby zniszczone procesory DNA; dla układu nerwowego komputera jest to zabójcza trucizna. Kiedy jednak obumiera biologiczna część komputera, przestawia się on na sterowanie ręczne i okręt wynurza się. Zgadnij jeszcze, skąd pochodzi ten płyn? Nasz komputer to sprawdził. Oczywiście wyprodukowano go w Czerwonych Chinach. Jeszcze ci nie dosyć? Co powiesz na komunikaty Czerwonych z ostatnich miesięcy poprzedzających tę wojnę? Mamy parę ciekawych szczegółów na temat operacji „Czerwony Sztylet”. Nie będę wchodził w szczegóły, wystarczy, że powiem, iż całkiem niedawno zatonął nagle koreański okręt podwodny. Zatonął, bo został porwany i rozmyślnie zatopiony. Tak na marginesie, Numer Czwarty dysponuje wszystkimi szczegółami na ten temat. Dlaczego więc nikt z Agencji nie poszedł z tym do Warner, do O'Shaughnessy'ego albo do Gaza? Obaj byliśmy oficerami na okrętach podwodnych i wiemy, jak to jest, gdy się patrzy przez peryskop na płynący w bliskiej odległości krążownik, który trzeba zatopić jedną torpedą. Urzędnicy Warner nie wiedzą tego i nie chcą wiedzieć. Próbowałem im powiedzieć o Wschodzących Słońcach, ale puszczali to mimo uszu, wzruszali ramionami. Poszedłem do Warner i Gaza. Nie miałem jeszcze w ręku tych wszystkich dowodów i Gaz nie pozwolił mi nawet dokończyć sprawozdania. Warner bardzo mu ufa i niejakiemu Mastersowi, profesorowi Harvardu, któremu się zdaje, że zjadł wszystkie rozumy. Nie chciałem, żebyś działał po omacku, więc poprosiłem, żeby Numer Czwarty podrzucił ci parę rzeczy. Może dzięki temu uda ci się jeszcze czegoś w tej sprawie dokonać. Prosiłem, żebyś mnie wysłuchał i mam nadzieję, że wciąż mnie słuchasz. Prawdopodobnie zaleciłeś Warner ostrożność w użyciu Sił Szybkiego Reagowania. Ona cienie usłucha. Zrób wszystko, co możesz, żeby dostać Wschodzące Słońca, ale pamiętaj o jednym - to dobre okręty i jedyną naszą nadzieją jest to, że Czerwoni nie umieją się jeszcze nimi posługiwać. Nie wiem, co się teraz dzieje. Może groźba użycia Sił Szybkiego Reagowania skłoniła Czerwonych do powrotu do domu, a ty wracasz, żeby dokończyć PEOA? A może stało się najgorsze i Czerwoni zatopili całą idącą na odsiecz flotę i Białe Chiny są stracone. Wiem jednak, że cokolwiek się stanie, instynkt podpowie ci, co masz robić. Możesz polegać na O'Shaughnessym i na Numerze Czwartym. Pomogą ci.

Donchez przerwał, po raz ostami wziął cygaro do ust, pyknął parę razy i odłożył je do popielniczki.

- A teraz, Mikey, jeśli ktoś ogląda to razem z tobą, poproś go, żeby na chwilę odszedł. Chcę porozmawiać tylko z tobą.

Paully White wyszedł, wyciągając następnego papierosa.

- Słuchaj, wiem, że bardzo przeżyłeś moją śmierć. A ja żałuję najbardziej tego, że nie mogę ci już w niczym pomóc. Musisz radzić sobie sam, Mikey. Nie wiem, co mnie tam czeka, ale jeśli będę ci mógł stamtąd pomóc, to na pewno to zrobię. Myślę jednak, że życie jest możliwe tylko przed śmiercią, a potem są tylko robaki, proch i ciemność. Nic więcej. Ale co z tego? Musisz żyć dalej, musisz dalej to pchać. I nawet jeśli przegrasz z Czerwonymi, jeśli Warner złamie ci karierę i zostaniesz takim facetem, który pracuje w dzień, a nocą ogląda telewizję, chcę, żebyś coś wiedział. - Donchez chrząknął i wysmarkał nos w chusteczkę. - Kocham cię, Mikey. Jesteś moim synem, jesteś dla mnie synem bardziej, niż gdybyś był z mojej krwi, i wiem, że Tony, twój ojciec, nie sprzeciwiłby mi się, kiedy tak mówię. Byłeś dla mnie wspaniałym synem, Mikey. Nie chcę, żebyś miał co do tego jakiegokolwiek wątpliwości. Oczy Doncheza wypełniły się łzami. Zirytowany wytarł je chusteczką.

- Jeszcze jedna rzecz, Mikey. Musisz się ruszyć z miejsca, w którym utraciłeś Eileen, w którym utraciłeś mnie. Nie dokonasz niczego, żyjąc przeszłością. Bądź taki, jaki byłeś, gdy dowodziłeś „Devilfishem”. Dlatego właśnie to imię wybrałem dla PEOA. Pamiętaj o tym, mój synu. Pamiętaj - Donchez zakaszlał i znowu otarł oczy - i żegnaj. - Usta mu zadrżały i obraz znikł. Na ekranie pojawił się napis:

WIADOMOŚĆ SAMOKASUJĄCA SIĘ

Pacino wyłączył laptop i utkwiał wzrok w oknie.

15

A więc to już jedenasta godzina operacji Morski Most - powiedziała reporterka. Stała obok masywnego, pękatego cielska helikoptera sea king, nad którego drzwiami napisane było: Marynarka Wojenna USA. Wielkie śmigła kręciły się niebezpiecznie blisko jej głowy. Reporterka była ładną, ciemnowłosą kobietą o zielonych oczach, w długich palcach trzymała przed sobą mikrofon. Ktoś podał jej zasłaniający uszy, zapinany pod brodą hełm z wbudowanymi słuchawkami i mikrofonem.

- Opuścimy teraz pokład lotniskowca USS „James Webb” i polecimy na małą wycieczkę, żeby spojrzeć z lotu ptaka na tę wielką flotę, na największą armadę, jaka kiedykolwiek wypłynęła w morze.

Kamera towarzyszyła reporterce, kiedy podeszła ona do tylnej części helikoptera, w której znajdował się duży otwór.

- Zakładają mi linkę bezpieczeństwa, żebym nie wypadła. Powinniśmy stad zobaczyć flotę w całej okazałości.

Hałas silników wzmógł się i helikopter oderwał się od pokładu. W prawym, dolnym rogu ekranu umieszczone było logo SNN, a pod nim w ramce napis: „2.10 rano czasu wschodnioamerykańskiego” i „2.10 po pół. czasu chińskiego”. W lewym, dolnym rogu ekranu umieszczone było wymyślone przez SNN logo tej wojny, przedstawiające skrzyżowane trzy flagi: amerykańską i obu walczących ze sobą państw chińskich, przy czym znajdująca się pośrodku flaga Białych Chin płonęła. Pod spodem napisane było: „Operacja Morski Most”. Z helikoptera widać było teraz kawałek szarego pokładu, morze i niebo. Po chwili widok się zmienił: ukazał się cały lotniskowiec zbudowany w kształcie wysmukłej piramidy. Każdy z pokładów był pełen sprzętu - były tam radiolokatory, radary talerzowe, a na samym szczycie wielki, płaski radar, H* obracający się powoli, majestatycznie. Na wysokim, rufowym maszcie powiewały flagi, spośród których największa była flaga amerykańska o wysokości dwóch pięter. Z obu stron, na burtach okrętu, wymalowano liczbę 80. Lotniskowiec był ogromny, a przy tym zgrabny. Na przedzie pokład wznosił się, tworząc próg jak w skoczni narciarskiej. Kilwater tego wielkiego okrętu ciągnął się daleko, aż po horyzont. Z tej wysokości lotniskowiec wyglądał jak pług orzący morze. Kiedy pojawiły się inne okręty w polu widzenia, reporterka znowu przemówiła:

- „James Webb” jest lotniskowcem o wyporności stu dziesięciu tysięcy ton, największym okrętem Marynarki Wojennej USA. Oznaczenie LA-80 świadczy o tym, że to lotniskowiec atomowy. Ma dwa reaktory nuklearne, cztery turbiny, cztery śruby, a jego załoga liczy pięć tysięcy osób. Teraz widzimy również dwa pozostałe lotniskowce floty. Wraz z „Webbem” płyną one na czele tej wielkiej armady. U góry ekranu widać USS „Kinnaird McKee”, LA-81, a u dołu USS „Franklin Roosevelt”, LA-82. Za lotniskowcami płyną w dwóch rzędach dziesięć krążowników, przydzielonych siłom specjalnym. Za nimi widać dwadzieścia jeden niszczycieli i fregat płynących w trzech rzędach.

Płynące za lotniskowcami okręty wyglądały pięknie, jak ostre sztylety tnące powierzchnię morza.

- Za okrętami wojennymi płyną jednostki zaopatrzeniowe. Wszystkie zachowują równe odległości, co wygląda jak parada morska. Na wszystkich masztach powiewają wielkie amerykańskie flagi. Nawet radary są zsynchronizowane i obracają się równocześnie. To naprawdę wspaniały widok. Za nimi płyną statki przewożące żołnierzy. Widok tylu wielkich okrętów po prostu zapiera dech w piersiach. Na pokładach siedemdziesięciu okrętów transportowych, precyzyjnie ustawionych w pięć rzędów, znajduje się trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy Sił Szybkiego Reagowania.

Helikopter zatoczył koło i poleciał z powrotem wzdłuż zdającego się sięgać po horyzont szeregu okrętów.

- Mimo że okręty płyną po pięć i sześć w każdym rzędzie, konwój ma trzy mile długości! To chyba największy pokaz sił morskich w historii.

- Christie - spytał głos spoza ekranu - w jaki sposób te okręty wysadzą ludzi na brzeg? Czy mają przybić do nabrzeży jakiegoś portu?

Na ekranie znowu pojawił się „Webb”, pierwszy statek konwoju, wypełniając cały ekran.

- Powiedziano mi, że spośród przewożących żołnierzy okrętów pierwszych dwadzieścia to amfibie, mogące wspiąć się na brzeg. Są też takie, które spuszcza na wodę łodzie z żołnierzami i pływające czołgi, żeby bez żadnych przygotowań od razu przystąpić do walki. Na pokładach amfibii umieszczeni zostali marines, którzy mają lądować jako pierwsi. Kiedy przyczółek zostanie zdobyty, wyląduje reszta ludzi. Pozostałe pięćdziesiąt statków to zwykle jednostki towarowe, z kontenerami, które zostaną wyladowane w późniejszym czasie.

Kiedy helikopter dotknął pokładu, obraz przestał dygotać. Hałas, który reporterka musiała przedtem przekrzykiwać, ustał, śmigła obniżyły się.

- Christie, czy słyszałaś coś o miejscu lądowania?

- Nie - powiedziała reporterka, wychodząc z helikoptera. Oddając swój hełm jakiemuś podoficerowi, obdarzyła go promiennym, zawodowym uśmiechem. — Zabroniono nam zbliżać się do sprzętu nawigacyjnego, do jakichkolwiek map czy wykresów. W dodatku w naszych komputerach nie może być programu ustalającego współrzędne za pomocą satelity, co zresztą sprawdzono. Możemy jedynie zgadywać, gdzie jesteśmy. Ale, biorąc pod uwagę naszą prędkość oraz to, że parę razy widziałam czarterowe samoloty, sądzę, że za jakąś godzinę minimy łańcuch wysp Ryukyu, który stanowi granicę Morza Wschodniochińskiego. Stamtąd udamy się w kierunku wybrzeża Białych Chin. Kiedy staniemy na plaży, operacja ta zmieni nazwę na Operacja Biała Nadzieja. Oddaję ci głos, Bernardzie. Z pokładu USS „James Webb” gdzieś na Oceanie Spokojnym mówiła dla państwa Christie Cronkite.

- Dziękuję ci Christie, a teraz na chwilę przerwiemy...

- Z pokładu USS „James Webb” mówiła Christie Cronkite.

- Wyłącz to - powiedział Pacino.

Odkąd ostatnie słowa Doncheza wykasowały się same z ekranu dwadzieścia minut temu, Pacino cały czas nieruchomym wzrokiem patrzył w okno. W końcu wziął się w garść i odwrócił się. Oczy miał czerwone i podpuchnięte. Chcąc dowiedzieć się, co się dzieje w Chinach, poprosił Pully'ego, żeby włączył SNN. Kiedy zobaczył okręty konwoju, płynące w zwartym szyku, aż zamurowało go z wrażenia.

- A więc Warner mnie nie usłuchała - rzekł w końcu. - Nie mogę w to uwierzyć. Jeśli cokolwiek z tego, co powiedział Donchez jest prawdą, ta flota może ulec całkowitej zagładzie.

- Chce pan rozmawiać z O'Shaughnessym? Mogę pana z nim połączyć.

- Po co? Powiedziałem już wszystko. Te Wschodzące Słońca mogą tam czekać. Załatwią ich, jakby strzelali do kaczek.

- No to trzeba coś zrobić, szefie. Nie mamy czasu do stracenia.

- Dobrze, jak daleko jest do Pearl Harbor?

- Około trzech godzin.

- Połącz mnie z O'Shaughnessym. A kiedy będę z nim rozmawiał, musisz znaleźć Tanakę.

- Admirala Tanakę? Mógłbym wiedzieć, o co panu chodzi?

- Tanaka sam zaprojektował Wschodzące Słońca, więc będziemy go potrzebować. Potem podnieś alarm. Niech wszystkie okręty z Pearl Harbor natychmiast płyną na Morze Wschodniochińskie z prędkością krytyczną.

- Prędkością krytyczną? Mówi pan poważnie? Zniszczymy dwanaście reaktorów. To będzie kosztować dwieście milionów dolarów, a każdy z okrętów będzie musiał spędzić potem rok w suchym doku.

- Prędkość krytyczna. Bez dyskusji.

- Tak jest, sir. To pan ryzykuje głową.

White wziął się do pracy. Pacino wyrzwał przez okno. Daleko w dole było widać chmury, a w górze błyszczały gwiazdy. Należy kierować się własnym instynktem.

- Admirale? Połączyłem się z admirałem O'Shaughnessym, może pan odebrać na ekranie w fotelu.

- Dzięki, Paully. - Pacino nacisnął przycisk i na ekranie pojawił się patrzący spode łba O'Shaughnessy, ubrany w szlafrok, rozczochrany.

- O co chodzi? - zapytał bezbarwnym głosem.

- Co stało się po tym, jak wyszedłem, admirale? Ta flota płynie jak kaczki do odstrzału.

- Zostaliśmy przegłosowani. Flota z maksymalną prędkością zmierza do brzegu. Warner zabroniła wykonywania manewrów mylących przeciwnika. W ciągu kilkunastu godzin dotrą do plaży.

- Admirale, jestem przekonany, że flota znajduje się w niebezpieczeństwie. Może zostać zaatakowana w każdej chwili.

- Czy ma pan na to jakieś nowe dowody?

- Dyrektor Donchez zebrał wystarczającą ilość danych...

- Widzieliśmy już to wszystko, Pacino. To stare informacje i nawet mogły zostać specjalnie podsunięte.

- Sir, powtórzę to panu raz jeszcze. Flota jest w wielkim niebezpieczeństwie. Musimy natychmiast wycofać ją na otwarty ocean, póki moje okręty nie zapewnią jej bezpiecznego przejścia. Dwanaście moich okrętów 688-1 płynie w kierunku Morza Wschodniochińskiego z prędkością czterdziestu pięciu węzłów.

- Więc teraz już nie polecasz zygzakowania, chcesz, żeby się wycofały? Na jak długo? Na cały tydzień?

- Szefie, proszę wycofać stamtąd flotę. Jestem przekonany, że to konieczne.

- Rozumiem, admirale - powiedział O'Shaughnessy z nieprzeniknioną twarzą. - Coś jeszcze? Pacino czuł, że zaraz straci nad sobą kontrolę.

- Sir, czy nie powinniśmy się zwrócić do Warner i powiedzieć jej, że właśnie popełnia wielki błąd?

- Pacino, czy nie mówiliśmy tego wszystkiego na zebraniu?

- Tak, sir, ale ona nie słuchała. Spytałem pana prosto z mostu, admirale. Czy kiedy stamtąd wyszedłem, wyśmiała pan moje obawy?

- Teraz przeciągnął pan strunę, Pacino - twarz O'Shaughnessy'ego spochmurniała. - Jest druga w nocy i wracam do łóżka. Pan zna rozkazy i radziłbym postępować zgodnie z nimi.

- Tak jest, sir. Przepraszam, że pana obudziłem - powiedział rozczarowany i zły Pacino.

Właśnie miał się rozłączyć, kiedy znów usłyszał głos O'Shaughnessy'ego:

- Patch? Wiedz, że cię poparłem. A na przyszłość panuj nad swoim językiem.

Połączenie zostało przerwane.

- Cholera - przeklął Pacino.

- To nic nie pomogło - powiedział Paully.

- Jak groch o ścianę - mruknął Pacino.

- Może uderzyć ponad jego głowę, prosto do Warner?

- Powstrzymuje mnie przed tym jedna rzecz.

- Jaka?

- Jeśli zostanę zwolniony, nie będę mógł już nic zrobić.

- To prawda. Kawy?

- Chętnie. To będzie ciężka, długa noc. Próbuje dalej. Zaczniemy od admirała dowodzącego Flotą Pacyfiku. Może z nim pójdzie lepiej.

- Chodzi panu o Jean-Paula Henri, ostatniego arystokratę marynarki?

- Połącz mnie z nim.

Henri wspinał się po szczeblach kariery, służąc w obronie przeciwlotniczej marynarki. W czasie wojny islamskiej dowodził krążownikiem „Ark Royale” i tak się złożyło, że kiedy na

jego pokładzie akurat była ekipa SSN, stracił ponad czterdzieści naddźwiękowych myśliwców, które zamierzały ostrzelać amerykańskie siły lądujące w południowym Iranie. Telewizja uczyniła go najbardziej znaną postacią tej wojny, obok głównodowodzącego inwazją generała Pinkensona. Henri nigdy nie zapominał blasku świateł jupiterów. Jego biura i kajuty udekorowane były zdjęciami, przedstawiających go na mostku krążownika. Później media przestały się nim interesować. Henri marzył o jednym - dostać się znowu przed telewizyjne kamery, najlepiej jako głównodowodzący operacji morskich.

Nie wiadomo dlaczego, nigdy nie lubił Pacina. Po zakończeniu blokady Japonii wystąpił w telewizji, krytykując to, w jaki sposób Pacino prowadził podwodną wojnę. Kiedy Pacino zobaczył go teraz na ekranie, poczuł dziwny ucisk w żołądku.

Za kwadratowymi okularami w drucianej oprawie oczy Henriego wydawały się większe niż w rzeczywistości. Twarz miał napuchłą i czerwoną od wieloletniego picia. Był tylko o dziesięć lat starszy od Pacina, ale wyglądał fatalnie. Skrzywił się i powiedział:

- Cześć, Pacino. Chyba potrafisz zgadnąć, w jakiej sprawie dzwonisz. Słyszałem już o twoich zwariowanych pomysłach. Mielibyśmy wylądować za tydzień, podczas kiedy od plaży dzieli nas siedemnaście godzin.

- Masz poważne kłopoty, Jean-Paul. Radzę ci, żebyś ustawił flotę w szyku obronnym przed atakiem podwodnym i wysłał swoje blackbirdy na poszukiwania.

- Dobra. Coś jeszcze?

- Co z eskortującymi okrętami podwodnymi?

- Pięć godzin temu wypuściłem je do przodu, żeby sprawdziły Morze Wschodniochińskie.

Płyną jakieś pięć węzłów szybciej niż my, więc powinny być dwadzieścia mil przed nami. To powinno wystarczyć, żeby mogli nas ostrzec, jeśli coś tam jest, oczywiście pod warunkiem, że dobrze ich wyszkoliłeś. Tymczasem nie ma tu żadnych wrogich okrętów podwodnych.

- A co z P-5 stacjonującymi w Japonii? Prowadzą już poszukiwania?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie ma zagrożenia, a więc nie ma takiej potrzeby. Poza tym, załogi są na urloпах i takie różne inne sprawy. A teraz, jeśli mi wybaczysz, Pacino, mamy tu alarm lotniczy i prawdziwe zagrożenie - mogą nam złożyć wizytę myśliwce wroga, które, w przeciwieństwie do duchów okrętów podwodnych, są bardzo materialne i nadlatując z prędkością 1,2 macha, zostawiają nam tylko parę sekund na zareagowanie. Więc, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym się teraz zająć bieżącymi problemami taktycznymi. I jeszcze jedno: nie dzwoń więcej.

Rozłączył się. Pacino zaklął i walnął pięścią w ciemniejący ekran.

- Co z okrętami z Pearl Harbor? Płyną z prędkością krytyczną?

- Wypłynęły w godzinę po pańskim telefonie. - White westchnął. - Pokonały jakieś sześćset pięćdziesiąt kilometrów i zostało im jeszcze siedem tysięcy.

- Prawie cztery dni na maksymalnej prędkości. -?

- Duży jest ten świat. To dlatego Wamer ulokowała w Japonii całą armię.

- Pully, co o tym sądzisz?

- Sir, sądzę, że nie będzie już pan miał okazji porozmawiać z Jean-Paulem. Sądzę, że jego flota włązi w paszczę lwa. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, ale to nie wystarczy.

- Jest jedna rzecz, której nie zrobiliśmy. Nie przesłaliśmy wiadomości na „Santa Fe” i „Annapolis”.

- Ostrożnie, sir, oni podlegają Jean-Paulowi.

- Do diabła z nim. Wyślij tym dwóm okrętom wiadomość i nie przejmuj się Jean-Paulem.

Przeznacz im, że podejrzewamy, iż w rękach Czerwonych znajdują się okręty podwodne klasy Destiny albo Wschodzące Słońce. Powiedz im, że mogły zostać skonstruowane przez ich inżynierów na podstawie skradzionych planów. Wymyśl coś i postaraj się, żeby brzmiało to wiarygodnie. A potem zadzwoń do stoczni i powiedz, żeby jutro zwodowali PEOA. Podkreśl koniecznie, żeby zrobili to z zachowaniem maksymalnych środków bezpieczeństwa. Już będą wiedzieli, o co chodzi. Mam plan, w jaki sposób ukradkiem wyprowadzić PEOA w morze,

całkiem niezły plan.

- Jaki?

- Zobaczysz. Po prostu powiedz im: z zachowaniem maksymalnych środków bezpieczeństwa.

- Dobra - powiedział White bez przekonania. - Zrobię, jak pan mówi. Ale czy mogę spytać, do czego to potrzebne?

- Wodujemy PEOA, żeby wypłynąć nim w morze. Daj mi akta załogi.

- White uśmiechnął się. Admirał Pacino znowu był taki jak dawniej. Odszukał w laptopie akta załogi PEOA i podał go Pacinowi.

Zasepiony Pacino bębnił palcami po stole, zastanawiając się, co robić dalej.

Okolice wyspy Yakushima USS „James Webb”, CVN-80

Luksusowa, wykładana pluszem kajuta dowódcy miała rozmiary przewyższające zwykłe okrętowe pomieszczenia tego typu. Znajdowała się tu koja królewskich rozmiarów i olbrzymi stół konferencyjny. Całe pomieszczenie oświetlone było ciepłym światłem wielu lamp. Na ścianie działowej wisiało kilka oprawionych w ramki fotografii, przedstawiających Henriego na mostku, Ark Royale".

Admirał Jean-Paul Henri siedział przy stole konferencyjnym, ekran stojącego przed nim laptopa był tak odchylony, żeby mógł służyć jako wideofon. Właśnie zniknęła z niego twarz Pacina, ale jego bezpodstawne, paranoiczne ostrzeżenia wciąż brzmiały w uszach admirała. Henri oparł się wygodnie i zamknął na chwilę oczy, żeby przemyśleć sprawę. Przebyli już dwie trzecie drogi i było trochę za późno na przygotowania do walki z okrętami podwodnymi. Mając tyłu dziennikarzy na pokładzie, nie mógł nawet myśleć o przeprowadzeniu poważnej operacji z wykorzystaniem samolotów i helikopterów. Zadawaliby mnóstwo pytań i albo powiedziałby im prawdę, a tego raczej nie powinien robić, albo musiałby skłamać. A to kłamstwo łatwo mogłoby wyjść na jaw, co raczej nie pomogłoby mu w drodze do kariery. W dodatku wiatr wiał z pomocnego zachodu i żeby umożliwić samolotom start, musiałby ustawić pokłady lotniskowców pod wiatr, tym samym sprowadzając je z kursu na Szanghaj. W ten sposób straciłby czas, który był na wagę złota. Co ważniejsze, dziennikarzom też najwyraźniej zależało na tym, żeby dotrzeć na miejsce jak najszybciej, wciąż dopytywali się, kiedy wyładują na plaży.

W oczach Pacina czaiło się coś niedobrego. Henri przypomniał sobie ich rozmowę. Ten człowiek, jego główny konkurent do stanowiska głównodowodzącego operacji morskich, wyglądał jak zaszczute zwierzę. Miał puste oczy. Puste i przestraszone. Pacino się boi, a jeśli wierzyć opowieściom jego kolegów z akademii, rzadko okazywał strach. Henri sięgnął po telefon:

- Oficer dyżurny? Niech kapitan i oficerowie odpowiedzialni za lotnictwo i walkę z okrętami podwodnymi stawią się u mnie natychmiast.

- Tak jest, sir.

Chwilę potem wszyscy wezwani zjawili się podnieceni, gotowi do walki. Nie mieli pojęcia, z jaką odpowiedzialnością wiąże się dowodzenie flotą.

- Przygotować blackbirdy S-14 do startu z głównego pokładu. Ich załogi mają być gotowe za minutę. Pogotowie bojowe.

- Tak jest, sir - odpowiedział za wszystkich kapitan i Henri dał im znak, że mogą odejść. Nie pytali go o nic, wiedząc, że i tak im nie powie.

Henri pomyślał, żeby zadzwonić do bazy w Kagoshimie, gdzie stacjonowały samoloty patrolowe pegasus P-5, ale po chwili zmienił zdanie. To by już była przesada.

Okolice wyspy Yakushima USS „Annapolis”, SSN-760

Kapitan na mostku! - zabrzmiał głośny okrzyk.

Kapitan Jonathan George S. Patton IV wkroczył na mostek USS „Annapolis” jak rewolwerowiec wchodzący do saloonu gdzieś na Dzikim Zachodzie. Mierzył zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, ale ponieważ był szczupły, wyglądał na wyższego. Uprawiał biegi długodystansowe. Włosy miał czarne jak smoła i śniadą twarz z czarnymi oczami o nieodgadnionym wyrazie. Patrzył spod zmarszczonych brwi, jakby był zły i zamyślony jednocześnie. Uśmiechał się tak rzadko, że należałoby odnotowywać to w dzienniku okrętowym. Mimo to był dobrym dowódcą, pomagającym młodszym oficerom poznać lepiej okręt i podnosić swoje kwalifikacje.

Patton był praprawnukiem generała George'a S. Pattona, sławnego dowódcy z czasów II wojny światowej. Akademia Marynarki w Annapolis z otwartymi ramionami powitała młodego Pattona w swoich murach.

Służąc na okrętach podwodnych trafił w końcu do szkoły dla przyszłych kapitanów.

Obowiązywały tu twarde zasady - w czasie trwania kursu jedna trzecia kandydatów odpadała i z góry wiadomo było, że ludzie ci nie mogą wrócić do służby na okrętach podwodnych.

Jeden ze sprawdzianów odbywał się w zbudowanej w Norfolk makiecie mostka okrętu podwodnego i polegał na stoczeniu bitwy zaprogramowanej przez maniaków gier wojennych i superkomputer. Przyglądał się temu admirał Michael Pacino, dowodzący siłami podwodnymi.

Patton wszedł na znajdujące się na wysokim podeście stanowisko peryskopu. Makieta mostka była wykonana tak wiernie, że nawet czuć tu było charakterystyczny zapach okrętu podwodnego. Patton spojrzał na tłoczący się w dole tłum, próbując nie dać po sobie poznać, jak bardzo się boi. Oblanie tego egzaminu oznaczałoby zaprzepaszczenie całych osiemnastu lat jego życia. Obsługujący sonar oficer krzyknął zza makiety pulpitu:

- Mamy kontakt, współrzędne długość jeden, szerokość jeden osiem zero. Sygnał średniego natężenia, wskazujący na okręt o napędzie strugowodnym. Kontakt został zaklasyfikowany jako płynący w zanurzeniu rosyjski okręt podwodny klasy Siewierodwinsk. Mamy drugi kontakt, współrzędne długość dwa, szerokość dwa sześć pięć. Kontakt wytwarza silny sygnał, którego źródłem są dwie śruby, każda o czterech ramionach. Kontakt został zaklasyfikowany jako rosyjski okręt wojenny „Kirów”. Mamy trzeci kontakt...

W końcu oficer zgłosił dwadzieścia kontaktów. Ze wszystkich stron otaczały Pattona ustawione w szyku bojowym rosyjskie okręty, każdy uzbrojony po zęby. Ktoś inny pewnie wpadłby w panikę, ale Patton, wiedząc, że nie ma wielkich szans, przechylił się przez reling i powiedział do stojących w dole:

- Cóż, wygląda na to, że zapędziliśmy ich w kozi róg.

Uszeregował kontakty według stopnia zagrożenia i odległości. W ciągu pięciu minut wystrzelił cztery torpedy w stronę okrętów podwodnych, zmienił położenie i ustawił się w pozycji strzeleckiej przeciw jednostkom nawodnym. Wynurzywszy się do peryskopowej, potwierdził dzielącą go od „Kirowa” odległość. „Kirów” był prawdziwym pływającym arsenałem, po zęby uzbrojonym w torpedy i rakiety. W ciągu następnych dziesięciu minut wystrzelił trzy torpedy przeciwko „Kirowowi”, dwie w krążownik „Sława”, dwie w okręt klasy Moskwa, jedną w krążownik „Kara”, jedną w okręt „Kriest II”. Strzelał do niszczycieli klasy Udałoj II i Sowriemiennyj, póki nie pozbył się wszystkich torped. Potem odwrócił okręt o sto osiemdziesiąt stopni i uciekł w głębiny morza z maksymalną prędkością, zygzakując. Znalazłszy w dnie spore zagłębienie, schronił się w nim przed prześladowcami. Wyłączył reaktor i wszystkie inne urządzenia, wydające choćby najcichsze dźwięki i przeczekał tam, póki rosyjska flotylla nie oddaliła się, nie mogąc go wykryć.

Ogółem zatopił szesnaście okrętów i poważnie uszkodził parę innych. A co najważniejsze, ukrył się potem tak dobrze, że nie mógł go znaleźć żaden z poszukujących go z powierzchni okrętów, choć ich sonary słycać było wszędzie dookoła.

Admirał Pacino z szerokim uśmiechem uściśnął mu rękę.

- Świetna robota, John - powiedział. - Jesteś tak samo dobry, jak twój przodek i imiennik, a może nawet i lepszy.

Patton nie podzielał jego entuzjazmu, bo znał prawdę - przez cały czas egzaminu serce waliło mu w piersi ze strachu przed porażką i nawet nie pomyślał, że może mu pójść aż tak dobrze.

- Z jednym zastrzeżeniem, kapitanie Patton - powiedział Pacino, obejmując go ramieniem. - Nie byliśmy w stanie wojny z Rosją. Miał pan tylko odnaleźć wśród nich japoński okręt wojenny klasy Destiny II. - Ale do diabła, to był wzorowy atak. Będę puszczał taśmę z jego nagraniem wszystkim przystępującym do tego egzaminu, a ta sprawa z japońskim okrętem pozostanie naszą słodką tajemnicą. W przyszłości muszę cię jednak dokładnie instruować, przeciw komu masz użyć torped.

Patton zaczerwienił się, ale jednocześnie uśmiechnął się z zadowoleniem. Pacino zaprosił go na kolację i okazało się, że jest całkiem równym facetem. Potem Patton przegadał pół nocy z Marcy, opowiadając jej o wszystkim, co przydarzyło mu się w Norfolk, ciesząc się z tego, że już wkrótce zostanie kapitanem okrętu podwodnego klasy 688-1.1 rzeczywiście, parę dni potem objął dowództwo na USS „Tuckson”, a kiedy zaczęła się blokada Japonii, został przydzielony do eskortowania płynącej z Pearl Harbor grupy transportowców, ze szczególnym uwzględnieniem transportowca „Abraham Lincoln”. Zaledwie godzinę po wyjściu z portu zaatakowały ich japońskie okręty podwodne klasy Destiny. Patton, usłyszawszy odgłos wystrzeliwanych z wrogiego okrętu torped, podpłynął do niego z flanki i, wystrzelivszy w niego zawartość całej komory, posłał go na dno. Japończycy zatonęli, nie wiedząc nawet, kto do nich strzelał. To samo spotkało drugi i trzeci japoński okręt. Jednak zanim to się stało, Japończycy zdążyli storpedować „Abrahama Lincolna”. Kiedy Patton znalazł w końcu ostami, czwarty japoński okręt, została mu już tylko jedna torpeda, którą wystrzelił, spodziewając się riposty wroga.

Uszkodzony japoński okręt wynurzył się na powierzchnię. Patton obserwował to przez peryskop, czekając, aż otworzy się właz i członkowie załogi wyjdą na pokład. Jednak właz pozostał zamknięty. Kierowany bardziej ciekawością niż żądzą krwi, Patton wynurzył „Tucksona”, wraz z paroma uzbrojonymi członkami swojej załogi wszedł na pokład japońskiego okrętu i za pomocą palnika acetylenowego dostał się do środka. Jeden z pozostałych na „Tucksonie” oficerów sfilmował to wszystko umieszczoną w peryskopie kamerą. Patton nikogo nie znalazł na pokładzie zdobytego okrętu, pomieszczenia dziobowe były niewielkich rozmiarów, pełne urządzeń komputerowych. Był to okręt bezzałogowy, kierowany przez system komputerowy. Patton wrócił na „Tucksona”, wziął japoński okręt na hol, pozbierał ocalałych po japońskim ataku rozbitków i popłynął na spotkanie wysłanego już w jego stronę oceanicznego holownika.

W drodze powrotnej do Pearl Harbor z otwartego włazu zdobytego okrętu nagle wystrzeliły płomienie. Okazało się, że japoński system komputerowy popełnił harakiri, na rozkaz samozniszczenia doszczętnie spłonęły wszystkie jego główne części i spece w Pearl Harbor niczego się już o nim nie mogli dowiedzieć.

Marynarka udostępniła mediom film pokazujący tę akcję i wkrótce Patton stał się symbolem brawurowej odwagi. Tylko Patton znał całą prawdę -zrobił to, bo chciał spotkać się twarzą w twarz z tymi, którzy posłali na dno powierzonego jego pieczy „Abrahama Lincolna”.

Kiedy „Tuckson” został odstawiony do suchego doku w celu przeprowadzenia modernizacji, Pacino, by zaoszczędzić Pattonowi stoczniowej nudy, przekazał mu dowództwo następnego okrętu podwodnego, USS „Annapolis”.

A teraz był tutaj, w centrum tego wszystkiego, i znów ochraniał okręty zmierzające w kierunku wroga. „Annapolis”, dzięki swym nowym siedmio-ramiennym śrubom, płynął z szybkością czterdziestu jeden węzłów.

Poszukiwanie wrogich okrętów podwodnych wymagało ciszy na pokładzie. Przy tej prędkości trudno było odebrać jakiegokolwiek sygnały, choć „Annapolis” był jednostką bardzo nowoczesną. Wyszedł niedawno ze stoczni po całkowitej modernizacji, miał teraz nową, ciszej pracującą śrubę i nowy, cichy napęd elektryczny. Stary reaktor także został zastąpiony wyprodukowanym przez DynaCorp dwustumegawatowym termicznym reaktorem o mocy do siedemdziesięciu tysięcy koni mechanicznych, co pozwalało mu osiągnąć szybkość czterdziestu jeden węzłów, taką jak niezwykle drogie w eksploatacji okręty klasy Seawolf. W dodatku „Annapolis” miał także nowy, używany na Seawolfach system kontroli bojowej BSY-4 i świeżo zainstalowaną sieć komputerową, połączoną z systemem wideo, pozwalającą Pattonowi kontrolować z kajuty wszystkie układy okrętu.

Patton właśnie zakończył obchód okrętu, który rozpoczął po dokonanej godzinę przedtem zmianie wachty. Przeszedł cały pokład wzdłuż i wszerz. Długi na sto dziesięć metrów okręt, miał prawie siedem tysięcy ton wyporności, uzbrojony był w dwadzieścia sześć torped Mark 52, dziesięć rakiet przeciwlotniczych Mark 80 i dziesięć rakiet pionowego startu Javelin, które, mogły być wykorzystane zarówno przeciw okrętom, jak i przeciw celom lądowym. Był wyposażony w najnowszy, niewidzialny dla radarów peryskop i w równie nowoczesny system łączności z antenami niezwyklej mocy. Na jego pokładzie zamontowano taki sam elektroniczny system wykrywania jak na najnowszych Seawolfach. Okręt był w pełni gotowy do walki.

Ale płynęli za szybko. Przy prędkości czterdziestu jeden węzłów pomiary akustyczne były niemalże pozbawione sensu, podczas gdy przy idealnej prędkości piętnastu węzłów byłoby w stanie usłyszeć inny okręt podobnej klasy nawet z odległości dziesięciu mil morskich. Potężne pompy cyrkulacyjne reaktora, każda o mocy dwóch tysięcy koni mechanicznych, strasznie hałasowały. Również śruba wytwarzała przy tej szybkości dużo wysokich dźwięków. Poruszając się z prędkością czterdziestu jeden węzłów, mogliby wykryć zbliżający się do nich okręt podobnej klasy dopiero z odległości dwóch mil morskich. Ich urządzenia miały teraz zaledwie dwadzieścia pięć procent wykrywalności.

Ale nie to było najgorsze. Wróg dysponował najprawdopodobniej konwencjonalnymi okrętami podwodnymi. Gdyby czekał bez ruchu na ich drodze z działającym jedynie głównym silnikiem, byłby praktycznie nie do wykrycia. Jediną rzeczą, jaką by usłyszeli, byłby odgłos wystrzeliwanych torped. Okręty atomowe starego typu były głośniejsze od nich, ale, poruszając się powoli, robiły mniej hałasu niż „Annapolis” i mogłyby go zaskoczyć. To czyniło z „Annapolis” coś w rodzaju kozła ofiarnego. Konwój był w tej chwili trzydzieści mil morskich z tyłu, a dziesięć mil morskich za nimi płynął dowodzony przez młodego Chrisa Camage'a USS „Santa Fe”. Jeśli czekały na nich wrogie okręty podwodne, to „Annapolis” i „Santa Fe” ściągną na siebie ich ogień. Gdyby zostały zaatakowane, miały natychmiast zawiadomić o tym konwój i podjąć walkę.

Nic nie tłumaczyło admirała Henriego, że nie wysłał ich do przodu parę dni wcześniej, żeby mogli sprawdzić zachodni Pacyfik i Morze Wschodniochińskie. Przecież nic go to nie kosztowało. Mogli wypłynąć w trakcie załadunku. Najpierw przeszukaliby Morze Wschodniochińskie, płynąc z szybkością dwudziestu, a potem piętnastu węzłów, zaś „Santa Fe” eskortowałby konwój, płynąc milę przed nim. Z pomocą blackbirdów i patrolowych pegasusów z Japonii namierzaliby na Morzu Wschodniochińskim każdego morskiego ssaka, nie mówiąc już o okrętach podwodnych. Teraz jednak oba eskortujące okręty podwodne służyły Henriemu za przynętę, na którą rzuci się wróg zagrażający konwojowi.

Patton spojrzął na składającego mu raport młodego oficera dyżurnego. Żadnych kontaktów sonarowych, mimo że płynęli w idealnym do nasłuchu zanurzeniu dwustu dziesięciu metrów, a okręt był maksymalnie wyciszony. Kiwnął głową, spojrzął na zegarek i zmarszczył brwi, kiedy pojawił się schodzący z wachty oficer techniczny. Patton wysłuchał jego raportu, kiwnął głową i udał się do kabiny sonarowej.

Przy jednej z konsoli siedział Byron DeMeers, specjalista od sonarów. Służyli razem jeszcze na „Providence”, a potem Patton brał go ze sobą na oba okręty, którymi dowodził. Tworzyli

zgraną parę. Rozumieli się bez słów; można by powiedzieć, że nadawali na tej samej częstotliwości. DeMeers jeszcze parę lat temu był łysym, wąsatym tłusciochem, ale kiedy odkrył centrum fitness, zmienił się w dziarskiego, umięśnionego faceta z plakatu i po raz pierwszy od dwudziestu lat cieszył się powodzeniem u płci przeciwnej. Mimo to nie związał się z nikim, odkąd żona rozwiodła się z nim po jego pierwszym rejsie. Chociaż zawsze, kiedy był na ładzie, dzwoniły do niego jakieś kobiety o wyzywających, pewnych siebie głosach, większość czasu spędzał na pokładzie okrętu, dopieszczając swój sprzęt i jego oprogramowanie.

Pracując z Pattonem, DeMeers rzadko się z nim nie zgadzał. Nie był zbyt entuzjastycznie nastawiony do tej misji, powiedział nawet Pattonowi na osobności, że uważa za głupotę to, że podlegali teraz rozkazom admirała, który w ogóle nie znał się na prowadzeniu działań podwodnych. Patton pomyślał, że trudno byłoby nie przyznać mu racji.

- Jak chcesz prowadzić poszukiwania? - spytał Patton DeMeersa.

- Mówiłem to już ze dwadzieścia razy - westchnął DeMeers. - Plan poszukiwań składa się z czterech części. Część pierwsza - poszukiwanie okrętów konwencjonalnych. Szukamy wydawanych przez silnik dźwięków o niskich częstotliwościach albo odgłosów śruby. Część druga - poszukiwanie wymieniających powietrze okrętów podwodnych. Staramy się wyodrębnić dźwięki niskich i średnich częstotliwości, jakie wydają okręty wynurzone do głębokości peryskopowej, wymieniające powietrze. Jest małe prawdopodobieństwo, że coś namierzemy, bo gdyby ktoś chciał zaatakować flotę, nie robiłby takiego hałasu. Część trzecia - okręty atomowe. Jesteśmy nastroszeni na ich trzy typy. Pierwszy, to stare wersje okrętów klasy 688, sprzedane państwu Trzeciego Świata. Raczej ichnie spotkamy. Drugi, to unowocześnione wersje okrętów klasy Hań. Czerwoni mieli je na składzie, ale rozpadły się ze starości dwadzieścia lat temu. Z resztą kto wie? Może zachowali któryś z nich i teraz wysłali go w morze? Trzeci typ to francuskie jednostki klasy Rubis, przez dziesięć lat dość dużo ich sprzedano. Są małe, głośne jak diabli i słabo uzbrojone. Prawdopodobieństwo ich napotkania jest także niewielkie. Część czwarta - wszystkie klasy okrętów podwodnych. Nasłuchujemy wszelkich odgłosów, takich jak trzaśnięcie zamykanych włazów, szum pomp, odgłosu zamykanych zaworów, brzęk upuszczonych na pokład narzędzi...

- Odgłos otwierających się wyrzutni torped - dodał Patton.

- Tak. Odgłosów żyrokompasów i samego napędu wystrzelonych torped. Moduł procesora jest zupełnie nowy i nie wiadomo, jak będzie pracował. Mogą być fałszywe alarmy.

- I to wszystko?

- To wszystko, szefie.

- A co z tym ostrzeżeniem, które przyszło ze Zjednoczonego Dowództwa Sił Podwodnych? Podobno Czerwoni mogą dysponować okrętami podwodnymi klasy Destiny albo Wschodzące Słońce.

- Dowództwo sądzi, że Czerwoni ukradli plany i na ich podstawie odtworzyli okręty którejs z tych klas. Czytałem tę wiadomość. Problem w tym, że taka kopia Destiny miałaby inny dźwięk niż oryginał.

- Dlaczego więc dowództwo ostrzega nas przed okrętami typu Destiny i Wschodzące Słońce?

- Tym bardziej że gdyby Czerwoni wybudowali lub testowali jakiegokolwiek okręty w zatoce Bohai, nasz wywiad natychmiast by się o tym dowiedział.

- To rzeczywiście nie trzyma się kupy. Ale jeśli Czerwoni w jakiś sposób nakłonili Japończyków do współpracy? Japończycy mogli nie wybaczyć nam blokady.

- Ależ szefie, to też nie ma sensu. Wyprowadzili Wschodzące Słońca w morze za zgodą Ameryki.

- Fakt, a potem wszystkie zatoneły.

- Kto wie, może to był sabotaż naszego dowództwa, które uznało, że Wschodzące Słońca stanowią jednak zbyt duże zagrożenie? - powiedział DeMeers, puszczając wodze fantazji.

Patton rzucił okiem na leżącą na bocznej konsoli powieść science-fiction. DeMeers pochłaniał

olbrzymie ilości fantastyki, ciekawe, czy te literackie upodobania mają wpływ na codzienny tryb jego myślenia.

- Szczerze w to wątpię. Wszystko to brzmi, jakby było wzięte z sufitu. Destiny? Wschodzące Słońca? Co będzie następne, rosyjski okręt klasy Siewierodwinsk?

- Czemu nie, skoro szukamy Rubisów czy Hanów, a nawet starych Los Angeles?

- Fakt. Może jednak uwzględnilibyśmy w naszych poszukiwaniach Wschodzące Słońca?

- Z przyjemnością, szefie. Jest tylko jeden problem, nie mamy pojęcia, jaki wydają dźwięk. Znowu ten stary problem. Nie mogli z większą nadzieją na powodzenie szukać okrętu, jeśli nie znali jego „dźwiękowej sygnatury”, czystego dźwięku, jaki wydawała jego maszyna. Zwykle zdobywał ją okręt podwodny, śledząc pierwszą jednostkę danej klasy i nagrywając dźwięki wydawane przez nią podczas pierwszego zanurzenia poza stocznia. Bez tego zdobytego przez wywiad „wzoru” bardzo trudno było namierzyć wrogi okręt, najwyżej mogły go zdradzić przypadkowe hałasy.

- Tak więc nasza sytuacja przedstawia się w ten sposób: płyniemy daleko przed konwojem, z maksymalną prędkością czterdziestu jeden węzłów, która nas ogłusza, jesteście też półślepi, bo nie wiemy, czego mamy szukać, czy okrętu podobnego do naszego, czy nowoczesnego, japońskiego, o nie i znanych nam parametrach, a naszym zadaniem jest zabezpieczyć całe Morze Wschodniochińskie.

- Dokładnie tak, szefie. Dlatego dostaje pan ten dodatek dowódczy.

- Całe czterdzieści dolarów tygodniowo - powiedział Patton. - Czy mamy chociaż dane starszego typu Destiny III?

- Gdzieś leżą przykryte kurzem. Znajdę je.

- I proszę wprowadzić je do komputera. To równie prawdopodobne jak Rubis czy Hań.

- Już się robi, szefie. Coś jeszcze?

- To wszystko. Nie chcę, żeby konwój został zaatakowany, kiedy ja go ochraniam.

- Razem straciliśmy „Lincolna”, sir. Też nie chcę, żeby to się powtórzyło - powiedział DeMeers niezwykle dla siebie, śmiertelnie poważnym tonem. John Patton wrócił zamyślony na mostek.

SS-403 „Arktyczny Sztorm”

A admirał Chu Hua-Feng, obrzucając spojrzeniem wszystkie monitory po-*mmyślał, że nawet po całych dwóch tygodniach obsługa dowódczej konsoli wciąż wymagała szczególnej uwagi. Chu urządził swojej załodze kurs obsługi okrętu. Sesje treningowe trwały długie godziny, w czasie których system komputerowy prowadził okręt, wyświetlając jednocześnie na mostku symulowane sekwencje bojowe. System komputerowy, zwany Drugim Kapitanem, stanowił klucz do powodzenia całej operacji, ponieważ kierował wszystkim na pokładzie - od reaktora do pieców kuchennych. Na szczęście udało im się go przekonać, że są pełnoprawnymi członkami załogi. Gdyby nie to, powodzenie całej misji stanęłoby pod wielkim znakiem zapytania.

W końcu Drugi Kapitan spełnił pierwszy rozkaz Chu i wysunął antenę, dzięki czemu Chu, używając komputerów, które przeładowali z batyskafu, mógł połączyć się / pozostałymi Wschodzącymi Słońcami. Był mile zaskoczony, kiedy usłyszał, że żaden z oddziałów nie miał najmniejszych problemów z opanowaniem okrętów. W gruncie rzeczy tylko „Arktyczny Sztorm” stawiał jakiś opór. Pozostałe oddziały po prostu zajęły japońskie okręty po oddaniu paru strzałów. Teraz należało nauczyć się obsługiwać.

W ostatnich dniach Chu nieraz myślał, że podjął się niewykonalnego zadania. Narastający stres, niedobór snu, świeżego powietrza i jedzenia bardzo dawały się wszystkim we znaki. Aż w końcu okręt zaczął działać, a zespół się skonsolidował. Po dniu odpoczynku byli teraz tutaj,

przy przylądku Yakushima, i czekali na amerykańską flotę. SNN okazała się niezwykle przydatna, informując o pozycji i zamiarach Amerykanów. W tajemnicy utrzymywano jedynie miejsce ich ewentualnego lądowania. Informacje SNN były tak szczegółowe, że Chu obawiał się, czy nie mają one na celu zmylenia przeciwnika, ale zdjęcia z chińskiego satelity potwierdziły doniesienia sieci, pokazując, że amerykańskie okręty płyną dokładnie w takim samym szyku, jaki został pokazany w wiadomościach. Tymczasem wszystko układało się dobrze, pomijając różnicę zdań na temat tego, jak powinien zostać przeprowadzony atak. Chu chciał przepuścić płynące w awangardzie amerykańskich sił dwa okręty podwodne i skoncentrować atak na samym konwoju, podczas gdy członkowie jego załogi pod przywództwem oficera technicznego Li Xinmina uważali, że lepiej od razu zniszczyć tak groźne dla nich amerykańskie okręty podwodne. Kiedy spór przybrał na sile, Chu udał się do swojej kajuty i zaprogramował symulację, którą wieczorem przedstawił wszystkim zebranym w mesie. Najpierw przedstawił symulację, w której atakują przepływające nieopodal okręty podwodne, w wyniku czego okręty konwoju łamią szyk i rozpraszają się. Większość torped nie trafia do celu i udaje im się zatopić zaledwie dziesięć procent amerykańskich jednostek. W drugim scenariuszu, po przepuszczeniu amerykańskich okrętów podwodnych, udaje im się posłać na dno wszystkie bez wyjątku okręty konwoju. Dyskusja jednak na tym się nie skończyła. Zaczęto się zastanawiać, czy amerykańskie okręty podwodne powrócą, żeby się zemścić, a jeśli tak, co było bardzo prawdopodobne, czy wezwą na pomoc stacjonujące na lądzie groźne samoloty patrolowe (odpowiedź na to pytanie również brzmiała twierdząco).

Co innego jednak zaprzętało myśli Chu. Każdy z okrętów miał dwadzieścia cztery komory bojowe, w każdej po dwie torpedy - główną i zapasową. Dawało to razem czterdzieści osiem torped na okręt, czyli ogółem dysponowali dwustu osiemdziesięcioma ośmioma torpedami dużego kalibru. Na liczącą sto siedemdziesiąt jednostek amerykańską flotę dwieście osiemdziesiąt osiem torped powinno wystarczyć, zakładając, że będą trafiali w cel. Co się jednak stanie, jeśli Amerykanie wyślą na odsiecz Białym Chinom następną flotę? Jeśli będą to najnowocześniejsze okręty, które zaczną polować na jego pozbawione amunicji jednostki? Jedynym wyjściem było nagle, obezwładniające uderzenie o takiej sile, że nie wróciliby już po więcej. Czy to się uda, to już inna sprawa.

Chu przystąpił do wykonywania bieżących zadań, starając się nie zaprzętać sobie głowy ewentualnym dalszym ciągiem wypadków. Wydawał rozkazy, szykując się do zniszczenia zbliżającej się floty wroga. Oparł się o konsolę dowódcy i po raz kolejny przyjrzał się jej skomplikowanej budowie. Ekran mógł być ustawiony na tysiące sposobów, mógł odczytywać języki komputerowe, wykresy sonarowe, wszystkie dane dostarczone przez nie. Można było na nich programować trajektorie pocisków, odtwarzać obrazy z kamer wideo. Wielokrotnie czytał instrukcje i opisy jej działania, nawet przetłumaczone na angielski notatki kapitana japońskiego, i teraz czuł się już przy niej pewnie. Wiedział, że okręt będzie działał i że on poprowadzi go do zwycięstwa.

Spojrzał na centralny ekran, przedstawiający widziane z góry morze, z „Arktycznym Sztormem” umieszczonym pośrodku obrazu. Nie było żadnych kontaktów sonarowych, mimo to polecił Drugiemu Kapitanowi pokazać przybliżone położenie pozostałych Wschodzących Słońc. „Świetlisty Piorun” znajdował się dwadzieścia kilometrów na pomocny wschód od „Arktycznego p Sztormu”, o dwadzieścia kilometrów na południowy wschód oddalona była „Burzowa Chmura”. Razem tworzyły trójkąt, a właściwie butelkę - „Arktyczny Sztorm” stanowił jej dno, a pozostałe dwa okręty ścianki. Dalej na wschód, już na Pacyfiku, znajdowały się pozostałe trzy okręty, tworzące coś w rodzaju l korka butelki: „Trzęsienie Ziemi”, „Wulkan” i „Tsunami”. „Arktyczny Sztorm” znajdował się dokładnie na drodze amerykańskiego konwoju, przy założeniu, że konwój zmierzał w okolice Szanghaju. Jeśli jednak zmierzają do Tsingtao, p będą musieli przepłynąć w odległości dwóch kilometrów od „Świetlistego Pioruna”, o dwanaście kilometrów na północ od „Arktycznego Sztormu”. Przepłyną w podobnej odległości od „Arktycznego Sztormu”, jeśli ich celem są okolice

Hongkongu. W takim wypadku na ich drodze znajdzie się „Burzowa Chmura”. W każdym wypadku trzy okręty stanowiące korek znajdują się na tyłach konwoju. Chu miał nadzieję, że to ósrodkowe Białe Chiny stanowią cel konwoju i że to on dobierze im się do gardeł. Zatopienie trzech lotniskowców klasy Webb na zawsze zapisałoby się w historii.

Przez swoje podłączone do radia komputery Chu podał pozostałym okrętom współrzędne, na jakich powinny się ustawić, używając do tego celu... muzyki. Elementami tego kodu były stare, angielskie i amerykańskie rock'n'rollowe piosenki. I tak na przykład piosenki Stonesów przeznaczone były dla „Burzowej Chmury”, Beatlesi dla „Wulkanu” i tak dalej, przy czym każda piosenka odsyłała do innej, zawartej w książce kodów pozycji. Wszystko po to, by nie wzbudzić w Amerykanach podejrzeń co do ich obecności. Zaskoczenie było podstawą j jego planu.

Kiedy Amerykanie zbliżą się i trzeba będzie manewrować całą flotyllą, zaczną używać zwykłego radia, przez które jego mówiący po koreańsku pierwszy oficer będzie udawał, że jako kapitan statku rybackiego uprzedza innego rybaka, żeby usunął się z drogi konwoju, bo pozostanie w tym miejscu grozi kolizją. Dla uprawdopodobnienia tego podstępu z rozkazu Chu wysłano na Morze Wschodniochińskie sporą liczbę trawlerów.

- Admirale - zapytał siedzący za konsolą bojową oficer operacyjny Chen Zhu-czy już czas?
- Tak - odpowiedział Chu, przenosząc wzrok z ekranu na zegarek. W wypadku falstartu trzeba będzie wyłączyć żyroskopy torped, żeby uchronić je przed przegrzaniem. Zdecydował się podjąć to ryzyko. - Proszę otworzyć wszystkie dwadzieścia cztery komory i zacząć rozgrzewać wszystkie torpedy.

Chen przez swój mikrofon szczękowy przekazał rozkazy Drugiemu Kapitanowi, który po chwili sam zameldował Chu:

- Wszystkie komory zostały otwarte, panie admirale, wszystkie torpedy podłączone.

Wszystkie żyroskopy właśnie osiągnęły pełne obroty.

- Bardzo dobrze.

Na mostku zapanowała pełna napięcia cisza. Słychać było tylko ciche brzęczenie elektroniki konsol i basowy warkot systemu rozprowadzającego powietrze. Po dłuższej chwili komandor-porucznik Xhiu Liu, stojący przy konsoli czujników, zameldował:

- Admirale, mamy mocny sygnał wyciszonej siedmiołopatkowej śruby na niskich częstotliwościach, szerokokresowy odgłos pracujących pomp, silny hałas wywołany ruchem okrętu i parę rezonansów. To zanurzony amerykański okręt podwodny klasy 688-1 płynący z dużą prędkością prosto w naszą stronę!

USS „Annapolis”, SSN-760

Kapitan John Patton oparł się o znajdujący się za platformą peryskopu stół z mapami i zmarszczył brwi.

Cały pokład trząsł się od wibracji turbin głównego napędu. Jeszcze parę godzin takiego trzęsienia i wszyscy będą wykończeni. Próby namierzenia sonarem jakiegoś kontaktu przy tej prędkości przypominało poszukiwanie zgubionych na autostradzie soczewek kontaktowych przez okno samochodu jadącego z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

Poza tym rozkazy operacyjne wydane przez admirała Henriego zakazywały mu wynurzenia się na peryskopową, ponieważ wymagałoby to znacznego ograniczenia prędkości. Zakaz ten oznaczał, że muszą płynąć ślepo do przodu, nie mając zielonego pojęcia, co dzieje się na powierzchni. Patton podszedł do dużej, elektronicznej mapy ściiennej. Właśnie wpłynęli na Morze Wschodniochińskie. Jeśli w dziwnej wiadomości z dowództwa było choć trochę prawdy, to właśnie tutaj, pod osłoną wysp Ryukyu, czekał ktoś na nich w zasadzce.

Dlaczego? Ponieważ każdy odbiorca telewizji satelitarnej wiedział, gdzie w danym momencie znajduje się amerykański konwój, ale nikt nie wiedział, dokąd płynie. Ale dokądkolwiek by zmierzał, musiał przepłynąć koło najdalej na południe wysuniętej japońskiej wyspy

Yakushima.

Najeżalo zwolnić.

- Pieprzyć to - powiedział na głos, na co stojący obok oficer, wysoki, chudy porucznik Karl Horburg, uniósł ze zdziwienia brwi. - Panie poruczniku, proszę zwolnić do dziesięciu węzłów i wyłączyć pompy recyrkulacyjne reaktora. Proszę zawiadomić obsługę sonarów, że zwalniamy i wyciszamy okręt. Mają porządnie popracować, dopóki nie powiem, że znowu przyśpieszamy.

Horburg bez słowa podniósł ze stołu kartkę z rozkazami dowódcy floty.

- Tak, wiem - skrzywił się Patton. - Zwalniamy i wyciszamy. Wykonać!

- Sternik- warknął Horburg do podwładnych -jedną trzecią naprzód, zwolnić do dziesięciu węzłów, wyłączyć wszystkie pompy recyrkulacyjne reaktora. Sonar, zwalniamy do dziesięciu węzłów, prowadźcie nasłuch!

- Mostek, zrozumiałem, jedna trzecia, zwolnić do dziesięciu, zatrzymać pompy recyrkulacyjne. Pompy recyrkulacyjne zostaną wyłączone, kiedy pozwoli na to moc reaktora.

- Dobrze - Horbuig przyciągnął do ust zawieszony nad głową mikrofon. - Sonar, główny oficer na mostek.

- Tak jest - rozległ się głos z głośnika nad mikrofonem.

- Wszystkie pompy recyrkulacyjne reaktora wyłączone, działa naturalna cyrkulacja reaktora - krzyknął sternik z za swojej przypominającej pulpit samolotu konsoli.

- Bardzo dobrze - odkrzyknął mu Horburg. Na mostek wszedł Byron DeMeers.

- Widziałeś prędkościomierz? - spytał Patton, wskazując głową pulpit sterowniczy.

- Tak. Wreszcie można prowadzić nasłuch. Ile minut mi pan daje? I w którą stronę najpierw się zwrócimy?

- Dwie minuty na północ, potem dwie na południe - odpowiedział Patton nie dopuszczającym sprzeciwu tonem.

- Szefie, proszę dać mi po trzy minuty na każdą ze stron - odrzekł DeMeers. - Kto wie? Jest pewna różnica między otrzymaniem medalu za lokalizację wroga, a pośmiertnym medalem, przyznanym po tym, jak nas zlokalizuje ich torpeda.

- Dobra. Trzy minuty i ani sekundy dłużej. Niech pan już idzie do swojej nory i namierzyć mi tych gości.

„Annapolis” powoli zwolnił z czterdziestu jeden węzłów do dziesięciu i zwrócił się na północ, jego sonary zaczęły prowadzić nasłuch. Z umieszczonej na samym dziobie tarczy, z wielkich, umocowanych tuż pod poszyciem kadłuba paneli i ze zbierającego dźwięki niskiej częstotliwości kabla wszystkie, nawet najcichsze dźwięki oceanu przesyłane były do znajdującego się na pokładzie superkomputera. Procesory komputera filtrowały i analizowały całą górę nadesłanych przez czujniki danych, szukając dźwięków skonstruowanych przez człowieka urządzeń -było to jak szukanie igły w tle akustycznym wytwarzanym przez naturę. Przez sto osiemdziesiąt sekund Byron DeMeers również własnym uchem nasłuchiwał wszystkich pochodzących z morskiej toni dźwięków niskiej częstotliwości. Najpierw usłyszał stado cichutko kłękających krewetek, potem samotnego wieloryba. Potem odległy trawler, potem następny, z jeszcze większej oddali. Wschodnia strona ekranu jarzyła się jasnym światłem, właśnie od wschodu, płynąc z prędkością trzydziestu pięciu węzłów, zmierzało w ich stronę sto dziesięć okrętów konwoju. Konwój robił tak wielki hałas, że od szerokości zero osiem pięć do szerokości zero dziewięć pięć ekran był oświetlony jednolitym, niebieskim światłem, oznaczającym szeroką częstotliwość wytwarzanych dźwięków.

Po trzech minutach DeMeers przerwał nasłuch i powiedział do mikrofonu:

- Mostek? Skończyłem nasłuch na kierunku północnym. - DeMeers wyłączył czujniki niskich częstotliwości i w czasie, kiedy okręt zmieniał pozycję, skupił się na nasłuchu szerokich częstotliwości. Kiedy zwrócili się na południe, hałas wydawany przez konwój wzmógł się jeszcze bardziej.

- Sonar? Stały kurs na południe.

- Zrozumiałem.

Następne trzy minuty poszukiwań.

Na stu pięćdziesięciu pięciu hertzach wykres dźwięków o niskich częstotliwościach nagle zaczął rosnąć. Dźwięki o tej częstotliwości musiały być wytworzone przez człowieka, ich źródłem była jakaś obracająca się część maszynierii. Może generator turbiny, obracany przez parę pod wysokim ciśnieniem, przetwarzający energię cieplną w mechaniczną, a mechaniczną w elektryczną. Dźwięk był wysoki, czysty jak głos śpiewaczki operowej.

- Sonar? Mówi kapitan, jesteście gotowi do przywrócenia poprzedniej prędkości i powrotu na kurs podstawowy?

- Nie, kapitanie - odpowiedział spokojnie DeMeers. - Mamy nowy kontakt na niskich częstotliwościach, długość dwa cztery, sto pięćdziesiąt pięć hertzów, szerokość zero siedem pięć albo dwa pięć pięć, sygnał słaby, prawdopodobnie jest to okręt podwodny w zanurzeniu.

18

SS-403 „Arktyczny Sztorm”

Admirale - zawołał Xhiu zza panela obsługującego czujniki - wrogi okręt podwodny zbliża się coraz bardziej, odległość nie do ustalenia, stały kurs. Płyń w naszym kierunku, nasze tory będą musiały się przeciąć!

Chu wiedział, że ton, jakim wyda pierwszy rozkaz bojowy, może przesądzić o całej walce.

- Bardzo dobrze. Niech się przetną. Określamy wrogi okręt jako PC-1, proszę meldować mi o jego prędkości, odległości i miejscu przecięcia się naszych torów. - PC-1 było utworzonym na wypadek pojawienia się większej liczby celów skrótem od „podwodny cel numer jeden”. - Ster dziesięć stopni w lewo, kurs na północ, prędkość dwadzieścia dwa węzły, zanurzenie p trzysta metrów, trzymać ką.

- Tak jest, ster dziesięć stopni w lewo, kurs zero zero, przyspieszyć do | dwudziestu dwóch węzłów, zanurzenie trzysta metrów, trzymać płaski ką.

- Bardzo dobrze. Nawigatorze? Proszę skorzystać z danych Drugiego Kapitana. - Chu chciał zejść z drogi wrogiemu okrętowi, określając jego położenie jedynie za pomocą sonarów.

- Tak jest, PC-1 zbliża się z dużą prędkością, w tej chwili jest w odległości trzydziestu pięciu kilometrów. Nasza odległość od jego spodziewane-|L; go toru wynosi sześćset metrów.

Przejdzie bardzo blisko nas.

- Dobrze. Sternik? Zwolnić do pięciu węzłów.

- Tak jest, pięć węzłów.

- Ależ panie admirale - zaprotestował Xhiu - minie nas zaledwie o parę długości. Musimy zwiększyć dystans.

- Nie. Cisza na okręcie jest ważniejsza od odległości.

- Admirale, wciąż pan zamierza przepuścić amerykańskie okręty? Nie spodziewaliśmy się, że podejda tak blisko. Ten tutaj może nas wykryć. Może już teraz powinniśmy go storpedować?

- Nie - odpowiedział Chu. - Przepuścimy obydwu. Gdybyśmy je zaatakowali, ostrzegłoby to całą flotę. Okręt PC-1 zmierza w naszym kierunku jak rozpędzony pociąg, i robi dokładnie tyle samo hałasu. Szczerze wątpię, żeby nas wykryli. Uspokójcie się, do cholery, i przygotujcie się na pojawienie drugiego okrętu. Taką flotę muszą eskortować co najmniej dwie jednostki podwodne. Trzeba też uważnie obserwować pierwszy, zwracając uwagę na jakiegokolwiek znaki, mogące świadczyć o tym, że i oni nas wykryli.

Upłynęło dziesięć minut. Chu czekał. Na lewym, dolnym ekranie konsoli widział twarz komandora - porucznika Xhiu Liu. Młody nawigator przyciskał do ucha słuchawkę, a jego twarz wyrażała narastające przerażenie.

- Co jest, nawigatorze? - Zapytał Chu.

- Kontakt PC-1 zaczaj nagle słabnąc, zwalniamą. Panie admirale, nie wiem, co oni robią. Oni...

To dziwne, Xhiu Liu, zawsze taki opanowany, a skoro tylko znalazł się na pokładzie atomowego okrętu podwodnego, zaczynał się zachowywać jak przerażone dziecko. Może to dlatego, że w czasie akcji komandos zawsze ma pewną kontrolę nad sytuacją, a na okręcie podwodnym tylko kapitan może podejmować decyzje.

- Proszę go dalej pilnować - powiedział Chu najbardziej uspokajającym tonem, na jaki go było stać.

- Tak jest, wciąż zwalnia, wciąż zwalnia.

Sekundy ciągnęły się jak guma do żucia. Chu obserwował nie przetworzone dane sonarów, pojawiające się na prawym, górnym ekranie konsoli. Odnalazł sygnały wrogiego okrętu, kiedy komputer pulsującym kursorem odgraniczył je od innych, by poddać je analizie. Na centralnym ekranie wciąż pośrodku przedstawiony był jego własny okręt, a szacunkowe położenie wrogiego okrętu przedstawione było za pomocą migającego, przypominającego diament symbolu.

- Płynię teraz o wiele wolniej. Współrzędne szerokości zmieniają się, skręca w lewo. Mamy następny kontakt, panie admirale. Mnóstwo kontaktów, mnóstwo płynących po powierzchni okrętów, szerokość zero osiem osiem, wiele szerokości na wschód od nas. Są wszędzie. To musi być ponad sto okrętów! Nie mogę...

- Gratulacje, znalazł pan konwój, ale co się dzieje z PC-1?

- Zwolnił i skręcił, teraz jest już na nowym, stałym kursie.

- Z jaką szybkością płynie?

- Osiemnaście węzłów.

Szuka nas, pomyślał Chu, może wyczuł coś i zwolnił, żeby się przysłuchać.

- To, że tamten okręt teraz skręcił, jest najprawdopodobniej rutynowym manewrem poszukiwawczym. Uspokójcie się. - Chu uśmiechnął się sztucznie, nigdy nie sądził, że w czasie tej operacji będzie musiał wypowiedzieć te dwa ostatnie słowa.

Znowu minęło trochę czasu.

- PC-1 znowu zmienia pozycję, ustawia się prosto na nas i płynie w naszą stronę. Wygląda na to, że zajęł pozycję bojową, admirale - Xhiu znowu tracił panowanie nad sobą. Chu spojrzał znacząco na Lo Suną, który obszedł cichym krokiem konsolę dowódcy i stanął za plecami Xhiu.

- Spokojnie, nawigatorze. Poruczniku, proszę zaprogramować wyrzutnię dziesiątą i jedenastą na cel PC-1. Torpedę dziesiątą ustawić na ultraciche wypłynięcie. Torpedę jedenastą na błyskawiczne, generowane gazem wystrzelenie i najszybszy tryb dotarcia do celu. Panowie, proszę przygotować się do ataku na PC-1.

USS „Annapolis”, SSN-760

- Sonar? Mówi kapitan, proszę natychmiast sklasyfikować kontakt! Wbrew wewnętrznemu regulaminowi marynarki John George Patton na B co dzień utrzymywał z DeMeersem swobodne, koleżeńskie stosunki. Specjalista od sonarów był częstym gościem w jego domu przy plaży Sandbridge. Jedząc hamburgery z grilla, wspólnie narzekali na to, że marynarka schodzi na psy. Kiedy jednak działo się coś poważnego, wszelka swoboda w ich stosunkach zniknęła bez śladu. Nikt by wtedy nie powiedział, że wypili razem niejedną skrzynkę piwa. W takim momencie obowiązywała ich ścisła, wojskowa dyscyplina.

Patton miał już powiedzieć: „Przygotować do strzału wyrzutnię numer jeden”. Gdyby wydał rozkaz, w ciągu dziesięciu sekund komora wyrzutni wypełniłaby się wodą, zewnętrzna pokrywa otworzyłaby się i byłby gotów do wystrzelenia torpedy w każdej chwili. Nie mógł jednak tego zrobić, dopóki nie upewnił się, że mierzy we właściwy cel, bo otwarta przy dużej prędkości pokrywa powodowała silny rezonans akustyczny - to tak, jakby dmuchać w szyjkę butelki. Ten gwizd zdradziłby ewentualnym wrogom ich obecność. Patton nie zamierzał otworzyć wyrzutni, póki nie byłby pewien, że będzie mógł zadać śmiertelny cios. Czekał, a

knykcie jego zaciśniętej na poręczy dłoni aż zbieleły od napięcia.

Porucznik Horburg klęczał na skórzanym fotelu koło komputerowej konsoli. Z furią naciskając przyciski, usiłował ustalić, do jakiego celu pasują te dane. Musiał też obliczyć, gdzie wkrótce będą, powiedzmy za pięć minut, w czasie programowania torpedy. Obliczenia były trudne, ale poradził sobie. Cel znajdował się dwadzieścia cztery kilometry od nich na północny wschód, tuż poza zasięgiem sonarów konwoju.

Patton przyglądał się Horburgowi, czekając na ostateczne wyniki obliczeń. Wyglądało na to, że cel zbliża się do nich z prędkością powyżej trzydziestu pięciu węzłów. Patton zmartwił się. Wiedział już, że nie może to być żaden stary okręt o napędzie konwencjonalnym. Musiał to być okręt atomowy. Ale jeśli to wróg, to dlaczego nie zwolnił, by nie było go słychać, żeby mógł podплыnąć i storpedować ich z zaskoczenia? Z jednego powodu. To wcale nie był wróg. To musiał być „Santa Fe”, drugi z eskortujących konwój okrętów podwodnych.

- Kapitanie? Tu sonar, kontakt na długości dwa cztery to z całą pewnością okręt podwodny, jest daleko, raczej niskie częstotliwości, robi czterdzieści węzłów, ma siedmiołopatkową śrubę, po wzbogaceniu i przeanalizowaniu danych sklasyfikowany został jako okręt klasy 688.

- Zrozumiałem - odpowiedział Patton. - Kontakt na długości dwa cztery to USS „Santa Fe”.

- Tak jest.

- Główny oficer na mostek. DeMeers wszedł z butelką coli w rękę.

- Chyba nie powinniśmy strzelać do Chrisa Carnage'a - powiedział.

- Nie powinniśmy - odpowiedział Patton. - Klub żon członków załogi „Santa Fe” nie ucieszyłby się z tego.

- Szkoda. Pozbylibyśmy się trochę tych starych torped.

- Jest tam coś jeszcze?

- Jesteśmy tylko my, Chrissy i z kilkadziesiąt dużych okrętów na powierzchni.

- Jak będziemy tak tu siedzieć i gadać, zjawią się nad nami i mogą nas źle potraktować.

- Więc znowu przyspieszamy do tej zaszrannej maksymalnej prędkości? To tak, jakbym nasłuchiwał odległego głosu z głową we wnętrzu pracującej suszarki do włosów.

- Powiedz to Jean-Paulowi Henriemu - odparł Patton, przedrzeźniając francuski akcent admirała. Potem oschłym, opryskliwym tonem, jakim zwykle wydawał rozkazy, zwrócił się do Horburga:

- Ruszamy. Kurs na zachód, prędkość maksymalna.

- Tak jest, kurs zachodni na maksymalnej - odpowiedział Horburg. Wrócił na swoją konsolę i znowu podciągnął do ust mikrofon - wyglądał jak kierowca ciężarówki rozmawiający przez radio CB:

- Maszynownia? Tu mostek. Przystawcie reaktor na zewnętrzną cyrkulację.

- Jest przestawić reaktor na zewnętrzną cyrkulację - odpowiedział głos gdzieś sponad głowy Horburga. - Rozpoczęcie szybkiego wprowadzania.

- Sonar? Tu mostek. Przyspieszamy do maksymalnej prędkości i zmieniamy kurs na zachodni. Sternik? Ster do końca na prawo, pełną naprzód, kurs stały zachodni! - Wskaźnik telegrafu maszynowego z 1/3 przestawił się na tarczy na pozycję max. Na ekranie widać było, jak ster obrócił się w prawo o trzydzieści stopni.

- Jest ster do końca na prawo, z maszynowni donoszą, że jest maksymalna prędkość - zawołał sternik.

- Bardzo dobrze - warknął Horburg.

- Mostek? Tu maszynownia - zaszczekał głośnik. - Reaktor przestawiony na zewnętrzną cyrkulację. Pompy recyrkulacyjne reaktora numer jeden, dwa, trzy i cztery pracują na pełnej mocy.

- Tu mostek, zrozumiałem - odparł Horburg.

Pokład znów zaczął dygotać, kiedy wskazówka prędkościomierza wspięła się z dziesięciu węzłów do dwudziestu, potem do trzydziestu i dalej. Ostatecznie zatrzymała się na czterdziestu jeden węzłach. - Sir, zmieniamy kurs dwa sześć zero na prawo, dziesięć stopni

odchyłu od pierwotnego kursu.

- Bardzo dobrze.

- Sir, stały kurs na zachód! - krzyknął sternik.

- Tak trzymać. Było oczywiste, że rozkazy Pattona zostały spełnione, ale Horburg zwrócił się do niego z oficjalnym meldunkiem:

- Kapitanie, okręt na maksymalnej prędkości płynie zachodnim kursem.

- W stronę zachodzącego słońca - mruknął Patton. Jednym okiem patrzył na mapę, drugim na wykresy danych zebranych przez sonary, wyświetlane nad konsolami centrum ataku.

Wykonanie pomiarów sonarowych na zmniejszonej prędkości nie poprawiło jego samopoczucia. Kiedy mijali przylądek wyspy Yakushima, miał przejmujące uczucie, że coś się czai za nim. Ale kiedy potem wyciszył okręt i zwolnił do prędkości nasłuchowej, nic tam nie znalazł. Jednak nasłuchiwał tylko siedem minut i zwolnił tylko do dziesięciu węzłów. Kto wie, co by znalazł, gdyby płynąc z prędkością dwóch węzłów dał procesorom niskich częstotliwości godzinę na zestawienie wszystkich sygnałów ze wszystkich stron świata? Gdyby jednak tak zrobił, konwój by go prześcignął, a wytwarzany przez niego hałas zagłuszyłby wszystkie inne dźwięki. Już i tak to, co uczynił, mogło go słono kosztować. Stracił całe jedenaście minut i zboczył z kursu. Był więc teraz zaledwie trzy mile przed „Santa Fe” i dwadzieścia trzy mile morskie przed konwojem. Dwadzieścia trzy zamiast poprzednich trzydziestu! Rozkazy były wyraźne, miał wypłynąć przed konwój tak daleko, jak się tylko da.

Patton patrzył na mapę, ale jej nie widział. Coś tu było nie tak. Miał takie dręczące uczucie, jak wtedy, kiedy się o czymś zapomni.

Poszedł do DeMeersa. Umieszczone na suficie lampy dawały bladą, niebieską poświatę.

Fotele przy dwóch spośród czterech znajdujących się tam konsoli były puste. Przy pozostałych siedzieli DeMeers i jego operator, obaj ze słuchawkami na uszach.

- Coś jest nie tak - powiedział Patton.

- To prawda. Już od tygodnia nie widziałem żadnej kobiety - powiedział DeMeers.

- Mówią poważnie. Coś tam jest.

DeMeers natychmiast spoważniał i patrzył na Pattona przez dłuższą chwilę.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek to panu mówiłem, szefie, ale w takich sprawach nigdy się pan jeszcze nie pomylił.

Patton poczuł na plecach dreszcz. Prawie taką samą rozmową przeprowadzili dwa lata temu, na pół godziny przed tym, jak pierwsza torpeda trafiła w „Abrahama Lincolna”.

- Oddałbym wszystko, żeby się teraz mylić.

- Chce pan sięść za konsolą? - zapytał DeMeers, zdejmując słuchawki.

- Nie, wróć na mostek. Nasłuchujcie uważnie.

- Tak jest.

Patton wszedł na mostek i stanął przy stoliku z mapami. Ciągłe dręczyło go to dziwne uczucie. Coś tam było.

Pytanie Xhiu zawisło w powietrzu. Chu przeglądał ekrany na swojej konsoli.

- Nie - odpowiedział w końcu. - Nie zamierzam go torpedować.

- Ależ admirale, przepłynął tuż za nami i przyśpieszył. Nie usłyszał nas.

- Właśnie. On nie stanowi dla nas zagrożenia, przynajmniej teraz. A zatapiając go, spowodowalibyśmy huk, który na pewno usłyszałyby okręty z konwoju, nawet poprzez hałas własnych śrub.

- Teraz drugi okręt zbliża się do punktu, w którym będzie najbliżej nas. Co z nim zrobimy?

Chu uśmiechnął się do konsoli, wiedząc, że Xhiu Liu zobaczy to na swoim ekranie.

- Wie pan przecież, co na to odpowiem, panie nawigatorze. Prawda? - Xhiu uśmiechnął się po raz pierwszy podczas tej wachty. - Przepuścimy go.

- Tak jest, panie admirale.

- Jesteśmy ustawieni na konwój?

- Zbliżają się, w tej chwili znajdują się w odległości trzydziestu pięciu kilometrów od nas.
- Już pora wynurzyć się do zanurzenia masztowego. Czy PC-2, ten drugi okręt podwodny, już się od nas oddala?

- Minął punkt największego zbliżenia i zwiększa dystans - odpowiedział Xhiu.

- Bardzo dobrze. Proszę zwolnić do piętnastu węzłów, wynurzenie masztowe, dwadzieścia dwa metry, kąt do góry trzydzieści stopni. Pierwszy, proszę przejąć moją konsolę.

Kiedy pokład się przechylił, Chu z pewnym trudem odpiął pasy. Podciągając się na wmontowanych w boczne i górne krawędzie konsoli uchwytach, stanął na pochyłonym pod kątem trzydziestu stopni pokładzie. Lo Sun wcisnął się na jego miejsce i założył uprząż. Tymczasem Chu podciągnął się do znajdującej się w rogu pomieszczenia okrągłej platformy peryskopu, nacisnął przypominający grzyb guzik, i siedzisko peryskopu rozłożyło się, opuściło, przypominając teraz pozbawiony kół motocykl. Chu usiadł na nim, położył dłonie na uchwytach i przyłożył oczy do okularu dwuocznego. Ponieważ maszt peryskopu nie był wyciągnięty, nic nie było widać. Chu wypróbował siodło i ustawił je dokładnie do przodu, bowiem od tej pozycji lubił zaczynać obserwację.

- Dnjigi Kapitanie, proszę przygasić światła na mostku - powiedział do swojego szczękowego mikrofonu i wokół zapanował półmrok.

- Nawigatorze, jaka jest odległość do konwoju?

- Dwadzieścia cztery kilometry.

- Panie admirale, minęliśmy głębokość stu metrów - zza konsoli kontrolnej zameldował Yong Wong.

- Niech wznosi się dalej - rozkazał Chu. - Drugi Kapitanie, proszę wysunąć maszt peryskopu.

Kiedy maszt wysunął się ze swojego schowka w płetwie statecznika, ciemność w okularze odrobinę się rozjaśniła. Obrócił lewy uchwyt do dołu, ustawiając peryskop w stronę odległej powierzchni morza. Palcem wskazującym prawej ręki nacisnął znajdujący się w prawym uchwycie rygiel i siodło wraz z całym peryskopem powoli obróciło się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Widział teraz odbłaski słonecznego światła gdzieś w górze, ale reszta obrazu była zamazana. Chu powoli obracał się wraz z całym urządzeniem.

- Trzydzieści metrów, panie admirale. Zaczynamy wyrównywać poziom.

- Świetnie.

Kiedy pokład okrętu ustawił się w poziomie, Chu zaczął odczuwać lekkie kołysanie z burty na burtę. Było to spowodowane przetaczającymi się nad nimi srebrnymi falami. Morze nie było tak spokojne, jak tego oczekiwał, ale fale nie były zbyt duże. Teraz, kiedy już widział powierzchnię, przyśpieszył obroty platformy.

- Nic nie ma w pobliżu - powiedział do umieszczonego przy ustach mikrofonu.

Peryskop wyłonił się na powierzchnię. Spływająca z niego woda zamgliła na chwilę widoczność. Potem obraz poprawił się, ale wciąż nie było widać żadnego okrętu. Linia horyzontu wyraziście odcinała od siebie dwa żywioły - białe niebo i ciemnoniebieskie morze.

- Nawigatorze, ostatnia szerokość geograficzna konwoju.

- Zero dziewięć cztery, panie admirale.

Chu ustawił peryskop na wschód i wydłużył ogniskową obiektywu tak, że horyzont jakby nagle się przybliżył. Ale wciąż nic nie było widać. Nastawił obiektyw na dwudziestoczerokrotne powiększenie. Teraz nawet najmniejszy ruch okrętu powodował skoki obrazu, co bardzo utrudniało obserwację. Ale horyzont w dalszym ciągu był pusty.

- Drugi Kapitanie - powiedział - proszę umieścić geograficzny wykres na szczycie siatki peryskopu.

Po chwili na szczycie siatki okularu, w który patrzył, pojawiła się utworzona z południków i równoleżników siatka, przedstawiająca wycinek morza, na którym znajdował się „Arktyczny Sztorm”. U góry, na godzinie dwunastej, widać było kilkadziesiąt przypominających diamenty punktów, przedstawiających wrogie okręty. Odległość do czoła konwoju wynosiła dziewiętnaście kilometrów. Chu przygryzł wargę - wysokie maszty lotniskowców, a przynajmniej tego płynącego na przedzie konwoju, powinny być już widoczne.

- Kontrola, proszę zmienić zanurzenie do dwudziestu jeden metrów. -To pozwoli wysunąć maszt peryskopu o dziewięć metrów wyżej, będzie wysoki jak słup telefoniczny, sterczący pośrodku morza. Kiedy okręt się wynurzał, powierzchnia morza w polu widzenia peryskopu oddalała się coraz bardziej, a linia horyzontu, do tej pory równa i wyrazista, w paru miejscach jakby się zamgliła.

Teraz widać było na niej trzy czarne punkty. Chu ustawił ostrość. Okazało się, że to nadbudówki olbrzymich, niewidocznych z powodu krzywizny ziemi, okrętów. Rygłem umieszczonym w prawym uchwycie peryskopu wydłużył jego ogniskową, uzyskując czterdziestośmiokrotne powiększenie. Największy z trzech punktów zaczął tak skakać w polu widzenia, że trudno było skupić na nim wzrok. Mimo to Chu zorientował się, że był to lotniskowiec, wielki jak pływająca wyspa.

- Trzy kontakty w polu widzenia, panowie. Szerokość geograficzna środkowego celu zero dziewięć pięć. Nie widać jeszcze ich kadłubów, ale zbliżają się w szybkim tempie. Określamy środkowy lotniskowiec jako NC-1, ten po lewej jako NC-2, ten po prawej jako NC-3.

Przygotować się do wystrzelenia torped. Wszystkie torpedy oznaczone?

- Wszystkie dwadzieścia cztery pierwsze torpedy oznaczone, admirale - zameldował Chen Zhu cienkim głosem zza znajdującej się w przeciwległym rogu pomieszczenia mostka konsoli sprzętu bojowego.

- Świetnie. Torpedy trzeba ustawić na ultraciche wypuszczenie, niech płyną małą prędkością, z trybem dochodzenia do celu na małej głębokości. Jeśli nas wykryją, albo z innych powodów będziemy musieli się śpieszyć, przełączymy je na wystrzelenie gazowe i szybkie dotarcie do celu. A teraz przydział komór... NC-1, środkowy lotniskowiec, komory pierwsza i druga, NC-2, ten po lewej, komory trzecia i czwarta, NC-3, piąta i szósta.

- Tak jest - powiedział Chen. - Wykonane. Przydział komór pojawi się za sekundę w wizjerze peryskopu.

Przydział komór na chwilę zamigotał u góry obrazu, zastępując siatkę geograficzną. Trzy lotniskowce były coraz bliżej, coraz dokładniej było je widać, z tej odległości wydawało się, że są szaroniebieskie. Po chwili ukazały się inne okręty, a właściwie ich maszty. A potem w polu widzenia pojawiły się kadłuby lotniskowców, najpierw tego pośrodku, potem dwóch pozostałych.

- Torpedy gotowe?

- Komory jeden do sześć gotowe do odpalenia, cele namierzone wizualnie i za pomocą sonarów. Mamy potwierdzić odległość laserem?

- Nie, to mogłoby nas zdradzić. Pięć sekund, panowie - powiedział Chu. Wszystkie trzy lotniskowce były już widoczne przy dwudziestoczekrotnym powiększeniu. - Kontrola, proszę zanurzyć okręt na głębokość dwudziestu sześciu metrów.

- Jest dwadzieścia sześć metrów.

- Trzy, dwa, jeden... odpalić komorę pierwszą!

- Komora pierwsza odpalona, kamera dziobowa pokazuje, że pierwsza torpeda jest w drodze.

- Odpalić komorę drugą.

- Druga odpalona, kamera pokazuje, że druga torpeda jest w drodze.

Sekwencja odpalania trwała, dopóki pierwszych sześć torped Nagasaki II nie opuściło cicho okrętu, zmierzając po dwie w kierunku trzech olbrzymich lotniskowców.

Torpedy, naprowadzane przez pasywne sonary, powoli zmierzały w stronę płynących im naprzeciw lotniskowców. Czterdzieści kilometrów na zachód oba eskortujące konwój okręty podwodne płynęły z maksymalną prędkością naprzód, ich sonary nie zarejestrowały żadnego podejrzanego dźwięku.

Torpeda numer jeden, jako pierwsza wystrzelona z „Arktycznego Sztorumu”, płynęła w stronę zbliżającego się konwoju. Jej pokładowy komputer - prosty i mały, jednak o wiele większej mocy niż te oryginalnie montowane na torpedach Nagasaki - obliczał odległość od celu, a także to, jakim kursem i z jaką prędkością porusza się cel. Torpeda zmierzała do takiego punktu na morzu, w którym ich drogi się spotkają. Do celu prowadził ją umieszczony na samym czubku sonar, mający postać płaskiej tarczy przykrywającej przetwornik. Z założenia był to pasywny, nasłuchujący sonar, własne dźwięki zaczęłyby wydawać jedynie w wypadku, gdyby stracił cel z nasłuchu, w tym jednak wypadku cel był tak głośny, że nie mógł go zgubić. Cztery wielkie śruby lotniskowca młóciły wodę z hałasem.

Torpeda oceniła według komputera, że znajduje się w połowie drogi. Jeszcze w komorze została zaprogramowana na tryb „natychmiastowej zdolności”, co oznaczało, że zamiast odliczać dzielącą ją od celu odległość, była gotowa do zdetonowania w każdej chwili po opuszczeniu komory. Głowica, rozgrzana i w pełni uzbrojona, czekała tylko na sygnał z zapalnika.

Między sonarem a skrzynką komputera torpeda miała pierścień połączony z kilkoma elektronicznymi modułami, których zadaniem było dodatkowe namierzenie celu. Pierwszy sensor rejestrował odkształcenia pola magnetycznego ziemi pod wpływem wielkiego żelaznego kadłuba okrętu. W odpowiednim momencie wysyłał sygnał do układu detonującego głowicy. Drugi z sensorów odbierał dane optyczne, reagował na światło i cień, w tym wypadku sygnałem do detonacji był ciemny cień kadłuba. Trzeci sensor błękitnym promieniem lasera przeszukiwał dookoła morze. Jeśli natrafił na kadłub okrętu, natychmiast przesyłał impuls do głowicy. Torpeda skierowana przeciw statkom płynącym na powierzchni morza, do namierzenia celu, używała sensora magnetycznego i lasera, ponieważ ich dane były pewniejsze niż dane sensora optycznego. Sensor optyczny mógł zostać zmylony przez chmurę nagle zasłaniającą słońce albo, nocą, przez fosforescencję spienionych kilwaterów. W wypadku, jeśli tylko laser wykryłby cel torpeda uznałaby, że sensor magnetyczny nie działa albo że przeciwnik użył urządzeń generujących magnetyczne anomalie. Ostatnio montowano na wielu okrętach takie urządzenia zakłócające pole magnetyczne, ale nie były one jednak zbyt skuteczne.

Torpeda poruszała się w trybie wolnego zbliżania, wydając dźwięk o częstotliwości stu osiemdziesięciu sześciu hertzów, o natężeniu osiemdziesięciu trzech decybeli, przy czym, dla porównania, naturalne dźwiękowe tło oceanu miało natężenie pięćdziesięciu decybeli. Szerokozakresowy odbiornik hałasu mógłby ją wykryć z odległości dziesięciu kilometrów, ale najbliższe takie odbiorniki znajdowały się na niszczycielach płynących za krążownikami. Trzy wielkie lotniskowce w ogóle nie miały sonarów, zdając się pod tym względem na niszczyciele i fregaty. Płynące w drugim rzędzie krążowniki miały zamontowane na dziobach kopulaste sonary, przeznaczone raczej do aktywnych poszukiwań niż do nasłuchu. Zaopatrzone były także w wykonane przez DynaCorp, nanizane na kable sonary do holowania, ale wymagały one pustego morza za rufą, były więc zupełnie bezużyteczne w formacji płynącej w zwartym szyku. Krążowniki nie używały także swoich aktywnych sonarów, ponieważ ich użycie mogłoby zakłócić działanie pasywnych sonarów dwóch płynących przodem, eskortujących flotę okrętów podwodnych. W trzecim rzędzie, za krążownikami, płynęły niszczyciele z zamontowanymi na dziobach, wyłączonymi sonarami aktywnymi, także zaopatrzone w przeznaczone do holowania sonary szeregowe, które miano użyć po ewentualnym rozwinięciu szyku. Dodatkowo na pokładach niszczycieli znajdowały się patrolowe helikoptery seahawk V, wyposażone w aktywne i pasywne sonary głębinowe. Płynące z tyłu fregaty miały podobne wyposażenie, z tym że sonary szeregowe, którymi dysponowały, nie były najlepszej jakości.

Jedynie używane przez konwój sonary pasywne znajdowały się na pokładach eskortujących go okrętów podwodnych, ponieważ włączone na poruszającym się okręcie konwoju odbierałyby tyle szerokozakresowego hałasu załamujących się i uderzających o kadłuby fal, śrub i silników, że usłyszałyby zbliżający się wrogi okręt podwodny dopiero z odległości kilometra.

Okręty konwoju polegały na aktywnych sonarach, a kiedy nie można było, tak jak teraz, ich używać, posługiwały się szeregowymi sonarami głębinowymi, które opuszczano głęboko pod powierzchniową warstwę termiczną. Teraz jednak sonary szeregowy, zwinięte w wielkie bele, czekały, aż okręty wypłyną na otwarte wody.

Pasywne sonary okrętów podwodnych znajdujących się daleko za horyzontem, z drugiej strony, „Arktycznego Sztoru”, nie usłyszały torped płynących w kierunku floty ze względu na dużą odległość, a także dlatego, że skierowane były dziobami na zachód, podczas gdy flota i płynące w jej stronę torpedy znajdowały się na wschód od nich. Okrągłe sonary dziobowe i szerokokresowe, płaskie, wbudowane w powierzchnię burt nie były przeznaczone do prowadzenia nasłuchu z tyłu, poza tym hałas wywoływany przez cyrkulację reaktora, system turbin napędowych i śrubę uniemożliwiał nasłuch od strony rufy. Oba okręty wyposażone były co prawda w na stałe przymocowane do ruf holowane sonary szeregowy, ale nie wystarczyło to, żeby ochronić znajdującą się z tyłu flotę.

Tak więc w wyniku zbiegu niesprzyjających okoliczności i niedostatecznego wyposażenia eskortujących flotę okrętów podwodnych sześć nie wykrytych torped typu Nagasaki Mód II płynęło dalej na wschód, w kierunku amerykańskich lotniskowców.

Torpeda wystrzelona jako pierwsza wpłynęła pod dziób środkowego lotniskowca. Jej ustawione na maksymalną czułość sensory bliskości celu natychmiast wykryły powodowane przez kadłub okrętu odkształcenie pola magnetycznego. Moduł optyczny zarejestrował ściemnienie w górnej części pola widzenia. Błękitny promień lasera bez trudu obrysował bryłę kadłuba, oddalonego w tym momencie zaledwie o pół długości torpedy. Wszystkie trzy czujniki zgodnie przesłały swoje sygnały do komputera torpedy, który rozpoczął serię operacji sprawdzających uzbrojenie ładunku i działanie zapalnika. Komputer postępował tak, jak go zaprogramowano, to znaczy nie czekał ani chwili z wysłaniem sygnału do zapalnika - w przeciwieństwie do komputera drugiej torpedy nie miał zaprogramowanej opcji odwołania wybuchu. Dzięki temu pierwsza torpeda mogła wybuchnąć pod dziobem, a druga pod rufą okrętu. Komputer torpedy wysłał do głowicy impuls zamykający obwód elektryczny zapalnika, umieszczonego przy stosunkowo słabym materiale wybuchowym. Wybuch zapalił wtórny materiał wybuchowy, mniej czuły od pierwszego, ale za to silniejszy, umieszczony w okolicy osi przebiegającej przez środek torpedy, z obu stron głowicy plazmowej. Wtórny materiał wybuchowy zdetonował z kolei umieszczone obok siebie dwa silne ładunki wybuchowe, przy czym eksplozja przedniego ładunku skierowała się do tyłu, a eksplozja tylnego do przodu, w wyniku czego obie te eksplozje sprężyły zawarty między nimi materiał głowicy z siłą kilkuset atmosfer. Jednoczesny wzrost ciśnienia i temperatury zapoczątkował reakcję plazmową, złożoną serią reakcji chemicznych, w czasie których jedne składniki wyparowywały, drugie pojawiały się na ich miejsce, a wszystko w odpowiednim, ściśle określonym momencie detonacji. Temperatura i ciśnienie wciąż rosły, w miarę jak rosła siła kompresji dwóch skierowanych przeciw sobie wybuchów, aż w końcu cztery do tej pory oddzielone masy plazmy stopiły się w jedną masę krytyczną. Zapłon plazmowego zapalnika spowodował dalszy wzrost ciśnienia i temperatury, nie naruszył jednak jeszcze powłoki pocisku, który, niosąc wewnątrz ognistą kulę, wciąż płynął do przodu.

Kiedy głowica osiągnęła trzeciorzędą temperaturę zapłonu, zdetonowały składniki paliwa plazmowego i rozpoczął się zapłon plazmy, niemal natychmiast przemieniając energię masy molekuł głowicy w energię cieplną. W środku głowicy wytworzyła się niezwykle silnie skupiona masa plazmy, wysyłająca, w postaci skoncentrowanej fali, elektrony wszystkich swoich molekuł w przestrzeń; potem, w miarę jak plazma rozżarzała się coraz bardziej, zaczęła emitować następujące po sobie fale fotonów. Rozżarzona plazma przeniknęła przez powłokę torpedy, pochłaniając ją po drodze. Jej temperatura sięgała teraz setek milionów stopni, znacznie przekraczając tę, która panuje na powierzchni Słońca. Wybuch ten wyzwolił większą energię cieplną niż jednoczesna detonacja sześciu dawnych bomb wodorowych. Masa plazmy wciąż się powiększała, sięgając już teraz znajdującego się powyżej lotniskowca, najpierw zewnętrznej warstwy żywicy epoksydowej, potem środkowej, uretanowej warstwy

pokrycia, potem podkładowej warstwy nieorganicznego cynku; wszystkie te związki chemiczne rozpadły się na atomowe jądra i elektrony. Czoło plazmy dotarło do następnej warstwy, do powstałych z atomów węgla i żelaza, walcowanych stalowych arkuszy. Pod wpływem intensywnej temperatury plazmy, arkusze stali stopiły się w jedną masę, utworzoną z pływających obok siebie atomów węgla i żelaza., w końcu rosnąca temperatura pobudziła ich molekuly do tego stopnia, że połączyły się z plazmą. Wzrost plazmy wkrótce się zatrzymał, ponieważ tak wysoka temperatura mogła się utrzymać tylko przez kilka mikrosekund. Niższe temperatury otoczenia, przez konwekcję, przewodzenie i promieniowanie, zmniejszyły temperaturę wybuchu z setek milionów do „zaledwie” paru milionów stopni. Masa plazmy, która zdążyła przeniknąć półtora metra w głąb kadłuba okrętu, zaczęła się nagle zmniejszać, ale jej temperatura wciąż była niezwykle wysoka, wyższa niż we wszystkich znanych człowiekowi zjawiskach, z wyjątkiem wybuchu bomby atomowej. W promieniu stu metrów wiodą zmieniała się we wrzącą, silnie sprężoną parę. Fala uderzeniowa powstała z tej pary i z wyparowywującego żelaza wdarła się do wewnątrz kadłuba, niosąc gorąco wystarczające do zamienienia stali w parę, której cząsteczki, naładowane monstrualną energią kinetyczną, nie mogąc wyrwać się w przestrzeń z powodu otaczających je pozostałych stalowych form, sprawiły, że przez kadłub okrętu przeszła potwornie silna, rosnąca fala napięcia. Podmuch gorąca i ciśnienia rozprzestrzenił się coraz dalej, na coraz wyższe pokłady okrętu, które, zamieniając się w parę, wzmacniały jeszcze siłę podmuchu. Coraz dalsze pokłady ulegały postępującemu rozkładowi, wyparowywała zarówno stal kadłuba, jak i ta, z której skonstruowany był wszelki ciężki sprzęt - maszynie katapult, kotwice, łańcuchy, kabestany. Wciąż rosnąca kula ognia obejmowała także inne tworzywa - kable elektryczne, plastikowe izolacje, farby, winylowe pokrycie podłóg, tkaniny ubrań, papier, komputery i ciała - ciała ludzkich istot, zgromadzonych przede wszystkim na trzecim pokładzie w pomieszczeniach zwanych sypialniami. Rząd za rządem, kolumna po kolumnie, ogień ogarniał kobiety i mężczyzn, śpiących w swoich kojach po nocnej wachcie. Niektórzy siedzieli przy stołach, grali w karty, czytali jakieś instrukcje czy podręczniki, niektórzy pisali listy do śpiących po drugiej stronie kuli ziemskiej rodzin. Znajdujący się tam ludzie nawet nie zdążyli sobie uświadomić, że pochłonęła ich ta wielka kula żywego ognia. Ich struktura cząsteczkowa spaliła się i wyparowała na długo przed tym, zanim ich nerwy zdołały przesłać impulsy wrażeń. W ciągu następnych paru mikrosekund materia ich mózgow zdezintegrowała się do podstawowych elementów, nie mając czasu zarejestrować zjawiska, które ich zniszczyło.

Kiedy fala ognia dotarła do górnego pokładu, nie miała już wystarczającej energii termicznej, by zmieniać stan skupienia napotkanych ciał stałych na gazowy, miała jednak tej energii wystarczająco dużo, by topić napotkane metale i wciąż przemieniała napotkaną wodę w sprężoną, wrzącą parę. Temperatura wybuchu w dalszym ciągu była o setki tysięcy stopni wyższa od temperatur eksplozji konwencjonalnych materiałów wybuchowych. Rozprzestrzeniała się do góry i ku rufie, stopniowo pożerając okręt, topiąc napotkane metale. W tej temperaturze żelazo i węgiel natychmiast łączyły się z zawartym w atmosferze tlenem, a okręt spalał się dosłownie jak siarka potartej o draskę zapalki. Rozprzestrzeniająca się fala wybuchu gwałtownie wyrzuciła poszycie górnego pokładu wysoko do góry. Niektóre metalowe odłamki przeleciały w powietrzu nawet dwa kilometry. Wybuch ogarnął ponad czterdzieści gotowych do startu samolotów odrzutowych, spośród których połowę stanowiły myśliwce F-22, przygotowane do ataku na lądowe pozycje Czerwonych, zaś drugą połowę stanowiły dwusilnikowe blackbirdy S-14, gotowe do startu w razie zagrożenia ze strony wrogich okrętów podwodnych. W jednym błysku te niezwykle nowoczesne, groźne, bojowe maszyny zamieniły się w kupę spalonego i stopionego aluminium, popiołu i plastiku, lecącą bezładnie do góry.

Wybuch, trwający od dwudziestu milisekund, wciąż się rozprzestrzeniał. Okręt od stanowiska dowódczego w stronę dziobu stał się ogromną, pomarańczową kulą, złożoną z kłębiących się, niezwykle gorących płomieni. Zaledwie dwadzieścia tysięcy mikrosekund wcześniej kula

energii termicznej znajdowała się jeszcze wewnątrz torpedy Nagasaki II. Teraz niezwykła, przypominająca wielki piorun kulisty sfera biało-pomarańczowego żaru sięgała coraz dalej ku rufie, po spaleniu i zdeintegrowaniu przedniej ściany mostka.

Okręt USS, James Webb" w połowie przestał już istnieć. Jego przednia część albo została pochłonięta przez plazmę, albo przemieniona w postać gazową została stopiona, spalona albo oderwana i wyrzucona w przestrzeń. Miejsce, w którym przedtem był dziób okrętu, miało teraz postać kuli gorących cząstek pary, kondensujących się par żelaza i tego, co zostało po spaleniu stali. Kula miała już dwieście metrów średnicy i w miarę rozprzestrzeniania się chłodziła, jej kolor z pomarańczowego zmienił się w czerwony, gdzieś na jej obrzeżach czerniały smugi dymu. Po chwili zaczęła zmieniać kształt. Jedno z podstawowych praw fizyki kazało jej unieść się do góry.

Kula, unosząc się nad pokład, wywołała zjawisko zwane promieniowaniem termicznym. Oprócz ciepła zaczęła emitować promienie podczerwone o niezwykłym natężeniu, co spowodowało rozchodzenie się fal gorąca, które najpierw stopiły szkło ocalałych szyb mostka, a potem, posuwawszy się dalej ku rufie, objęły ciała czterdziestu trzech znajdujących się tam ludzi, spalając ich ciała i kości, gotując im mózgi. Wszystko to trwało odrobinę dłużej niż w wypadku tych znajdujących się na dziobie. Fala promieniowania cieplnego objęła znajdujące się na tylnym pokładzie kotwice lotniskowca i zmieniła je w płonące kule włókien węglowych. Teraz już cały pokład był pełen tańczących, pomarańczowych płomieni. Fale promieniowania przemieniły się w falę uderzeniową. Powietrze, unoszące się nad powierzchnią morza zadziało jak membrana, dźwięk eksplozji przypominał uderzenie w wielki bęben. Podwójna fala uderzeniowa pochodząca z wnętrza kuli uderzyła w nadbudówkę, wewnątrz której umierało stu siedemnastu ludzi. Fala przetoczyła się przez płonące ruiny tylnego pokładu i uderzyła we wciąż nietknięte pozostałe dwa lotniskowce, tłukąc na ich nadbudówkach wszystkie szyby i ciskając nimi do środka. W miarę rozprzestrzeniania się fala słabła i na mostkach krążowników stłukła już tylko trzy szyby. Sto milisekund po przebiciu pokładu, kula ognia uniosła się nad nadbudówką, przybierając kształt kapelusza grzyba, połączonego z pokładem grubym, stworzonym z płomieni i dymu trzonem, i wlatywała coraz wyżej i wyżej, unoszona własnym ciepłem. Kiedy znajdowała się pięćset metrów nad pokładem, okręt, jakby nagle zauważył, że brakuje mu przedniej połowy. Przedtem płynął z prędkością trzydziestu pięciu węzłów, czyli sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, co daje jakieś osiemnaście metrów na sekundę. Od chwili wybuchu okręt przepląnął prawie dwa metry, fale uderzeniowe odrobinę zwolniły jego bieg, ale kiedy minęła pierwsza pełna sekunda, kaleki kikut okrętu przepląnął następne dwa metry, zanurzając się w wodzie, która zalała pełen pary krater.

Tam, gdzie kiedyś znajdowała się stalowa konstrukcja, utrzymująca wodę na zewnątrz, teraz ziała poszarpana, spalona krawędź, przez którą wlewało się morze. Woda bezlitośnie zalewała zniszczony sprzęt i martwe ciała, wlewając się na rufę, gdzie z wodoszczelnych grodzi zostały tylko poszarpane, nadpalone strzępy blachy. Kiedy mijała trzecia sekunda od wybuchu, przednia część okrętu zaczęła zanurzać się w morzu, a tylny pokład uniosł się do góry, tak, że wciąż obracające się śruby wynurzyły się z wody.

W czwartej sekundzie dziób okrętu zanurzył się w morzu, a woda wypełniła jego kadłub. Śruby wciąż obracały się, tnąc powietrze. Płonące samoloty, te, których wybuch nie zdmuchnął z pokładu, zaczęły ześlizgiwać się w stronę dziobu. Kiedy pierwszy spośród nich miał właśnie ześlizgnąć się do morza, w piątej sekundzie po detonacji pierwszej torpedy pod rufą lotniskowca wybuchła druga torpeda Nagasaki II.

W dziesięć sekund po detonacji drugiej torpedy z okrętu o wyporności stu dziesięciu tysięcy ton nie został ani jeden kawałek większy niż karoseria samochodu. Do wrzącego w promieniu dwóch kilometrów morza zaczął spadać deszcz drobnych szczątków. Inne, większe, już wcześniej potonęły, w tym b również wykonane z wysoce rozciągliwych stopów dwa rdzenie reaktora, każdy wielkości jednorodzinnej domu, które wpadły do wody prawie nietknięte i teraz opadały majestatycznie na dno, otoczone gotującą się morską wodą. Trochę szczątków

unosilo się na powierzchni wody, głównie te, które, pochodziły z najmniej zniszczonej, bo znajdującej się wysoko nad środkiem pokładu nadbudówki. W kłębach piany pływały kawałki stołów konferencyjnych, parę gumowych osłon na radary, strzępy papieru, pochodzące ze znajdujących się na śródokręciu sypialni piankowe materace, i około dwudziestu, w różnym stopniu uszkodzonych, martwych ludzkich ciał. Na falach kołysał się nagi, męski tors z zanurzoną w wodzie głową; brakowało mu jednej ręki, a drugiej paru palców. Dochodzące ze wschodu odbłyски plazmowych eksplozji rozjaśniły jego nagie ciało, kiedy lotniskowce „Roosevelt” i „Kinnaird McKee” rozpoczęły swoje cykle śmierci. Twarz mężczyzny była tylko lekko nadpalona, jego ciało było w połowie czerwone od krwi, a w połowie osmalone przez płomienie, brakowało mu prawego oka, w miejscu którego ziała krwawa jama, ale wciąż można było go rozpoznać. Jego ubranie spaliło się doszczętnie, nie było ani śladu po trzech srebrnych gwiazdkach, które nosił na kołnierzu, ani po odznace dowódcy floty, którą nosił pod insygniami morskich sił zbrojnych, stanowiącymi dwa miecze skrzyżowane przed dziobem niszczyciela. Nie było też śladu po metalowej plakietce z nazwiskiem, którą miał wpiętą nad prawą kieszenią bluzy: WICEADM. JEAN-PAULHENRI.

20

USS „John Glenn”, DDG-85

Kapitan Eddie Maddox, oślepiiony przez pierwszy błysk, upuścił lornetkę na pokład i rzucił się za konsolę sterowniczą, kiedy fala uderzeniowa wypchnęła szyby mostka. Dwadzieścia tafli silikonowych szyb eksplodowało gradem śmiertelnie groźnych odłamków. Pierwszy odłamek trafił go w lewe ramię i rozciął je głęboko. Padając, zwinął się tak, że tylko jego lewe ramię pozostało nie osłonięte przez sterowniczą konsolę.

Po chwili druga fala uderzeniowa nadpłynęła od strony „Webba” i targnęła pokładem niszczyciela USS „John Glenn”. Stojący nad nim sternik oberwał tysiącem odłamków w klatkę piersiową i w twarz. Był już martwy w momencie, kiedy jego ciało zaczęło się osuwać na ziemię. Wtedy z północnego zachodu, od strony lotniskowca „McKee”, Maddox usłyszał odgłos trzeciej detonacji. Kiedy wewnątrz mostka oświetliło jasne światło ognistych kul z pokładu „Webba”, z pokładu „McKee” zagrzmiała czwarta detonacja, a zaraz potem piąta, z lewej, ze strony, gdzie płynął „Roosevelt”.

Kolana martwego sternika ugięły się i runął na pokład.

Rozległy się następne cztery wybuchy, dwa tak blisko siebie, że może były jednym, tym samym wybuchem. Maddox uderzył głową o podłogę. Wokół wciąż fruwały szklane odłamki. Maddox rozpląszczył się na pokładzie z zamkniętymi ze strachu i z bólu oczami. Przed odbitymi rykoszetem od tylnej przegrody mostka szklanymi odławkami, częściowo osłonił go leżący obok martwy sternik. Dwie następne, jeszcze głośniejsze niż poprzednio eksplozje wstrząsnęły mostkiem, tym razem dochodząc skądś z przodu. - Maddox miał wrażenie, że to jakiś zły sen. Obrazy z przeszłości przebiegały mu przed oczami w takim tempie, że ledwie mógł je zarejestrować. Twarz jego ojca sprzed dwudziestu lat. Jego własna twarz, widziana w lustrze tego ranka, kiedy się golił. Urna mamy, obłożona kwiatami, i butelka whisky, którą pił tego dnia wieczorem. Ukończenie akademii, czapki powoli wlatujące w niebo i równie powoli opadające. Pocałunek przed ołtarzem z Amandą, jego żoną. Jej usta pełne obietnic i łobuzerski błysk jej oczu. Płacz tego, kto miał być chłopczykiem, a okazał się być dziewczynką, wyraz niekłamanego zaskoczenia na jego twarzy, zmieniający się w ojcowski, pełen ulgi i wdzięczności uśmiech. Jego córka, Doloris, po raz pierwszy jadąca na swoim rowerku. Jego syn, Richie, rzucający piłkę do kosza. Kwatera admirała Chambersa, który prosi go o objęcie dowództwa nowego niszczyciela klasy Egida. Łzy Amandy, jej drżący głos, kiedy dowiedziała się o jego przydziale na Pacyfik. Samotność w kapitańskiej kabinie

„Johna Glenna”, kiedy odczytywał jej e-mail, w którym żądała separacji, następny e-mail, od Chambersa, ; gratulującego mu dobrej roboty. Pogrzeb taty, następna urna przybrana kwiatami. Usłyszał własny głos, narzekający na zwarty szyk, w jakim płyną. Kiedy pilot seahawka V, młody porucznik przypominający mu jego syna, Richiego, powiedział, że powinni polecieć naprzód i sprawdzić, czy nie czekają tam na nich wrogie okręty podwodne, odpowiedział, że jest to sprzeczne z rozkazami operacyjnymi. A potem zobaczył oślepiający błysk, zamieniający lotniskowiec „Webb” w kulę ognia.

Po jakimś czasie poczuł chłód pokładu, twardość jego powierzchni. W policzek uwierały go drobne odłamki szkła. Ciągłe wybuchy, pokład trzęsący się za każdym razem. Ciężar leżącego na nim ciała, ostry ból, zadawany przez wystające z tego ciała odłamki.

Uczucie obfitego krwawienia z lewego ramienia i utrata władzy w lewej ręce.

Jęki, okrzyki bólu, kaszel i charczenie.

- Kapitanie! - z tyłu, stamtąd, gdzie powinna być tylna przegroda, dobiegł go czyjś głos - może jego ojca, a może nawigatora.

Płaczliwy, zawodzący sygnał okrętowego alarmu, wznoszący się powoli i milknący.

Inny głos, z nutką panicznego strachu, wołający:

- Mówi nawigator. Jestem na mostku, kapitan się nie rusza, mam kontrolę nad sterem i silnikami.

Czyjaś noga odpychająca jego ciało. Lekkie drżenie pokładu, kiedy znów tłoki zaczęły pracować, a śruba znów zaczęła spieniać wodę za rufą.

Pokład przechylający się na prawą burtę, przechylający się tak bardzo, że leżące na Maddoksie ciało stoczyło się z niego i legło płasko obok.

Ciągłe grzmoty. Ciągłe wybuchy, teraz gdzieś daleko za rufą.

SS403 „Arktyczny Sztorm”

Trzydzieści wystrzelonych torped, trzydzieści trafień.

Nie wszystkie torpedy dosięgły wyznaczonego im celu. Torpeda wystrzelona przeciwko krążownikowi płynącemu za NC-3, pierwszym z prawej lotniskowcem, minęła swój cel, popłynęła dalej i uderzyła w jeden z niszczycieli płynących za rzędem krążowników. Wtedy Chu przybliżył się do konwoju i wystrzelił przeciw krążownikowi nową torpedę.

Eksplozje ładunków plazmowych, oglądane gołym okiem, mogą nawet oślepić człowieka na zawsze, ale peryskop „Arktycznego Sztormu” miał wbudowany specjalny filtr, w razie jasnego błysku światła momentalnie przyciemniający obraz. Ten okręt pod każdym względem był świetnie zaprojektowany. Chu po raz pierwszy zastanowił się, czy w japońskich stoczniach są jeszcze jakieś Wschodzące Słońca, które mogłyby powiększyć jego siły. Gdyby mu się to nie udało, stanowiłyby poważne zagrożenie dla Czerwonych Chin.

Frontalny atak „Arktycznego Sztormu” na amerykański konwój zebrał bogate żniwo.

Trzydzieści wystrzelonych torped posłało na dno lotniskowce, prawdopodobnie połowę niszczycieli i fregat, a nawet część jednostek wspomagających. Chu powoli zbliżył się do konwoju i puścił płynące dalej na zachód okręty tuż przed sobą. Dopiero teraz docenił naprawdę moc swoich torped. Czytał o broni plazmowej, ale nie był przygotowany na takie jej działanie. Jedna w zupełności wystarczała, by posłać na dno największy nawet okręt. Kiedy lotniskowce eksplodowały i zatoniły, wystawiły im na cel rząd krążowników, a te z kolei - niszczycieli. Wtedy już, niszczyciele i fregaty były atakowane przez „Świetlisty Piorun” od pomocy, a od południa przez „Burzową Chmurę”, później ten sam los spotkał szturmowe amfibie i przewożące żołnierzy transportowce.

W polu widzenia peryskopu Chu nie widać było już żadnych wrogich okrętów, tylko parę dymiących wraków i płonąca plamę ropy na południowym wschodzie - to płonęła zawartość zbiorników jednego z zatopionych tankowców.

- Nawigatorze, są jakieś kontakty na sonarze?

- Nie ma, panie admirale - odpowiedział Xhiu Liu zza konsoli czujników. - Możliwe że trochę jednostek wroga ocalało, ale nie słyhać ich przez 1. hałas tonących okrętów. Jakbyśmy ogłuchli, panie admirale.

- Jeśli jakieś okręty ocalały, to z pewnością płyną na wschód. Pozwólmy, żeby zajął się nimi „Wulkan”.

- Tak jest. Będę dalej nasłuchiwał.

- Drugi Kapitanie, proszę opuścić peryskop - powiedział Chu. Wstał i przeciągnął się, aż chrupnęło mu coś w kręgosłupie. Długa godzina spędzona w dość niewygodnej pozycji przy peryskopie sprawiła, że mięśnie miał napięte i obolałe. Ale to było przyjemne zmęczenie, takie, jakie czuł wówczas, gdy uprawiał sport.

- Kontrola, proszę zejść na trzysta metrów pod ostrym kątem. Płyniemy na zachód.

Powinniśmy całkiem szybko spotkać okręty podwodne eskorty konwoju. Nawet przy tym hałasie, jaki robią płynąc, musieli tam usłyszeć,

l że zniszczyliśmy ich flotę. Spodziewam się ich spotkać na szerokości od dwa sześć pięć do dwa siedem pięć. Nawigatorze, wiem, że wszyscy są zmęczeni, ale chcę pana teraz prosić o maksymalne skupienie uwagi na wrogich okrętach podwodnych. Wkrótce się z nimi spotkamy.

- Tak jest, panie admirale. - Pierwszy, przejmę dowódczą konsolę.

Zostało im osiemnaście torped. Kiedy posiana dno amerykańskie okręty podwodne, zostanie piętnaście albo szesnaście. To powinno wystarczyć, żeby B' zlikwidować część drugiego konwoju, ale potem będzie bezsilny. Nie wystarczy, jeśli za pomocą Wschodzących Słońc ustali pozycję drugiego konwoju, żeby skoordynować atak lotniczy - Amerykanie są ekspertami od lotnictwa i obrony przeciwlotniczej i mają o wiele lepszy sprzęt. Muszą zostać zaatakowani z morza. Jeśli nie zdobędzie nowych torped, Amerykanie zapanują na Morzu Wschodniochińskim. Była to więc tylko kwestia czasu. W końcu jego okręty zużyją wszystkie torpedy i nie będzie jak uzupełnić zapasów, udało mu się zniszczyć pierwszy konwój. Drugi będzie musiał wypłynąć z Kalifornii albo z Hawajów i nawet na maksymalnej prędkości droga zajmie mu od siedmiu do czternastu dni.

Podarował swoim wojskom lądowym tydzień, może dwa tygodnie czasu. Jak daleko zajdą? Będą musieli zwyciężyć Białych przez ten czas, a jeśli im się nie uda, istniało ryzyko, że zostaną odparci.

W czasie oczekiwania na amerykańskie okręty podyktował Drugiemu Kapitanowi parę wiadomości - raport do Admiralicji, gratulacje dla kapitanów pozostałych okrętów, ostrzeżenie przed zbliżającymi się amerykańskimi okrętami podwodnymi i plan przerzucenia Wschodzących Słońc przeciw amerykańskim siłom, które wypłyną z Hawajów, o wiele dalej na południe. A potem oparł się wygodnie i czekał.

USS „John Glenn”, DDG-85

- Ster na lewo i cała naprzód. Z przodu i za rufą są płonące okręty. Przepływamy obok wraku „Johna Paula Jonesa”, krążowników nie widać, przed nami płoną inne niszczyciele, większość już tonie.

To nawigator. Do kogo mówi?

- Nawigatorze... - Eddie Maddox usłyszał swój głos.

- Jak się pan czuje, sir?

- Co się stało? Nic nie widzę.

- Konwój został zaatakowany. Wychodzą z szyku.

- Słusznie. Niech pan płynie na wschód. Musimy jak najszybciej znaleźć się z powrotem na Pacyfiku. Proszę wypatrywać rozbitków. Trzeba stąd zabrać, kogo się tylko da. Niech pan znajdzie jakiś obserwatorów. I proszę sprawdzić, czy Robinson może uruchomić Seahawka.

- Tak jest, sir, ale jestem tu sam, a obwody bojowe nie działają.

- Nie musi pan tego zrobić w dziesięć sekund. - Maddox jęknął. - To był atak z powietrza?
- Nie wiem, sir. Lotniskowce zamieniły się w wielkie, grzybiaste chmury.
- Radary działają?
- Nie mam pojęcia, sir. Właśnie przepływamy obok czterech tonących okrętów.
- Ile okrętów zatoneło?
- Sir, lepiej niech pan spyta, ile nie zatoneło.
- Co? - Maddox spróbował poruszyć lewą ręką, ale w ogóle nie miał w niej czucia. Prawą rękę przygniatał jakiś ciężar. Maddox uniósł się, zepchnął z siebie martwe ciało i strząsnął szklane odłamki. Uchwycił się konsoli i jakoś udało mu się wstać. Potem spróbował otworzyć oczy, ale wciąż nie widział nic, oprócz ciemności. Był ślepy.
- Panie nawigatorze, co się stało? - usłyszał głos Ensigna Boyda, młodego oficera, który niedawno skończył akademię.
- Boyd, proszę przejąć ster - zakomenderował nawigator, komandor porucznik Bosco.
- Tak jest.
- Kurs na południe i cała naprzód. Kapitanie, pójde sprawdzic radar. -Maddox uslyszal kroki, odglos otwieranych drzwi, jakis zgrzyt. Poczul, ze robi mu sie slabo.
- Nawigatorze... - powiedzial. - Gdzie jest nawigator?
- Juz jestem, sir.
- Gdzie moge usiasc?
- Tutaj. Lekarz musi obejrzec panski ramie, kapitanie. Pozwoli pan, ze wyjmę panu to szklo. Tu jest panski fotel. Wyglada pan blado, sir.
- Nie wątpię - odpowiedział Maddox. - Czy mamy radary?
- Wszystkie szlag trafił, panie kapitanie. Szeregowie zdmuchnęły fale uderzeniowe, elektroniczne się usmażyły. Obrotowe także zdmuchnęło, nawet masztów nie ma. Sir, wszystko, co było na zewnątrz, jest zepsute i nadpalone.
- Co z seahawkiem?
- Był schowany. Chyba nic mu się nie stało.
- Trzeba znaleźć Robinsona i wysłać go w powietrze. Chcę mieć pełny raport na temat stanu floty. A tymczasem proszę płynąć pełną parą w stronę Pacyfiku. Musimy się stąd jak najszybciej wydostać.
- Tak jest, sir.

Porucznik Brandon Robinson spał w swojej kajucie głębokim snem, po całej nocy spędzonej na mostku w ramach zdobywania kwalifikacji oficera marynarki.

Przekwalifikowywanie się nie było obowiązkowe, ale pozwalało wypełnić czas i mogło opłacić się, jeśli dalej będzie służył w marynarce. Był naprawdę skonany, ponieważ nocna wachta trwała od pomocy do szóstej rano. I Obudził go odgłos pierwszej eksplozji. Nie czekając na wezwanie do zajęcia stanowisk bojowych, pobiegł na dolny pokład rufowy do swojego seahawka, znajdującego się na wyposażeniu okrętu lekkiego helikoptera przeznaczonego do walki z okrętami podwodnymi. Okrętem wstrząsały kolejne fale uderzeniowe i kiedy w końcu dobiegł na miejsce, musiał ręcznie i po ciemku otworzyć wewnętrzne drzwi hangaru. Ze środka, od strony rufy, oglądał zagładę floty. Rozbłyśki pierwszej eksplozji prawie go oślepiły i musiał odwrócić wzrok, uszy rozsadały mu niezwykle głośne odgłosy wybuchów. Silniki okrętu nagle zaczęły pracować na maksymalnych obrotach. Jego pokład silnie przechylił się na prawą burtę, a potem wyprostował. Robinson pomyślał, że ktoś na mostku wziął sprawy w swoje ręce i zgodnie z rozkazami operacyjnymi na wypadek ataku zaczął wyprowadzać okręt poza formację konwoju. Czekał dalej w hangarze obok przymocowanego do podłogi seahawka. Co jakiś czas wyglądał przez drzwi. Jak okiem sięgnąć, morze było puste, tylko kłęby dymu unosiły się nad jego powierzchnią, Byli sami. Do hangaru wpadł nawigator.

- Robinson, obwody bojowe nie działają- wysapał. - Proszę uruchomić seahawka, wykonać rutynowy patrol, a potem sprawdzić, czy na kursie nie czekają na nas wrogie okręty

podwodne.

Drugi pilot Robinsona nie pokazał się od początku ataku, więc nawigator pomógł mu wytoczyć Seahawka na pokład i przygotować go do lotu. Po dziesięciu minutach śmigłowiec był gotowy do startu.

Nie potrzeba było dużo czasu, by ocenić sytuację. Robinson poleciał parę mil na zachód. Po flocie zostało tylko kilka dymiących wraków i płonąca na powierzchni morza duża plama ropy. Nic więcej. Ze stu dziesięciu okrętów konwoju ocalał tylko „Glenn”.

Jak to się mogło stać? Sfilmował to, co widział, zamontowaną na pokładzie cyfrową kamerą. Rozkazy nakazywały mu, by poprzez satelitę marynarki ComStar przesłał ten materiał do Pentagonu, opatrując go kodem RAPOP 3 PINAKIEL, co oznaczało, że ma być natychmiast przekazany do Białego Domu. Wykonał to wszystko i poleciał w kierunku „Glenna”, który zdążył już odpłynąć daleko na wschód od miejsca, w którym konwój napotkał swoje przeznaczenie.

Przygotował sonary do opuszczenia, nie mając zbyt wielkich nadziei na to, że uda się coś znaleźć. Radio nie działało, więc nie mógł połączyć się z „Glennem”. Jeśli jednak znajdzie cokolwiek, co uzna za wrogię jednostki podwodne, będzie miał prawo je zaatakować. Ale co z ich eskortującymi okrętami? Pewnie znajdują się daleko na zachód, ponieważ „Glenn” zdążył odpłynąć kilkadziesiąt mil w przeciwnym kierunku od miejsca, w którym zatonała flota. Każdy znajdujący się przed „Glennem” okręt podwodny musiał być okrętem wroga. Robinson dysponował dwoma torpedami i miał pełne prawo ich użycia.

Przeleciał nad „Glennem” i osiem kilometrów przed nim zatrzymał się w powietrzu, by opuścić sonar głębinowy AN/SQS-69, zanurzony sto metrów poniżej powierzchniowej warstwy cieplnej kulisty zestaw hydrofonów. Gdy kula wolno znikła w głębi morza, Seahawk unosił się piętnaście metrów nad jego powierzchnią. Robinson pochylił się, żeby spojrzeć na ekran sonaru - w normalnych warunkach należałoby to do drugiego pilota - ale w trybie pasywnym sonar nic nie wykrył. Trzeba było więc wysłać dźwięk poszukujący. Wystukał polecenie i sonar wydał poszukujący dźwięk. Silny, wysoki dźwiękowy sygnał przetoczył się przez morze, próbując znaleźć cokolwiek, od czego mógłby się odbić. Dno oceanu odbiło dźwięk o tej samej częstotliwości, dokładnie tę samą nutę, a Robinson szukał niższego lub wyższego dźwięku, odbitego od poruszającego się obiektu.

Nic tam nie było. Robinson wzruszył ramionami, wiedząc, że za pierwszym zarzuceniem wędki rzadko udawało się złowić rybę. Wysłał jeszcze parę dźwięków poszukujących, potem podciągnął sonar, przeleciał następnych parę kilometrów do przodu, opuścił sonar i znowu znieruchomiał nad wodą.

Pomyślał o znajomych pilotach z innych okrętów konwoju i o gronie swoich przyjaciół z „Glenna”, zastanawiając się, ilu z nich nie żyje. Próbował skoncentrować się na odczycie sonaru, ale uparta myśl powracała. Czy jemu uda się wyjść cało z tego koszmaru? Trzeba znaleźć te wrogie okręty.

21

SS-405 „Trzęsienie Ziemi”

Kapitan Ko Tsu jednym okiem patrzył na ekran, przedstawiający odczyt Wsonaru, drugim na widoczną na sąsiednim ekranie twarz nawigatora.

- Wygląda na to, że jeden nam uciekł, kapitanie - zza konsoli czujników zameldował Jin Lu, jego nawigator.

- Co o nim wiadomo?

- Dwie sześciolopatkowe śruby, dźwięki o wysokiej częstotliwości z gazowej turbiny, może nawet niejednej, słychać go z zachodu, szerokość dwa siedem dwa. To niszczyciel klasy John Paul Jones.

- Kontrola, głębokość dwadzieścia pięć metrów. - Pokład przechylił się i. pod kątem dwudziestu stopni. - Panie Pierwszy, chciałby pan wynurzyć się na peryskopową?

- Tak jest, panie kapitanie-pierwszy oficer, porucznik komandor Jinan Hsu wyszczerzył w uśmiechu końskie zęby.

- Proszę więc wziąć peryskop. Ja będę obserwował stąd.

„Trzęsienie Ziemi” wystrzelił dwadzieścia cztery torpedy w kierunku płynącego na zachód konwoju. W przeciwieństwie do „Arktycznego Sztormu”, „Świetlistego Pioruna” i „Burzowej Chmury”, Ko przez większość czasu strzelał na ślepo; był tak daleko na wschód, że po wystrzeleniu ósmej torpedy stracił kontakt wzrokowy z konwojem, i dalej posyłał torpedy w kierunku wroga, mając tylko nadzieję, że wszystkie dotrą do celu. Poleciał załozce liczyć kolejne eksplozje, ale ich rachunki znacznie się różniły i nie sposób było stwierdzić, czy zniszczone zostały wszystkie okręty konwoju.

- Nawigatorze, są jeszcze jakieś okręty? - zawołał. Musiał oszczędzać torpedy, w razie wykrycia następnych uciekinierów, może nawet będzie zmuszony odstąpić ich „Wulkanowi” i „Tsunami”.

- Nie, kapitanie, tylko ten jeden. Chwileczkę... Jest jeszcze jeden kontakt, aktywny sonar głębinowy, pasuje do przeznaczonego do walki z okrętami podwodnymi helikoptera seahawk, szerokość dwa osiem zero. Mam jeden dźwięk poszukiwawczy, teraz drugi, a także słaby odgłos jego wirników nośnych. Wygląda na to, że sprawdza drogę przed niszczycielem.

- Określamy niszczyciel jako NC-25, helikopter jako LC-1.

- Tak jest.

- Kapitanie, minęliśmy granicę stu metrów zanurzenia, pokład pod kątem dziesięciu stopni.

- Bardzo dobrze. Panie Pierwszy, proszę szykować peryskop. Kontrola, zwolnić do dziesięciu obrotów. Uwaga wszyscy! Strzelamy Nagasaki z komory dwadzieścia pięć w kierunku NC-25, torpedę z komory dwadzieścia sześć trzymamy rozgrzaną i zaprogramowaną na wypadek, gdyby z tą pierwszą były jakieś problemy. Potem zestrzelimy helikopter.

- Dziesięć obrotów, kapitanie, zanurzenie pięćdziesiąt metrów, kąt pokładu zbliża się do pięciu stopni.

- Bardzo dobrze. - Ko spojrzawszy na ekran, stwierdził, że okręt zwolnił już do piętnastu węzłów, a więc wystarczająco, by pierwszy oficer mógł wyciągnąć peryskop. - Panie Pierwszy, proszę wyciągnąć peryskop.

- Tak jest - odpowiedział pierwszy oficer i rozkazał Drugiemu Kapitanowi wysunąć maszt peryskopu. Na głównym ekranie prawej kolumny swojej konsoli Ko ustawił widok z peryskopu.

- Dwadzieścia dwa metry, kapitanie, poziom pokładu wyrównany.

- Bardzo dobrze. Obsługa wyrzutni! - krzyknął Ko. - Zamknąć obwody w komorach dwadzieścia pięć i dwadzieścia sześć, otworzyć pokrywy dziobowe.

- Tak jest, kapitanie. Dwadzieścia pięć i dwadzieścia sześć już się rozgrzewają.

- Otworzyć pokrywy dwadzieścia pięć i dwadzieścia sześć.

- Pokrywy otwarte.

- Podłączyć i zaprogramować wyrzutnie pocisków Darkwing numer jeden i dwa na wolno poruszający się, znajdujący się na niskim pułapie cel.

- Tak jest - odpowiedział odpowiedzialny za uzbrojenie oficer. Ko zamierzał zestrzelić helikopter po uwolnieniu torpedy z komory dwadzieścia pięć, ale chciał mieć pociski Darkwing gotowe do odpalenia na wypadek, gdyby helikopter ich wykrył.

- Proszę zaprogramować komorę dwadzieścia pięć na ultraciche wypłynięcie i małą prędkość.

- Tak jest. Pokrywy komór dwadzieścia pięć i dwadzieścia sześć są otwarte.

- Bardzo dobrze.

- Panie kapitanie, następny dźwięk poszukiwawczy, szerokość dwa osiem siedem, cel LC-1 - powiedział nawigator, przyciskając jedną słuchawkę do ucha.

- Kapitanie, wyrzutnie pocisków Darkwing numer jeden i dwa gotowe do odpalenia - zameldował oficer odpowiedzialny za uzbrojenie.

- Pierwszy, ma pan włączony lokalizator powietrzny? Proszę go ustawić na dwa osiem siedem.

- Tak jest.

- Słysząc coś na wysokich częstotliwościach?

- Jeszcze nie.

- Proszę spróbować wysokich i ultrawysokich częstotliwości i znaleźć ten helikopter. Co z torpedą dwadzieścia pięć?

- Gotowa do wystrzelenia, panie kapitanie, współrzędne celu wprowadzone.

- Wystrzelić torpedę dwadzieścia pięć.

- Torpeda dwadzieścia pięć wystrzelona. Wskaźnik komory pokazuje, że torpeda opuściła komorę.

- Kapitanie, kamera dziobowa pokazała odpływającą torpedę - powiedział nawigator.

- Świetnie. Pierwszy, co z helikopterem?

- Coś mam, kapitanie. Bardzo odległy, zmienny sygnał na ultrawysokiej częstotliwości.

- Proszę się go trzymać. Wypróbujemy laserowy system naprowadzania pocisku, proszę go zaprogramować.

- Tak jest-odpowiedział tamten.

- Nawigatorze, co z torpedą dwadzieścia pięć?

- Zmierza ustalonym trybem do celu NC-25, na współrzędne dwa siedem cztery.

- Proszę nie spuszczać jej z oczu - powiedział Ko. Rozluźniony, sięgnął po termos z herbatą.

- Panie kapitanie, helikopter zbliża się - zameldował patrzący przez peryskop Jinan Hsu. Na dowódczej konsoli Ko widać było odległy punkcik helikoptera. Silnie powiększony obraz skakał przed oczami. Czy ci japońscy inżynierowie nie mogli jakoś tego dopracować? Ko poczuł nagłą irytację.

- Bardzo dobrze, Panie Pierwszy. Proszę go mieć na oku, póki nie wystrzelimy Darkwinga. Cel nawodny NC-25 będziemy kontrolować za pomocą sonarów.

- Panie kapitanie, helikopter jest w zasięgu - powiedział Jinan. - Proponowałbym go zestrzelić już teraz, a potem potwierdzić trafienie niszczyciela.

- Nie, teraz nie moglibyśmy użyć naprowadzania laserowego. Niech pan będzie spokojny, Pierwszy, on nas nie usłyszy.

- Tak jest.

- Czas biegu torpedy?

- Osiem minut, panie kapitanie.

- Teraz możemy już tylko czekać, panowie - powiedział Ko, popijając herbatę.

Robinson podciągnął sonar i przeniósł się o następne trzy kilometry do przodu. Jak dotąd, nie wykrył nic.

Nie wiedział, że zaraz po tym, jak wyciągnął sonar z wody, w jego zasięg wpłynęła torpeda Nagasaki. Potem, przenosząc się dalej na wschód, przeleciał kilometr od niej.

Kiedy znowu opuścił sonar do wody, natychmiast wykrył on coś za nim, od zachodniej strony. Robinson odczytał współrzędne kontaktu, w pośpiechu wciągnął sonar i zawrócił na zachód, w kierunku „Glenna”. Jeszcze raz spojrzął na ekran. To musiała być torpeda. „Glenn” został zaatakowany. Musiał ich o tym zawiadomić. Mógł to zrobić jedynie podlatując blisko mostka, by jakoś zasygnalizować im zbliżające się niebezpieczeństwo.

Pięć mil dalej „Glenn” pruł fale, zwrócony dziobem na zachód. W ciągu zaledwie trzech minut Robinson zbliżył się do niego na tyle, by ostrzec znajdującego się na mostku oficera. „Glenn” skręcił ostro w lewo. Chcąc zmylić zbliżającą się torpedę, okręt skierował się na pomoc. Ostrzegłszy „Glenna”, Robinson zawrócił na wschód, by spróbować odnaleźć tego, kto tę torpedę wystrzelił. Okręt podwodny wroga musiał być daleko stąd, w przeciwnym wypadku wykryłby go jego sonar.

Kiedy usłyszał eksplozję, był w odległości niecałych dwóch kilometrów od „Glenna”. Fala uderzeniowa targnęła helikopterem, jakby był małą zabawką. Robinson walczył ze sterami, mając takie uczucie, jakby sam już tonął.

Kiedy obrócił helikopter, ujrzał kulę ognia rosnącą nad tym, co jeszcze przed chwilą było niszczycielem USS „John Glenn”. Czarnopomarańczowy grzyb chmury unosił się powoli, buchając płomieniami i dymem. Wciąż mógł dostrzec na wodzie kilwater okrętu, który już nie istniał. Płomienie wzniosły się coraz wyżej, podsycane i szarpane przez wiatr, a ogłupiały Robinson mógł tylko patrzeć, jak jego okręt płonie. Chmura w kształcie grzyba urosła wysoko nad okrętem - kilkusetmetrowy słup czarnego dymu.

Wstrząśnięty tym widokiem, Robinson sprawdził stan paliwa w zbiorniku helikoptera. Miał na pokładzie dwie torpedy i jeśli znajdzie wroga, może uda mu się posłać go na dno. Dwa zbiorniki miał pełne. To powinno wystarczyć na parę godzin, w czasie których musi znaleźć tego bandytę. Skierował helikopter na wschód i kilometr dalej zawisł nad powierzchnią, by opuścić sonar.

SS-405 „Trzęsienie Ziemi”

- Kapitanie, chyba już czas, by zestrzelić LC-1. On zwariował, skierował się na wschód.
- Przypuśćmy go trochę bliżej. Chcę, żeby miał pan dobry cel, puścimy Darkwinga na niskich obrotach.
- Na niskich obrotach? Przecież on może zdążyć wystrzelić torpedę.
- Panie zbójmistrzu, czy oba pociski są ustawione na sterowanie laserem?
- Tak jest.

- Niech pan poczeka, panie Pierwszy.

Czekali, póki helikopter nie zawisł w powietrzu i nie zaczął opuszczać sonarów zaledwie parę kilometrów od nich. Pulsujący dźwięk jego wirników był już na tyle głośny, że Ko Tsu słyszał go bez żadnej aparatury. Uśmiechnął się.

- Panie Pierwszy, teraz jest wystarczająco blisko - powiedział. - Wystrzelić Darkwinga numer jeden. Panie Pierwszy, proszę uruchomić laser i naprowadzić go na cel.

Napędzany na początku generatorem gazowym pocisk wyskoczył z zamontowanej w dużym stateczniku wyrzutni w kierunku powierzchni morza.

Dwumetrowej długości pocisk poprzedzony bąblem pary wytwarzanej H przez zamontowany w jego stateczniku silnik raketowy, wyskoczył nad powierzchnię. Ciężenie momentalnie wzięło górę nad słabej mocy silnikiem gazowym i pocisk już miał zacząć opadać w kierunku wody, kiedy grawitacyjny czujnik odpalił główny, napędzany paliwem raketowym silnik. Pocisk wystrzelił w niebo, przyśpieszając na wysokości kilometra. Odnalazł wysyłany z końca peryskopu sygnał lasera. Potem odnalazł o wiele słabsze odbicie promienia lasera od celu, potwierdzonego przez czujnik podczerwieni, reagujący na temperaturę silnika helikoptera. Pocisk zanurkował w kierunku celu, kierując się na rozgrzaną dyszę wylotową silnika. Eksplozja nastąpiła w odległości jednego metra od kabiny helikoptera.

W ciągu paru milisekund pocisk przemienił się w rosnącą, rozgrzaną do białości kulę ognia, otoczoną sferycznie rozchodzącymi się falami uderzeniowymi. Eksplozja rozszerzała się, póki nie objęła celu, który wyparował w jednej chwili.

Robinson zatrzymał się, żeby opuścić sonar. W jakiś sposób wyczuł, że jest blisko celu. Chwilę po tym, jak to zrobił, biały ślad odrzutowych silników pocisku wspiął się wysoko w niebo. Robinson patrzył na to osłupiały. Pocisk wystrzelił z miejsca równie błękitnego, jak cała reszta oceanu. Wzniósł się tak wysoko, że przez chwilę nie było go widać. Wtedy dopiero Robinson zdał sobie sprawę, że pocisk spadnie na niego. Musiał spróbować uciec. Położył dłonie na drążkach i kopnął pedał steru. Palcem wymacał przycisk, który miał go uwolnić od pogrążonego w wodzie sonaru. W tym ułamku sekundy, kiedy to robił, pocisk, wciąż rosnąc, pojawił się na wprost jego kabiny.

Robinson nie zdążył nawet poczuć podmuchu wybuchu.

Podczas gdy ognista kula rosła, otaczając cel pomarańczowymi płomieniami, fragmenty helikoptera spadały do morza.

Były wśród nich wirniki, które odłączyły się od osi i rozleciały się dookoła. Odcięty ogon uderzył z potężnym pluskiem w wodę, wyrzucając przy tym fontannę piany i zatonął.

Większość pozostałych fragmentów była spalona, stopiona.

Wewnątrz nadpalonego hełmu pilota z napisem: POR. B. ROBINSON USS „JOHN GLENN” znajdowała się czarna masa, spalona i zaskorupiała, ze sterczącymi gdzieś tam beżowymi odłamkami kości. Hełm przez parę sekund unosił się na powierzchni, potem nabrał wody i powoli opadł na znajdujące się półtora kilometra niżej dno oceanu.

- Helikopter LC-1 zestrzelony, panie kapitanie - zameldował pierwszy oficer.

- Czy widać coś na współrzędnych niszczyciela NC-25?

- Słup dymu wysoki na dwa kilometry.

- Nawigatorze, czy sonar coś wykrywa w okolicach poprzednich współrzędnych NC-25?

- Nic, panie kapitanie, już po niszczycielu. Znowu jesteśmy sami.

- Świetnie. Poczekamy tu w gotowości bojowej na innych uciekinierów i na ich podwodną eskortę. Jeśli przez godzinę nikt się nie zjawi, to znaczy, że koniec z nimi. Co pan o tym myśli, panie Pierwszy?

- Fantastycznie, panie kapitanie. Ten okręt jest po prostu cudowny. Gdyby tylko miał więcej torped, pomyślał Ko Tsu.

- Fakt, panie Pierwszy - odpowiedział tylko.

22

USS „Annapolis”, SSN-760

Pierwsza eksplozja tak głośno zabrzmiała w słuchawkach DeMeersa, że, niemal był pewien, iż popękały mu bębniaki w uszach. Rzucił słuchawki na pokład. Z oczu płynęły mu strumienie łez.

Nic nie słyszał. Na głównym, ustawionym na odbiór szerokiego zakresu dźwięków ekranie, odbicia wypełniały całe pole widzenia. Wciągnął „cebule”, szerokokresowy odbiornik, holowany na półtorakilometrowej długości kablu, wychodzącym z tuby, zamontowanej na wystającej z prawej burty płetwy stabilizującej. „Cebula” miała ostrzegać ich przed zbliżającymi się od rufy torpedami, a nazwę wzięła od swojego kształtu.

Nawet po wciągnięciu „cebuli” wschodnie współrzędne ekranu stanowiły jedną wielką plamę, co oznaczało, że było tam takie natężenie szerokokresowego hałasu, przez które nic nie można było usłyszeć. Kapitan Patton stał obok DeMeersa i patrzył na ekrany.

- Konwój ma kłopoty. - Głos DeMeersa był zmieniony nie do poznania, ledwo słyszalny, na granicy szeptu.

Patton odpowiedział coś, czego DeMeers nie dosłyszał, i wyszedł.

Na mostku Patton wszedł na platformę peryskopu i położył dłonie na jego stalowych uchwytach. Rozejrzył się szybko dookoła. A potem zaczął i wydawać rozkazy oficerowi dyżurnemu, Karłowi Horburgowi:

- Proszę obsadzić stanowiska bojowe. Ster na lewą burtę, stały kurs na wschód. Sonar, nasłuch na wschód. Proszę zapisać w dzienniku okrętowym, że kapitan, podejrzewając, iż flota została zaatakowana, zawraca na wschód, 'by to sprawdzić, a w razie potrzeby kontratakować. Proszę zalać komory od pierwszej do czwartej i rozgrzać torpedy o tych numerach.

Pokładem okrętu szarpnęło mocno w prawo, potem z powrotem w lewo - normalne zjawisko, kiedy się zawraca przy tej prędkości. Wszyscy oprócz sonaru potwierdzili jego rozkazy. Patton pokręcił głową. Najprawdopodobniej DeMeers miał uszkodzony słuch?

- Jaka jest odległość do konwoju?
- Prowadzący konwój lotniskowiec powinien znajdować się w odległości dwudziestu czterech mil morskich. Do tyłu konwoju powinniśmy dotrzeć za trzydzieści pięć minut, sir.
- Sir, płyniemy kursem jeden zero zero - mruknął sternik.
- Bardzo dobrze.

Na mostek weszła nowa wachta, obejmując stanowiska bojowe. Na lewo od drzwi znajdowało się, urządzone jak kokpit w samolocie, stanowisko kontroli okrętu. Dwa lotnicze fotele otoczone były konsolami i w pełni skomputeryzowanymi panelami przyrządów. Po lewej stronie znajdował się panel w kształcie litery L, ze stojącym w rogu obrotowym krzesłem. Siedzący w fotelu lotniczym sternik za pomocą takiego dźwaka, jak w samolocie, obsługiwał stery rufowe i dziobowe. Drugi sternik kontrolował boczne stateczniki oraz kąt ustawienia pokładu okrętu. Szef techniczny wachty kontrolował wytrzymałość okrętu, systemy zanurzania, zbiorniki, pompy, całą hydraulikę i nawet znajdujące się wysoko nad pokładem maszty okrętu. Wszystkich ich nadzorował siedzący z tyłu oficer do spraw zanurzania.

Pomiędzy stanowiskami kontroli okrętu a rufą znajdowała się prostokątna platforma peryskopu, pełniąca funkcję stanowiska dowodzenia. Platforma, ogrodzona niklowaną barierką, od góry wypełniona była różnorodnym sprzętem - wtórnymi czytnikami sonarów, monitorami telewizyjnymi, mikrofonami na teleskopowych podwieszeniach, telefonami. Był tam także składany fotel dowódcy i przede wszystkim dwa, zamontowane obok siebie na osiach z nierdzewnej stali, składane peryskopy.

Po lewej stronie platformy stały konsole nawigacyjne z odbiornikami satelitarnymi. Po prawej stronie pomieszczenia znajdowało się centrum bojowe, rząd konsoli kontroli bojowej BSY-4, pozwalających walczyć z paroma wrogimi jednostkami naraz. Konsole obsługiwało czterech oficerów. Na konsoli kontroli uzbrojenia programowano znajdujące się na niższym pokładzie torpedy.

Blżej rufy umieszczono dwa stoły do sporządzania wykresów nawigacyjnych, jeden służący do wykonywania elektronicznych map morskich, drugi do namierzania pozycji wrogich jednostek.

Cała kubatura pomieszczenia wypełniona była przeróżnym sprzętem: panelami, konsolami, ekranami, telefonami i innym sprzętem telekomunikacyjnym, kablami, zaworami, rurami, urządzeniami alarmowymi, krzesłami, fotelami, stołami. Przy pełnej obsadzie stanowisk bojowych, kiedy na mostku znajdowało się łącznie dwadzieścia osób, szef techniczny wachty musiał cztery razy silniej nastawić klimatyzację, bardziej zresztą z troski o stan sprzętu elektronicznego niż o ludzi.

Porucznika Horburga zastąpił na mostku niewiele od niego starszy porucznik Dietz. Pojawił się także Henry Yale, oficer operacyjny Pattona, ze śladami poduszki odcisniętymi na twarzy. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o jasnej karnacji, ciemnych włosach i brązowych oczach. Okulary w drucianych oprawkach sprawiały, że wyglądał bardziej na intelektualistę niż na wojskowego.

Patton założył słuchawki z mikrofonem. Horburg usiadł przy drugiej z rzędu konsoli kontroli bojowej, służącej do ostatecznego określania położenia Celu. Czterej pozostali oficerowie zajęli stanowiska pierwsze, trzecie, czwarte oraz miejsce przy znajdującej się z tyłu konsoli uzbrojenia. Nawigator, otoczony grupą pomocników, ulokował się przy stole nawigacyjnym. Paru zaopatrzonych w telefony ludzi, mających usprawniać komunikację, ustawiło się wokół pełniących najważniejsze funkcję oficerów.

Patton dmuchnął w swój szczękowy mikrofon, sprawdzając, czy działa, i zawołał do Vale'a, który miał koordynować pracę stanowisk bojowych:

- Koordynator, tu kapitan, próba łączności.
- Tu koordynator, słyszę dobrze - odpowiedział Yale.
- Sonar, tu kapitan, próba łączności.
- Tu sonar, słyszę dobrze - odpowiedział O'Connor, podoficer DeMeersa. Patton dał znak

Vale'owi, żeby go zastąpił i poszedł do pomieszczenia sonatowego.

- Co z twoim słuchem? - zapytał DeMeersa. DeMeersa potrząsnął głową, pokazując na swoje uszy.

- Cholera jasna -zaklął Patton -O'Connor, to pan prowadzi nasłuch?

- Tak jest, sir - odpowiedział O'Connor. - Przy pomocy szefa.

- Co tam się dzieje?

- Zagłuszenie na wschodnich szerokościach. Jedna głośna eksplozja za drugą. Konwój wciąż obrywa, panie kapitanie. I jedna rzecz bardzo mnie E martwi. - O'Connor odwrócił głowę i spojrzał na Pattona. - Nie jestem pewien, czy usłyszymy wrogów. Tam jest cholernie głośno, sir. Ten hałas ogłuszył szefa. Już tutaj sięga stu czterdziestu decybeli, a od celu dzieli nas ponad dwadzieścia mil. Bóg jeden wie, jak będzie głośno, kiedy tam dotrzemy. A w dodatku nie wiem, czego szukać.

- O co panu chodzi, O'Connor? - spytał szorstko Patton.

- Nie wiem, czy w tym całym hałasie usłyszę okręt wroga. Muszę wiedzieć, czego mam szukać - okrętu konwencjonalnego, Destiny II, Wschodzącego Słońca czy starszego okrętu naszej klasy. Nie mogę szukać wszystkich naraz, to zajęłoby cały tydzień.

- Zgadza się pan z tym? - zapytał Patton, patrząc na DeMeersa i wyraźnie poruszając ustami.

- Tak jest, sir - odparł DeMeersa niepewnym głosem głuchego człowieka. - Wkładamy głowę do paszczy lwa.

Patton poczuł dreszcz strachu. O'Connor miał rację. Na jakich częstotliwościach mieli szukać wrogów? Na jakim natężeniu? Czy najpierw pojawią się niskie częstotliwości? Jak ustawić procesory? Na wąski czy szeroki zakres? Patton wiedział, że trzeba polegać na własnym instynkcie.

- Posłuchajcie mnie, do cholery! - powiedział z błyskiem w oczach. -Idziemy tam, żeby walczyć. Macie znaleźć ten cel i nie obchodzi mnie, jak to zrobicie. Zrozumiano?

O'Connor skinął głową z taką miną, jakby w nocy kazano mu prowadzić z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę samochód bez świateł. Wracając na mostek, Patton zastanawiał się, jak wytłumaczy dowództwu floty, że przeoczył wrogie okręty podwodne. Prawdopodobnie straci dowództwo okrętu i będzie miał zamkniętą drogę do awansu. O ile nie stanie się pokarmem dla ryb na dnie Morza Wschodniochińskiego.

- Co się dzieje, panie kapitanie? - spytał Yale.

- Powiem wszystkim - odrzekł Patton. - Zespół prowadzenia ognia, uwaga! - Prowadzone szeptem rozmowy umilkły. - Parę minut temu usłyszeliśmy od strony konwoju odgłosy wielu eksplozji. Zawróciliśmy i płyniemy w tamtą stronę z maksymalną prędkością. Praca sonarów jest uniemożliwiona przez ciągle wybuchy. Najprawdopodobniej konwój zastał zaatakowany. Nie wiemy, czy z powietrza, czy spod wody, nie wiemy też, jakie są siły wroga. Zamierzam jak najszybciej zbliżyć się do konwoju, wyciszyć okręt i przeprowadzić nasłuch. Do roboty.

- Kapitanie, tu sonar, zrozumiałem - rozległ się w słuchawkach Pattona głos O'Connora.

A więc pędzą w stronę wroga, nie wiedząc nawet, kim on jest i jak go szukać.

15 kilometrów nad powierzchnią Oceanu Spokojnego

Trudno było spać w samolocie.

Pacinowi było jednocześnie za zimno i za gorąco, nie mógł znaleźć sobie miejsca na rozłożonym fotelu. Rozboliła go głowa, zdrętwiały mięśnie. Majaczył mu się pomalowany na czerwono PEOA, płynący przez morze krwi.

Z daleka dobiegł go jakiś dźwięk. Słyszał fragmenty zdań - to wiadomości SNN.

- Notowania wszystkich akcji na giełdzie Unii Europejskiej spadły dziś o całe dwadzieścia procent, jak twierdzą komentatorzy, z obawy przed pogorszeniem się sytuacji w Białych Chinach. Przerwywamy raport finansowy, żeby podać najnowsze wiadomości z Morza

Wschodniochińskiego. Operacja Morski Most zakończyła się klęską. Łączymy się z naszym korespondentem wojennym z Pentagonu... Ż

Pacino usiadł gwałtownie i chwycił Paully'ego za ramię.

- Paully, obudź się.

Obaj patrzyli w ekran z niedowierzaniem w oczach. W połowie wiadomości z głośnika dobiegł ich głos pilota:

- Admirale, mamy pilne, tajne połączenie z samolotem Numer Jeden. Pani prezydent chce z panem rozmawiać.

SS-403 „Arktyczny Sztorm”

Admirał Chu Hua-Feng rozłożył siedzenie konsoli dowódczej. Zdjął słuchawki, które zaczęły mu przeszkadzać. Z zamkniętymi oczami, oddychając głęboko, słuchał monotonnego szmerzenia pracujących komputerów. Słysząc było też cichy, wysoki gwizd służącej do nawigacji, wirującej w tempie ; dziesięciu tysięcy obrotów na minutę małej, tytanowej kuli i równie cichy, głęboki bas systemu wymiany powietrza.

Rozłożone siedzenie było niezwykle wygodne i Chu czuł, że mógłby w nim spędzić wiele dni, gdyby zaszła taka potrzeba. W kieszeni pod zagłówkiem znajdowało się parę batoników, dwie butelki wody i pusta papierowa torba. Leżał tak rozluźniony, kiedy usłyszał ciche brzęczenie w wiszących mu na szyi słuchawkach.

- Admirale, jest nowy kontakt, siedmiolopatkowa śruba. Xhiu Liu, nawigator obsługujący konsolę czujników, najwyraźniej coś znalazł. Chu usiadł prosto i nałożył słuchawki.

- Określamy kontakt symbolem PC-3 - ciągnął Xhiu. - Jest to pływający w zanurzeniu amerykański okręt podwodny klasy 688-1, na szerokości dwa sześć cztery. Jest jeszcze bardzo daleko, ale porusza się z dużą prędkością. Mamy na |. niego szerokozakresowy namiar przez jakieś jego urządzenie w rodzaju pompy.

- Świetnie. Która komora, Chen? - spytał Chu oficera operacyjnego |Chen Zhu, obsługującego konsolę kontroli uzbrojenia.

- Numer osiem, panie admirale.

- Rozgrzać torpedy osiem i dziewięć. Zalać obie komory. Na razie nie otwieramy pokryw. Zaprogramować torpedę osiem na ultraciche wypłynięcie, torpedę dziewięć na pełną moc początkowego impulsu. Torpeda osiem | wypłynie po cichu i będzie powoli zmierzać do celu. Torpeda dziewięć w razie jakichś kłopotów, z prędkością rakiety dopadnie wroga.

Chen potwierdzał otrzymane rozkazy, kiedy Chu, wydawał już następne:

- Kontrola, ster pięć stopni na prawo, podkręcić obroty do trzydziestu, | stały kurs na pomoc.

- Jest pięć stopni, trzydzieści obrotów na pomoc.

- Nawigatorze, proszę obliczyć miejsce spodziewanego spotkania z PC-3. Trzy minuty na północ, potem trzy minuty na południe. Coś mi mówi, że | popłynie tamtędy.

- Tak jest.

Chu czekał, przeglądając na konsoli cenniejsze od złota dane. Był w stanie pełnej gotowości, jak sportowiec na początku drugiej tury rozgrywek. Po wystrzeleniu trzydziestu torped zaczął przyzwyczajać się do tego okrętu i do jego rytmu. Czuł się zżyty z tą dziwną, ślepą konsolą i z japońsko | brzmiącym głosem Drugiego Kapitana. To wszystko działało tak dobrze, że gdyby miał zaprojektować okręt podwodny, zrobiłby to właśnie w ten sposób.

Ale czy można powiedzieć, że ten system naprawdę zdał egzamin? Owszem, wystrzelili trzydzieści torped i posłali na dno dwadzieścia siedem okrętów. Dziesiątki tysięcy ludzi utonęły, spaliły się lub wyparowały w wyniku eksplozji plazmowych. Ale taka była natura okrętu podwodnego - atakował z ukrycia, zaskoczenie stanowiło jego główną broń. Jak się zachowa teraz, wobec innego okrętu podwodnego? Przecież właśnie temu zagadnieniu, walce Wschodzących Słońc z wrogimi okrętami podwodnymi, Japończycy poświęcili ćwiczenia, w czasie których Chu i jego ludzie porwali im te okręty. Może dopiero w walce z innymi okrętami podwodnymi, nawet tak prymitywnymi jak amerykańskie, wyjdą na jaw jakieś

mankamenty. Wszystko wskazywało na to, że właśnie nadeszła chwila sprawdzianu.

- Panie admirale, obliczenia dokonane - powiedział Lo Sun zza znajdującego się po prawej stronie Chu dodatkowego panela dowódczego.
- Nawigatorze, zauważono jakąś zmianę kursu lub prędkości PC-3?
- Nie, admirale, wciąż się zbliża.
- Nie zmienił kierunku? Może nas usłyszeli?
- Wątpię, panie admirale. Hałasują jak rozpedzony pociąg - odparł Xhiu zadziwiająco spokojnym głosem. Czyżby jego nerwowy nawigator nabrał nieco pewności siebie?
- Bardzo dobrze - powiedział i zarządził zmianę kursu nieco na południe, by zmniejszyć dzielący ich od Amerykanów dystans.

USS „Annapolis”, SSN-760

- Sonar, tu kapitan. Czy odbiera pan jakieś sygnały z „Santa Fe”?
- Kapitanie, tu sonar, nie słysząc ich.

Odpowiedź ta poważnie zmartwiła Pattona. Chciałby mieć pewność, że każdy zanurzony cel to wróg.

Najgorsze jednak było to, że nie mieli gotowego planu działania na wypadek sytuacji, w jakiej się właśnie znajdowali. Przygotowano plany działania prawie na każdą ewentualność - na wypadek zaatakowania towarzyszącego im okrętu podwodnego, na wypadek zaatakowania zarówno konwoju, jak i towarzyszącego im okrętu - ale w instrukcjach nie było ani słowa o tym, co robić, jeśli konwój zostanie dosłownie zmieciony z powierzchni morza, podczas gdy eskortujące go okręty podwodne będą od niego oddalone o dziesiątki mil. Wpływając na nie rozpoznany obszar, na którym istniało duże prawdopodobieństwo napotkania przeciwnika o nieznanej charakterystyce akustycznej, wiele ryzykował. Można nawet powiedzieć, że to, co robił, było głupotą.

Może posłać w okolicę, w której zatopiono konwój, kilka samonaprowadzalnych torped Mark 52? Jeśliby coś wykryły, popłynęłyby w kierunku dźwięku i prawdopodobnie trafiłyby w cel. Ale to pozbawiłoby go wszystkich torped. Poza tym jedna z jego torped mogłaby przecież zawrócić i trafić w niego. Nie, to zły pomysł.

Spojrzał na stół z mapami. Już czas.

- Sternik, cała stop powiedział i sternik potwierdził rozkaz. - Operacyjny, proszę maksymalnie wyciszyć okręt.

Okręt zwalniał z czterdziestu jeden do pięciu węzłów. Wyłączenie połowy silników było ryzykownym posunięciem. Ponowne ich uruchomienie i rozgrzanie do pełnej mocy, gdyby musieli podkulić ogon i uciekać, zabierało cenne minuty.

Patton uważał jednak, że przy pięciu węzłach prędkości powinni usłyszeć stąd wszystko aż do Tokio.

- Sonar, tu kapitan, zwalniamy.
- Tu sonar, zrozumiałem.
- Oficer nadzorujący na mostek - powiedział Patton. Po chwili zjawili się DeMeers i O'Connor, obaj zaszępieni.
- Cóż, panowie, teraz możecie zasłużyć na medale - powiedział Patton.
- Wolałbym zasłużyć na powrót do domu - odpowiedział DeMeers trochę tylko zmienionym głosem.
- A, więc już mnie pan słyszy? Proszę znaleźć tych bandytów.
- Sir, prędkość okrętu wynosi cztery węzły. - Z drugiego końca platformy doniósł porucznik Dietz.
- Sternik, jedną trzecią naprzód - rozkazał Patton. - Sonar, tu kapitan, donoście o każdym kontakcie.
- Kapitanie, tu sonar, żadnych kontaktów.

- Głowa do góry - powiedział Patton pewnym głosem. Musiał trzymać fason, choć czuł się fatalnie.

23

Jest tutaj ze mną admirał O'Shaughnessy - powiedziała prezydent Warner. Pacino siedział za fotelem drugiego pilota, skąd przez przednią szybę mógł widzieć błyszczące nad Pacyfikiem gwiazdy.

- Witam, sir. Słyszałem najnowsze wiadomości.

- Co pańskim zdaniem trzeba teraz zrobić? - spytała Warner bez zbędnych wstępów.

Miała dostęp do wszystkich materiałów, ale chciała, żeby to on jej coś doradził, choć obejrzał tylko telewizyjne wiadomości.

- To zależy - powiedział twardo. - Straciliśmy całe Siły Szybkiego Reagowania. Czy mamy jeszcze coś, co można rzucić przeciwko Czerwonym?

- Patch - odezwał się O'Shaughnessy głosem tak obojętnym jak komputer - w Pearl Harbor zaokrętowaliśmy już wsparcie Sił Szybkiego Reagowania. Będzie to tym razem ogromny konwój. Prezydent Warner uważa, że kiedy cały świat na nas patrzy...

- Admirale - przerwała Warner, najwyraźniej niezadowolona z tego, że O'Shaughnessy mówi w jej imieniu - proszę zapomnieć o polityce, musimy...

- Chwileczkę, pani prezydent - powiedział Pacino, ośmielony tym, że O'Shaughnessy'ego nazwał go tak, jak zwracał się kiedyś do jego ojca. - Nie zapomnę o polityce, ponieważ nauczyłem się od pani, że wszystko jest polityką. Nie mogę prowadzić wojny, jeśli nie da mi pani czasu, żebym mógł ją wygrać.

- Pamiętam Japonię, admirale Pacino, proszę mi wierzyć. Dam panu czas.

- Pani prezydent, proszę mi wybaczyć, ale nie usłuchała mnie pani. Jeśli zrobilibyśmy to, co proponowałem zeszłej nocy w Jackson, konwój nadal płynąłby do celu. A teraz straciliśmy taką masę ludzi. Nie dano mi czasu na przeszukanie Morza Wschodniochińskiego, a teraz dzwoni pani i mówi, żebym zapomniał o polityce.

Jaisal Warner zaśmiała się.

- Admirale, już drugi raz spotykamy się dzisiaj z taką bezwzględną szczerością. Muszę panu powiedzieć, że doceniam to.

- Dziękuję pani - powiedział Pacino, zastanawiając się, kto też mógł być tą drugą szczerą osobą.

- Co teraz, admirale? Właśnie trwa załadunek sił wsparcia, okręty eskortujące otrzymamy z Hawajów.

- Jak duży ma być konwój?

- Dwieście okrętów - odpowiedział O'Shaughnessy. - Tym razem weźmiemy czterysta trzydzieści tysięcy żołnierzy. Już niedługo będą gotowi.

- Przy najbardziej sprzyjającej pogodzie dotrą na miejsce najszybciej w cztery dni.

- Dzieją się jeszcze inne rzeczy - powiedział O'Shaughnessy. - Generał Baldini odwróci uwagę Czerwonych desantami powietrznymi. Wyślemy do akcji bombowce stealth z bombami zapalającymi i plazmową bronią przeciwpiechotną. Nie koniec na tym. Białe Chiny zezwoliły nam na użycie broni masowego rażenia na terytoriach okupowanych przez Czerwonych. Myślę, że za pomocą tych środków jesteśmy w stanie zatrzymać Czerwonych, a przynajmniej zwolnić tempo ich inwazji przez tydzień czy dwa. To dość czasu, żeby siły wsparcia dotarły do Morza Wschodniochińskiego.

Pacino pomyślał, że gdyby Warner usłuchała go wczoraj, nie ponieśliby takiej klęski.

- Dobrze - powiedział.

- Tak więc, admirale - powiedziała Warner - teraz będziemy walczyć na śmierć i życie.

Problem w tym, że Kongres chce mnie postawić w stan oskarżenia i doprowadzić do mojego odwołania.

- W stan oskarżenia?

- Nie słuchał pan wiadomości? Chcą mojej głowy za to, że zginęło trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy. Każdy z nich miał rodzinę, co daje kilka milionów głosów. Jeśli wierzyć dziennikarzom, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin straciłam osiemnaście punktów. Sądzę, że za jakieś dwa tygodnie znowu stanę się zwykłą obywatelką tego kraju. Mamy więc jakieś cztery dni na to, żeby siły wsparcia dotarły do Morza Wschodniochińskiego, i tydzień na wygranie wojny na lądzie. Co pan o tym sądzi, admirale?
- Siły wsparcia mogą zostać zaatakowane tak samo jak Siły Szybkiego Reagowania.
- Myśli pan, że zatopią nasz konwój, zanim dotrze on do Morza Wschodniochińskiego? Pacino zastanawiał się nad odpowiedzią, na chwilę zapadła cisza w eterze.
- Halo? - odezwała się Warner.
- Czy zatopią? A co on by zrobił na ich miejscu?
- Pani prezydent, muszę to dokładnie przemyśleć. Odpowiem za godzinę.
- Za dwadzieścia minut.
- Wkrótce lądujemy - powiedział Pacino. - Może skontaktujemy się przez wideo, kiedy dotrę do swego biura? - Wtedy widziałby jej twarz. Mógłby poradzić się Paullyego a nawet zadzwonić do Numeru Czwartego, do Jacka Danielsa, i dowiedzieć się, czy wywiad nie domyśla się, kto byłby zdolny ukraść sześć okrętów podwodnych.
- Czerwone okręty podwodne, Mikey. Znowu będziesz walczył z Czerwonymi.
- A więc o to chodziło. Czerwone Wschodzące Słońca, najnowocześniejsze okręty podwodne świata.
- Połączymy się z panem za pół godziny.
- Świetnie, pani prezydent. Pacino wrócił do kabiny głęboko zamyślony. Paully White z uwagą wpatrywał się w ekran wideo.
- Co powiedziała?
- Warner ma następne Siły Szybkiego Reagowania. Teraz chce, żeby konwój na Morze Wschodniochińskie popłynął z Hawajów. Potrzebuję cię, Paully. Musimy zaplanować całą wojnę.
- Jestem gotów. Od czego zaczynamy?
- Połącz się z Numerem Czwartym. Spytaj go, co wie na temat Wschodzących Słońc, i spytaj jeszcze, czy mógłby nawiązać kontakt z admirałem Tanaką. Będziemy go potrzebować. Potem zorganizuj wideokonferencję z Bruce'em Phillipsem z „Piranii”.
- Bruce jest w tej chwili w drodze do Morza Wschodniochińskiego.
- W porządku. Ale przede wszystkim trzeba odwołać stamtąd „Santa Fe” i „Annapolis”.
- Czy oni nie są tam po to, żeby znaleźć...
- Nie mogą wygrać z sześcioma przygotowanymi na ich przybycie Wschodzącymi Słońcami. Powiedz im, żeby się natychmiast stamtąd wynieśli. Kiedy tam wejdziemy, skoordynujemy nasze siły - użyjemy samolotów patrolowych pegasus, blackbirdów, seahawków, łodzi podwodnych, „Piranii” Bruce'a. Przeszukamy ten obszar dokładnie i oczyścimy go.
- Nadać SNC-esem, żeby w trybie alarmowym wynurzyli się na głębokość peryskopową?
- Tak, i powiedz im, żeby odpłynęli z maksymalną prędkością.

**Morze Wschodniochińskie
USS „Annapolis”, SSN-760**

- Kapitanie, tu radio, mamy pierwszą literę przekazu SNC.
- SNC-es, fale radiowe super niskich częstotliwości, pochodzące z radiostacji marynarki wojennej USA w Lualualei na Oahu. Emisja fal radiowych SNC wymagała wielkich ilości energii, więc w Lualualei wybudowano zasilającą maszt radiostacji elektrownię atomową o mocy wystarczającej do oświetlenia całego Baltimore. W przeciwieństwie do fal radiowych wyższych częstotliwości, fale SNC mogły przenikać przez górne warstwy oceanu i skorupy ziemskiej. Niestety, przekazywanie danych tą drogą trwało tak wolno, że w ciągu dziesięciu minut można było przesłać zaledwie dwie litery alfabetu. Dlatego więc admirał Pacino

zmienił sygnały wywoławcze poszczególnych okrętów na jednoliterowe hasła. Druga litera hasła oznaczała jedynie jego potwierdzenie.

Patton zbyt nie przepadał za tym nowym systemem. Kapitan okrętu podwodnego był na morzu człowiekiem niezależnym. Rzadko odbierał wiadomości przez radio, prawie nigdy ich nie nadawał. Jednak za pomocą SNC-esu dowództwo mogło nawiązać z nim kontakt o każdej porze dnia i nocy.

Teraz nie mieli wyboru. Musieli się wynurzyć i zobaczyć, co satelita Marynarki Wojennej ComStar miał im do powiedzenia. Nadanie przekazu SNC mogło oznaczać wypowiedzenie wojny, nowe zasady prowadzenia walki, nowe rozkazy, w każdym razie coś poważnego. Choć Patton miał wielką ochotę poczekać na drugą, a może nawet na |i trzecią literę przekazu, by w ten sposób zyskać trochę czasu i przeznaczyć L go na poszukiwanie okrętów wroga, wiedział jednak, że musi się wynurzyć. Wszystko wskazywało na to, że konwój nie poszedł na dno za sprawą wrogich okrętów podwodnych, ale w wyniku ataku lotniczego, i dowództwo chciało mu zlecić nową misję.

- Opróżnić zbiorniki i wyjść na głębokość peryskopową - polecił. Pięć minut później na umieszczonym nad głową ekranie widział już to samo, co obsługujący peryskop porucznik Dietz. W wizjerze peryskopu ukazało się morze i niebo, przedzielone wyraziście zarysowaną linią horyzontu. Nie było żadnych ptaków, chmur, żadnego samolotu, ani jednego okrętu konwoju.

Patton nagle nabrał pewności, że musi kontynuować poszukiwania. I to jak najszybciej.

- Zwalnia z siedemdziesięciu siedmiu obrotów do dziesięciu, admirale.

- Bardzo dobrze.

Chu ziewnął, patrząc na ekrany swojej konsoli.

- Nie storpeduje go pan teraz, panie admirale? A może jednak ich wykryli? Chu koniecznie chciał się dowiedzieć, czy mogli usłyszeć jego okręt, a jeśli tak, to z jakiej odległości. Ta wiedza byłaby bezcenna. Z drugiej jednak strony jego misja była zbyt ważna, by ryzykować utratę okrętu w czasie pierwszego spotkania z Amerykanami, co obniżyłoby morale załóg pozostałych okrętów.

Jeśli zatopi 688-mki, będzie to zwieńczenie klęski Amerykanów. Wtedy naprawdę przekonają się, że przegrali. Odstąpią od Czerwonych Chin, po-I zwoła upaść Białym, i jego plan - będący także planem Mai Sheng, ponieważ to ona wpadła na pomysł przejścia Wschodzących Słońc - spełni się. Będzie mógł wrócić do domu, poślubić Mai, może mieć z nią dzieci, i będzie mógł odbudować Flotę Ludowej Armii Wyzwolenia, strzegącej wybrzeża na nowo zjednoczonych Chin. W wiadomościach SNN powinna pojawić się wiadomość o tym, że posłał na dno nie tylko cały amerykański konwój, ale także eskortujące go okręty podwodne. Nagle wróciły do niego usłyszane we śnie słowa ojca. „Musisz się pośpieszyć, bo oni się zbliżają. I są silni”. A więc o to chodziło. Musiał uderzyć mocno i szybko. Tak, by Zachodowi odechciało się rewanzu.

Bo jednej rzeczy był pewien - nie można wygrywać dalej bez torped. Po wystrzeleniu trzydziestu torped zostało mu tylko osiemnaście; innym okrętom może jeszcze mniej.

Rozstawione najdalej na wschodzie „Tsunami” i „Wulkan” powinny zachować większość torped, ale „Świetlisty Piorun” i „Burzowa Chmura” mogły ich już nie mieć. Jeśli Amerykanie powrócą z następnymi okrętami wyładowanymi ludźmi i sprzętem, będzie w stanie zatopić jedynie część z nich. I w ostatecznym rozrachunku przegra.

- Otworzyć dziobową pokrywę ósmej komory - powiedział do siedzącego przy panelu uzbrojenia Chen Zhu. - Wprowadzić do pamięci torpedy ósmej parametry celu.

- Pokrywa otwiera się, panie admirale. Parametry celu wprowadzone. Torpeda gotowa do odpalenia.

- Wystrzelić na mój znak torpedę ósmą w trybie cichego wypłynięcia. Trzy, dwa, jeden, teraz.

- Ósma poszła - powiedział Chen.

- Dziobowa kamera pokazuje, że torpeda numer osiem wypłynęła - doniósł Xhiu.

- Bardzo dobrze. Nawigatorze, proszę jej pilnować.
- Tak jest - zwięźle odpowiedział Xhiu. Chu uśmiechnął się do siebie. Xhiu coraz lepiej czuł się na morzu. Teraz musieli tylko czekać.

Radiowiec wbiegł na mostek z laptopem w rękę. Patton założył okulary do czytania.

041811LIST13

OD DOWZJEDSIŁPOD

DO USS ANNAPOLIS SNN-760

PRZEDM PILNA ZMIANA ZADANIA

TAJNE TAJNE TAJNE TAJNE TAJNE TAJNE TAJNE TAJNE

1. (T) NATYCHMIAST ODTWORZYĆ NATYCHMIAST WYKONAĆ

2. (T) PILNIE OPUŚCIĆ AKWEN

3. (T) PRZERWAĆ WSZYSTKIE DZIAŁANIA, WSZYSTKIE POSZUKIWANIA, BEZ WYJĄTKÓW.

4. (T) OPUŚCIĆ AKWEN NA MAKSYMALNEJ PRĘDKOŚCI, POWTARZAM NA MAKSYMALNEJ PRĘDKOŚCI, KIERUNEK ODWROTU POŁUDNIOWY WSCHÓD LUB PÓŁNOCNY WSCHÓD.

5. (T) PUNKT SPOTKANIA SZER PÓŁN 30STOPNIOOMINOOSEKUND DL WSCH 135STOPNIOOMINOOSEKUND, NA POŁUDNIE OD OSAKI, JAPONIA. TERMIN SPOTKANIA 071200LIST13 ALBO WCZEŚNIEJ.

6. (T) PO WYJŚCIU Z AKWENU PRZESŁAĆ RAP. PRZEZ BOJĘ NAWET JEŚLI BRAK WIADOMOŚCI.

7. (T) NADESŁAŁ ADMIRAŁ M. PACINO

Zanim jeszcze Patton doczytał wiadomość do końca, zawołał:

- Natychmiastowe zanurzenie! Głębokość dwieście pięćdziesiąt metrów, ostry ką! Ster prawo na burt, stały kurs jeden dwa zero! Cała naprzód!

Rozpętało się piekło. Dietz podniósł do góry uchwyty i za pomocą hydraulicznego pierścienia opuścił peryskop. Sternik ustawił wskazówkę telegrafu maszynowego na maksimum. Drugi sternik ustawił rufowe poziome stery na pełne zanurzenie i pokład przechylił się dziobem w dół o dziesięć stopni. Na całym okręcie rozległy się w głośnikach słowa: „Natychmiastowe zanurzenie! Natychmiastowe zanurzenie!”. Dzwonek z maszynowni potwierdzał rozkazy. Głębokościomierz wskazywał dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści, trzydzieści pięć metrów.

- Zwiększyć kąt nachylenia - rozkazał Patton.

- Drugi sternik, zwiększyć kąt nachylenia okrętu do dwudziestu stopni! - zakomenderował odpowiedzialny za zanurzenie oficer.

- Więcej!

- Trzydzieści stopni do dołu!

Okręt zawisł na ogonie, przednia część mostka znalazła się niżej od rufowej o dobrych sześć metrów. Wskazówka głębokościomierza wciąż gnała | do przodu - sześćdziesiąt metrów, osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt. Prędkościomierz najpierw wskazywał piętnaście węzłów, potem dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Na głębokości dwustu trzydziestu metrów pokład okrętu zaczął; wracać do poziomu.

- Sir, kurs jeden dwa zero - powiedział sternik. Patton wziął mikrofon, łączący go z pomieszczeniem kontroli nuklearnej, zwanym manewrownią.

- Manewrownią, tu kapitan, cała naprzód do prędkości maksymalnej!

Przy prędkości maksymalnej zniszczą swoje nowe, warte dziesięć milionów dolarów reaktory, a przy okazji porządnie napromieniują pomieszczenia rufowe. Załoga musi je opuścić, podobnie zresztą jak tunel reaktora. Będzie można tam wchodzić jedynie w wypadku bezpośredniego zagrożenia bezpieczeństwa okrętu. Prędkość maksymalna wynosiła czterdzieści kilka, może nawet pięćdziesiąt węzłów. Patton patrzył, jak wskaźnik prędkości dochodzi do czterdziestu jeden węzłów.

- Kapitanie, tu manewrownia, jest cała naprzód z maksymalną prędkością, regulatory krótkiego obiegu i granic ochrony reaktora przestawione.
- Zrozumiałem - odpowiedział. Kiedy tu, na mostku, powoli się uspokajało, w manewrowni sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Przez następne pięć minut ośmiu mężczyzn, zalewając się potem będzie usiłowało doprowadzić reaktor do granic roztopienia się. Osłona nuklearna okrętu nie została zaprojektowana do wytrzymywania takiego poziomu promieniowania, mogą więc włączyć się alarmy. Pokład zaczął drżeć, cała olbrzymia moc reaktora przekazywana była na śrubę. Prędkość wzrosła do czterdziestu trzech, czterdziestu pięciu, czterdziestu sześciu, w końcu osiągając czterdzieści dziewięć i pół węzła. Przy zdwojonej mocy napędu, mieli prędkość zaledwie o dziewięć węzłów większą. Działo się tak dlatego, ponieważ przy tej prędkości woda stawiała czterokrotnie większy opór. Zresztą w istocie moc głównych turbin nie została podwojona, ponieważ część jej pochłaniały drobne wycieki i przewodnictwo cieplne. Zarzycanie wartego dziesięć milionów dolarów reaktora dla zwiększenia prędkości o dziewięć dodatkowych węzłów mogło wydawać się czymś dziwnym.

„Pilnie opuścić akwen” znaczy, żeby wynosili się stąd jak najszybciej, ponieważ okrętowi zagraża poważne niebezpieczeństwo. Pacino nie żartował. Patton oparł się o stół z wykresami nawigacyjnymi, patrząc, jak przedstawiająca jego okręt kropka zmierza w kierunku łańcucha Ryukyu, bramy Pacyfiku. To był naprawdę ciężki dzień. Gwałtowna eksplozja zupełnie go zaskoczyła.

Obsługujący sonar „Annapolis” nie usłyszeli nadpływającej torpedy Nagasaki. Torpeda była już blisko, kiedy „Annapolis” znajdował się na głębokości peryskopowej. Potem, schodząc głębiej i przyśpieszając, okręt zaczął się od niej oddalać. Pokładowy komputer torpedy natychmiast zwiększył jej prędkość do maksymalnej, trochę tylko wolniejszej od tej, z jaką w tym momencie poruszał się „Annapolis”. Dystans między torpedą i okrętem zaczął się powiększać. Najpierw wynosił sześćset metrów, potem siedemset, tysiąc. Mijała minuta za minutą. Kiedy torpedę dzieliły od celu już całe dwa kilometry, jej pokładowy komputer obliczył, że za trzydzieści sekund skończy jej się paliwo. Jeśli tak się stanie, cel ucieknie.

Torpeda przełączyła się na dopalanie resztek paliwa. Komory spalania oczyściły się z resztek gazu. Turbina mogła jeszcze wykorzystać energię zmagazynowaną w spiralnej cewce elektrycznej, ale od ostatecznego zatrzymania dzieliły ją zaledwie sekundy.

Torpedy zwykle programowano w ten sposób, żeby w podobnej sytuacji ulegały samozniszczeniu, ponieważ detonacja w stosunkowo bliskiej odległości od celu mogła spowodować takie same zniszczenia, jak bezpośrednie trafienie. Szczególnie, jeśli torpeda zaopatrzona była w głowicę plazmową.

Na dziesięć sekund przed ostatecznym utraceniem mocy, zostały zdetonowane słabe ładunki wybuchowe, umieszczone z przodu i z tyłu głowicy, rozpoczynając reakcję łańcuchową, prowadzącą do zapłonu plazmy i w ciągu paru milisekund torpeda przestała istnieć - jej miejsce zajęła gorejąca kula plazmy.

W jej zasięgu nie było celu, który mógłby wyparować. Cel znajdował się w tym momencie w odległości dwóch kilometrów dwustu metrów, czyli wystarczająco blisko, żeby mogła go zatopić siła wybuchu.

Z prędkością dźwięku przetoczyła się przez ocean fala uderzeniowa, w ciągu sekundy docierając do okrętu podwodnego.

Kiedy wybuch plazmowej głowicy torpedy Nagasaki dobiegł końca, woda zaczęła zalewać znajdujących się we wnętrzu okrętu ludzi.

rapitan Jonathan George S. Patton IV pomyślał, że Dante gównem wiedział o piekle. Kiedy dziesięć sekund temu przy stole nawigacyjnym oglądał morską, wszystko wokół było na swoim miejscu. A potem cały świat stanął na głowie.

Jeszcze przed chwilą jego okręt, głęboko zanurzony, płynący z maksymalną szybkością podążał na spotkanie do wyznaczonego punktu. Teraz było wiadomo, że „Annapolis” nigdy tam nie dotrze. Na ile Patton mógł się zorientować, eksplozja miała miejsce w znajdującej się na rufie maszynowni. Nie wiadomo, czy był to wybuch reaktora, czy też dosięgła ich torpeda albo bomba głębinowa. Tak czy owak nie czekało ich nic dobrego - reaktor osiągający masę krytyczną i eksplodujący radioaktywną parą sprawiłby, że w ciągu trzydziestu sekund załoga ugotowałaby się jak raki na parze. A jeśli zostali trafieni torpedą albo bombą głębinową, okręt może tego nie przetrzymać.

Czuł się tak, jak wtedy, pod koniec studiów, kiedy na skrzyżowaniu został zepchnięty na pobocze przez kierowcę usiłującego przejechać na czerwonym świetle. W jednym momencie siedział za kierownicą, nie troszcząc się o nic na świecie. W następnym, po głośnym, długo brzmiącym w uszach huku uderzenia, rzucony został w błyskawicznie zmieniający się wir doznań: 1 wałka z kierownicą, przeraźliwy pisk opon, wysoki zaśpiew silnika i uderzenie w drzewo, nieustający dźwięk klaksonu, kiedy zgasł silnik, a potem oddalony odgłos syreny. Teraz czuł się tak samo, tylko hałas był większy.

Olbrzymia siła eksplozji ogłuszyła go i rzuciła nim na znajdującą się za platformą peryskopu przegrodą, oddzielającą mostek od burty okrętu. Poczul, że pokład ucieka mu spod stóp. Instynktownie krzyknął:

- Opróżnić obie komory balastowe! Upadł płasko do przodu na podgiętą rękę, która bardzo zabolala. Świat dookoła zawirował, ciemniejac na obrzeżach; ta ciemność rosła i wkrótce Patton widział już tylko światło w tunelu, z każdą chwilą coraz słabsze. Wyteżał wzrok, próbując nie stracić przytomności. Z ledwością dosłyszał jakiś dziwny dźwięk, który po chwili przeszedł w straszliwy łomot. Wszystko przykryła zasłona białej mgły. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że lata w chmurach, ale potem z radością odkrył, że źródłem tej mgły jest wyciekające z rury za panelem kontroli balastu zmrożone, sprężone powietrze. Zapasy sprężonego powietrza mogły wypełnić zbiorniki balastowe - jeśli jeszcze istniały - i pozwolić im wypłynąć na powierzchnię.

- Wynurzamy się? - krzyknął w przestrzeń. Kiedy przez okropny łomot nie nadeszła żadna odpowiedź, krzyknął jeszcze raz: - Hej! Czy ktoś mnie słyszy? Spróbował wstać, ale świat jakby oszalał, wszystko wypełniała gęsta mgła. Pod sobą miał co prawda twardą powierzchnię, ale nie wiedział, czy była to burta, czy pokład.

Drugi wybuch nastąpił na dolnym pokładzie. W jego wyniku okręt przechylił się, a ryczący łomot jeszcze wzrósł, jeśli w ogóle było to możliwe. Zaraz po tym Patton poczuł zapach dymu, światła zamrugaly i zgasły. Wszystkie, co do jednego. W ciemności ogarnęła go gorąca, ciężka, gęsta chmura okropnego chemicznego smrodu. Nagle targnęły nim torsje. Wstał i instynktownie sięgnął rękami ponad głowę. Chybił za pierwszym razem. Chybił za drugim. Za trzecim razem trącił szafkę wypełnioną przeróżnym sprzętem. Metalowe drzwi szafki otworzyły się i wypadły z niej maski przeciwgazowe.

Gorący, czarny, śmierdzący chemikaliami dym otaczał go ze wszystkich stron. Próbował założyć maskę, ale przeszkodził mu ostry, rwący ból w przedramieniu. Sięgnął po maskę drugą ręką, założył ją sobie na czoło, ściągnął na brodę i zaciągnął paski. Ale wciąż nie miał powietrza. Zdawało mu się, że oczy mu pękają, płuca palily go żywym ogniem. Chemikalia! Ogień! Powietrza! Umieram!

Desperacko walczył z objawami paniki. Prawą ręką odnalazł rurę wychodzącą z maski, zakończoną metalowym stożkiem. Po omacku sięgnął do kolektora z sześcioma rowkami - rurę można było obsadzić w każdym z nich. Robił to w czasie ćwiczeń tysiące razy, nieraz z zasłoniętymi oczami, po omacku, tak jak teraz. Ale wówczas nie czuł tego ślepego, zwierzęcego strachu. W końcu udało mu się prawidłowo obsadzić końcówkę rury w jednym z

rowków i nareszcie wciągnął do płuc głęboki haust powietrza, oczyszczający płuca z cuchnącego dymu, którego resztki wciąż jeszcze błąkały się wewnątrz maski. Wziął drugi oddech. Wraz z powietrzem wracała mu jasność umysłu.

Zdał sobie sprawę, że znajduje się w ciemnym, pełnym trującego dymu wnętrzu przeciekającego okrętu podwodnego. Otoczony konającą załogą nie miał pojęcia, co się właściwie stało. Sprawną ręką sięgnął nad siebie i odnalazł latarkę. Powinna włączyć się automatycznie, ale nie włączyła się. Po Wciśnięciu przycisku zapaliło się, ale dym był tak ciemny i gęsty, że skierowany w dół strumień światła nie sięgał nawet pokładu. Jednak udało mu się dzięki niej odnaleźć panel kontroli okrętu, gdzie z foteli zwisało dwóch nierzytomnych mężczyzn. Przedzierał się przez dym, kiedy nagle wydało mu się, że coś popycha go do przodu.

Nie było to przewidziane, po prostu pokład okrętu wrócił do poziomu. Głębokościomierz na panelu kontroli wskazywał zanurzenie dziesięciu metrów i Patton czuł lekkie kołysanie pokładu. Okręt był na powierzchni. DeMeers musiał usłyszeć jego rozkaz i włączyć awaryjne opróżnianie komór balastowych.

Po trzydziestu sekundach trzecia eksplozja zburzyła jego kruche poczucie bezpieczeństwa. Pomyślał o dymie. Co mogło go wydzielać? Samoutleniające się paliwo palące się torpedy? Bateria płonąca w wyniku zapłonu wodoru? Może był to chlor wydzielający się z baterii zalewanych wodą morską? A może cyjanowodor, wydzielający się z płonącego paliwa rakieto-go pocisków wirowych Charlie? Wyglądało na to, że zostało mu zaledwie s sekund życia.

Odgłos czwartego wybuchu przeciągał się w nieskończoność. Ciemne do tej pory wnętrze mostka wypełniło się jaskrawymi płomieniami. Ciężki dym częściowo tłumił ich blask. Płomienie rosły, w niektórych miejscach sięgając już prawie do stropu; posuwając się powoli w jego stronę, pożerając tworzywa izolujące pokład, wytwarzały coraz więcej czarnego, cuchnącego dymu. Patton, jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ogień.

Od chwili pierwszej eksplozji minęło zaledwie siedemdziesiąt sekund, ale on już wiedział, że nie uratuje ani swoich ludzi, ani okrętu. Płomienie wciąż rosły, tylna strona mostka zaczęła przypominać żywą, przeraźliwie ryczącą ścianę ognia. Niewiele myśląc, Patton przeszedł pięć kroków do wystającego z kadłuba ogromnego, pionowego statecznika. Z wielkim wysiłkiem, używając tylko jednej ręki, otworzył pokrywę włazu.

Co z załogą? - Może jednak ktoś przeżył? Sternik, którego ściągnął z fotela, osunął się bezwładnie. Patton gorączkowo rozglądał się za kimś, kto dawałby jakiegokolwiek znaki życia. Oficer dyżurny leżał rozciągnięty na platformie peryskopu, w jego czole ziała szeroka szpara, miał także bardzo krwawiącą ranę na szyi. Patton przeszedł do centrum ataku, gdzie znalazł młodego Karla Horburga ze zmiażdżonym, spalonym czołem wewnątrz obudowy jednego z monitorów. Płomienie sięgały tam nad jego głowę i Patton musiał się wycofać. Próbował krzyczeć przez maskę, ale nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć. Żar stawał się nie do zniesienia. Płomienie już prawie wszędzie sięgały jego głowy. Zaczęły mu się palić włosy. Wtedy odczepił rurę swojej maski od kolektora, pobiegł do pomieszczenia sonarów, znalazł inny kolektor i podłączył się do niego. Dzięki Bogu DeMeers, jeszcze żywy, leżał na pokładzie.

Nie było czasu, żeby zmontować dla niego maskę. Należało jak najszybciej wspiąć się tunelem sześć metrów do góry; tam, gdzie było świeże powietrze, gdzie nie było ognia, dymu ani chemikaliów. Kiedy nastąpił następny wybuch, Patton właśnie sięgał po DeMeersa, walcząc z krępującą ruchy rurą. Wybuch cisnął nim na konsole sonarów i pokład się przechylił. Najpierw lekko, ledwo dostrzegalnie, potem coraz wyraźniej. Rufa okrętu tonęła. Woda musiała dostać się do maszynowni. Resztkami sił, które mu jeszcze pozostały, Patton zrzucił maskę, chwycił DeMeersa pod ramiona i zaczął wciągać go do góry. Całe szczęście DeMeers nie był całkiem nieprzytomny i przestawiając nogi, trochę mu w tym pomagał.

- Wchodź! - krzyknął Patton, wpychając DeMeersa w ciemny otwór tunelu, oświetlonego tylko płomieniami szalejącego na mostku ognia. Następną eksplozja obrzuciła ich odłamkami

szkła i plastyku. Pożar rozprzestrzenił się także na pomieszczenie sonarowe. Patton czuł, że jego kombinezon zajmuje się ogniem, ale nie przestawał wciągać DeMeersa do wnętrza tunelu. Gwałtownie zatrzasnął właz i odciął drogę płomieniom.

- Dalej, wchodź na górę! - zawołał do DeMeersa, który powoli zaczął wspinać się po drabinie. Patton zatrzymał się, żeby zgasić płomień pełzające mu po kombinezonie, który, choć wykonany z ogniotrwałego materiału, nie wytrzymał panującego na dole żaru. Boleśnie poparzył sobie dłoń, ale udało mu się stłumić ogień. Spojrzał do góry, w ciemność tunelu. Sięgnął po latarkę i nacisnął przycisk. Jej światło przebijało się przez rzadszy niż na dole dym. Wsadził latarkę do ust i przytrzymując się zdrową ręką, zaczął wspinać się, jak mógł najszybciej. DeMeers był już przy górnym włazie.

- Otwórz go!

DeMeers natężył się ze wszystkich sił, ale nie udało mu się otworzyć włazu. Przeszkadzały mu w tym hydrodynamiczne, ciężkie osłony umieszczone nad kokpitem mostka. Kiedy DeMeers próbował sobie z nimi poradzić, Patton wyjął z umieszczonego przy włazie schowka przypominającą plecak paczkę. Nagle do tunelu wpadło jasne światło dnia, a tuż za nim strumienie morskiej wody.

- Tonieemy! - wrzasnął DeMeers.

- Wychodź! - rozkazał Patton.

- Pośpiesz się! - głos DeMeersa z trudem przebijał się przez hałas, jaki powodowała woda wdzierająca się do tunelu, z impetem uderzająca o ramiona i twarz Pattona. W porównaniu z temperaturą panującą na pokładzie dogorywającego okrętu wydawała się szokująco zimna.

- Wychodź, weź pakiet ratowniczy! - krzyknął Patton. - No, dalej! Potężny strumień wody wdzierał mu się do nosa, zatykał uszy, bił po twarzy z mocą strażackiej sikawki. Poczul, że słabnie. To był już koniec. Nie udało mu się uratować załogi. I nie mógł na to pozwolić, żeby teraz jego najlepszy przyjaciel poświęcił dla niego swoje życie.

- Wychodź! - krzyknął jeszcze raz.

To, co się potem zdarzyło, można chyba nazwać cudem. DeMeers jedną ręką chwycił za umieszczony na powierzchni statecznika uchwyt, drugą za kombinezon Pattona i jednym zdecydowanym ruchem wyciągnął go z wnętrza tonącego okrętu. Znow był w świetle dnia. Fale obmywały jego głowę, i on kaszlał i krztusił się wodą, której zdążył się już nałykać. Gdy w końcu udało mu się swobodnie odetchnąć, spod wody wynurzyła się łysa głowa DeMeersa, trzymającego w wyciągniętej ręce pakiet ratowniczy.

DeMeers kilkoma ruchami rozłożył na falach gumową powłokę tratwy mikowej i dołączył do niej butlę ze sprężonym dwutlenkiem węgla. W jednej chwili tratwa wypełniła się gazem. DeMeers wciągnął do niej półprzytomnego Pattona, który leżał na wznak, czując pulsujący ból w lewym przedramieniu. Choć pozbył się już wszystkiego z żołądka, nadal było mu niedobrze.

- Czy to sen, że parę minut temu byliśmy na pokładzie „Annapolis” płynęliśmy z maksymalną prędkością na południowy wschód?

- Nie, tak właśnie było, szefie. A teraz zostało nas tylko dwóch - posiedział DeMeers z gorzkim grymasem na twarzy i zajął się uruchamianiem awaryjnego, przypominającego kształtem granat radia satelitarnego, za pomocą którego można było wysłać sygnał alarmowy do satelity ComStar.

- Na pokładzie było stu trzydziestu czterech ludzi, stu trzydziestu dwóch spośród nich zginęło. Straciłem okręt. Co się, do diabła, stało?

- To musiała być torpeda - powiedział DeMeers.

- O, patrz - powiedział Patton, nagle siadając. W odległości niespełna dziesięciu metrów od nich wynurzył się peryskop. - Myślę, że masz rację, Byron.

DeMeers poczerwieniał, oczy omal nie wyszły mu z orbit. Patton przypatrywał się peryskopowi dziwnej, nieznanego mu konstrukcji, a potem nagle, niewiele myśląc, pogroził mu pięścią.

Peryskop zniknął równie szybko, jak się pojawił, gładkim ruchem zanurzając się w wodzie.

- Czy to mi się tylko zdawało? - spytał Patton, czując powracające zawroty głowy.
- Nie, sir. Ja też to widziałem. Mógłbym zabić drania gołymi rękami. Patton już go nie słyszał. Ogarnęła go ciemność.

Załoga amerykańskiego okrętu „Santa Fe” usłyszała zbliżającą się torpedę, wykonała zwrot i zaczęła uciekać. Okręt, przyspieszając, powoli zwiększał dystans, ale wskutek detonacji torpedy jego kadłub został rozdarty. Stu trzydziestu ośmiu członków załogi „Santa Fe” nie miało żadnych szans. Okręt znajdował się wtedy w maksymalnym zanurzeniu i woda wtargnęła do jego wnętrza z taką siłą, że momentalnie zmiażdżyła ludzi.

Wrak „Santa Fe” osiadł na dnie w odległości jedenastu kilometrów od tego, co kiedyś było okrętem podwodnym „Annapolis”.

Admirał Marynarki Wojennej Ludowej Armii Wyzwolenia Chu Hua--Feng wstał zza dowódczej konsoli, poszedł do swojej kajuty i położył się na koi. Był zmęczony, bolały go wszystkie mięśnie. Zасыpiając, miał przed oczyma obraz wściekłego, czarnowłosego mężczyzny, grożącego mu pięścią.

Część piąta

PEOA

25

Poniedziałek 4 listopada

**Barbers Point,
Baza Sił Powietrznych Marynarki Wojennej USA
Oahu, Hawaje**

Odrzutowiec SS-12 w mroku przedświtów zbliżał się do oświetlonego białymi światłami czwartego pasa lotniska. Nic z tego nie docierało jednak do pogrążonego w głębokich rozmyślaniach admirała.

- Jeśli siły wsparcia Sił Szybkiego Reagowania wyruszą w tej chwili, to j dotrą do Morza Wschodniochińskiego za pięć dni i sześć godzin, o świcie ! w niedzielę- powiedział Pacino. Okręty podwodne floty Pacyfiku, które l wczoraj wyruszyły z maksymalną prędkością, dotrą tam w piątek o ósmej l wieczór i będą miały tylko trzydzieści godzin na przeszukanie Morza Wschodniochińskiego, zanim dopłyną tam siły wsparcia. To im nie wystarczy.

- Ciągłe nie wiemy, co dzieje się z 688-mkami - powiedział White.

- Ile czasu minęło od wysłania drugiego SNC-esu z rozkazem wynurzenia się do głębokości peryskopowej?

- Dziewięćdziesiąt minut, sir. Powinni się odezwać godzinę temu. Może „Annapolis” i „Santa Fe” nie usłyszały naszego wezwania?

Pacino miał złe przeczucia. Wiedział, że to nie kłopoty ze sprzętem radiowym były przyczyną ich zamilknięcia. „Annapolis” i „Santa Fe” zostały stracone. A wraz z nimi na dnie oceanu znalazło się dwóch mianowanych przez niego dowódców: Chris Carnage i John Patton.

Przygryzł usta. Ta wojna nagle stała się j ego osobistą sprawą.

Razem z oficerami na dno poszło prawie trzystu świetnie wyszkolonych marynarzy. Pacino poczuł narastający gniew. Ci ludzie zginęli za sprawą tego drańskiego dowódcy wrogich sił

podwodnych, który pływa wciąż po Morzu Wschodniochińskim, szydząc z niego w żywe oczy!

Samolot opadł na pas z mocnym wstrząsem, silniki zawyły na wstecznym ciągu. Wylądowali na lotnisku położonym trzy kilometry od Pearl Harbor.

- Paully, „Annapolis” i „Santa Fe” zostały zatopione. I trzeba założyć, że każdy okręt tej klasy, który tam pošlemy, zostanie zaatakowany, zanim zdąży zareagować.

- Nie wiadomo tego, admirale. „Annapolis” i „Santa Fe” płynęły, zgodnie z rozkazami Jean-Paula daleko z przodu na maksymalnej prędkości, głośne jak rozpędzone pociągi w porównaniu z tymi Wschodzącymi Słońcami. Może wykryłyby Czerwonych, gdyby prawidłowo prowadziły nasłuch?

- Może. Pomyślę o tym. Za piętnaście minut mamy wideokonferencję z Warner. Musimy jej odpowiedzieć na pytanie, czy wrogie okręty wypłyną na Pacyfik na spotkanie drugiego konwoju.

- To zależy od tego, co będzie w wiadomościach, sir.

- Co masz na myśli?

- To, że przez te wszystkie wiadomości, transmitowane bez chwili przerwy przez SNN i inne agencje, wróg dokładnie zna nasze plany. Prezydent Warner ogłaszająca, że wyruszamy. Reporterzy są na pokładzie „Webba”, nawet robią z helikoptera ujęcia całego konwoju. Czy potrzeba lepszych danych taktycznych?

- Może da się z tym coś zrobić.

- Z mediami? Wolne żarty.

Pacino przymknął oczy, rozmyślając nad tym intensywnie.

Samolot wtoczył się do hangaru. Wyłączono silnik. Pacino i White wstali, zabierając swoje rzeczy.

Gdy wyszli na zewnątrz, uderzyło ich ciepłe powietrze hawajskiej nocy. U dołu schodów czekała na nich asystentka Pacina do spraw administracyjnych, Joanna Stoddard. Dawniej pracowała dla Pacina jako jego młodsza adiutantka w stopniu porucznika. Potem wyszła za mąż i opuściła marynarkę. Pacino zatrudnił ją jako pracownika cywilnego. Od tej pory wszędzie mu towarzyszyła.

- Joanna, dobrze, że cię widzę...

- Reporterzy nie dają mi spokoju - powiedziała. - Chcą wiedzieć, co zamierza pan teraz zrobić. Wameri O'Shaughnessy czekają już, żeby rozpocząć wideokonferencję. A w pańskim biurze czeka na pana czwórka gości, między innymi Japończyk, Akagi Tanaka.

- Kto jeszcze? - Pacino i White wymienili się spojrzeniami.

- Colleen O'Shaughnessy, Emmitt Stephens ze stoczni i admirał Dick Livingston.

- Co z PEOA?

- Odwołałam ceremonię chrztu, żeby Stephens mógł spuścić go na wodę. Mogę się założyć, że prasa oszalałaby...

- Ceremonię chrztu?

- Tak jest, sir. Uroczystość nadania imienia. Pamięta pan rozkaz admirała O'Shaughnessy'ego, żeby nadać PEOA imię „Devilfish”?

- A tak - odpowiedział Pacino, pełen mieszanych uczuć na temat tej decyzji. Pamięć pierwszego, noszącego to imię okrętu była zbyt bolesna. -Więc jest już na wodzie? Uzbrojony?

- Kapitan Stephens powiedział, że zaopatrzył PEOA we wszystko.

Obaj oficerowie i Joanna wsiedli do czekającego na nich służbowego samochodu. Duży, czarny lincoln nie miał chorągiewek na zderzakach. Godła Zjednoczonego Dowództwa Sił Podwodnych także zostały usunięte, najwyraźniej po to, by nie przyciągać uwagi prasy. Pacino i Paully wsiedli z tyłu, a Joanna z przodu.

- Co o tej porze robi w moim biurze Colleen O'Shaughnessy?

- Nie powiedziała. Jest taka małomówna.

- Myślę, że ma to po ojcu - powiedział Pacino. Lincoln ruszył spod hangaru i pojechał Coral

Sea Road do zachodniej. Nie tędy jeździło się zwykle do Pearl Harbor. Podjechali pod bramę radzącą do małej bazy Marynarki przy Ewa Beach. Kierowca zatrąbił i brama otworzyła się, żeby zaraz się za nimi zamknąć. Podjechali wprost na nadrzeże, przy którym czekała na nich przycumowana łódź motorowa. Wypłynęli z Zatoki Zachodniej i po ominięciu przylądka Waipio dotarli do przylądka Pearl City, gdzie znajdowała się Zachodnia Kwaterna Główna Zjednoczonego Dowództwa Sił Podwodnych.

- To dość okrężna droga do biura - Pacino zwrócił się do Joanny.

- Jest pan teraz niezwykle popularnym człowiekiem, admirale - odpowiedziała. - Wszyscy chcą wiedzieć, co zrobią pańskie okręty podwodne, nie dopuścić do zatopienia drugiego konwoju.

- Też chciałbym to wiedzieć - uśmiechnął się Pacino. Dżip prosto z nabrzeża zawiózł ich do oddalonego o niecały kilometr budynku Dowództwa Zjednoczonych Sił Podwodnych. Biała, trzypiętrowa z małymi, staromodnymi oknami i kolumnadą pośrodku wyglądała, jakby budynek został wzniesiony na początku XX wieku. Może rzeczywiście tak było, ale wewnątrz urządzone i wyposażone był w sposób jak najbardziej nowoczesny. Biuro Pacina miało jedno duże okno, wychodzące na pustą w tej chwili nabrzeża dla okrętów podwodnych. Na ścianach, pokrytych jasną, pełną sęków boazerią sosnową, wisiały oprawione w ramki zdjęcia okrętów podwodnych z mnóstwem starych przyjaciół na pokładach, zdjęcia przedstawiające Pacina, w dniu, w którym objął dowodzenie na „Seawolfie”, zdjęcie przy jego „Piranii” i poźółkła ze starości fotografia, przedstawiająca Anthony'ego Pacina, stojącego wraz ze swoim młodym synem obok płetwy statecznika „Stingraya”.

Naprzeciw okna umieszczono wielkie biurko, wykonane z desek pochodzących z USS „Bonhomme Richard”, okrętu Johna Paula Jonesa sprzed ponad dwóch stuleci. Na biurku stały dwie lampy i kilka fotografii przedstawiających młodego Tony'ego Pacino. Był tu też stół konferencyjny, używany podczas odpraw i wideokonferencji.

Pacino rzucił czapkę na stół i zamyślony usiadł w fotelu.

- Daj komputer z mapami morskimi - powiedział, bębniąc palcami po stole. Paully White znalazł duży, służący do przeglądania morskich map komputer i postawił go na pustym stole. Pacino wyświetlił mapę Morza Wschodniochińskiego, a potem mapę oceanu między Hawajami a Japonią.

- Jestem gotów Joanno, możemy rozpocząć wideokonferencję. Zawiadom Stephensa i Colleen O'Shaughnessy, żeby byli gotowi za dziesięć minut. Potem wprowadź Dicka Livingstona. Paully White i Pacino usiedli przy służącym do wideokonferencji stole i czekali na połączenie.

- Co pan zamierza zrobić, szefie? - spytał szeptem White, kiedy na dużym ekranie pojawiło się prezydenckie godło.

- Zobaczysz - szepnął Pacino. Na ekranie pojawiła się prezydent Warner. Miała zmęczone oczy i niezbyt starannie uczesane włosy. Obok niej siedział, wyglądający na równie zmęczonego, Dick O'Shaughnessy.

- Dzień dobry, admirale - powiedziała, uśmiechając się. - Przystąpmy od razu do rzeczy. Przemyślał już pan, co należy zrobić z okrętami podwodnymi? Jak eskortować siły wsparcia? Czy sądzi pan, że Czerwoni spróbują zaatakować już na Pacyfiku? I kiedy będziemy mogli wylądować w Białych Chinach?

Pacino pomyślał, że ona dalej nic nie rozumie. Jeśli on, dowódca floty podwodnej na wygrać tę wojnę, musi mieć kontrolę nad wszystkim. Nad terminami, nad marynarką, nad mediami i nad samą panią prezydent.

- Wszystko przemyślałem i znam już odpowiedzi na pani pytania. Mam plan, jak oczyścić Morze Wschodniochińskie z wrogich okrętów podwodnych i pozwolić wylądować siłom wsparcia bez strat. Możemy wygrać tę wojnę.

- Dobrze, a więc słucham.

- Sądzę, że mój plan ma solidne podstawy. Przekona się pani o tym, kiedy generał Baldini ze swoimi ludźmi wylądował w Białych Chinach.

- Jak wygląda ten pański plan?

- Zamierzam przejąć pełne dowodzenie nad Siłami Morskimi Floty Pacyfiku, włączając w to Zjednoczone Dowództwo Morskich Sił Powietrznych, Zjednoczone Dowództwo Sił Nawodnych, a także siły wsparcia. Muszę mieć całkowitą kontrolę nad tą operacją, a poszczególni dowódcy mają składać mi raporty. Generał Baldini będzie mi podlegał do momentu, kiedy znajdzie się w odległości dwudziestu mil morskich od plaży, wtedy przejmie ode mnie taktyczne dowództwo nad wszystkimi siłami, z wyjątkiem podległych i okrętów podwodnych, zachowam także operacyjne dowództwo nad Flotą Pacyfiku. Wszyscy dziennikarze zostaną odesłani z okrętów konwoju z powrotem na Hawaje. Prasa nie może nic wiedzieć o przebiegu operacji, a admirał Copenflanger dostanie rozkaz patrolowania przestrzeni powietrznej za nocą myśliwców F-22 i przejęcia w okolicy konwoju każdego samolotu, niezależnie od tego, do jakiego państwa czy potentata prasowego należałby. Wszystkie takie samoloty mają być odprowadzone do bazy lotniczej w Hickham i zatrzymane tam do czasu zakończenia operacji. Jeśli tu powrócą, Staną zestrzelone.

- Teraz to już pan przesadził, admirale - zawołała wściekła Warner. Chce pan strzelać do reporterów, czy pan zwariował?

- Pani prezydent, taki jest mój plan. Chcę bezzwłocznie otrzymać pisemny rozkaz, podpisany przez panią i przez admirała O'Shaughnessy'ego, mianujący mnie naczelnym dowódcą Sił Zbrojnych Pacyfiku. Potem przez jakiś tydzień czy dziesięć dni nikt nie będzie wiedział, co się dzieje na Morzu Wschodniochińskim. Aż wreszcie zadzwoni do pani ambasador Czerwonych Chin, w imieniu swojego rządu proszący o wyrozumiałość.

- Pacino! - zawołał O'Shaughnessy, ale Warner położyła dłoń na jego ilu, nie dając mu dojść do głosu.

To niemożliwe, admirale - powiedziała. - O czym pan mówi? Chcę natychmiast wiedzieć, jakie ma pan plany co do swoich okrętów podwodnych.

- Nie - odpowiedział Pacino.

- Słucham? - spytała z wyrazem niedowierzania na twarzy.

- Powiedziałem nie - odpowiedział spokojnie, czując, że Paully White na niego w napięciu. - Albo zostanę głównodowodzącym, albo odchodzę

- Admirale, to w ogóle nie wchodzi w rachubę! Nie będzie pan dowodził niczym oprócz swoich okrętów podwodnych. Proszę sobie wybić ten pomysł z głowy i w tej chwili powiedzieć mi, w jaki sposób pańskie okręty podwodne będą chronić bezpieczeństwo konwoju. Za czterdzieści minut mam konferencję prasową.

W takim razie rezygnuję. Do widzenia - powiedział i przerwał połączenie.

- Sir, co pan zrobił?

- Mówisz jak ona, Paully.

- Admirale? Kapitan Stephens i panna O'Shaughnessy czekają - powiedziała Joanna.

- Niech wejdą.

Środkowe Ohio Samolot prezydencki, 11 kilometrów nad ziemią

- Czy on całkiem oszalał?

Admirał Richard O'Shaughnessy wciąż patrzył w ciemny ekran. Kiedy w końcu odwrócił się do prezydent Warner, zobaczył jej wściekłą twarz.

- Nie, pani prezydent - powiedział powoli głębokim barytonem. - Sądzę, że wiem, o co mu chodziło. - Wziął pilota i włączył odbiornik satelitarny.

- ...w drodze na Morze Wschodniochińskie poprosiliśmy komandora Freda Duke'a, żeby objaśnił nam, jak nowy konwój przygotowany jest do obrony przed wrogimi okrętami podwodnymi. Komandorze, mówił pan, że macie helikoptery, które mogą atakować okręty podwodne. Czy będą skuteczne przeciwko czemuś, co wydawałoby się...

O'Shaughnessy wyłączył odbiornik.

- Pacino ma rację. Przeciwnicy dokładnie wiedzieli, jak i gdzie płyniemy. Znali nawet wszystkie humory głównodowodzącego, niech spoczywa w pokoju.

- Co pan ma na myśli, admirale? Że przegraliśmy tę bitwę przez telewizyjne wiadomości?

- Niezupełnie, pani prezydent. Twierdzę, że przegraliśmy tę bitwę, ponieważ nie słuchaliśmy admirała Pacino. Jeśli zrobilibyśmy to, co nam radził zrobić, wylądowalibyśmy w Białych Chinach dziś, jutro albo w środę. Nie należało się śpieszyć.

- A co powiedziałabym dziennikarzom?

- O to właśnie chodziło Pacinowi - zaśmiał się O'Shaughnessy. - Stanowi pani poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa tej operacji.

- Co? Niech pan się liczy ze słowami, admirale.

- Tak, trzeba zważać na to, co się mówi. Pani słowa obiegają cały świat. Do Białych Chin mówimy: trzymajcie się, odsiecz nadchodzi. Do Czerwonych Chin mówimy: wycofajcie się, bo zginiecie. A potem dwieście ekip prasowych z pokładu „Webba” donosiło całemu światu o każdym naszym kroku. A ile zwołała pani konferencji prasowych, na których mówiono o naszych zamierzeniach? Pacino ma rację. Możemy oczyścić Morze Wschodniochińskie jedynie wślizgując się tam bez wiedzy Czerwonych. Proszę spojrzeć. - O'Shaughnessy podszedł do stojącego na małym stoliku globusa. - Hawaje są tutaj, a Białe Chiny tutaj. Morze Wschodniochińskie jest jakby frontowym przedpołem Białych Chin. Z Pearl Harbor do Szanghaju, Tsing-tao czy do Hongkongu wszystkie drogi prowadzą przez łańcuch wysp Ryukyu. Czerwoni nie muszą wiedzieć, dokąd dokładnie zmierzamy, wystarczy, że przyczają się w tym miejscu. Admirał Pacino zaproponował, żeby zahamować przepływ informacji. W Japonii odwalił kawał dobrej roboty.

- Proszę mu teraz zaufać.

Przez dłuższą chwilę Warner stała odwrócona do niego tyłem. W końcu odezwała się drżącym głosem.

Admirale, zwalniam pana. Proszę wyjść.

26

Gdy Colleen O'Shaughnessy weszła do jego biura, było tuż po piątej rano li słońce oświetlało wody East Loch. Miała na sobie dzinsy, prostą białą bluzkę pod czarnym blezerem i czarne wojskowe buty. Jej szyć opasywał cienki, złoty łańcuszek. Czarne, lśniące włosy opadały jej na ramiona, spod przyciętej tuż, nad brwiami grzywki patrzyły na Pacina największe oczy, jakie widział w swoim życiu.

Usiadła naprzeciw niego, tyłem do ekranu wideo. Po jej prawej stronie Emmitt Stephens, odpowiedzialny za budowę PEOA. Dopiero po chwili lino zorientował się, że Stephens spytał go o coś, a on, zapatrzonej w Colleen, nie dosłyszał pytania.

- Słucham?

- Powiedziałem, że mamy dobre i złe wiadomości. Najpierw te dobre. Stephens przeglądał notatki na swoim laptopie. - Kadłub i systemy mechaniczne PEOA są całkowicie gotowe. Reaktor został sprawdzony, okręt przeszedł wszystkie testy. Cała broń została załadowana, nie chcę nawet dociekać, po co panu teraz torpedy bojowe i pociski wirowe Charlie. Złe wiadomości przekaże panu Colleen. Zechce mi pan wybaczyć, admirale, mam i dużo pracy.

- Posłuchaj, Emmitt, zrób coś jeszcze. Włącz reaktor i doprowadź go pełnej mocy, potem daj parę do maszynowni i włącz wszystkie obwody.

- Admirale, czy pan... sir, nie może pan tego zrobić. To nie jest okręt operacyjny. Stan krytyczny reaktora jest monitorowany przez ludzi z dowództwa marynarki. Poza tym nie jest to bezpieczne.

- Emmitt, doprowadź reaktor do stanu krytycznego. Chociaż Stephens pracował od lat z Pacinem, mógł przyzwyczać się do stawianych przez niego wymagań. Wyprowadził

„Seawolfa” z doku po czterech dniach, mimo że powinno to zająć trzy tygodnie. Potem zrobił to samo. klasy USS „Pirania”, kiedy trzeba było go uzbroić w pociski wirowe Bravo. Jednak doprowadzanie reaktora do stanu krytycznego podczas rozruchu to już gruba przesada. Sytuacja może się wymknąć spod kontroli.

Zdarzyło się to już rosyjskiemu okrętowi we Władywostoku, który uruchomiono w ten sposób po wymianie rdzenia reaktora. Gdyby Rosjanie nie pokryli kadłuba podwójną warstwą izolacyjną, trzeba by było ewakuować całe miasto.

Pacino spojrział na Stephensa błagalnie.

- Emmitt, tylko ty jeden możesz to zrobić. PEOA to twoje dziecko, stworzyłeś go własnymi rękami. Nie może stać tu nieprzydatny w takiej chwili. Jeśli odwlecziemy uruchomienie PEOA, Czerwoni umocnią swoje panowanie na Morzu Wschodniochińskim. Uruchom go, proszę.

Emmitt Stephens wstał, wiedząc, że Pacino znów stosuje swoje stare sztuczki. Już nieraz pobudzał go w ten sposób do jeszcze wydajniejszej pracy, do zrobienia czegoś przekraczającego ludzkie możliwości.

- Tak jest, sir - uśmiechnął się. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Porządny z ciebie człowiek. Zobaczymy się na nabrzeżu.

Pacino pożegnał go machnięciem ręki i zwrócił się do Colleen O' Shaughnessy, która zaczęła mówić o systemie kontroli bojowej Cyklop, o tym, że system wciąż nie działa tak, jak powinien.

- ...programy sprawdzające nie wykryły prawie nic. Dzisiaj zadecydowaliśmy, żeby skasować kod DynaCorp i wrócić do wcześniejszej wersji.

- Całkiem się już pogubiłem. O co w tym wszystkim chodzi?

- Chodzi o to, admirale, że pański komputer pokładowy miał właśnie przeprowadzoną operację usunięcia płyta mózgu.

- Co dalej?

- Teraz zaprogramuję go na nowo, żeby działał jak należy.

- Pani sama?

- Tak, sama - powiedziała pewnym siebie głosem.

- Ile to zajmie czasu?

- Mniej więcej za miesiąc będzie można wykonać test C-1, tydzień później C-9.1 jest to, jak pan dobrze wie, bardzo optymistyczny harmonogram. Jeśli miałabym być szczerą, powiedziałabym, że zajmie to trzy miesiące.

- Dzisiaj jest poniedziałek, tak? Ma pani czas do czwartku. Wtedy będziemy już na Morzu Wschodniochińskim. Aha, i nie może się pani tak ubierać na morzu.

- Przepraszam, o czym pan mówi?

- PEOA wypływa w morze, a pani będzie na jego pokładzie. Dokończy pani programowanie Cyklopa w drodze. Wypływamy za sześćdziesiąt minut. Spotkamy się na nabrzeżu.

- Nie bardzo rozumiem. Ja... - Colleen straciła pewność siebie.

- Płynie pani na pokładzie „Devilfisha” na Morze Wschodniochińskie i w drodze zajmie się pani systemem kontroli bojowej.

- Ale...

- Joanno, mogłabyś pomóc panie O'Shaughnessy spakować się? Pojedź z nią do jej domu i bądźcie na nabrzeżu o szóstej zero zero. Pully White zajrzał przez drzwi.

- Powinniście to zobaczyć - powiedział, włączając ekran wideo. Reporter stał na zalanym słońcem pasie startowym naprzeciw samolotu prezydenckiego, otoczonego przez dziennikarzy i agentów ochrony.

- ...oświadczenie dotyczące wojny w Białych Chinach i Sił Szybkiego Reagowania. Właśnie w drzwiach samochodu pojawiła się pani prezydent Jaisal Warner, ubrana w ciemny kostium, podkreślający jej szczupłą sylwetkę, machała ręką i uśmiechała się do stojących w dole reporterów. Za nią szedł admirał O'Shaughnessy w galowym mundurze. Colleen O'Shaughnessy usiadła za Pacinem przy stole konferencyjnym. Pacino poczuł lekki zapach jej

perfum i obrócił się, żeby na nią spojrzeć.

Warner weszła na podium, twarz miała poważną i pełną zdecydowania.

- W trybie natychmiastowym wyznaczam admirała Michaela Pacino głównodowodzącym Sił Morskich Pacyfiku USA- powiedziała - admirał Pacino przeprowadzi operację inwazyjną i wyzwoli Białe Chiny. Poszczególni dowódcy będą od tej chwili odpowiadać przed nim i słuchać jego rozkazów. Zgodnie z życzeniem admirała Pacino, armia USA i urzędnicy administracji rządowej nie będą od tej chwili udzielać żadnych informacji na temat naszego konfliktu z Czerwonymi Chinami. - Wśród reporterów rozległ się szmer przyciszonych głosów i Warner podniosła rękę. - Panie i panowie, proszę o uwagę, to nie wszystko. Po wnikliwym przeanalizowaniu przyczyn Utraty pierwszych Sił Szybkiego Reagowania, nakazuję przedstawicielom prasy opuścić wszystkie obiekty należące do armii USA, w tym także okręty konwoju płynącego na Morze Wschodniochińskie. Każdy samolot, niezależnie od tego, w jakim kraju zarejestrowany, który odważy zbliżyć się do konwoju na odległość półtora tysiąca kilometrów, zostanie przechwycony przez nasze myśliwce i odprowadzony w bezpieczne miejsce. W wypadku niesubordynacji zostanie zestrzelony. - Warner zrobiła efektowną pauzę. - Dziękuję przedstawicielom prasy za współpracę, a wszystkich Amerykanów proszę: módlcie się za żołnierzy Sił Szybkiego Reagowania i za admirała Pacino. To wszystko.

Kiedy Warner odchodziła, za jej plecami wybuchła wściekła wrzawa, wykrzykiwano setki pytań. Paully White wyłączył ekran. Zapadła grobowa, cisza, którą po chwili przerwały telefony dzwoniące w znajdującym się za ścianą sekretariacie.

Colleen O'Shaughnessy spojrzała na niego z uniesionymi ze zdziwienia i brwiami.

- A więc lepiej się pośpiesz, Colleen - powiedział Pacino. Colleen zmarszczyła nosek i wyszła.

- Wiec jednak Warner to zrobiła. - White najwyraźniej był przerażony.

- A co innego miałyby zrobić? Zwolnić mnie i Dicka O'Shaughnessy? I pozwolić, żeby Czerwoni posłali na dno drugi rzut Sił Szybkiego Reagowania?

- Cóż, pewnie zwolni pana, kiedy będzie po wszystkim. Zapłaci pan za to, kiedy dotrą do plaży.

- Paully, jeśli tak się stanie, odejdę z przyjemnością. Martwmy się raczej tym, jak mają dotrzeć do tej plaży, co zrobić, żeby nie podzielili losu pierwszego konwoju.

- Jest pan gotów przyjąć Tanakę?

- Chcę z nim porozmawiać, ale najpierw muszę zamienić kilka słów z Dickiem Livingstonem, a potem z Bruce'em Phillipsem z „Piranii”. I jeszcze musimy się spakować. Idź na PEOA, spotkamy się na pokładzie. I weź ze sobą Tanakę...

- On płynie z nami?

- Tak, więc znajdź mu jakieś ubranie i przydziel mu kajutę. Colleen daj kajutę pierwszego oficera, żeby nie musiała dzielić łazienki z nikim innym oprócz kapitana okrętu.

- Sir, a kto zostanie kapitanem?

- Jeszcze nie wiem. Dlatego właśnie muszę się spotkać z admirałem Livingstonem. A teraz już idź, spotkamy się przy PEOA.

- Może powinien pan zacząć nazywać go jego prawdziwym imieniem?

- Nie wiem, czy potrafię. To takie dziwne.

- Sir - przerwała Joanna.

- Myślałem, że towarzyszysz Colleen.

- Powiedziała, że nie potrzebuje mojej pomocy. Sir, SNN ma dla nas dobre wiadomości.

- W tej chwili jedyne dobre wiadomości to brak wiadomości - mruknął Pacino.

Kiedy jednak ekran się rozjaśnił, ukazał się na nim John Patton, ubrany w pomarańczowy kombinezon służb ratowniczych. Słysząc było głos komentatora:

- ...ocalały z zatopionego okrętu podwodnego USS „Annapolis” kapitan Patton, który nie poszedł na dno razem ze swoim okrętem, został wyciągnięty z morza przez śmigłowiec japońskiej straży przybrzeżnej. Po przybyciu do Yokosuki ani kapitan Patton ani drugi z

ocalałych, do tej pory niezidentyfikowany, nie chcieli nam nic powiedzieć na temat katastrofy. Admirał Pacino, nowo mianowany głównodowodzący sił Pacyfiku, nie wygłosił oświadczenia, nie można się też z nim skontaktować. Tymczasem z Pentagonu dowiedzieliśmy się dzisiaj, że...

Patton wyłączył telewizor.

- Widział pan to, admirale? - spytał White z nutą niedowierzania w głosie.

- Wygląda na to, że PEOA ma już kapitana - powiedział Pacino, z radosnym uśmiechem. - Joanno, połącz się z administracją jednostki w Yokosuce i ściągnij tu Pattona jakimś szybkim odrzutowcem - F-22 albo F-14.

- Mianuje go pan kapitanem „Devilfisha” po tym, jak utracił „Annapolis”?

- Oczywiście, że to robię. Jest teraz pewnie trochę zły na Czerwonych. Posadźmy go w siodło. Na pewno nas nie zawiedzie. A teraz zawołaj admirała Livingstona. Musimy skompletować załogę PEOA - to znaczy „Devilfisha”.

- Tak jest, sir - odpowiedział White.

Nagle Pacino nabrał nadziei, że operacja może się udać.

Ocean Spokojny 300 mil morskich na północny zachód od Oahu Lotniskowiec USS „Douglas MacArthur”, CYN-85

Kontradmirał Gregory Copenflanger siedział wyprostowany przed służącą do wideokonferencji kamerą.

- Tak jest, sir - powiedział po wysłuchaniu rozkazu.

- I jeszcze jedno - dodał admirał Pacino, siedząc w swoim biurze w Pearl Harbor. - Proszę zebrać wszystkich reporterów i odstawić ich do Pearl Harbor. Ich bagaże - walizki, aktówki, kamery, magnetofony, komputery, nawet zapasową bieliznę - załadujcie na osobny samolot. I zanim wprowadzicie ich na pokład, zasłońcie im oczy. Wiem, że to brzmi paranoicznie, ale nie mają prawa nic wiedzieć o szyku, w jakim płyniecie, o nastrojach wśród Żołnierzy, o rozkazach operacyjnych, nic, ani słowa. I proszę się nie obawiać, że to złamie pańską karierę. Proszę zwalić całą winę na mnie. Czy wszystko jasne?

- Tak, panie admirale. Zajmę się tym natychmiast.

- Jeszcze coś, Greg, musisz się liczyć z tym, że spędzisz w punkcie Delta trochę czasu. Chcę, żebyś dotarł tam jak najszybciej, oczywiście płynąc zygzakami, ale nie spodziewaj się, że będziesz mógł płynąć dalej zaraz, kiedy tam dotrzesz. Nie przekroczysz tej linii, dopóki nie usłyszysz ode mnie osobiście, że Morze Wschodniochińskie jest czyste.

- Tak jest, sir.

- Powodzenia, Greg. I uważaj na siebie.

- Nawzajem, admirale. Udanych łowów.

Admirał Copenflanger, głównodowodzący Siłami Szybkiego Reagowania, rozłączył się i spojrzał na swoich podwładnych.

- Zbierzcie wszystkich przedstawicieli prasy w ich pokojach, odbierzcie im cały sprzęt, a potem zasłońcie im oczy. Przygotujcie pięć hawkeyów, niech zabiorą ich z powrotem do Pearl Harbor, a szóstym odeślijcie ich sprzęt. Żadnych obwieszczeń na okręcie, dopóki wszyscy nie odlecą. Potem rozkażcie maksymalnie rozciągnąć szyk, statki transportowe mają być oddalone od siebie nie mniej niż trzy mile morskie, przygotować się do ataku okrętów podwodnych. Jest piąta czterdzieści pięć. Za godzinę nie ma tu już być ani jednego reportera. Jakieś pytania? Bardzo dobrze, panowie. Wykonać.

Gdy wyszli, Copenflanger wstał i przeciągnął się. Może pod dowództwem Pacina sprawy potoczą się lepiej.

Zjednoczone Dowództwo Zachodnich Sił Podwodnych Pearl Harbor, Hawaje

Warner patrzyła na niego z wściekłością. Nie miała takiego wyrazu twarzy nawet wtedy, kiedy wyrzucała go z Ovalnego Gabinetu tuż przed blokadą Japonii.

- Chciałabym jednak wiedzieć, do czego pan zmierza. Słyszałam plotki na temat PEOA.

- Ciekawe, kto rozgłasza takie plotki - odparł Pacino do kamery twardym głosem.

Twarz admirała O'Shaughnessy jak zwykle pozostała nieodgadniona, ale Pacinowi zdawało się, że na mgnienie oka pojawił się na niej lekki uśmiech. Pacino czuł w sobie pewność, której brakowało mu od dawna. W jego głowie rozbrzmiewało jedno słowo: „Devilfish”. Donchez musiał wiedzieć, że to imię okrętu pozwoli mu powrócić do życia.

- Tak jak powiedziałem, Czerwoni nie dowiedzą się niczego od dziennikarzy na temat tej misji. Dlatego pytam o źródło tych plotek, bo może to oznaczać, że mój plan zaczyna działać. Pani prezydent, brak wiadomości może nie wystarczyć. Musimy dostarczać mediom mylące wiadomości, niektóre zupełnie fałszywe, niektóre zawierające ziarno prawdy. Jeśli tylko powstrzyma się pani od udzielania wywiadów na temat tej operacji, nie zaszkodzą jej żadne plotki.

- Więc mam po prostu panu zaufać? - Jaisal Warner nie była zbyt zadowolona z tego. - A za trzy tygodnie zadzwoni pan i powie, że wylądowaliście na plaży?

- Mam nadzieję, pani prezydent.

- Pan jest naczelnym dowódcą, admirale. Dałam panu pełną niezależność i lepiej będzie, jeśli pan zwycięży. Jeśli coś pójdzie źle, uznani pańskie dzisiejsze zachowanie za przejaw niesubordynacji i będzie pan mógł dowodzić tylko na swojej żagłowce w Annapolis.

Gdyby Warner powiedziała mu te słowa jeszcze parę miesięcy temu, na pewno bardzo by się zmartwił. Teraz zmrużył oczy, spojrzał na nią tak, jak zwykle patrzył na ludzi O'Shaughnessy, i zapytał:

- A co dostanę, jeśli wygram?

Warner próbowała zachować powagę, ale nie udało jej się i obdarzyła go uśmiechem, dzięki któremu w czasie swojej kampanii wyborczej wielokrotnie trafiła na pierwsze strony gazet.

- Przygotuję dla pana coś, co się panu na pewno spodoba, admirale.

- Chcę wiedzieć, co to będzie - powiedział Pacino, czując, że musi ją przekonać, że operacja się powiedzie.

- Teraz ma pan wojnę do wygrania, admirale.

- Nie żegnamy się na długo, pani prezydent. Proszę pamiętać, nie wolno wierzyć plotkom. - Rozłączył się i odwrócił twarz w stronę Paully'ego White'a, który patrzył na niego ze zdziwieniem.

- O co chodziło z tą dezinformacją, szefie? Przecież nie rozpowszechnialiśmy na temat PEOA żadnych plotek.

- Chciałem ją zmylić. Jeśli ona się dowie, że uruchomiliśmy PEOA, to dowiedzą się o tym media, a chwilę potem nasi czerwoni przyjaciele. ;

- Więc jak pan chce stąd wyprowadzić PEOA?

- Ustaliliśmy to z Emmitem Stephensem już parę miesięcy temu. Emmitt skonstruował coś, co pozwoli nam wyprowadzić PEOA w morze bez niczyjej wiedzy. Co teraz?

- Przenieśmy się na pokład PEOA. Musimy to zrobić tak, żeby uniknąć reporterów. Zawołaj Joannę, ona umie odgrywać takie przedstawienia.

Pół godziny potem byli na nabrzeżu, po południowej stronie Ford Island, gdzie Emmitt Stephens zacumował PEOA. Kiedy Paully White go zobaczył, wytrzeszczył oczy, a potem gwizdnął z podziwem.

Ocean Spokojny
850 mil morskich na północny zachód od Oahu
USS „Pirania”, SSN-23

Bruce Phillips miał najgorszego kaca w życiu. Prawdę mówiąc, wciąż jeszcze był pijany. Leżał, cierpiąc straszliwie, w swojej kapitańskiej kajucie, przykryty narzutą, w majtkach i podkoszulce. Klimatyzację włączył na maksymalne chłodzenie. Był wczesny, poniedziałkowy poranek. Okręt przemieszczał się ze strefy czasowej Hawajów do strefy czasowej Morza Wschodniochińskiego, o osiemnaście godzin do przodu, zegarki na okręcie przestawione zostały tuż po północy. Znaczyło to, że mógł spędzić w łóżku jeszcze wiele godzin i spróbować odespać wypity alkohol.

Wszystko zaczęło się w sobotni wieczór, kiedy Abby O'Neal powiedziała mu, że między nimi wszystko skończone. Przyleciała do Honolulu na tygodniowe wakacje z Waszyngtonu, gdzie była szefem przedsiębiorstwa Donnelly & Houston, zajmującego się morskim doradztwem prawnym. Mieli się pobrać w ciągu najbliższego roku, ale „Pirania”, okręt Phillipsa, został przeniesiony na stałe z Norfolk do Pearl Harbor. Phillips nie przejął się tym zbytnio, ponieważ wiedział, że za rok będzie musiał oddać dowództwo „Piranii” komuś innemu. Musieli jakoś wytrzymać ten rok przymusowej rozłąki.

Dalsza służba w marynarce niezbyt mu się uśmiechała. Nic nie mogło mu zastąpić dowodzenia atomowym okrętem podwodnym szybkiego ataku klasy Seawolf. Zamierzał złożyć rezygnację i rozpocząć nowe życie. Abby знаła jego plany, i w pełni zgadzała się na tymczasową separację.

Kiedy jednak tygodnie rozłąki zamieniły się w miesiące, zaczęła dzwonić do niego coraz rzadziej. Coraz częściej wspominała swojego współpracownika, Alberta Donnelly'ego, syna założyciela jej firmy, który ją zatrudnił, a potem tak wspomagał, że jej kariera rozwinęła się ponad najśmielsze marzenia. Phillips dowiedział się, że Bert rok temu przeprowadził rozwód, stając się jedną z najbardziej pożądanym partii w Waszyngtonie. Phillips zlekceważył to, że Abby zaczęła go traktować inaczej. Zaprosił ją na tydzień na Hawaje, żeby mogli trochę pobyć razem, żeby mogła trochę opalić się przed Świętem Dziękczynienia.

Wyszedł po nią na lotnisko ubrany w swój najlepszy tropikalny mundur, niosąc dwanaście czerwonych róż. Kiedy podeszła bliżej, zobaczył, że coś jest nie w porządku.

Pomimo świeżego makijażu widać było, że płakała. Nie patrzyła mu w oczy. Zmieniła fryzurę. Zamiast prostych, czarnych, błyszczących włosów miała teraz drobniutkie, rude, o wiele krótsze loczki. Nie miała też już brązowych oczu, za pomocą szkieł kontaktowych o dziwnym połysku zmieniła ich kolor na ciemnoniebieski.

- Abby, co to wszystko ma znaczyć? - spytał zmienionym głosem.

- Przyjechałam, żeby ci to powiedzieć osobiście, Bruce. To koniec -ściągnęła z palca i podała mu pierścionek zaręczynowy. - Kocham cię, pokochałam cię od pierwszego wejrzenia. Ale nie mogę znieść separacji. Jest jeszcze coś więcej. Kochasz ten okręt dużo bardziej niż mnie. Miałam nadzieję, że opuścisz „Piranię”, ale ty wyblagałeś u admirała, żeby zostawił cię tu jeszcze na trzy lata. Cóż, Bruce, chcesz ją mieć, to ją miej. A ja wracam najbliższym lotem i nie chcę już więcej z tobą rozmawiać. Żegnaj, Bruce.

Stał jak zamurowany. Milcząc, patrzył, jak odeszła i zniknęła w damskiej toalecie. Przez dłuższy czas stał z otwartymi ustami, próbując zrozumieć, co się stało. A potem pobiegł do damskiej toalety. Walił w kolejne drzwi, ale za każdym razem była tam jakaś inna kobieta. W końcu pojawili się strażnicy i wyrzucili go na ulicę.

Poszedł do baru na Ward Avenue i przez resztę wieczoru pił whisky, szklanka za szklanką. W

końcu wyrzucili go stamtąd, bo był tak pijany, że nie mógł siedzieć. Kierowcy taksówki powiedział nie wiadomo czemu, żeby go zawiózł na „Piranię”, a nie do jego kwatery, i padł nieprzytomny na nabrzeżu. Wartownicy wnieśli go na pokład i położyli do łóżka.

Od tej chwili wszystko było jednym koszmarem. Na przemian spał, wymiotował, siedział w kącie, kiedy steward zmieniał mu materac i pościel, potem znowu spał i znowu wymiotował. Został obudzony przez oficera dyżurnego i pierwszego oficera. Powiedzieli, że okręt otrzymał rozkaz natychmiastowego wypłynięcia w morze. Phillips odesłał ich, bo nic go to wszystko nie obchodziło. Był zły na okręt, przez który stracił jedyną osobę, na którą jakiej mu naprawdę zależało - Abigail Patricię O'Neal. Zwinął się w kłębek i zasnął.

Gdyby to od niego zależało, mógłby spać tygodniami, ale tak strasznie zaschło mu w ustach, że jednak musiał wstać. Z bolącą głową podszedł do znajdującej się w kącie umywalki. Oparł się o nią jedną ręką, a drugą zapalił światło. W lustrze ukazała się ziemista, blada twarz, której nie miał ochoty dziś oglądać.

Po wytrzeźwieniu zamierzał złożyć dymisję. Teraz jednak okręt był na morzu, a jego zastępca, komandor-porucznik Królewskiej Marynarki, służący na „Piranii” w ramach amerykańsko-brytyjskiej wymiany, zgodnie z regulaminem Marynarki Wojennej USA mógł przejąć dowodzenie jedynie w wypadku, gdyby Phillips okazał się fizycznie lub umysłowo niezdolny do pełnienia funkcji dowódcy.

Bruce Phillips miał pociągłą twarz o mocnych szczękach, z płaskim, boksterskim nosem, w tej chwili pokrytą parodniowym zarostem. Zwykle strzygł się na zapalkę. Abby mówiła, że miał ładny kształt głowy. Phillips był niski, ale muskularny, szeroki w barach i wąski w pasie. Ochlapał wodą twarz, zastanawiając się, czy jest sens się golić. Uznał, że nie ma sensu, i zakończył ablucje. Poszedł do znajdującej się między jego kajutą a kajutą Rogera Whameya kabiny prysznic. Gorący strumień wody przywrócił go z powrotem do życia. Do pustego życia.

Przez odgłos leżącej się wody usłyszał Whameya, mówiącego charakterystycznym południowolondyńskim akcentem:

- Kapitanie, mamy pilne wezwanie do wynurzenia się na głębokość peryskopową. Wygląda na to, że admirał chce trochę z nami pogadać. Kapitanie? Wszystko w porządku?

- W porządku, Roger - powiedział Phillips, zamykając oczy. - Ogołę się, ubiorę i spotkamy się w mojej kajucie za trzy minuty.

- Tak jest, sir. Ustawię wideo.

Ford Island

Baza Marynarki Wojennej USA w Pearl Harbor, Nabrzeże 5

- Nie wierzę własnym oczom - powiedział kapitan Paul White, spoglądając na trzystumetrowej długości barkę do przewożenia śmieci. Odpadki wypełniały ją do wysokości dwunastu metrów na całej długości. Barka połączona była z oceanicznym holownikiem za pomocą paru grubych lin. - To wygląda jak śmieci, śmierdzi jak śmieci, nawet mewy latają nad tym jak nad śmieciami.

- To są śmieci - rzekł Pacino. - Powiedziałem ci, że mogę stąd wyprowadzić PEOA na oczach niczego nie podejrzewających reporterów.

- A więc pan powiedziec, że to jest kamuflaż okrętu podwodnego?

- Weź bagaże i chodź za mną - powiedział Pacino, wchodząc na górną krawędź burty olbrzymiej barki. W głębi śmieci znajdowały się ukryte drzwi ze sklejki. Pacino otworzył je, zniknął w środku i krzyknął do Paully'ego, żeby szedł za nim. Tunel, zbudowany ze sklejki i arkuszy plastyku, prowadzący głęboko w stos nieczystości, oświetlony był kulistymi lampami i kończył się drewnianą budą nad okrągłym włazem. Stojący tam wartownik zsalutował Pacinowi, po czym odwrócił się i nacisnął wystający ze sklejki przycisk w kształcie grzyba. Pokrywa włazu, poruszana hydraulicznym mechanizmem, uniosła się. Ze środka sączyło się ciepłe, żółte światło.

- Schodzimy! - krzyknął Pacino, wrzucił swoje torby, a potem sam zsunął się do wnętrza okrętu.
- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział White.
-

950 kilometrów na wschód od Tokio 14 kilometrów nad powierzchnią Pacyfiku

- Czy nie powiedziano, o co w tym wszystkim chodzi? - spytał kapitan John Patton głosem zniekształconym przez maskę tlenową i obwody interkomu.
- Nie, sir - odpowiedział pilot z przedniego siedzenia myśliwca naddźwiękowego F-22. - Po prostu kazano mi jak najszybciej dowieźć pana do Pearl Harbor.
- Kto wydał ten rozkaz?
- Szef lotnictwa.
- Z czyjego polecenia?
- Z polecenia głównodowodzącego Sił Morskich Pacyfiku, który dowodzi również siłami wsparcia, płynącymi na odsiecz Białym Chinom.
- Może to zabrzmiało głupio, ale nie było mnie przez pewien czas. Siedziałem w pomieszczeniu, bez telewizora i nie mam pojęcia, co się teraz dzieje. Kto jest tym głównodowodzącym?
- Powinien pan go znać, sir. To jeden z podwodniaków, Pacino.
- Pacino został głównodowodzącym?
- Tak jest, sir.

Pacino chce go widzieć tak pilnie, że potrzebny był do tego naddźwiękowy myśliwiec - Patton poczuł się, jakby tonął. Jak wytłumaczy mu utratę

Pacino i White zajęli kajutę VIP-ów, znajdującą się koło kajuty pierwszego oficera.

Pomieszczenie to było bardzo funkcjonalne. Przypominało trochę wnętrze wagonu sypialnego z dwoma łózkami. Po przeciwnej stronie stało podwójne biurko. Środek pokoju zajmował stół, otoczony sześcioma skórzanymi fotelami, a na ścianie naprzeciw drzwi wejściowych znajdowała się konsola wideokonferencyjna, teraz ustawiona na odbiór SNN z wyłączonym dźwiękiem.

Pacino ustawił jeden ze skórzanych foteli naprzeciw konsoli wideokonferencyjnej, papiery, podręczny komputer z mapami morskimi i laptopa położył na stole przed sobą. Studiował mapy, dyktował coś po cichu do laptopa, pisał rozkazy dla podległej mu floty. Czasem spoglądał na ekran wideo. Pauily White chodził po pokoju, rozmawiał przez telefon, przyniósł colę i ciastka. Przez cały ten czas Pacino wciąż pracował. Rozmyślał o problemach taktycznych, do znudzenia powtarzał te same rzeczy, żeby nie popełniać błędów.

W końcu dotarł do niego głos Paully'ego White'a, który musiał krzyknąć, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- O co chodzi, Paully?
- Emmitt Stephens, sir.
- Niech wejdzie.

Pacino spojrział na zegarek. Była szósta zero zero czasu lokalnego. Powinien już wypłynąć, ale skompletowanie załogi w tak krótkim czasie stanowiło nie lada problem. A chciał jak najszybciej wyruszyć w drogę, by dotrzeć do obszaru operacyjnego w tyra samym czasie, co „Pirania” i uchwycić w szczypce okręty Czerwonych.

Pacino wstał, żeby przywitać się ze Stephensem, który wyglądał na całkiem wykończonego.

- Chciałem to panu przekazać osobiście, admirale - wysapał. - Reaktor jest już w fazie krytycznej. Mniej więcej za godzinę zaczniemy przysyłać parę do maszynowni.

- Świetnie, Emmitt - Pacino poklepał go po ramieniu. - Ciężko było?
- Cholernie ciężko, sir.
- Teraz uruchomimy silniki barki. Niech pracują głośno na dużych obrotach. Potem włożymy silnik dieslowski okrętu i odpłyniemy od nabrzeża. Rozruch reaktora dokończymy, korzystając z diesla, już na Pacyfiku.
Pacino spodziewał się, że Stephens zaprotestuje przeciwko jawnemu łamaniu zwykłych procedur, ale on tylko pokiwał głową i powtórzył instrukcje.
- Aha, Emmitt, czy wspominałem, że płyniesz z nami jako główny mechanik?
- Zapomniał mi pan o tym powiedzieć, admirale.
- Mam nadzieję, że ma pan chociaż bieliznę na zmianę.
- Jestem już spakowany.
- No to rozgrzewać diesla - powiedział Pacino, śmiejąc się. Kiedy drzwi kajuty zamknęły się za Stephensem, Pacino zorientował się, że Paully patrzy na niego z dziwnym wyrazem twarzy.
- O co chodzi?
- Bawi to pana, prawda?
Zabrzmiało to jak oskarżenie, ale Pacino naprawdę czuł, że żyje. Rozkazy same płynęły z jego ust. Słuchano go jak dyrygenta orkiestry. Paully miał rację, on to po prostu uwielbiał. Po raz pierwszy od wielu lat, od czasu zatonięcia „Seawolfa”, nie czuł w sobie dręczącej pustki. Teraz dowodził nie jednym okrętem podwodnym, lecz całą flotą. Od każdej jego decyzji zależało życie pół miliona Amerykanów i miliarda Chińczyków. Dla nich musiał skończyć ze swoją żalobą i zacząć dalej żyć, nawet jeśli miało to oznaczać konieczność pożegnania się z pamięcią o Eileen. Przez jedno mgnienie oka poczuł jej obecność, jej zachętę.
- Uwielbiam to, Paully - spojrzał na White'a, mrużąc oczy. - Uwielbiam każdą taką sekundę. A teraz do rzeczy, gdzie jest Tanaka? Chcę z nim porozmawiać.
- Joanna - Paully wybiegł na korytarz. Po chwili wrócił z dziwnym wyrazem twarzy, trzymając w rękach grubą kopertę. - Joanna powiedziała, że już sobie poszedł. Zostawił to.
- Zawołaj ją tutaj - powiedział Pacino, czując, jak zalewa go fala niepokoju. Otworzył kopertę i wyjął z niej list, do którego dołączone były dyskietki komputerowe.
Weszła Joanna.
- Co z Tanaka? - zapytał Pacino.
- Dał mi tę kopertę na nabrzeżu i powiedział, że musi już iść.
- Wyjaśniłaś mu, że to nie jest zwykła barka ze śmieciami?
- Tak jest, sir.
- Piśże, że nie może z nami płynąć - powiedział Pacino.

Tanaka napisał, że nie może z nimi wypłynąć i posłać na dno flotę własnych okrętów podwodnych, jeśli nawet wpadły w ręce wroga. Ostatnie zdanie wyjaśniało wszystko: wszystkie okręty klasy Wschodzące Słońce zbudował z myślą o swoim synu, który zginął w czasie blokady od jednego z wirowych pocisków „Piranii”. Posyłając na dno Wschodzące Słońca, jeszcze raz uśmierciłby swojego syna. Pacino złożył list i wsunął go do kieszeni na piersi. Kiedy spojrzał na dyskietki, dostrzegł przyklejoną do nich kartkę. Jej treść była bardziej oficjalna:

Admirale Pacino-san, oto wszystkie dane, jakie udało mi się zebrać na temat okrętów/ klasy Wschodzące Słońce. Niestety ich sygnatura dźwiękowa pozostaje tajemnicą nawet dla mnie, ponieważ miała zostać zbadana w czasie ostatnich manewrów. Jednak dzięki tym danym będzie pan przynajmniej wiedział, z czym pan walczy. Powodzenia, Admirale. Pozostaję do usług.

Akagi Tanaka

- Paully, wprowadź te dane do komputera. Trzeba będzie wyznaczyć jednego z oficerów, żeby to dokładnie przeanalizował. - Pacino spojrzał na zegarek. - Czemu tak długo trwa

rozruch diesla?

- Emmitt poradzi sobie z tym. Poza tym, czy nie czekamy na kapitana Pattona?

- Nie, do diabła. Wsiądzie na szybki krążownik i dogoni nas.

- Helikopter nie byłby lepszy? - spytał Pully. - Mógłby wsiąść na sea kinga od razu na lotnisku w Hickham i być tu w pół godziny.

- Nie. Nie zapominaj, że wieziemy tylko ładunek śmieci. Człowiek spuszcający się z helikoptera na barkę ze śmieciami na pewno zwróciłby uwagę reporterów.

- Wciąż o tym zapominam.

Chwilę później awaryjny, dieslowski silnik okrętu zaczął pracować, strasznie hałasując. Słysząc go było wyraźnie, mimo że znajdował się o trzydzieści metrów od ich kabiny, oddzielony dwiema grodziami.

- Wolałbym wdychać spaliny niż smród tych śmieci - powiedział Pacino. - Zobaczmy, co słyszą u Bruce'a Phillipsa.

- Wezwą „Piranię” do wynurzenia peryskopowego.

Przeglądając akta osobowe, które admirał Livingston przeniósł do pamięci jego laptopa, Pacino układał listę oficerów przysłej załogi PEOA. Znalazł się na niej komandor-porucznik Christopher Porter, absolwent akademii. Najlepszy z fizyki jądrowej i zajęć praktycznych na okrętach, nurek, spadochroniarz. Obsługiwał sonar na „Barakudzie”, kiedy Pacino był na jej pokładzie w czasie blokady Japonii. Teraz służył na ladzie w San Diego i został aresztowany w Honolulu pół godziny temu. W wyniku jakiejś awantury o dziewczynę. Był dobrym oficerem i świetnie znał się na sonarze. Pacino podjął decyzję - Porter zostanie nawigatorem i oficerem operacyjnym. Będzie miał także za zadanie przestudiowanie planów Wschodzących Słońc i znalezienie ich słabych punktów.

Następny na liście, komandor Walt Homick, były główny mechanik na „Piranii” Bruce'a Phillipsa, ostatnio uczył w szkole wykorzystywania energii atomowej. W sobotę obudzono go o czwartej rano i przywieziono na PEOA. Brał udział w wodowaniu okrętu i w umieszczeniu go pod barką ze śmieciami. Homick czekał teraz w kwaterach starszych oficerów wraz z innymi, przekonany, że został porwany tylko po to, by pomóc w wyprowadzeniu z doku nowego okrętu podwodnego, który nigdy jeszcze nie był w morzu. Pacino postanowił, że zostanie on pierwszym oficerem.

Głównym mechanikiem został Emmitt Stephens. W ten sposób na liście kadry chwilowej okrętu znalazło się dwunastu oficerów. Pacino zadzwonił do kwatery starszych oficerów.

- Proszę przysłać komandora Hornicka do kajuty VIP-ów - powiedział. Chwilę potem wszedł Pully.

- „Pirania” zgłosiła się do wideokonferencji, admirale. Jest pan gotów?

Nie, nie był gotów, ale postanowił improwizować. W końcu na tym polega właśnie dowodzenie flotą - należy tak improwizować, żeby wyglądało to na starannie zaplanowane posunięcia.

Ubrany w świeży kombinezon, siedząc przy stole konferencyjnym w kajucie wysprzątanej przez stewarda w czasie, kiedy brał prysznic, z kubkiem parującej kawy w ręku, poczuł się znacznie, znacznie lepiej.

Kapitan Bruce Phillips po raz kolejny przechylił do ust kubek z nadrukowanym emblematem „Piranii”, przedstawiającym pokrytą grubymi łuskami, szczerzącą ostre zęby rybę na tle przepływającego w oddali okrętu podwodnego klasy Seawolf. U góry widniał napis USS PIRANIA SSN-23, a pod nim motto okrętu: GŁĘBOKO-CICHO-SZYBKO-ZABÓJCZO. Do sztywnego kołnierza kombinezonu Phillipsa przypięte były dwa srebrne, kapitańskie orzełki. Na piersi, nad lewą kieszenią jego kombinezonu, błyszczał w świetle włączonych na czas

wideokonferencji reflektorów, złoty, podwodniacki delfin.

Obok Phillipsa siedział Roger Whatney. Jego brytyjski pierwszy oficer miał na sobie oliwkowoszary sweter z miękkimi naramiennikami. Brytyjczyk odznaczał się ironicznym poczuciem humoru i ostrym jak brzytwa intelektem.

- Dzień dobry, admirale - powiedział Phillips.

- Miło cię widzieć, Bruce - odpowiedział Pacino. - Pana również, komandorze Whatney. Wiem, że chcecie jak najszybciej dotrzeć do obszaru operacyjnego, więc od razu przejdę do rzeczy. Najpierw mała lekcja geografii. Na lewej stronie ekranu powinna się teraz ukazać mapa Morza Wschodniochińskiego. Na wschodzie widać wschodnią granicę Morza Wschodniochińskiego, łańcuch Ryukyu. Na pomoc od niego leży wyspa Yakushima, a za nią Kagoshima. Od południowych krańców tych wysp, na południe do P wyspy Naze, rozciąga się interesujący nas przesmyk. Na wschód od wyspy i Yakushima znajduje się Punkt Delta, leżący na łuku drogi morskiej, prowadzącej z Honolulu do Szanghaju. Setki mil morskich na południowy zachód od niego leży Punkt Echo, do którego zmierzamy. Pięćdziesiąt mil morskich na południe od niego znajduje się Punkt Fokstrot. Konwój zmierza zakosami do Punktu Delta, leżącego na pomocnym końcu łańcucha wysp. Będzie tam krążyć, dopóki Morze Wschodniochińskie nie zostanie oczyszczone. Kiedy oczyścimy im drogę, ruszą prosto na plażę Szanghaju. A teraz przejdźmy do tego, jak mamy to zrobić. Godzina zero wypada o północy z piątku na sobotę czasu wschodniochińskiego, to jest od teraz za cztery dni. Proponuję, żebyście wpłynęli na obszar operacyjny przez Punkt Echo, od pomocnego zachodu. Droga będzie wiodła południowym skrajem cieśniny Naze-Yakushima, na południe od miejsca, gdzie zatonięły pierwsze Siły Szybkiego Reagowania. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę z tego, jak groźni mogą być Czerwoni. Mamy podstawy sądzić, że dysponują oni sześcioma japońskimi okrętami klasy Wschodzące Słońce, które w jakiś sposób porwali na morzu, prawdopodobnie za pomocą batyskafów. To znaczy, że koniecznie macie się zabezpieczyć, Bruce. Załóżcie łańcuchy na górne i dolne włązy ratunkowe i zamknijcie je od środka. Tylko tego by brakowało, żeby i was porwali. W każdym razie wchodzić przez Punkt Echo i szukacie Wschodzących Słońc. 688-mki zbliżają się od południa, na obszar operacyjny wchodzić bada przez Punkt Fokstrot. Mamy podstawy sądzić, że właśnie one będą w największym niebezpieczeństwie. Dlatego coś tu wymyśliłem.

Pacino mówił przez następny kwadrans, a potem spytał, czy mają jakieś pytania. Ponieważ nie mieli żadnych, powiedział, że przesłał im już oficjalne rozkazy wraz z danymi, i że wkrótce, kiedy PEOA zbliży się do obszaru operacyjnego, połączą się ponownie.

Powiedziawszy to, rozłączył się, nie bawiąc się w grzeczności.

Phillips podniósł telefon i rozkazał, by okręt wrócił na poprzednią głębokość i płynął wcześniej ustalonym kursem. Potem spojrzął z ukosa na Whatneya.

- Roger, co to ma do diabła znaczyć? Morze Wschodniochińskie? Wschodzące Słońca? Zamykanie od środka włączów ratunkowych? I ten cholerny PEOA?

- Wiele spraw pana ominęło, kapitanie. Pozwoliłem sobie wykonać dla pana kopie ostatnich wiadomości i przesłanych przez dowództwo danych. Nie było z panem najlepiej, sir. Może jeszcze powinien pan wrócić na jakiś czas do łóżka.

- Przejrzę to w ciągu godziny - powiedział Phillips, szczerze zaintrygowany i zadowolony z tego, że będzie miał do roboty coś, co pozwoli mu nie myśleć o Abby. - Potem znowu się tu spotkamy i popracujemy nad tym razem.

Whatney wyszedł i Phillips zabrał się do roboty. Na ścianie tykał staromodny mosiężny chronometr. Jego dłuższa wskazówka zdążyła odmierzyć zaledwie dwadzieścia minut, kiedy Phillips zorientował się, że przestała go już boleć głowa.

- Sir, dopływ energii z nabrzeża został już odcięty. Silnik diesla zaspokaja wszystkie nasze potrzeby - powiedział Walt Homick. Z czapką trzymaną w obu dłoniach wyglądał jak nieśmiały petent.

- Cała załoga na pokładzie? - spytał Pacino.

- Nie, sir, wciąż nie ma kapitana i przedstawicielki DynaCorp.
 - O'Shaughnessy?
 - Tak jest, sir.
 - Co pan zamierza z tym zrobić?
 - Chcieliśmy wysłać po nią samochód, ale...
 - Nie musicie już się o mnie martwić - dobiegł z korytarza mocny kobiecy głos i po chwili w drzwiach pojawiła się Colleen O'Shaughnessy. Miała na sobie świetnie dopasowany kombinezon okrętowy z amerykańską flagą, emblematem okrętu i swoim nazwiskiem, wyszytym na jednej z kieszeni. Pasek kombinezonu podkreślał jej szczupłą talię, krągłość piersi i bioder. Jej ciemne, lśniące włosy związane były w koński ogon, rękawy miała podwinięte tak, że widać było duży, męski zegarek na lewym przegubie. Pacino czuł, że gapi się na nią jak sroka w kość, ale nic nie mógł na to poradzić. Nawet w takim kombinezonie Colleen wyglądała oszałamiająco. Do tego Stopnia, że Pacino zapomniał, co miał jej powiedzieć. Na szczęście Pully przerwał to niezręczne milczenie:
 - A więc brakuje tylko kapitana Pattona, sądzę więc, że możemy odbijać od brzegu, admirale.
 - Tak, ma pan rację - powiedział Pacino, odzyskawszy głos.
 - Colleen, przydzielono ci już kajutę?
 - Tak, admirale. Zajęłam kajutę pierwszego oficera. Gdzie pan go umieści?
 - Wszyscy, oprócz kapitana, zajęli już swoje kajuty - powiedział Pacino. - Załoga jest niepełna, więc nie brakuje miejsca.
 - Będę na dole, w pomieszczeniu komputera - powiedziała O'Shaughnessy, rozglądając się dookoła. - Przytulny kącik. Nie mam czasu do stracenia. Ale chociaż jesteśmy na barce ze śmieciami, nie zapomnijcie zawołać mnie na kolację.
 Odwróciła się na piętach i zniknęła za drzwiami. Kiedy wyszła, Pacino chyba po raz dziesiąty tego dnia, poczuł na sobie uważne spojrzenie Pully'ego White'a.
 - No no, kto by pomyślał? - wyjąkał White.
 - O co ci chodzi?
 - O to, w jaki sposób patrzyliście na siebie. Jak para szesnastolatków.
 - Co? O czym ty, do diabła, mówisz?
 - O niczym, sir - powiedział White, westchnąwszy głęboko. - Idę na mostek. Myślę, że Hornick może potrzebować pomocy przy wyprowadzaniu tej krypy w morze. Zbyt mało polega na książkach.
 - Dobry pomysł - powiedział Pacino, na powrót pochylając się nad morskimi mapami.
 - Wie pan co, admirale, może już czas, żeby umówił się pan z jakąś kobietą.
 - Pully!
 - Przepraszam.
 Drzwi się zamknęły i Pacino został sam, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

**Morze Wschodniochińskie
 50 kilometrów na zachód od cieśniny Naze-Yakushima
 SS-403 „Arktyczny Sztorm”**

Admirał Chu Hua-Feng siedział przy stole w mesie oficerskiej i razem ze swoimi oficerami oglądał telewizję. Dym z paru popielniczek unosił się aż do sufitu.
 - Od chwili ogłoszenia swojego oświadczenia, prezydent nie udzieliła żadnych dalszych wyjaśnień ani komentarzy. Teraz połączymy się z naszą korespondentką z Pentagonu, Dianę Shaw, która ma dla nas najnowsze doniesienia z Departamentu Wojny. Słuchamy cię Dianę.
 - Departament Wojny musiał wydać w tej sprawie niezwykle wyraźne i stanowcze rozkazy, wszystkim wojskowym i pracownikom cywilnym, ponieważ nie można uzyskać od nikogo żadnego oświadczenia. Widzieliśmy tu wiele ważnych osób, ale możemy tylko patrzeć, jak

wchodzą i wychodzą z Białego Domu. Nie powiedzieli nam ani jednego słowa. Oddaję ci głos, Rolandzie. Dla Wiadomości SNN mówiła Dianę Shaw.

- Dziękuję, Dianę. W naszym centrum w Denver w dalszym ciągu gościimy korespondentkę wojenną SNN Annette Spalding, która przebywała na pokładzie USS „Douglas MacArthur” od momentu, kiedy wypłynął z Hawajów. Annette, w jaki sposób usunięto dziennikarzy z pokładów okrętów Sił Szybkiego Reagowania?

- Potraktowano nas niezwykle szorstko, wręcz wrogo. Wyprowadzono na pokład z przepaskami na oczach, skonfiskowano nam kamery i cały sprzęt. Potem wepchnięto nas do samolotu, w którym wszystkie okna były zasłonięte. W tym...

Chu wyłączył ekran wideofonu.

- Tak jest od wielu godzin, panowie - powiedział. - Panie Pierwszy, co pan o tym sądzi?

- Sądzę, że właśnie wyszło nasze najlepsze, dotychczasowe źródło informacji.

- Mamy zdjęcia z satelitów szpiegowskich. Z ich pomocą z łatwością będziemy mogli śledzić drogę drugiego konwoju.

- Zdjęcia nie wyrażają intencji Amerykanów. Dawniej też mieliśmy zdjęcia. Przy tym utajnieniu kto wie, co oni tam szykują? I nie chodzi mi tylko o ich główne siły uderzeniowe, panie admirale. Nie wiemy, co szykują u siebie w kraju. U nich jest inaczej niż u nas, w wiadomościach nie ma tyle propagandy. Wiem, że nie powinienem tego mówić, ale jeśli chce się poznać prawdę, trzeba oglądać SNN.

- Nie ma za co przepraszać, panie Pierwszy. Zgadzam się z panem. Przynajmniej mamy trochę czasu, zanim konwój tu dotrze.

Chu zapatrzył się w wyłączony ekran, zastanawiając się, kiedy konwój dotrze do Morza Wschodniochińskiego i jaką drogę wybierze. W jakim szyku przyplynie? A jeśli przyplyną od południa? Jak długo uda mu się ich nie dopuszczać do wybrzeży Chin? Nie mieli już zbyt dużo torped - jeśli dopadną któryś z jego okrętów, jak długo będzie mógł walczyć?

Po raz pierwszy w czasie tej operacji poczuł zimne dotknięcie lęku. Wszedł z mesy i powoli wspiął się po schodach prowadzących do kajuty, po drodze po raz kolejny przypominając sobie sen, w którym rozmawiał z ojcem. Rzucił się na łóżko, żeby się zdrzemnąć i przemyśleć aktualną sytuację.

Baza Lotnicza Hickam Oahu, Hawaje

Zdawało się, że pas startowy zbliża się bardzo powoli. Niemal nieodczuwalnie koła lądującego samolotu dotknęły betonowej nawierzchni. Pilot włączył wsteczny ciąg silnika i zamazany do tej pory obraz nawierzchni lądowiska wyostrzył się. Widać już było strukturę betonu. Pilot zjechał z pasa i skierował samolot w stronę wojskowych hangarów.

Patton spojrział na zegarek - było parę minut po ósmej rano. Czuł się tak, jakby leciał całą noc. Wewnątrz hangaru uchyliła się owiewka kabiny i wilgotne, hawajskie powietrze wypełniło kokpit. Patton zszedł na ziemię i rozciągnął obolałe mięśnie. Usłyszawszy dźwięk lądującego odrzutowca, wyrzwał na zewnątrz i zobaczył następny, należący do Marynarki F-22, zjeżdżający z pasa i kierujący się w ich stronę. Pod nowo przybyły odrzutowiec podstawiono drabinkę. Zszedł po niej jakiś mężczyzna. Kiedy zdjął hełm z głowy, Patton osłupiał. To był Byron DeMeers!

- Co ty tutaj robisz? - spytał Patton.

- Co obaj tutaj robimy?

- Panowie, czeka służbowy samochód - powiedział pilot Pattona.

Wkrótce mknęli po pustej drodze. Minęli parę punktów kontrolnych i wjechali na nabrzeże, gdzie samochód się zatrzymał.

Czekała tam kobieta w cywilu, która poprowadziła ich do stojącej przy nabrzeżu łodzi.

- Dokąd płyniemy? - zapytał Patton. Kobieta spojrzała na niego bez słowa i weszła na pokład

łodzi. Nie pozostawało im nic innego, jak zrobić to samo.

Łódź przepłynęła wody East Lock, minęła Ford Island i głównym kanałem wydostała się na Pacyfik. Patton spojrział na DeMeersa pytająco, on tylko wzruszył ramionami.

Podróż tą łodzią zdawała się nie mieć końca, chociaż trwała prawdopodobnie nie więcej niż godziną. Kiedy sternik w końcu zwolnił, Patton wstał i wyjrzał przed dziób łodzi.

- Nie mogę w to uwierzyć - jęknął.

Kilkaset metrów przed nimi znajdowała się, ciągnięta przez oceaniczny holownik, olbrzymia barka ze śmieciami, wypełniona na wysokość kilkunastu metrów, otoczona stadami kołujących nad nią mew. Gnijące śmieci cuchnęły.

- Więc to będzie nasza kara - powiedział DeMeers. - Mamy ciągnąć barki ze śmieciami.

- Jeszcze gorzej - powiedział Patton. - Nie kierujemy się w stronę holownika. Płyniemy prosto na barcę.

- Wiedziałem, że powinienem posłuchać matki - powiedział DeMeers. - Chciała, żebym został na farmie.

- Co do... - powiedział Patton.

Kiedy sternik rzucił cumę na pokład barki, gdzieś w jej głębi odchyliła się płyta sklejk i wyszedł zza niej ubrany w kombinezon mężczyzna. Chwycił Pattona pod ramię, popchnął go do środka i obrócił się do DeMeersa.

Ale dziwniejsze od samej barki, od mężczyzny w kombinezonie, wychodzącego ze sterty śmieci, od tunelu prowadzącego przez te śmieci, było to, co wydarzyło się, kiedy doszli do wjazdu. Mężczyzna odnalazł mikrofon, nacisnął w nim guzik i powiedział:

- „Devilfish”, kapitan na pokładzie.

Zdezorientowany Patton spojrział w głąb wjazdu. Drabina prowadziła na pokład znajdujący się jakieś pięć metrów poniżej, a dochodzącego stamtąd zapachu nie można było pomylić z żadnym innym. Ta dziwna kombinacja oleju napędowego, smarów, ozonu, tłuszczu spożywczego, potu i wosku do podłóg była charakterystyczna dla jednego tylko rodzaju statku - dla okrętu podwodnego.

Patton spojrział na DeMeersa, potem znowu we wjazd, potem na mężczyznę w kombinezonie.

- Proszę wchodzić, sir - powiedział ten ostami. - Witam na pokładzie „Devilfisha”, kapitanie.

- Dlaczego nazwał mnie pan kapitanem? - zapytał Patton.

- Ponieważ zawsze zwracam się tak do dowódcy okrętu. Czy coś nie w porządku, sir?

- Ależ skądże - Patton zerknął na DeMeersa. - To całkiem normalne, że wchodzę na barcę ze śmieciami i przejmuję dowodzenie nad znajdującym się pod nią okrętem podwodnym. No to schodzimy.

Kiedy byli już na dole, prowadzący ich człowiek zaczął śmiać się do rozpuku. Urządzili wśród załogi losowanie, kto powita kapitana. Wiedzieli, że będzie to dobra zabawa.

Na dole Patton zobaczył cały tłum oficerów, stojących w równym szeregu na baczność wzdłuż wykładanego drewnem korytarza. Kiedy dotknął stopami pokładu, ktoś zagwizdał w marynarski gwizdek. Cała ta scena wyglądała jak żywcem wyjęta ze starego filmu o marynarzach, pływających na dumnych żaglowcach.

I wówczas usłyszał znajomy głos człowieka, który najbardziej pomógł mu wspiąć się po szczeblach kariery w marynarce.

- Witamy na pokładzie USS „Devilfish”, kapitanie Patton. Jest pan gotów objąć dowództwo pierwszego okrętu klasy PEOA?

Powoli Patton zwrócił głowę w kierunku szczupłego, siwowłosego admirała. Stał na baczność i zasalutował do gołej głowy. Pacino także mu zasalutował i wyciągnął dłoń na powitanie. Uścisk jego dłoni był mocny i zdecydowany.

- Admirale, cieszę się, że pana widzę - powiedział Patton.

- Wszyscy bardzo się ucieszyliśmy, kiedy dowiedzieliśmy się, że ocalałeś. Nie jesteś ranny?

- Nic mi nie dolega, sir. Ale straciłem...

- Nie przejmuj się tym, John - szybko powiedział Pacino. Teraz odbędzie się uroczystość

przekazania dowództwa. - Pacino wyjął z kieszeni kombinezonu kartkę i podał ją Pattonowi. - Kapitanie, proszę przeczytać rozkaz.

Patton rozłożył kartkę przed oczami, odchrząknął i zaczął czytać:

- Od szefa d/s personelu Marynarki Wojennej USA, do kapitana Jonatha-na George'a Pattona IV, Mar. Woj. USA. Przydział służbowy. Kapitan Patton ma objąć dowództwo na USS „Devilfish”, PEOA-1, znajdującym się w drodze do ściśle tajnego obszaru operacyjnego na Pacyfiku. Kapitan Patton odpowiada jedynie przed głównodowodzącym Sił Zbrojnych Pacyfiku USA, admirałem M. Pacino, do czasu odwołania tego polecenia przez wyżej wymienionego dowódcę. Rozkaz obowiązuje od chwili jego wydania, tj. od 4 listopada. Wszyscy zebrani zaczęli klaskać, a Patton ze ściśniętym gardłem z trudem przełknął ślinę.

Luksusowa kabina kapitańska była olbrzymia w porównaniu z kłitką na 688-mce.

Bezpośrednio z łózka, w którym swobodnie zmieściłyby się dwie osoby, można było sięgnąć do centrali telefonicznej i czytników głównych instrumentów okrętu. Łóżko w razie potrzeby dawało się złożyć, żeby uzyskać większą przestrzeń biurową. Stało tam też biurko, a obok niego obrotowe krzesło z wysokim oparciem. Nad drzwiami umieszczono ekrany telewizyjne. Środkowy z nich, największy, służył do wideokonferencji.

- Mamy pełno kombinezonów w twoim rozmiarze - powiedział Paci-no. - Za parę minut pójdziemy na mostek. Ale może najpierw na chwilę usiądziesz sobie, John?

Patton usiadł na obrotowym krześle przy stole. Miał poczucie nierealności całej tej sytuacji. Fale oceanu kołysały okrętem, którym od paru minut dowodził. Okrętem, którego w pierwszej chwili nie dostrzegł. I siedział teraz przy jednym stole z głównodowodzącym sił zbrojnych Pacyfiku, który zaraz zada mu pytanie, co się tam właściwie stało.

- Więc jak, John, naprawdę nic ci nie jest? Żadnych oparzeń, ran, kontuzji?

- Zbadali mnie w Yokosuce, sir. Miałem drobne oparzenia na nogach i dłoniach. Byliśmy tylko z Byronem DeMeersem, moim specjalistą od sonaru, odwodnieni i spaleni przez słońce.

- Więc co się stało? - spytał Pacino. - Czy wykryliście te Wschodzące Słońca?

- Nic nie usłyszeliśmy, admirale. Zwolniłem do około pięciu węzłów. Byliśmy w strefie, w której zostały zatopione okręty naszego konwoju, i prowadziliśmy szerokozakresowy nasłuch sonarowy. Zresztą o nasłuchu więcej może panu powiedzieć DeMeers. W każdym razie byliśmy na stanowiskach bojowych, mieliśmy włączone sonary pokładowe, ciągnęliśmy za sobą oba sonary szeregowe i cebulę, ale nie usłyszeliśmy dosłownie nic. Zero. A w następnej chwili rozpętało się piekło. Zwaliło mnie z nóg, ale zdążyłem rozkazać, żeby opróżniono komory balastowe. Następną rzeczą, jaką pamiętam, to dym i płomień wszędzie dookoła. Sprawdziłem, że na mostku nie przeżył żaden z oficerów. Pobiegnę zobaczyć, co z DeMeersem. Kiedy go znalazłem, wepchnąłem do tunelu nad mostkiem. I wtedy okręt zaczął tonąć. Potem Byron uratował mi życie - wyciągnął mnie z tonącego okrętu i położył na tratwie. I to prawie wszystko. O tym, że nie zatonieliśmy w wyniku awarii reaktora, że zaatakował nas okręt podwodny, przekonałem się dopiero wtedy, kiedy parę metrów od tratwy wynurzył się peryskop. Nie był to ani amerykański, ani europejski peryskop. Przez dobrą chwilę przyglądali się nam.

- I co wtedy zrobiłeś? - spytał Pully White.

- Co zrobiłem? Pogroziłem im pięścią. Pacino i White wybuchnęli śmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - zapytał Patton. - Na moim okręcie zginęło stu trzydziestu ludzi, za których byłem odpowiedzialny.

- Przepraszam, John - Pacino natychmiast spoważniał. - Masz rację. Nie chcieliśmy cię urazić i każdy postąpiłby tak na twoim miejscu. Zróbmy teraz obchód. Może w tym czasie, jak będziemy na rufie, kapitan Stephens doprowadzi reaktor do stanu pełnej gotowości.

Patton wyszedł z kajuty za admirałem, myśląc, że właśnie zdał jeszcze jeden egzamin, co najmniej równie ważny jak ten pierwszy, przed wielu laty w Norfolk.

Patton stał na mostku. Był olbrzymi, piękny, zaprojektowany przez człowieka świetnie znającego się na okrętach podwodnych. Pośrodku wyrastała platforma peryskopu, technicznie niewiele się różniąca od tej z „Annapolis”, tyle że dwukrotnie większa. Pomieszczenie było tak duże, że zmieściłyby się w nim cztery mostki z 688-mek. Obok platformy peryskopu znajdowało się stanowisko dowodzenia kapitana, konsola otoczona ekranami, telefonami, kamerami i klawiaturami. Za nią stały dwa stoły nawigacyjne. Na tym kończyło się całe podobieństwo do okrętów klasy 688. W prawym, przednim rogu mostka znajdowała się stacja kontroli okrętu, ale zamiast grupy i paneli dla czterech ludzi obsługi, znajdował się w niej jeden głęboki, skórzany fotel, z którego jeden człowiek prowadził okręt. Otaczająca go konsola pełna była ekranów. Główny joystick znajdował się między kolanami siedzącego, a po jego lewej stronie umieszczono regulację obrotów.

Za prowadzącym okręt stała konsola systemu okrętu, zastępująca dawniejszy panel kontroli balastu. Z prawej burty umieszczono konsole: nawigacyjną, radiową, do pomiarów elektronicznych, panel sonarów, panel kontroli uzbrojenia.

Jednak najdziwniejsze ze wszystkich urządzeń znajdowały się po lewej strony pomieszczenia. Wzdłuż przegrody lewej burty stało rzędem pięć stanowisk, jakich Patton nigdy nie widział na żadnym innym okręcie podwodnym. W każdym leżały rękawice i hełm.

- Co to takiego? - zapytał Patton.

- Stanowiska kontroli bojowej. To pierwsze jest twoje. Trzeba oprzeć się o ściankę, założyć hełm i rękawice, a potem wsunąć głowę do wnętrza tej kopułki. Wtedy zobaczysz trójwymiarowy obraz otaczającej nas podwodnej przestrzeni, z zaznaczonymi w odpowiedniej odległości kontaktami. Kiedy wynurzymy się na głębokość peryskopową, komputer wygeneruje ci taki obraz, jakbyś wystawił głowę nad wodę i widział otaczające cię okręty. Te stanowiska ukazują otoczenie okrętu dzięki systemowi komputerowemu zwanemu Cyklopem - to najnowszy cud techniki stworzony przez DynaCorp. Na pokładzie jest wiceprezes DynaCorp, zaraz ci ją przedstawię.

- To kobieta?

- Tak, Colleen O'Shaughnessy.

- O'Shaughnessy? Czy ma coś wspólnego z Wielkim Szefem?

- To jego córka. Też niezłe ziółko.

- Czy mogę zobaczyć, jak działa ten system kontroli bojowej?

- Na razie nie działa, nie można nawet włączyć programów demonstracyjnych.

Pattona dosłownie zatkało.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale jak będziemy walczyć z Czerwonymi?

- Nie będziemy walczyć, dopóki Colleen nie skończy kodowania.

- Aha - powiedział Patton, nie do końca przekonany.

Pacino pokazał mu już rufową część okrętu. Teraz przeszli na górny pokład, na którym znajdowały się pomieszczenia sypialne załogi i kuchnia. A potem do pomieszczenia sonarowego, gdzie przy konsoli w kształcie litery L stało pięć pustych foteli.

- Dlaczego nikogo tu nie ma? - spytał Patton.

- Proszę się nie martwić, pojawią się, kiedy będzie trzeba.

- Pozwoli pan, że zgadnę, sir. Sonary nie działają.

- To prawda, są zależne od Cyklopa. Jeśli system nie działa, sonary także nie działają.

Po przeciwnej stronie korytarza znajdowało się pomieszczenie radiowe i pomieszczenie z elektronicznymi zabezpieczeniami, a także kabina komputerowa. W głębokim fotelu, za pełną ekranów konsolą siedział ktoś i energicznie stukał w klawiaturę.

- Colleen, mamy gościa - powiedział Pacino.

Za konsoli wstała piękna kobieta. Wyciągnęła dłoń do Pattona.

- Kapitan Patton, jak sądzę - powiedziała zadziwiająco niskim głosem.

- Słyszałem, że pracuje pani nad Cyklopem. Kiedy będzie nadawał się do użytku?

O'Shaughnessy obróciła się w stronę Pacina i uśmiechnęła się do niego.

- On jest jeszcze gorszy niż pan, admirał. Od razu wyjechał z tym pytaniem. Proszę mi nie przeszkadzać, bo dopóki nie uruchomię systemu, ten okręt pozostanie do niczego nieprzydatnym kawałem złomu.

Patton spojrział na Pacina i zdał sobie sprawę, że tych dwoje łączy coś więcej niż praca. Odwrócił się i wyszedł za admirałem.

- Powodzenia, panno O'Shaughnessy - zawołał od drzwi.

- Proszę mi mówić Colleen - odpowiedziała, znowu zatapiając się w pracy.

- Piękna, prawda? - powiedział Patton.

- Nie zauważyłem - odpowiedział Pacino.

Na środkowym poziomie znajdowała się maszynownia, dalej, patrząc od rufy magazyny, pomieszczenia sypialne i przedział torpedowy, o całe niebo przewyższający ten z „Annapolis”. Prawie w całości wypełniały go spoczywające na hydraulicznych podnośnikach torpedy.

- Pięćsetmilimetrowe komory znajdują się na dole, dziewięćsetmilimetrowe na górze. Komora może pomieścić czterdzieści osiem pięćsetmilimetrowych torped albo trzydzieści cztery dziewięćsetmilimetrowe. Tym razem uzbrojeni jesteśmy przede wszystkim w dziewięćsetmilimetrowe wirowe pociski Charlie, poza tym w dwóch komorach są załadowane po dwie pięćsetmilimetrowe torpedy Mark 52.

- Pociski wirowe? - zapytał Patton. - Dlaczego nigdy wcześniej o nich nie słyszałem?

- Dlatego, że objęte są ścisłą tajemnicą. Potem więcej ci o nich opowiem, w każdym razie są to mniejsze wersje napędzanych stałym paliwem rakietowym pocisków Bravo, których używaliśmy w czasie blokady Japonii. Wypływają na zwykłym, utleniającym się paliwie, potem, przy pięćdziesięciu węzłach, ulega zapłonowi stałe paliwo rakietowe i pocisk zbliża się do celu z prędkością trzystu węzłów. Nie mają co prawda takiego zasięgu, jak stare pociski typu Bravo, ale jeśli podpłyniemy dość blisko, powinny wystarczyć.

- Co to jest dość blisko dla PEO A?

- Na 688-mce, najdalszy kontakt sonarowy mogliście nawiązać z odległości od trzydziestu pięciu do sześćdziesięciu kilometrów, prawda?

- Tak jest, sir.

- PEOA może wykryć okręt podwodny z odległości stu trzydziestu, a nawet stu pięćdziesięciu kilometrów.

- Jak to jest możliwe?

- Na tym okręcie mamy zupełnie inny sonar. Posługujemy się nowym systemem zwanym AWŚD, czyli Akustycznym Wyobrażeniem Światła Dziennego.

Wąskimi schodami wrócili na mostek.

- Jak to działa?

- Łatwo to opisać, trudniej było zaprojektować i wykonać, a najtrudniej jest połączyć z komputerem tak, by w ogóle dało się z tego korzystać. Dawniej używaliśmy szerokokresowego sonaru, nasłuchując na wszystkich częstotliwościach, co dzieje się na oceanie. Wystarczało to szczególnie w wypadku okrętów nawodnych, odkąd stały się tak głośne, że słyhać je z odległości kilkuset kilometrów. Wystarczało również w wypadku pierwszej i drugiej generacji sowieckich okrętów podwodnych, bo były głośne jak traktory. Ale kiedy pojawiła się trzecia generacja ich okrętów, przestawiliśmy się na kombinację sonarów szeroko- i wąskozakresowych, używając kilkudziesięciometrowej długości sonarów szeregowych, które, podłączone do dobrego komputera, mogły wylapywać bardzo wąskie, określone częstotliwości dźwięków. Przy czym czynnikiem ograniczającym ich zasięg był komputer.

Kiedy wrócili na mostek, Pacino stanął oparty o barierkę otaczającą platformę peryskopu a Patton usiadł w fotelu dowódcy.

- Jednak kiedy skonstruowano lepsze komputery, zasięg sonarów nie poprawił się. Pojawiły się japońskie okręty klasy Destiny, zbyt ciche, by można było wykryć je z większej odległości za pomocą naszych wąskozakresowych procesorów. Okręty klasy Seawolf pokonały je, ponieważ były znacznie cichsze i miały lepsze holowane sonary wąskozakresowe. Jednak przy takich okrętach jak Wschodzące Słońce wąskozakresowe procesory to przestarzała technologia. Spodziewamy się, że następna generacja wrogich okrętów podwodnych będzie wyposażona w system aktywnego wyciszania, wytwarzający taki sam dźwięk, jaki wydaje maszyna okrętu, ale o przeciwnej fazie, w rezultacie redukujący wszelkie dźwięki. John, za dziesięć lat pojawią się wrogie okręty podwodne na tyle ciche, by mogły zwyciężyć z naszymi okrętami klasy Seawolf i PEOA, a z systemem aktywnego wyciszania będą niewykrywalne.

- Więc co dalej, admirale?

- A WSD, akustyczne wyobrażenie światła dziennego. To wielki krok do przodu, John. Diametralnie zmieniający sposób myślenia o sonarze. W przeszłości usiłowaliśmy za jego pomocą jedynie słuchać. Nasłuchiwalismy określonych dźwięków, ale to przestało wystarczać. Teraz już nie słuchamy, teraz patrzymy. Sonar przestał być uchem, stał się okiem. Na takiej zasadzie teraz działa. Ocean jest pełen dźwięków dalszego planu, wytwarzanych przez fale, ryby, krewetki, wieloryby, wiatry, burze, czasem przez erupcje podwodnych wulkanów. Te dźwięki są wszędzie dookoła. I do tej pory staraliśmy się je ignorować. I znaleźć igłę w stogu siana. Ale koniec z tym. Teraz użyjemy dźwięków tła, tak jak oko używa światła rozproszonego w krajobrazie, by widzieć. Dźwięki tła rozproszone w oceanie „lśnią” wszędzie dookoła nas. Kiedy uderzają w jakiś obiekt, on je odbija, tłumi albo załamuje, tak samo jak obiekt w świetle widzialnym zmienia bieg fal świetlnych tak, że oko może - odbierając odbite i załamane fale świetlne - rozpoznać obiekt, który te zmiany spowodował. Tak właśnie dzieje się tutaj. Dźwięki tła oceanicznego uderzają w jakiś obiekt, dajmy na to, w okręt podwodny. Obiekt zmienia dźwięki tła, trafiające do naszego odbiornika, tak jak przedmiot, który widzisz, zmienia bieg fal świetlnych i twoja siatkówka rejestruje tę różnicę. Jeśli nawet namierzany okręt podwodny nie ma na swoim pokładzie żadnych włączonych maszyn, jego tak różna od wody gęstość powoduje, że fale dźwięków tła omijają go, a częściowo są przez niego blokowane czy załamywane. Tworzy to dźwiękowe wyobrażenie, które nasz komputer interpretuje i przekłada na trójwymiarowy obraz. Wymaga to od komputera przetworzenia olbrzymiej ilości danych, a prawdziwym wyzwaniem jest szybkość procesu przetwarzania, taka, by stało się możliwe przedstawienie sytuacji rzeczywistej. Potem komputer określa odległość od celu i ukazuje ją w ten sposób, żeby było to widoczne na stanowisku wirtualnym na mostku. Pokażę ci to wszystko, kiedy Colleen skończy już swoją robotę. Można w ten sposób zobaczyć delfina z odległości kilometra. Każda płynąca w oddali jednostka zachowuje na ekranie swój kształt. Nie ma już zbierania wykresów odbioru dźwięków różnych częstotliwości, nie ma wróżenia z fusów. Teraz można zobaczyć wroga tak, jak w czasie walki widzi swoich wrogów pilot myśliwca.

- Nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę można będzie zobaczyć wroga?

- Pracowaliśmy nad tym od dziesięcioleci, ale dopiero teraz mamy od-; powiednie komputery. To prawda, że Cyklop jeszcze nie działa, jednak wkrótce będzie sprawny.

- Kiedy?

- Kiedy będziemy na Morzu Wschodniochińskim.

- Skąd pan to wie?

- Po prostu wiem. Nie martw się o to i nie zadawaj takich pytań Colleen. Robi wszystko, co może, żeby uruchomić ten system jak najszybciej.

- Mostek, tu dyspozytornia, generatory wytwarzają wystarczającą ilość energii - odezwał się głos z umieszczonego nad ich głowami głośnika. - Wszystko gotowe.

- Nie obejrzałem jeszcze dyspozytorni ani komory reaktora - powieli dział Patton. - Tam wszystko też jest nowe - powiedział Pacino. - Zobaczysz później. Teraz musimy zanurzyć

okręt.

- Jak to zrobimy z tą pełną śmieci barką nad głowami?

- Barka ma od dołu dziurę w kształcie PEOA. Kiedy się zanurzymy, | zatonię, zatapiając w Pacyfiku wszystkie śmieci. Może jest to szkodliwe dla środowiska, ale w ten sposób utrzymujemy w tajemnicy fakt, że PEOA jest w drodze.

Płyną tam z nie działającym systemem komputerowym, z całkowicie nowym systemem sonarowym, z nieprzetestowanym interfacem, z nie sprawdzoną załogą, pod dowództwem kapitana, który ledwie uratował się z zatopionego okrętu podwodnego. Patton spojrzął na admirała, który wydawał się całkowicie pewny siebie, i uśmiechnął się.

Zanurzenie sześćdziesiąt metrów - zwrócił się do porucznika obsługującego stację kontroli okrętu.

- Tak jest, kapitanie - potwierdził młody oficer i zawołał: - Otwieramy główne przednie komory balastowe. Zanurzamy się bez kamer na peryskopie i na stateczniku, sir. Przednie komory otwarte. Ruszamy do przodu jedną trzecią mocy, rufowe stery zanurzenia dwa stopnie do dołu.

Pokład przechylił się tak nieznacznie, że ledwo można było to wyczuć. Głębokościomierz na konsoli dowodzenia Pattona powoli odmierzał kolejne metry zanurzenia.

- Cała rzecz polega na tym, żeby opuścić barkę, zanim zacznie tonąć - powiedział Pacino. - Powinieneś zejść jeszcze głębiej i z prędkością dwudziestu węzłów odpłynąć na południe.

- Tak jest, admirał.

- Przepraszam, John, nie zamierzamy tobą komenderować. Po prostu wszystko to przemyśleliśmy dużo wcześniej, kiedy budowaliśmy tę barkę. Patton skinął głową.

- Otwierają się rufowe zbiorniki balastowe - doniósł odpowiedzialny za zanurzenie oficer. - Głębokość dwadzieścia pięć metrów. Kąt pochylenia pokładu dwa stopnie. Prędkość pięć węzłów, wzrasta do ośmiu. Głębokość trzydzieści metrów, trzydzieści pięć, kąt pochylenia pięć stopni.

- Zanurzenie dziewięćdziesiąt metrów, kurs na południe.

- Tak jest, sir - odpowiedział stojący przy stacji kontroli okrętu porucznik.

Po kilku minutach Patton postanowił wyjść na głębokość peryskopową, żeby obejrzeć tonącą barkę. Barka była bardzo zanurzona, a załoga holownika gorączkowo odczepiała hol. Nagle poczuł na ramieniu rękę admirała.

- John, spóźnimy się. Musimy jak najszybciej dotrzeć do Punktu Echo.

- Opuścić peryskop numer dwa - rozkazał Patton. - Zanurzenie dwieście pięćdziesiąt metrów pod ostrym kątem i cała naprzód.

- Na maksymalnej prędkości, John.

Patton spojrzął na admirała z ukosa, coraz mniej czując się jak dowódca tego okrętu.

- Prędkość maksymalna.

Pokład przechylił się pod ostrym kątem. Kadłub okrętu, pod wpływem wzrastającego ciśnienia, trzeszczał i postękiwał. Cały okręt zaczął wibrować, najpierw bardzo delikatnie, potem, w miarę jak przyśpieszał, coraz mocniej. Patton spojrzął na szybkoomierz.

Sześćdziesiąt sześć węzłów, czyli ponad sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. To było niezwykle uczucie, nigdy jeszcze nie płynął okrętem podwodnym z taką prędkością. Podeszedł do czytnika map i obliczył, że droga do Punktu Echo zajmie im dwa dni i osiemnaście godzin. Spojrzął na zegarek i zawołał do oficera dyżurnego:

- Proszę zmienić czas na okręcie na czas pekiński. Czyli jest teraz piąta zero zero we wtorek, piątego listopada.

To oznaczało, że dotrą na miejsce o jedenastej wieczorem w czwartek, siódmego listopada. A Pacino właśnie do czwartku dał Colleen czas na uruchomienie systemu komputerowego.

Nagle Patton poczuł się śmiertelnie zmęczony.

- Proszę trzymać kurs na Punkt Echo, Idę do swojej kajuty. Muszę odpocząć.

- Tak jest, kapitanie. Kiedy wynurzymy się do głębokości peryskopowej, sir? - Młody porucznik chciał wiedzieć, kiedy będą mogli wynurzyć się, żeby odebrać wiadomości

przesyłane za pośrednictwem satelity.

- Nie wynurzamy się. Płyniemy prosto pełną parą. Po co mieliby się wynurzać, skoro na pokładzie znajdował się dowódca naczelny. Kto inny miałby im przysyłać wiadomości? Patton pomachał ręką Pacinowi, który sprawdzał coś na czytniku map, i poszedł do swojej kajuty. Siedział tam zamyślony Byron DeMeers z butelką coli w ręku.

- O czym tak rozmyślasz, Byron?

- Szefie, czuję się tak, jakby posłano mnie znów do szkoły. Ten system Akustycznego Wyobrazania Światła Dziennego jest skomplikowany jak cholera.

- Chcę tylko wiedzieć, czy będzie działał.

- Jeśli nie zadziała, będziemy mieli niezły kłopot.

- Co myślisz o tym okręcie?

- Myślę, że bez sprawnego systemu sonarowego jest tyle wart, co kawałek gówna.

- Przestań się mazać - powiedział Patton. - I wyjdź stąd, bo chcę się spać. Ty też się połóż, byłeś na nogach całą dobę.

- Nie mam czasu, muszę się nauczyć, jak działa sonarowy system Cyklopa. Jeśli się tego nie nauczę, to ty, szefie, dostaniesz za to po łapach.

30

Środa 6 listopada

Ocean Spokojny 2110 kilometrów na południowy wschód od Naha na Okinawie USS „DeYilfish”, PEOA-1

Myślę, że będzie działał - powiedziała Colleen O' Shaughnessy, wpatrując się w jeden z ekranów w pomieszczeniu komputerowym. - Nie wystarczy to, że tak myślisz - powiedział Pacino. - Ten system nie może nas zawieść, kiedy już znajdziemy się w obszarze operacyjnym i zaczniemy szukać Czerwonych.

Oczy Colleen błysnęły gniewem.

- Jeśli chce pan gwarancji, to proszę mi dać pięć tygodni, żebym mogła zrobić testy C-1 i C-9. Zresztą, jeśli pojawią się jakieś problemy z tym systemem, bada na miejscu, żeby go naprawić.

- To nie wystarczy, Colleen. Musisz zrobić, co się tylko da, żeby ten system okazał się niezawodny. Zależy od tego powodzenie misji i życie wszystkich na okręcie. Nie będziemy przecież wołać cię i prosić o przejrzenie i naprawienie systemu, kiedy trzeba będzie wystrzelić torpedę.

Colleen O' Shaughnessy podniosła wzrok na admirała. Nie spała trzy noce. Od chwili, kiedy okręt we wnętrzu barki pełnej śmieci opuścił Hawaje.

- Wygląda na to, że nie ma pan wyboru.

- To nie wystarczy, system musi być absolutnie pewny, Colleen. I to jutro o godzinie osiemnastej czasu lokalnego. Zostało ci dwadzieścia godzin.

- Dlaczego o osiemnastej? Przecież nie dotrzemy do obszaru operacyjnego wcześniej niż o dwudziestej trzeciej.

- O godzinie osiemnastej opuścisz pokład okrętu.

- Co?

- Kiedy będziemy na głębokości peryskopowej, wyjdiesz w kombinezonie do nurkowania przednim włazem ratunkowym. My popłyniemy dalej, a ty zostaniesz wyłowiona przez stary

tankowiec, który akurat przypadkiem znajdzie się w tamtym miejscu. Nie podoba mi się, że musisz opuścić okręt w ten sposób, ale nie możemy ryzykować nawet częściowego wynurzenia.

- Admirale, ja płynę z wami. Muszę zostać z Cyklopem. Beze mnie nikt tu sobie z nim nie poradzi.

- Colleen, nie mam pozwolenia twojego ojca na to, żeby cię wziąć na wojnę.

- Co to ma znaczyć, Pacino? - zawołała O'Shaughnessy.

- Jestem dorosła i odpowiadam za siebie. Dlaczego w ogóle mówisz o moim ojcu? Próbujesz się w ten sposób zabezpieczyć, bo jest twoim szefem?

- Uspokój się, Colleen - powiedział Pacino spokojnym głosem. – Jesteś cywilem i nie masz wstępu na obszar operacyjny. O twoim ojcu wspomniałem, bo jest on w tej chwili jedynym wyższym ode mnie rangą człowiekiem w marynarce. Powiem ci coś jeszcze. Gdybyś była moją córką, zamordowałabyś każdego mężczyznę, który wystawiłby twoje życie na niebezpieczeństwo. Zostałaś wyznaczona do zaprogramowania komputera na tym okręcie, a nie do walki.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli...

- Jutro. Osiemnasta zero zero. Zostało ci dwadzieścia godzin. Radziłbym ci, żebyś je dobrze wykorzystała.

O'Shaughnessy klęła go takimi słowami, o jakie nigdy by jej nie podejrzewał. Gdy zamknął za sobą drzwi, napotkał spojrzenie Paully'ego White'a.

- Poradzi sobie? - zapytał White.

- Mam nadzieję.

- No to do roboty - powiedział porucznik komandor Christopher Porter, stojąc przed tłumem zgromadzonym w kajucie oficerskiej.

Porter pełnił na okręcie funkcję nawigatora. W sesji treningowej brali udział wszyscy oficerowie. Czarny, wypukły ekran, był połączony ze znajdującymi się na stanowiskach bojowych. Wszyscy mieli na głowach hełmy z zamontowanymi przed oczami filtrami, pozwalającymi widzieć trójwymiarowo pojawiające się na ekranie obrazy. Światła przygasły i ekran rozblęsnął równomiernym, żółtawym blaskiem akustycznego światła dziennego; Na żółtym tle pojawiła się czerwona kropka.

- Zidentyfikować - polecił Porter.

- Ryba! - wykrzyknął jeden z młodszych oficerów.

- Dobrze. - Obraz zmienił się, ryba przepłynęła i w polu widzenia pojawił się bardziej oddalony, niebieskawy punkt. - Zidentyfikować.

- Okręt podwodny - powiedział jakiś głos.

- Dobrze. Swój czy wróg?

Przez dłuższą chwilę oficerowie patrzyli w milczeniu na ekran.

- To okręt wroga, jednostka klasy Wschodzące Słońce.

- Źle - powiedział Porter takim tonem, jakby ucieszyła go ta błędna odpowiedź. - Ktoś jeszcze?

- To nasza 688-mka - mruknął Patton.

- Pan żartuje, kapitanie - powiedział, śmiejąc się, Porter.

- Kończmy to, nawigatorze. Teraz będzie wykład o uzbrojeniu, a potem zapoznamy się z ogólnym planem działań. Jeśli ktoś chce się napić kawy, to niech to zrobi teraz. Nie życzę sobie, żeby tu przysypiano.

- Tak jest, sir. - Światła zapaliły się, a czarny ekran został wciągnięty do góry. Porter nacisnął pilota i ściana rozsunała się, odsłaniając pokaźnych rozmiarów ekran. - Panowie, teraz wykład o uzbrojeniu. Porter znowu nacisnął pilota i na ekranie ukazał się PEO A w rzucie bocznym. - Naszą główną bronią są wirowe pociski Charlie - prędkość bojowa trzysta węzłów, głowica plazmowa, prowadzone przez błękitny laser. Pocisk ma średnicę

dziewięciuset milimetrów, może być wystrzeliwany z komór numer trzy i cztery. Zasięg sześćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu kilometrów. Przy maksymalnym zasięgu Charlie płynie około dziesięciu minut. Nie da się łatwo zwieść; laser prowadzący pocisk jest silny, z szerokim zasięgiem, i ma zakodowany tryb powtórnego ataku. Jakies pytania?

Porter rozejrzył się po pokoju. Kiedy jego oczy spoczęły na Colleen O'Shaughnessy, Pacino poczuł nagłą irytację. Spojrzał na Colleen, ale jej twarz nic nie wyrażała, była jak maska. Był o nią zazdrosny, a przecież to czysty absurd. Dawno już przekroczył czterdziestkę, podczas kiedy ona nie miała nawet trzydziestu lat.

Musiał szczerze przyznać, że podziwiał Colleen, lubił ją, wydawała mu się atrakcyjna. Ale jaki miało to sens? Czy mógł wiązać się ze specjalistką od komputerów i systemów bojowych, która przypadkowo była też córką jego szefa?

Spojrzał na nią ponownie, ostatni raz przed skoncentrowaniem się na wykładzie Portera.

Wyczuła jego wzrok. Popatrzyła na niego wciąż pełnymi gniewu oczami, zła o to, że wyrzuca ją z pokładu okrętu tuż przed bitwą. Znowu wróciło poczucie winy. Spojrzał na swój serdeczny palec, na którym miał teraz pierścień Annapolis. Rok temu zdjął z tego palca swoją ślubną obrączkę z wygrawerowanym napisem „Zawsze będę cię kochał”. Zawiązał ją na wstążce i powiesił na fotografii Eileen, stojącej na nocnej szafce w sypialni w Pearl Harbor, a potem przelożył pierścień akademii ze środkowego palca na serdeczny. Spróbował skupić się na słowach Portera.

- ... zasięg pocisku Mark 52 wynosi od piętnastu do sześćdziesięciu kilometrów, w zależności od prędkości i głębokości. Omówiliśmy już sonary głębinowe. Przejdźmy teraz do sensorów namierzających cel ponad horyzontem. Mamy ich dwa rodzaje: Mark 12 Yo-Yo i Mark 4 Sharkeye. Mark 12 Yo-Yo jest opuszczany z samolotów patrolowych pegasus P-5, ma około półtora metra średnicy i wyrzuca z siebie małą boję, która zostaje na powierzchni, podczas gdy jego większa część zanurza się na głębokość od dwustu czterdziestu do trzystu metrów, w zależności od tego, na jakiej głębokości lepiej jest w danych warunkach prowadzić nasłuch. We wnętrzu Yo--Yo znajduje się odbiornik sonarowy, przypominający naszą, umieszczoną na samym dziobie okrętu, zbierającą akustyczne światło dzienne kulę, która przekazuje wszystkie sygnały do boi. Boja przekazuje je satelicie ComStar, który z kolei przekazuje je nam - w tym celu musimy się wynurzyć na głębokość peryskopową. Za pomocą Yo-Yo można namierzyć okręt podwodny nawet z odległości stu sześćdziesięciu kilometrów, ale rozsądniej byłoby liczyć na osiemdziesiąt kilometrów. Tak więc zasięg Yo-Yo jest mniejszy niż zasięg naszej kuli, ale i tak nie jest najgorszy. Teraz, przejdźmy do Mark 4 Sharkeye. Kiedy nie możemy skorzystać z Yo-Yo, na przykład z braku samolotów patrolowych pegasus P-5, wtedy właśnie używamy Sharkeye'ów. Sharkeye jest w zasadzie bardzo podobny do Yo-Yo, z tym, że przenosi go pocisk raketowy Javelin. W tym rejsie jesteśmy uzbrojeni tylko w dwa plazmowe pociski raketowe Javelin. Pozostałych dziesięć pocisków w tubach pionowego startu, to rakiety do wystrzeliwania zdalnie sterowanych Sharkeye'ów.

Zasięg wykrywania Sharkeye'a wynosi od trzydziestu pięciu do siedemdziesięciu kilometrów, przy optymalnym dystansie do pięćdziesięciu kilometrów. Mamy nadzieję, że będziemy mogli użyć większych i lepszych Yo-Yo, ale jeśli coś pójdzie nie tak, zawsze będziemy mieli pod ręką Sharkeye'e. To byłoby tymczasem wszystko.

- Zróbmy przerwę do piątej - powiedział Patton. - Wtedy admirał Pacino przedstawi nam ogólny plan działań.

- Panowie, czas zaczynać - powiedział Porter, otwierając popołudniową część wykładów.

- Nawigatorze, czy drzwi są zamknięte? - zapytał pierwszy oficer Walt Homick.

- Tak jest.

- Czy na sali są tylko upoważnieni? Czy jest tu ktoś, kto nie ma złotego delfina?

Pacino rozejrzył się po zebranych. Z pewną ulgą stwierdził, że nie było wśród nich Colleen O'Shaughnessy. Musiał zapomnieć o swych wakacjach i skupić się na problemach związanych z misją.

- Admirale, jesteśmy gotowi - powiedział Patton. Spojrzawszy na wyświetloną na ekranie morską mapę, Pacino wstał i zwrócił się do zebranych oficerów.

- Witam panów. - Zawsze, ze starego nawyku, wszelkie wystąpienia zaczynał w oficjalny sposób. - Oto Morze Wschodniochińskie. Na czerwono zaznaczone jest miejsce, w którym wróg posłał na dno okręty pierwszego konwoju - jest to cieśnina między wyspami Naze i Yakushima. Znajduje się dokładnie na drodze z Oahu do Szanghaju. Podejrzewam, że Czerwoni właśnie tam się przyczaili. Ja, na ich miejscu, broniąc drugiemu konwojowi dostępu do Chin czy też chcąc obronić się samemu przed atakiem flotyli okrętów podwodnych, postąpiłbym inaczej. Wyszedłbym na ich spotkanie. Ale nasz wróg myśli w ten sposób - poczekam tutaj, na dnie cieśniny, bo konwój i tak będzie musiał tędy przepłynąć, pośpiesznie zdążając ku wybrzeżu Chin; ponieważ jestem szybszy od okrętów konwoju, a satelity przekazują mi na bieżąco jego zdjęcia, bez trudu ich dopadnę. Poza tym konwój najprawdopodobniej wylądjuje w okolicach Szanghaju, który jest punktem kluczowym do obrony Białych Chin. Tak więc Czerwoni czekają w cieśninie. Czy się nas w ogóle nie boją? Czy nie boją się, że dopadną ich nasze okręty podwodne? Jak pan sądzi, kapitanie Patton?

- Wątpię, żeby spędzało im to sen z oczu - powiedział Patton dźwięcznym głosem.

- Dlaczego tak sądzisz, John?

- Ponieważ posłali nas na dno, zanim w ogóle zdążyliśmy się zorientować, że mamy towarzystwo. Płynąłem bardzo powoli, z szybkością pięciu węzłów, nasłuchując tych Wschodzących Słońc, bo wtedy już wiedziałem, że tam są. W następnej chwili zdałem sobie sprawę, że leżę na pokładzie, a okręt płonie. Te Wschodzące Słońca to trudny orzech do rozgryzienia. Skopali nam tyłki i są pewni, że bez problemu zrobią to jeszcze raz.

- Słusznie, kapitanie - powiedział Pacino, uśmiechając się. - Nasze 688-mki to dla nich dziecięce zabawki.

- A co z „Piranią” klasy Seawolf? - zapytał Chris Porter.

- Właśnie. Może ktoś ma jakąś teorię na ten temat? Nie? Więc przedstawię swoją. SSN-23 ma takie same kłopoty jak 688-mki, ponieważ używa starych, wąsko- i szerokok zakresowych metod poszukiwawczych wobec przeciwnika, którego sygnatura dźwiękowa pozostaje dla nas tajemnicą. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby „Pirania” wiedziała, czego ma szukać. Wystarczyłoby ustawić odpowiednie częstotliwości i czekać, aż Czerwoni sami wpadną w nasze ręce. Niestety nie mamy pojęcia, jakie dźwięki wydają ich okręty.

Pacino popił wody i spojrzał na otaczających go ludzi. Ta stara sztuczka miała na celu skupienie uwagi słuchaczy.

- Tak więc mam w planie maksymalne wykorzystanie sonarów akustycznego światła dziennego. O godzinie zero samoloty patrolowe pegasus P-5 wylecą z Kagoshimy, by zrzucić pierwszą partię zdalnie sterowanych sonarów Yo-Yo. Będziemy czekać w wynurzeniu peryskopowym na ich sygnały. W ogóle w czasie tej misji dużo czasu spędzimy na głębokości peryskopowej. Za pomocą sonarów Yo-Yo zlokalizujemy wszystkie sześć Wschodzących Słońc i będziemy mogli posłać przeciw nim torpedy. W Punkcie Echo spotka się z nami dwanaście 688-mek z Floty Pacyfiku. To prawda, że są głośnie i stosunkowo powolne, ale dysponując dwunastoma okrętami, spośród których każdy ma na pokładzie dwadzieścia sześć torped Mark 52, mogę posłać w kierunku wroga ogółem trzysta dwanaście torped. To będzie tak, jakby zaatakował ich cały rój pszczoł. Następna sprawa. Jak wynika z taśm dostarczonych nam przez japońskie Morskie Siły Samoobrony, Wschodzące Słońca są wyposażone w zabezpieczenia przeciwtorpedowe. Mają cztery odciągacze, wystrzeliwane z ogona, które wydają dźwięk tak sam jak Wschodzące Słońca, tyle że głośniejszy. Każdy odciągacz jest wyposażony w foliowy balon, który odbija dźwięki sonarów. To zmyli torpedy na sto procent. Ale, jak już powiedziałem, każdy z okrętów dysponuje tylko czterema takimi odciągaczami, tak więc ostatecznie dostaniemy tych drani. Poza tym dysponują sonarami aktywnymi, również umieszczonymi na ogonie, które wysyłają mylące sygnały do zbliżającej się torpedy. W ten sposób mogą poradzić sobie z jedną, może z dwiema torpedami naraz, ale na pewno nie z dziesięcioma. Dalej, nawet jeśli będziemy używać torped znajdujących się na

pokładach 688-mek, to naszą główną bronią pozostanie bateria dziesięciu torped wirowych dalekiego zasięgu Bravo, znajdująca się na pokładzie „Piranii”. Jeśli dopisze nam szczęście, Bruce Phillips wystrzeli sześć torped i ta wojna się skończy. Jednak niektóre spośród tych plazmowych torped mogą trafić w nas. Niestety, nie ma tu żadnych gwarancji. Następne w kolejności są torpedy wirowe Charlie, które my mamy na pokładzie, mniejsze i o krótszym zasięgu. Dysponujemy większą ich liczbą niż „Pirania”, ale żeby ich użyć, będziemy musieli wejść głębiej w obszar operacyjny. Ogólnie, panowie, jestem dobrej myśli, ale oto moja lista zmartwień. Po pierwsze, Wschodzące Słońca są wyposażone w pociski przeciwlotnicze. Jeśli wy-kryją pegasusy, mogą je zestrzelić, a razem z nimi nasze sonary typu Yo-Yo. Wtedy rozmieszczę czujniki za pomocą Sharkeye'ów, ale jeśli to one wykryją Wschodzące Słońca, będziemy musieli posłać „Piranię”, sami nie widząc wroga. Poza tym istnieje możliwość, że w wyznaczonym obszarze operacyjnym nie znajdziemy ani jednego Wschodzącego Słońca. Niewykluczone, że mogą być one rozproszone na znacznej przestrzeni. W takim wypadku będziemy zrzucać Yo-Yo, tak długo, póki ich nie odnajdziemy. W ostateczności ściągniemy na siebie ich ogień. Ta opcja nie jest zbyt prawdopodobna, ale jeśli do tego dojdzie, będzie to musiał zrobić „Devilfish”, bo tylko s, my będziemy mogli dostrzec okręty wroga. Jeśli w wyniku tego pošlą nas na 1 dno, operacja zostanie zakończona, a konwój popłynie wcześniej wyznaczoną drogą.

- Co? Konwój wpłynie tam nawet w takim wypadku? - zdziwił się Porter.

- Tak. Każdy z okrętów klasy Wschodzące Słońce miał na pokładzie czterdzieści osiem torped, czyli łącznie dysponowały dwustu osiemdziesięcioma torpedami. Straciliśmy sto dziesięć okrętów, powiedzmy, że poszło na nie około stu dwudziestu torped. To znaczy, że zostało im mniej więcej sto sześćdziesiąt torped. Moglibyśmy razem z konwojem ściągnąć na siebie ogień i Czerwonych i całkowicie pozbawić ich torped.

- Ale w takim wypadku pošaliby na dno większą część konwoju - zaprotestował Porter.

- To nie jest mój pomysł. Wiem jednak, że tak właśnie postąpi generał Baldini. Znam go. Jest uparty jak kozioł, uwielbia frontalne ataki na mury. Może obliczy, że przeciw pierwszemu konwojowi Czerwoni wystrzelili ponad sto dwadzieścia torped, i że w takim wypadku zachowa co najmniej połowę swoich sił. Połowa z czterystu tysięcy żołnierzy to lepsze niż nic, tak przynajmniej może uważać Baldini. Jest jednak coś na pocieszenie. Z danych, dostarczonych nam przez Japończyków, wynika, że maksymalna prędkość torped Nagasaki II wynosi czterdzieści sześć węzłów. Tak więc 688-mka może, uciekając przed taką torpedą, znacznie się od niej oddalić – tak właśnie zdarzyło się w wypadku „Annapolis”. Nie można jednak uciekać przed torpedą, której się nie wykryło, więc kluczem do powodzenia jest nasz system sonarowy. Ostatnia moja obawa tyczy tego, że jeśli zawiedzie Cyklop, całą naszą misję szlag trafi. Miejmy więc nadzieję, że komputery nas nie zawiodą.

- Jeśli panna O'Shaughnessy umie pracować równie dobrze jak wygląda, nie zawiodą nas na pewno - odezwał się jakiś młody głos.

- Wystarczy już tego - powiedział Pacino, czując wzbierający gniew. - Są pytania? Kapitanie, proszę zwolnić swoich ludzi i stawić się u mnie, w kajucie VIP-ów.

Pacino wyszedł i udał się do swojej kajuty. Ciągle kipiał ze złości. Bez wątplenia poczuje się lepiej, kiedy Colleen opuści pokład okrętu.

USS „Devilfish”, PEOA-1

Tankowiec w zasięgu wzroku! Oznaczyć położenie i odległość! Widać go na trzech stopniach przy niskiej mocy przybliżania. Ustawić przednią, lewą burtę pod kątem pięciu stopni. Niech pierwszy oficer przejmie ode mnie peryskop - zawołał Patton, puszczać uchwyt i odwracając się.

- Gdzie jest O'Shaughnessy?

- Nie ma jej przy włazie ratunkowym, sir - powiedział sternik i odłożył słuchawkę telefonu. Patton i Pacino wymienili spojrzenia.

- Pójdę po nią- powiedział Pacino. Wszedł z mostka, minął pomieszczenie sonatowe i długim, centralnym korytarzem doszedł do drzwi głównego pomieszczenia komputerowego. Wystukał na klawiaturze szyfrowego zamka kombinację liter składającą się na nazwę „P-E-O-A”, nacisnął kławkę i wszedł do środka. Colleen O'Shaughnessy siedziała za swoją konsolą, pisząc coś zawzięcie, zupełnie jakby nie miała w tej chwili opuścić pokładu okrętu.

- Spóźniasz się - powiedział Pacino, starając się panować nad swoim głosem. - Ubierz się ciepło, załóż kombinezon i weź aparat tlenowy - wskazał palcem leżący na pokładzie sprzęt. Zignorowała jego słowa, nie przerywając pisania.

- Colleen, rusz się! - Chwycił ją za ramię, ale strząsnęła jego dłoń i pisała dalej. -Co się z tobą dzieje? -krzyknął, czując, jak rośnie w nim gniew.

- Powiem panu, co się ze mną dzieje. Traktuje mnie pan jak dziecko. A teraz proszę wyjść i zostawić mnie w spokoju. Mam dwa terabajty kodu do poprawienia.

- Daj sobie z tym radę, Colleen. Przekaż to komandorowi Porterowi. Musisz opuścić okręt. - Dlaczego?

- Bo twoje życie jest w niebezpieczeństwie.

- Nieprawda, to pańskie życie jest w niebezpieczeństwie. Szczególnie, jeśli wyrzucicie mnie z okrętu. Kod jest zanieczyszczony, admirale. System podziela może z godzinę, a potem się zawiesi. I ja będę musiała go oczyścić - powiedziała, wciąż nie przerywając pisania.

- Dobra, więc my go oczyścimy, kiedy się zawiesi. A teraz chodźmy...

- Pan nic nie rozumie. Za każdym razem, kiedy system przestanie działać, będę musiała znaleźć i poprawić błędną sekwencję kodu. Na tym polega usuwanie wirusów z systemu. Jeśli pięćdziesiąt linijek kodu jest nieprawidłowych, system może się zawiesić pięćdziesiąt razy w ciągu godziny. A pański Porter nie będzie w stanie sobie z tym poradzić. Więc nie chodzi o to, że moje czy pańskie życie jest w niebezpieczeństwie, ale o to, że zagrożone jest powodzenie całej misji. Bez Cyklopa nie ma najmniejszych szans powodzenia. Sam pan to powiedział, admirale. Ale tak naprawdę, to chce mnie się pan pozbyć z pokładu tego okrętu ze względu na to, co pan do mnie czuje.

Pacino patrzył na nią z otwartymi ustami. Nie miała już końskiego ogona. Rozpuszczone, świeżo umyte włosy splotły się w jej lśniącej falą na ramiona. Cerę miała tak świeżą, jakby ostatnie dni spędziła na powietrzu, a nie na dusznym pokładzie okrętu podwodnego. Patrzyła na niego błyszczącymi oczami.

- Ze względu na to, co do ciebie czuję?

- Właśnie. I tak powinno być, Michael. Ja też coś do ciebie czuję. Od chwili, kiedy sto trzydzieści siedem dni temu po raz pierwszy zobaczyłam cię na zebraniu w stoczni.

- Nic o tym nie wiedziałem. Dlaczego nic nie powiedziałaś, nie dałaś mi tego do zrozumienia?

- Nie byłeś na to przygotowany, zresztą nadal nie jesteś. Poza tym, dałam ci to do zrozumienia, przecież jestem tu teraz.

- Ale, Colleen, twoje życie jest naprawdę w niebezpieczeństwie. Zaraz wpłyniemy w strefę walki. Nie powinno cię teraz tutaj być.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze przepisy marynarki wyraźnie mówią...

- Mniejsza o to. Co dalej?

- Twój ojciec...

- Jeśli byłabym facetem, to nie miałyby znaczenia, prawda?

- Może masz rację. Ale i tak opuścisz teraz pokład. Nie pozwolę ci się aż tak narażać. To był błąd, że w ogóle wzięłem cię ze sobą.

- Proszę spojrzeć na to w inny sposób, admirale. Jeśli byłby 1912 rok i byłabym na pokładzie „Titanica”, to czy kazałby mi pan opuścić pokład?

- Tak.

- A jeśli byłabym jedyną osobą, która mogłaby zapobiec jego zderzeniu się z górą lodową, to czy i w takim wypadku kazałby mi się pan ewakuować?

- Tak jest, do cholery!

- I wzięłby pan na swoje barki winę za śmierć tysiąca ludzi? Wątpię. Pozwoliłby mi pan zostać i uratować statek. Admirale, beze mnie ten okręt jest jak „Titanic”.

Pacino patrzył przez dłuższą chwilę w jej oczy.

- Masz rację, coś do ciebie czuję - przyznał.

- Chcę mieć trójkę dzieci - powiedziała Colleen, uśmiechając się do niego.

Pacino zaśmiał się i już chciał coś jej odpowiedzieć, kiedy zgrzytnął otwierany zamek. W drzwiach stanął Patton.

- Utrata kontroli bojowej! - dobiegło z zamontowanego w suficie głośnika.

- A więc z powrotem do pracy - westchnęła O'Shaughnessy i odwróciła się do konsoli. Pacino machnął jej ręką na pożegnanie i wyszedł, pociągając za sobą Pattona.

- Odeślij ten tankowiec - powiedział. - Ona zostaje z nami.

- Odbiło jej? Przecież będziemy...

- Bez niej będziemy pozbawieni systemu kontroli bojowej.

Patton westchnął i poszedł z powrotem na mostek. Zanim pojawił się tam Pacino, Patton rozkazał już zanurzyć okręt z powrotem i ruszyć dalej z maksymalną prędkością. Kiedy Pacino wszedł na mostek, Patton spojrział na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Ma pan wolną chwilę, admirale?

Patton zaprowadził go do swojej kajuty. Na stole leżała owinięta w papier paczka, do której była przyklejona tajna koperta z napisem: DO RĄK WŁASNYCH DOWODZĄCEGO OFICERA.

- Przeczytałem już kartkę z tej koperty - powiedział Patton. - Jest tam napisane, żeby oddać panu tę paczkę, kiedy zbliżymy się do obszaru operacyjnego.

Pacino rozerwał papier i wydobył starannie złożony kawałek czarnego materiału. Kiedy go rozwinął, Patton aż gwizdnął z podziwu. Była to wielka piracka flaga z czaszką i skrzyżowanymi puszczelami mniej więcej wielkości prześcieradła. Widział na niej napis: USS DEYILFISH. Pacino był wstrząśnięty.

Była to flaga z pierwszego „Devilfisha”. Jedną z dwóch rzeczy, jakie Pacino wziął ze swojej kajuty, zanim opuścił pokład tonącego okrętu. Drugą było zdjęcie jego ojca, stojącego obok „Stingraya”. W Norfolk Pacino w podzięk za uratowanie zaniósł flagę i tamto zdjęcie pod monument upamiętniający wszystkich, którzy zatonęli na pokładzie „Stingraya”. Myślał, że na zawsze rozstaje się z tym przedmiotem.

Potem ktoś mu doniósł, że w kwaterze admirała Doncheza, głównodowodzącego Sił Podwodnych Atlantyku, obok flagi amerykańskiej wisiała flaga piracka. Jednak Pacino uznał to za brednie. Ale oto miał przed sobą tę flagę, następny znak od Doncheza.

Na kartce było napisane: ODDAĆ ADMIRAŁOWI PACINO, KIEDY OKRĘT BĘDZIE W POBLIŻU OBSZARU OPERACYJNEGO. Poznał charakter pisma Dicka Doncheza. Z trudem przełknął ślinę.

- Proszę zawiesić flagę na mostku - powiedział do Pattona.

Punkt Echo
65 kilometrów na wschód od cieśniny Naze-Yakushima
USS „Devilfish”, PEOA-1

Pacino spojrział na zegarek. Do godziny zero zostało trzydzieści minut. Przez ostatnie parę godzin wciąż chodził po pokładzie okrętu, między pomieszczeniem komputerowym, mostkiem, sonarami i kajutą Pattona. Teraz Paully White, Patton i Pacino siedzieli przy stole konferencyjnym Pattona i po raz kolejny studiowali mapę Morza Wschodniochińskiego. Pacino czuł w brzuchu lekkie skurcze, miał przyśpieszony puls - tak objawiało się napięcie przed czekającą go rozgrywką. Wynurzył okręt do głębokości peryskopowej, i przez radio objaśnił Bruce'owi Phillipsowi szczegóły planu działania. Teraz pozostało im już tylko czekać.

A jeśli nie miał racji? Jeśli tamte okręty znajdowały się setki mil na ludnie? Albo były rozproszone po całym Morzu Wschodniochińskim? Co wtedy? Nie mógł nic zrobić, dopóki samolot nie zrzuci czujników Yo-Yo do wód zatoki. Wtedy albo bitwa od razu się rozpocznie, albo będzie zmuszony przejść do Planu B.

Wolał nie myśleć o Colleen, mając nadzieję, że ani jej, ani jemu nie przydarzy się nic złego. Kiedy zegarek pokazał wreszcie dwudziestą drugą pięćdziesiąt pięć czasu lokalnego, Pacino wstał od stołu.

- Wszyscy na stanowiska - powiedział, kierując się do pomieszczenia komputerowego.

- Wszyscy na stanowiska bojowe - głośniki na całym okręcie powtórzyły rozkaz.

Oczy Colleen błędziły między nim a ekranem komputera.

- Powodzenia, Michael-powiedziała i znowu zaczęła stukać w klawiaturę. Pacino zatrzymał się w drzwiach i obejrzał się za siebie, chcąc dokładnie zapamiętać ją taką, jaka była w tym momencie.

Część szósta

Yo – Yo

32

Czwartek 7 listopada

**Baza Lotnicza Sił Morskich
Kagoshima, Japonia**

Przeznaczony do walki z okrętami podwodnymi samolot patrolowy pegasus P-5 ustawił się na

końcu pasa startowego numer osiemnaście. Pas skierowany był prosto w ciemne wody Morza Wschodniochińskiego. Jedyne światło w kokpicie samolotu pochodziło z podświetlanych tarcz przyrządów, przez okna wpadała poświata pochodząca od świateł umieszczonych na obrzeżach pasa. Cyfrowy chronometr, zsynchronizowany z atomowym zegarem, umieszczonym na satelicie, wyświetlał kolejne cyfry odliczania: 53... 54... 55...

Ręka komandora Davida Toscano spoczywała już gotowa na drążku kontrolnym czterech silników odrzutowych, zamontowanych po dwa na każdym skrzydle stojącego wciąż nieruchomo samolotu. Kiedy na chronometrze ukazała się cyfra 55, komandor docisnął drążek do przodu - do oporu, tak, że prawie dotknął powierzchni konsoli. Z tyłu dobiegło głośnie wycie silników, pokład samolotu zaczął trząść się od ich mocy. Toscano trzymał stopę na pedale hamulca, patrząc jak wskazówki przyrządów - ciśnienia oleju, zużycia paliwa, obrotów - pną się do góry. Po chwili silniki samolotu osiągnęły pełną moc. Metalowy ptak potrzebował całej energii, jaką mogły mu dać silniki DynaCorp, ponieważ miał dzisiaj na pokładzie bardzo ciężki ładunek - grube, dwudziestotonowe torpedy Mark 79 i dwa zdalnie sterowane sonary Mark 12 Yo-Yo, ważące po dwie tony każdy.

Toscano spojrział na drugiego pilota, który skinął głową. Kiedy na tarczy chronometru ukazały się dwa zera, Toscano zdjął nogę z pedału hamulca. Przez parę sekund P-5 stał bez ruchu w miejscu. Toscano zacisnął palce wokół dźwigni sterowniczej. W końcu samolot ruszył z miejsca, najpierw zaledwie z prędkością idącego pieszo człowieka, pomimo że silniki pracowały z pełną mocą. Rzut oka na przyrządy - pilot znów wbił wzrok w pas startowy. Po piętnastu sekundach poruszali się z prędkością biegnącego człowieka. Kiedy minęło następne pięć sekund, prędkościomierz pokazywał dwadzieścia węzłów - przejechali dopiero piętnaście metrów. Mieli jeszcze przed sobą trzy kilometry betonowej nawierzchni.

Samolot powoli przyśpieszał. Teraz poruszał się z prędkością jadącego autostradą samochodu. Zaczęły targać nim lekkie wstrząsy. Toczył się z prędkością stu, stu dwudziestu, w końcu stu czterdziestu węzłów. Trząśł coraz mocniej. Znajdował się w połowie długości pasa startowego. Po przebyciu trzech czwartych jego długości odrzutowiec osiągnął pozwalającą mu już się oderwać od ziemi prędkość stu siedemdziesięciu pięciu węzłów, ale Toscano wciąż trzymał go na ziemi. Skrzydła samolotu przebiegało ciągłe drżenie. Kiedy osiągnęli prędkość dwustu węzłów i można już było dostrzec koniec pasa startowego, Toscano powoli pociągnął do siebie dźwignię sterowniczą. Samolot oderwał się od ziemi. Za oknami pojawiła się jednolita ciemność, a samolot w jednej chwili przestał się trząść. Lecieli nad Morzem Wschodniochińskim. Kiedy przekroczyli pułap trzystu metrów, Toscano zmniejszył moc silników.

- Wciągnąć podwozie - powiedział. Drugi pilot nacisnął lewarek i koła schowały się w brzuchu samolotu.

- Zamknąć kłapy. - Dobiegający z tyłu charakterystyczny jękliwy dźwięk oznaczał, że kłapy zamykają się. Procedura startu została zakończona.

Toscano co jakiś czas spoglądał na ekran nawigacyjny. Kiedy zaświeciła się na nim strefa zrzutu pierwszego Yo-Yo, zniknęła już linia brzegowa na pomoc od przedstawiającej ich samolot mrugającej kropki. Czas przelotu do strefy zrzutu wynosił około piętnastu minut. Toscano skoncentrował się na nawigacji, ponieważ P-5 były znane z humorzastego temperamentu. Odezwał się dopiero wtedy, kiedy dolecieli na miejsce pierwszego zrzutu.

- Włączyć turbonapęd - powiedział. Śmigło zaczęło mieć powietrze, pracując coraz szybciej, a drugi pilot kontrolował zużycie paliwa.

Po chwili drugi pilot zameldował, że już oba silniki pracują na jałowych obrotach.

Toscano pociągnął do siebie dźwignię i ich wycie przeszło w przeciągły gwizd. Cichsze od silników odrzutowych silniki turbonapędu mogły utrzymać ciężkie cielsko samolotu, pozwalając mu lecieć z minimalną prędkością tuż nad wodą. Toscano spojrział na ekran nawigacyjny. Byli oddaleni o półtora kilometra od miejsca zrzutu pierwszego Mark 12 Yo-Yo.

- Otworzyć przednią pokrywę Mark 12 - powiedział. - Do zrzucenia pierwszego Yo-Yo

- osiemset metrów. Uzbroidź mechanizm wyrzutni, włączyć Yo-Yo numer jeden.
- Yo-Yo numer jeden włączone, mechanizm wyrzutni uzbrojony. Mark 12 gotowy do zrzutu.
 - Czteryście metrów, przygotować się.

SS-403 „Arktyczny Sztorm”

- Wystrzelić pocisk Darkwing numer dwa! - zakomenderował Chu, patrząc w peryskop. - Prowadzić go laserem, mam ten samolot w wizjerze peryskopu.
 - Pocisk Darkwing dwa wystrzelony - zaszutował Lo Sun. Wielki samolot patrolowy leciał tak nisko nad wodą, że otwarte pokrywy jego luku j bombowego prawie dotykały grzbietów fal. Wyglądało to tak, jakby samolot dokładnie wiedział, gdzie ich szukać. Nie krążył w powietrzu, nie prowadził [poszukiwań. Pojawił się nie wiadomo skąd i leciał prosto na nich. Drugi i Kapitan zawiadomił ich o pojawieniu się samolotu za ledwie z siedmiosekundowym wyprzedzeniem. W czasie tych siedmiu sekund Chu zdążył krzyknąć do sterującego okrętem oficera, żeby wynurzył okręt i dobiec do peryskopu.
- Przeszedł go nagły dreszcz. Amerykanie zaczęli na niego polować. A więc, stało się to, czego się nie spodziewał - Japończycy zaczęli z nimi współpracować i powiedzieli im o Wschodzących Słońcach.
- Jego rozmyślenia przerwało pojawienie się samolotu w polu widzenia peryskopu.

Tosciano jednym okiem patrzył na ekran nawigacyjny, drugim na pozostałe instrumenty.

- Zrzucić pierwszą jednostkę.

Samolot uniósł się nieznacznie, kiedy ważący dwie tony sonar opuścił go ładownię. Zanim samolot eksplodował, coś błysnęło oslepijająco tuż przed przednią szybą kokpitu. Kadłub samolotu rozpadł się w jednej chwili. Pas, którym Toscano był przypięty do fotela, rozerwał jego ciało na dwie części. Umarł, zanim zdążył się zorientować, że zostali trafieni. Dziesiątki tysięcy szczątków spadły do wody jak ognisty deszcz. Prawie nietknięty odrzutowy silnik spadł do wody niedaleko pogrążającego się powoli Yo-Yo. Osiągnąwszy odpowiednią głębokość, Yo-Yo zaczął przysyłać kablem do znajdującego się na powierzchni transmitera wyobrażenia tego, co widział dookoła w akustycznym świetle. Morze pełne było niewielkich fragmentów samolotu, z różną prędkością opadających na dno morza. To, co pozostało z kokpitu, także powoli opadło na dno. Wkrótce morze uspokoiło się i w wodnym przestworze pozostała tylko samotna sylwetka okrętu podwodnego, stojącego na głębokości peryskopowej jakieś dwieście metrów od transmitera. Z Kagoshimy wyleciało pięć samolotów patrolowych pegasus P-5. Wszystkie zostały zestrzelone pociskami raketowymi klasy woda-powietrze, w chwili, kiedy przelatywały w pobliżu „Arktycznego Sztormu”. Rozpadły się na kawałki i spadły do morza, a wszyscy znajdujący się na ich pokładach ludzie zginęli.

Tylko pierwszy Yo-Yo został zrzuty do wody, wszystkie inne uległy zniszczeniu w wyniku eksplozji pocisków.

W Kagoshimie nie było już ani jednego P-5. Nie zostawiono też na wszelki wypadek ani jednego sonaru Yo-Yo.

Zestrzeliwszy pięć samolotów, stojący wciąż przy peryskopie admirał Chu Hua-Feng ściągnął z mokrej od potu głowy słuchawkę z mikrofonem i otarł czoło.

Chociaż o tym nie wiedział, właśnie wygrał pierwszą rundę.

Punkt Echo
USS „Devttfish”, PEOA-1

- Samolot radarowy AWAC znad Kagoshimy donosi, że stracił wszystkie pięć pegasusów - zameldował siedzący przy radiu Paully White.

- Co to ma znaczyć? - spytał Patton.

- Nie ma ich w zasięgu radaru AWAC, namierzającego nisko lecące samoloty, których nie mogą wykryć radary umieszczone na powierzchni ziemi. Prawdopodobnie spadły do morza.

- Mam odczyt z Yo-Yo - doniósł Porter z wnętrza stacji bojowej numer jeden.

-1 potwierdzony cel - okręt podwodny w zanurzeniu.

Pacino wstał od stołu z mapami. Wszystko komplikowało się coraz bardziej. Pegasusy zostały najprawdopodobniej stracone przez wystrzelone z pokładów Wschodzących Słońc pociski klasy ziemia-powietrze. Westchnął i spojrzał na Pattona. Nie było już sonarów Yo-Yo. Przeklęty dowódca Wschodzących Słońc zestrzelił wysłane samoloty, zmuszając go do realizacji planu B. Gdyby nie umieścił sonarów Sharkeye na pociskach Javelin, misja skończyłaby się w tym momencie.

- Mostek, tu sonar - powiedział głos w jego słuchawkach. - Mamy odczyt z Yo-Yo Mark 12 numer jeden, znajdującego się pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od wyspy Yakushima. Potwierdzona obecność zanurzonego okrętu podwodnego.

- Określamy kontakt jako Cel Numer Jeden - rozkazał Patton, przeszedł na lewą burtę do swego stanowiska bojowego numer zero. Pacino zajął stanowisko numer cztery, ostatnie z rzędu, licząc od dziobu. Założył hełm i słuchawki z mikrofonem. Ekran rozjarzył się żółtym światłem i pojawiła się oddalona, błękitna kula namierzonego kontaktu.

- Przełączyć odczyt z Yo-Yo jeden na wirtualne ekrany stacji bojowych.

Bursztynowe tło z pływającymi po nim błękitnymi i czerwonymi kształtami znikło, ustępując miejsca obrazowi odbieranemu bezpośrednio przez Yo-Yo; ukazała się pomarszczona powierzchnia oceanu, z niezbyt odległym, trójwymiarowym przedstawieniem okrętu podwodnego.

- Powiększyć skalę.

Teraz cieśnina Naze-Yakushima została ukazana jakby z lotu ptaka. U góry ekranu widać było wrogi okręt podwodny, „Devilfish” znajdował się u dołu po prawej, a ląd przedstawiony był w postaci szczegółowego reliefu. Pacino aż gwizdnął z podziwu.

- Kapitanie Patton, musimy wystrzelić pociski z Sharkeye'ami.

- Są już gotowe do odpalenia, admirale.

W ciągu minuty odpalono pierwsze cztery pociski Javelin, każdy z sonarem Sharkeye zamiast głowicy. W komorze pionowego odpalania w przednim zbiorniku balastowym otworzyły się pokrywy, i gazowe generatory wypchnęły pociski na powierzchnię morza. Silnik raketowy wyniósł je w górę na kilometr, a potem zgasł i pociski zaczęły spadać. Wówczas ruszyły zamontowane na ich pokładach silniki odrzutowe. Ze względów bezpieczeństwa pociski leciały na niedużej wysokości nad powierzchnią wody, prawie ją muskając, aż do momentu, kiedy doleciały do miejsca przeznaczenia. Wtedy wystrzeliły pionowo do góry na trzysta metrów i zawróciły w stronę wody. Z każdego pocisku wypadł pakunek z małym spadochronikiem, który po chwili otworzył główne spadochrony. Czujniki Sharkeye'ów opadły powoli do wody. Spadochrony zatoneły wraz z czujnikami, a na powierzchni zostały tylko połączone z nimi transmittersy.

Dwie minuty później odpalono następne cztery Sharkeye'e, a dwie minuty po nich ostatnie dwa. Wszystkie dziesięć sonarów akustycznego światła dziennego przetrwało podróż bez szwanku, opadło na optymalną głębokość i zaczęło przekazywać dane krążącym po niebie satelitom.

SS-403 „Arktyczny Sztorm”

- Admirale, odebraliśmy głośny plusk na szerokości zero dziewięć pięć -zameldował Lo Sun bardzo zdenerwowanym głosem.

Chu aż cały zeszytywniał w swojej konsoli, a potem sprowadził okręt na najlepszą do prowadzenia nasłuchu w tych warunkach termicznych głębokość trzystu metrów.

- Słysząc też słabe sygnały silników turboodrzutowych.

- Co to może być?

- Prawdopodobnie zbliżają się do nas pociski rakietowe.

- Pociski rakietowe? A co one mogą nam zrobić przy trzystumetrowym zanurzeniu?

- Mogą na przykład zrzucić na nas plazmowe ładunki głębinowe. Drugi plusk, panie admirale. Teraz trzeci. Teraz są już cztery, z wszystkich czterech stron świata.

Czy biorą ich w krzyżowy ogień, rozmieszczając dookoła plazmowe ładunki głębinowe? A może były to mające go umiejscowić boje sonarowe? Albo przenoszące torpedy pociski rakietowe?

Po raz pierwszy w czasie tej operacji znalazł się takich opalach. Amerykanie wcale się go nie bali. Posyłali przeciw niemu samoloty, a kiedy je zestrzelił, wystrzelili pociski. Co będzie dalej? Przy niszczącej sile broni plazmowej może się tego nigdy nie dowiedzieć.

W tej godzinie niepewności znów wrócił do niego dawny sen. Przypomniał sobie ostrzegawcze słowa ojca. Może należało puścić wolno jeden z okrętów konwoju, żeby cały świat dowiedział się, co im tu grozi. Może wtedy Amerykanie nie poczynaliby sobie tak odważnie?

Amerykanie zbliżali się, niosąc ze sobą śmierć. A on będzie musiał umrzeć. Dzisiaj. I nie będzie miał żadnego nagrobka, nikt nie pochowa jego kości.

Chu poczuł lęk.

Ojciec powiedział, że: odwaga nie wynika z braku strachu. Człowiek w decydującej chwili powinien umieć przewyciężyć strach dla dobra swoich ludzi, swojego okrętu, swojego kraju. Pacino wszedł do stanowiska kontroli bojowej numer cztery, kiedy tylko usłyszał, że pierwszy z Sharkey'ów wykrył zanurzony kontakt.

Przełączył swój ekran na ujęcie panoramiczne z „Devilfishem” umieszczonym pośrodku.

Kiedy spojrzął dookoła na otaczające ich kontakty, uśmiechnął się. Nie dowierzając własnym oczom, przeliczył je dwukrotnie - w zasięgu było sześć zanurzonych kontaktów! Miał ochotę uściskać Pattona i White'a, ale w porę się powstrzymał. Cyklop mógł w każdej chwili odmówić posłuszeństwa. Colleen powiedziała, że jest zanieczyszczony wirusami i w każdej chwili może się zawiesić. A może dane zostały błędnie zinterpretowane? Może w rzeczywistości w zasięgu był tylko jeden wrogi okręt?

Wszedł na platformę peryskopu i spojrzął na podłączony do Cyklopa ekran, na którym przedstawiona była ich pozycja, pozycja 688-mek i położenie „Piranii”. Odetchnął z ulgą - rzeczywiście wykryli wszystkie sześć Wschodzących Słońc.

Ale były też i złe wiadomości. Wszystkie Wschodzące Słońca były poza zasięgiem ich broni. Pegasusy zostały strącone, a blackbirdy i seahawki znajdowały się na pokładach lotniskowców drugiego konwoju - a więc o wiele za daleko. Jego okręty podwodne poradziłyby sobie z nimi, gdyby nie to, że żaden z nich - ani PEOA, ani „Pirania”, ani 688-mki - nie miał Wschodzących Słońc w zasięgu swojej broni. Musieli się przybliżyć, a to znaczyło wejście w zasięg rażenia Wschodzących Słońc.

Podyktował wiadomość dla 688-mek i „Piranii” i dał ją Pattonowi do przesłania. Mając współrzędne Wschodzących Słońc, „Pirania” i 688-mki mogły teraz ruszyć naprzód. „Pirania” z szybkością siedemnastu węzłów, 688-mki z szybkością dziesięciu węzłów - czyli na tyle wolno, by za pomocą sonarów ustalić pozycję wroga.

Wszystko to było zbyt proste. Pacino zastanawiał się, czy czegoś nie przeoczył, nie zapomniał o czymś.

- Utrata kontroli bojowej - krzyknął nagle oficer dyżurny, podłączając mikrofon do systemu głośników.

Ekran z mapami morskimi i zaznaczonymi pozycjami wszystkich okrętów zgasł. Ze wszystkich pięciu stanowisk kontroli bojowej wyszli oficerowie, zdziwieni, jak widzowie w

połowie seansu wyrzuceni z kina. W drzwiach pomieszczenia sonarowego pojawił się Byron DeMeers. Wszędzie na mostku tłoczyli się oderwani od pracy członkowie załogi. Pacino bezzwłocznie poszedł do pomieszczenia komputerowego i wystukał otwierające drzwi hasło.

Przy konsoli siedziała Colleen O'Shaughnessy, współwłaścicielka potężnej korporacji DynaCorp, wicedyrektor do spraw systemu komputerowego Cyklop, twórca tego systemu - siedziała z głową w dłoniach, po jej policzkach spływały ciurkiem łzy.

33

SS-403 „Arktyczny Sztorm”

Admirał Chu Hua-Feng podejrzliwie patrzył na ekran przedstawiający dane sonarów. Dwanaście zanurzonych kontaktów.

Dwanaście okrętów podwodnych klasy 688.

Wpłynęły do cieśniny Naze-Yakushima, jakby go tu nie było.

Ale czy to takie dziwne? Przecież znającego pozycję.

Dwanaście 688-mek zebranych u wejścia do cieśniny... O co tu chodziło?

- Admirale - znad konsoli czujników odezwał się nawigator Xhiu Liu. -Dziesięć spośród tych 688-mek ma otwarte pokrywy dziobowych wyrzutni torpedowych. Przed chwilą odebraliśmy odgłos otwieranych wewnętrznych pokryw.

Co to ma znaczyć? Dwanaście okrętów wpływa naraz, kierując się wprost na niego, z otwartymi pokrywami wyrzutni torped. Wiedzą, że tu jest, czy nie? Musieli go wykryć.

„Arktyczny Sztorm” był najdalej wysuniętym na wschód okrętem jego floty. A może to jakiś podstęp? Przecież i on wykorzystywał ciągnięte za rufami trawlerów atrapy peryskopów i urządzenia imitujące dźwięki wydawane przez okręty podwodne. Podstęp stanowił jedną z podstaw starożytnej, chińskiej sztuki wojennej.

Jeśli to podstęp, to co się za nim kryje? Może chodziło o pozbawienie go torped? Nie było sposobu, żeby się tego dowiedzieć.

Wreszcie podjął decyzję. Jeśli chcą ściągnąć na siebie jego ogień, to ściągną, i to taki, jakiego się nawet nie spodziewali.

- Otworzyć dziobowe komory torped od trzynastej do dwudziestej czwartej. Uzbroidź generatory gazowe w komorach od trzynastej do dwudziestej czwartej.

Zaprogramować torpedy w komorach od trzynastej do dwudziestej czwartej na maksymalną prędkość i małe zanurzenie.

- Tak jest - odpowiedział Chen Zhu, oficer obsługujący konsolę bojową.

Po chwili wszystkie torpedy były już rozgrzane.

- Ustawić torpedę numer trzynastej na cel numer trzy, czternastą na cel czwarty i tak dalej - rozkazał Chu.

- Torpedy trzynasta i czternasta gotowe do odpalenia. Piętnasta i szesnasta będą gotowe za parę sekund.

- Wystrzelić trzynastą i czternastą - rozkazał Chu.

Istniała zasadnicza różnica między wystrzeleniem torpedy za pomocą gazowego generatora a ultracichym wypłynięciem. Pod wpływem gorąca wytworzonego przez silnik raketowy woda w jego zbiorniku momentalnie zamienia się w parę pod wysokim ciśnieniem i torpeda wylatuje z komory jak z armaty. Na zewnątrz włącza się napęd strugowodny. Takiego trybu wystrzeliwania torped używa się wtedy, kiedy nie dba się o to, czy przeciwnik je usłyszy. W ciągu paru minut Chu wystrzelił przeciw amerykańskim okrętom podwodnym dwanaście torped. Teraz mógł już tylko czekać. Droga do celu powinna im zająć około czternastu minut.

Zastanawiał się, czy okręty wroga zaczną uciekać, czy popłyną wprost na spotkanie swojego przeznaczenia. Chu w napięciu czekał w swojej konsoli dowodzenia. Żałował, że nie może się napić herbaty - od chwili, kiedy pojawił się wrogi samolot, nie miał czasu napelnić termosu.

- Żaden z kontaktów nie zmienił kursu ani prędkości - doniósł nawigator.

A więc nie usłyszeli torped. Świetnie. Chu czekał, przeglądając wszystkie odczyty na swojej konsoli, próbował zaplanować następny ruch. Jeśli wszystkie torpedy trafią w cele, może nie będzie musiał już wykonywać następnego ruchu, bo Amerykanie poddadzą się i zawrócą do domu. Zresztą dawno już powinni to zrobić.

- PC-3 wykrył torpedę. Zmienia kurs. Skręca i przyspiesza. Chce uciec. To samo robią PC-5, PC-8, teraz PC-4. Teraz już wszystkie okręty wykryły torpedy i próbują uciekać.

- Bardzo dobrze - powiedział Chu. A może jednak był to podstęp. Im dłużej 688-mki będą uciekać, tym większe mają szansę, że unikną trafienia. Torpedy mogły płynąć z prędkością osiemdziesięciu pięciu, a 688-mki z prędkością dziewięćdziesięciu węzłów. Mógł mieć tylko nadzieję, że spowodowane zakończeniem odliczania detonacje ładunków plazmowych jego torped zniszczą uciekające okręty podwodne.

Rozległ się odgłos pierwszej eksplozji, słyszalny gołym uchem nawet tu, na mostku „Arktycznego Sztormu”, z odległości dwudziestu kilometrów. Potem dał się słyszeć odgłos drugiej, trzeciej i czwartej eksplozji. W końcu Chu stracił rachubę. Uśmiechnął się. Amerykanie płacili mu za te wszystkie nieprzespane noce.

USS „DerUfish”, PEOA-1

- Co to było, do diabła?

Paully White stał w grupie oficerów, czekających na uruchomienie systemu kontroli bojowej. Bez Cyklopa okręt był głuchy i ślepy. Rozległa się jedna głośna eksplozja, druga, trzecia, a potem, w niedużych odstępach, następne.

Pacino wpadł przez przednie drzwi mostka.

- Ile wybuchów naliczyliście?

- Dwanaście, admirale - powiedział Patton. - Myślę, że 688-mki oberwały.

- Cholera.

- Co z Cyklopem?

- Zawieszony. Colleen myśli... - Wnętrza stanowisk bojowych nagle rozbłysły, zgasły, a potem rozświeciły się na stałe. Oficerowie pobiegli do swoich stanowisk i założyli hełmy.

- Mostek, tu pomieszczenie komputerowe, Cyklop znów zaczyna działać, w tej chwili jeszcze się rozgrzewa. - Głos Colleen, niski i opanowany, niczym nie zdradzał tego, że jeszcze dwadzieścia minut temu była zupełnie załamana.

- Sonar, tu kapitan - w słuchawkach Pacina zabrzmiał gromki głos Pattona. - Proszę meldować.

- Kapitanie, tu sonar - odpowiedział DeMeers. - System wciąż się rozgrzewa. Już... mamy wszystkie sześć Wschodzących Słońc, dwanaście niezidentyfikowanych, dużych, kulistych kontaktów, i wiele mniejszych obiektów...

- A gdzie dwanaście 688-mek?

- Te dwanaście dużych kul to strefy eksplozji ładunków plazmowych, a te niniejsze obiekty interpretujemy jako rozerwane kadłuby okrętów podwodnych. Cyklop pokazuje, że opadają w dół. Toną. Są teraz pomiędzy sześćsetnym a siedemset pięćdziesiątym metrem. Niektóre opadły już na dno i Cyklop przestał je już pokazywać, traktując je jak naturalną część ukształtowania dna. W tej chwili widzę już tylko sześć Wschodzących Słońc i „Piranię”.

- Przeklęty skurwysyn - zaklął Pacino. - Przed chwilą posłał na dno prawie dwa tysiące moich ludzi. Przepelniała go wściekłość. W tej chwili mógłby zabić dowódcę czerwonych okrętów gołymi rękami.
- Admirale, „Pirania” ma w zasięgu swoich pocisków wirowych trzy Wschodzące Słońca.

USS „Pirania”, SSN-23

Kapitan Bruce Phillips, stojąc na platformie peryskopu, spoglądał w dół na załogę stanowisk bojowych, skupioną wokół konsoli dowodzenia atakiem.

- Sonar, tu kapitan, proszę meldować - szczechnął do mikrofonu.
 - Kapitanie, tu sonar - odezwał się głębokim barytonem starszy chief Henry. Jego głos świetnie pasował do reszty jego postaci, do wygolonej na łyso głowy, potężnego karku i szerokich barów -brakowało jedynie kolczyka, który zakładał, opuszczając pokład okrętu. - Nie mamy żadnych kontaktów, tylko dźwiękowe zaburzenia na poprzednich współrzędnych 688-mek.
 - Sonar, tu kapitan, wynurzam się, żeby skorzystać z radia. Może „Devilfish” da mi lepsze informacje niż ty.
 - Kapitanie, tu sonar, zrozumiałem. Czy zamierza pan opróżnić komory balastowe?
 - Sonar, tu kapitan, nie zamierzam. Idziemy do góry!
 - Tak jest, sir - odpowiedział oficer dyżurny, dwudziestoosmioletni porucznik Gustavson. - Wynurzamy się do dwudziestu metrów pod ostrym kątem. Sternik, cała naprzód!
 - Jest dwadzieścia metrów, kąt dwadzieścia stopni.
 - Tu sternik, jest cała naprzód.
- Pokład przechylił się dziobem do góry i wszyscy chwycili za uchwyty. Siła ciężenia wcisnęła ich w fotele.
- Dwieście czterdzieści metrów, sir.
 - Bardzo dobrze - powiedział Gustavson.
 - Sto osiemdziesiąt metrów, sir.
 - Sonar, tu mostek, wynurzamy się do peryskopowej bez opróżniania zbiorników balastowych
 - powiedział oficer dyżurny. Stał przy peryskopie numer dwa, którego wciąż nie można było wysunąć, ponieważ okręt wynurzał się ze zbyt dużą prędkością.
 - Mostek, tu sonar, zrozumiałem.
 - Sto dwadzieścia metrów, sir.
 - Sternik, jedną trzecią cała wstecz. Zmniejszyć kąt wynurzenia do dziesięciu stopni.
- Pokład zadrżał, kiedy włączono wsteczny bieg. Phillips kazał zwolnić ponieważ obawiał się, że tuż pod powierzchnią mógł czekać na niego przyczajony wrogi okręt.
- Sześćdziesiąt metrów, sir!
 - Sternik, zatrzymać wszystko, zwolnić do siedmiu węzłów.
 - Tu sternik, zrozumiałem. Prędkość dziesięć węzłów.
 - Czterdzieści pięć metrów, sir - doniósł odpowiedzialny za zanurzenie oficer.
 - Prędkość siedem węzłów, sir - zawołał sternik.
 - Pozycja dla peryskopu numer dwa - zawołał oficer dyżurny. Rozkaz ten zobowiązywał sternika i oficera odpowiedzialnego za zanurzenie do obrania takiej prędkości i takiego zanurzenia, które uniemożliwiałyby ułamanie peryskopu.
 - Głębokość trzydzieści trzy metry, sir.
 - Prędkość sześć węzłów, sir.
 - Peryskop w górę! - Gustavson obrócił znajdujący się nad jego głową hydrauliczny pierścień i wykonany z nierdzewnej stali walec wysunął się ze swego gniazda. Wyciągnął ręce i chwycił za oba jego drążki.
 - Ciemno, ciemno, ciemno - powiedział Gustavson, kierując peryskop do góry i sprawdzając, czy na powierzchni morza nie ma żadnych jednostek pływających, z którymi mogliby wejść

w kolizję. - Nic nie widać - zawołał.

- Dwadzieścia cztery metry, sir.

- Peryskop się wynurza - powiedział Gustavson, kiedy peryskop zaczęła obmywać świetlista piana fal nocnego morza.

- Dwadzieścia dwa metry. Dwadzieścia jeden metrów!

- Peryskop nad powierzchnią, ogląd na małym przybliżeniu - powiedział Gustavson. Cisza zapanowała na mostku, wszyscy czekali, czy Gustavson nie zarządzi natychmiastowego zanurzenia,

- Żadnych bliskich kontaktów - powiedział w końcu.

Bruce Phillips sięgnął po czerwone słuchawki z mikrofonem, służące do taktycznego porozumiewania się z dowództwem na ultrawysokich częstotliwościach poprzez satelitę. System ten, nie wiadomo już dlaczego, nazywany był Nestorem. Spojrzał na listę sygnałów wywoławczych i odnalazł kryptonimy własnego okrętu i „Deyilfisha”.

- Ricky, tu Lucy - powiedział do czerwonego mikrofonu. - Ricky, tu Lucy, odbiór.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

- Lucy, tu Ricky, mam wiadomość od Freda. Koordynaty: alfa na zero golf, bravo na osiem hotel, charlie na dwa fokstrot, delta na dziewięć mikę, echo na sześć tango, fokstrot na pięć sierra. Roger Whatney zanotował współrzędne sześciu Wschodzących Słońc, potem wstukał je do pamięci systemu kontroli bojowej BSY-4. -Natychmiast wyślij wszystkie paczki, potwierdź odbiór.

Phillips polecił Whatneyowi nanieść podane pozycje na mapę i zajął drugie stanowisko przy konsoli kierowania ogniem. Trzy spośród Wschodzących Słońc były w zasięgu jego pocisków wirowych. Wyrzutnie pocisków wirowych opasywały od zewnątrz kadłub okrętu. Były zbyt duże, żeby trzymać je wewnątrz okrętu, a poza tym pocisk Bravo, wystrzeliwany z komory torpedowej, mógł uszkodzić wyrzutnię, a nawet kadłub.

- Ricky, tu Lucy, powiedz Fredowi, że wysyłamy paczki. Bez odbioru.

- Sir - powiedział Roger Whatney - cele numer jeden, dwa i cztery są w naszym zasięgu.

Phillips aktywował pociski wirowe w chwili, kiedy wpływali na obszar operacyjny.

Ryzykował w ten sposób, że ich żyrokompassy się przegrzeją, ale okazało się, że postąpił słusznie, bo teraz nie trzeba było czekać ani chwili.

- Otworzyć przednie pokrywy wyrzutni numer dziesięć, jeden i dziewięć. Rozdzielić cele jak następuje, cel numer jeden wyrzutnia pierwsza, cel numer dwa wyrzutnia dziesiąta, cel numer cztery wyrzutnia dziewiąta - powiedział Phillips do oficera obsługującego wyrzutnie.

- Cele rozdzielone, kapitanie.

- Dobrze. Procedura odpalania, wyrzutnia pierwsza, cel numer jeden.

- Okręt gotowy - zameldował Gustavson.

- Rozdzielenie dokonane - powiedział Whatney.

- Torpeda gotowa, wyrzutnia pierwsza, cel numer jeden - powiedział obsługujący wyrzutnie oficer. - Procedura odpalania rozpoczęta w pierwszej wyrzutni, cel numer jeden. Komputer zaczął odliczanie...

- Sonar, tu mostek, odpalanie pocisków wirowych! - krzyknął Gustavson, ostrzegając sonarowców, żeby zdjęli słuchawki, bo mogą im popękać bębniaki w uszach.

- Trzy, dwa, jeden, ognia!

Ryk odpalanych silników wielkiej torpedy wstrząsnął okrętem.

- Procedura odpalania, wyrzutnia dziesiąta, cel numer dwa.

Załoga była zgrana jak dobra orkiestra, każdy w odpowiedniej chwili mówił to, co trzeba, chociaż to i tak komputer ostatecznie wystrzeliwał torpedę.

W dziesięć sekund po odebraniu przez Nestora informacji, Bruce Phillips zdążył posłać przeciw trzem Wschodzącym Słońcom trzy torpedy wirowe typu Bravo.

Z kieszeni kombinezonu wyjął cygaro.

- Teraz my rządymy w tej kuchni - powiedział sam do siebie. Zapalił cygaro zapalniczką z napisem USS „Greenville” i wypuścił wielką chmurę dymu.

Pierwsza eksplozja zabrzmiała tak głośno, jakby doszło do niej tuż obok. Odgłos drugiej był bardziej oddalony. Trzecia ledwie była słyszalna. Po każdej eksplozji na mostku na wszelkie sposoby wyrażano radość.

Ponieważ okręt nadal znajdował się w zanurzeniu peryskopowym, Phillips chwycił za czerwony mikrofon.

- Ricky, tu Lucy, odbiór.

- Lucy, tu Ricky, odbiór.

- Wysłaliśmy trzy paczki. Czy doszły do adresata?

- Lucy, tu Ricky, potwierdzam odbiór. Radosny zgiełk zagłuszył dalsze słowa.

SS-403 „Arłtyczny Sztorm”

- Co to było? - spytał Chu.

- I skąd pochodziło, nawigatorze? - dodał Lo Sun drżącym z gniewu głosem. Dlaczego ani eksplozje, ani pojawienie się tego, co je spowodowało, nie zostało zarejestrowane przez obsługującego konsolę czujników porucznika - komandora Xhiu?

- Właśnie to sprawdzam, panie poruczniku. Teraz dopiero mam wykres, głośny przepływ z szerokości jeden jeden dwa. Na szerokościach „Świetlistego Pioruna”, „Wulkana” i „Tsunami” mam sonarowe ściemnienie.

Jak szybko szczęście może się odwrócić, pomyślał gorzko Chu. Właśnie stracił trzy okręty, a ten cholerny operator sonarów nie potrafił go ostrzec.

- Nawigatorze, proszę przekazać współrzędne celu zbrojmistrzowi. Zaprogramować Nagasaki 24,23 i 22 na cele podwodne PC-15, 16 i 17.

Lo Sun pochylił się nad ramieniem Chu i wyszeptał:

- Admirale, dlaczego aż trzy torpedy?

- Bo mogą być trzy okręty - odpowiedział Chu.

- Zostało nam tylko osiemnaście torped. Jeśli rzeczywiście straciliśmy trzy okręty, straciliśmy też połowę torped, jakimi dysponowała nasza flotylla. Czy naprawdę trzeba wystrzelić aż trzy torpedy?

Chu spojrział na niego przeciągle.

- Tak. Odpalenie gazowym generatorem na najwyższej mocy, szybki tryb zbliżania się do celu - rozkazał.

Wystrzelenie trzech torped zajęło im sześć i pół minuty. Chu był niezadowolony. Zaczynali popełniać błędy, zapomnieli załadunkować komory torped i podłączyć je na czas. Im szybciej ta misja dobiegnie końca, tym lepiej. Tyle tylko, że jeśli stracił te trzy okręty - czego był pewien - stracił wraz z nimi około stu torped Nagasaki.

Najbardziej dręczył go jednak inny problem. Dlaczego nie zdołali wykryć tych trzech torped wystrzelonych z pokładu amerykańskiego okrętu podwodnego. Naniósł na mapie współrzędne wroga, ustalając dalszy plan działania. Zbliży się do Amerykanów, upewni się, że ich załatwił, a potem, pewien własnego bezpieczeństwa, zwróci się przeciw konwojowi.

- Kapitanie, dwa następne są w zasięgu - zawołał podekscytowany Whatney.

Phillips zmrużył oczy i zwrócił się do załogi:

- Procedura odpalania, trzecia wyrzutnia, trzeci cel - powiedział, wypuszczając kłęby dymu.

- Lucy, tu Ricky, odbiór.

Phillips w roztargnieniu sięgnął po słuchawki.

- Okręt gotów - zawołał Gustavson.

- Rozdzielenie wykonane - zameldował Whatney.

- Torpeda gotowa, wyrzutnia trzecia, cel numer trzy. Procedura odpalania rozpoczęta.

Komputer zaczął odliczanie...

- Ricky, tu Lucy, słyszę cię, odbiór - powiedział do mikrofonu Phillips, skoncentrowany na odpalaniu torpedy.
 - Lucy, wykonać natychmiast. Zmiać na wschód, na maksymalnej.
- Dalsze słowa zagłuszył ryk pocisku wirowego, opuszczającego wyrzutnię numer trzy, zamontowaną na lewej burcie, przy której również znajdowała się konsola radiowa. Dopiero po paru sekundach Phillips mógł cokolwiek usłyszeć. Nacisnął przycisk i powiedział:
- Ricky, tu Lucy, powtórz jeszcze raz.

34

Kapitanie, tu sonar, z wysuniętego najbardziej na wschód Wschodzącego Słońca w stronę „Piranii” wystrzelono kilka torped. Pacino wyprostował się zaniepokojony.

- Musimy ostrzec Phillipsa - powiedział, sięgając po słuchawki Nestora.
- Lucy, tu Ricky, odbiór. Nie było odpowiedzi.
- Lucy, tu Ricky, zgłoś się, odbiór! Krople potu ściekały po czole Pacina.
- Cholera, Bruce, odezwij się wreszcie - powiedział w przestrzeń.

USS „Pirania”, SSN-23

Phillips zapalił drugie cygaro tej nocy. Zegar wskazywał, że według czasu lokalnego właśnie niedawno minęła pomoc. - Dzięki Bogu już piątek - mruknął do siebie.

- Kapitanie, dwa następne są w zasięgu - zawołał podekscytowany Whatney.

Phillips zmrużył oczy i zwrócił się do załogi:

- Procedura odpalania, trzecia wyrzutnia, trzeci cel - powiedział, wypuszczając kłęby dymu.
- Lucy, tu Ricky, odbiór.

Phillips w roztargnieniu sięgnął po słuchawki.

- Okręt gotów - zawołał Gustavson.
- Rozdzielenie wykonane - zameldował Whatney.
- Torpeda gotowa, wyrzutnia trzecia, cel numer trzy. Procedura odpalania rozpoczęta.

Komputer zaczął odliczanie...

- Ricky, tu Lucy, słyszę cię, odbiór - powiedział do mikrofonu Phillips, skoncentrowany na odpalaniu torpedy.

- Lucy, wykonać natychmiast. Zmiać na wschód, na maksymalnej.

Dalsze słowa zagłuszył ryk pocisku wirowego, opuszczającego wyrzutnię numer trzy, zamontowaną na lewej burcie, przy której również znajdowała się konsola radiowa. Dopiero po paru sekundach Phillips mógł cokolwiek usłyszeć. Nacisnął przycisk i powiedział:

- Ricky, tu Lucy, powtórz jeszcze raz.

- Nie usłyszał pana, admirale.

- Lucy, tu Ricky! Wykonaj natychmiast. Uciekaj na wschód, na maksymalnej prędkości! Powtarzam: na wschód, na maksymalnej prędkości! Czy mnie zrozumiałeś, odbiór?

Odpowiedź brzmiała zaskakująco spokojnie:

- Ricky, tu Lucy, powtórz, odbiór.
- Lucy, tu Ricky, uciekaj, do cholery! Wynoś się stamtąd natychmiast! Natychmiast! Czy mnie zrozumiałeś?

Bruce Phillips ze złością patrzył na czerwony telefon.

- Wyrzutnia ósma, piąty cel, procedura odpalania.

- Lucy, tu Fred, wykonaj natychmiast, uciekaj na wschód, natychmiast! Zrozumiałeś mnie? Phillips skrzywił się.

- Okręt gotów, sir.

Phillips podjął decyzję. Rozkazy rozkazami, a on mógł załatwić jeszcze dwa Wschodzące Słońca i zdobyć najwyższe odznaczenie przyznawane marynarzowi okrętów podwodnych. Byłby idiotą, gdyby teraz się wycofał.

- Admirale, tu Phillips, odmawiam opuszczenia pozycji. Powtarzam, odmawiam opuszczenia pozycji. „Pirania” jest na pozycji ogniowej. Powtarzam, „Pirania” jest na pozycji ogniowej. Bez odbioru.

Wyłączył radio i spojrzał na oficera dyżurnego.

- Proszę opuścić peryskop. Schodzimy na trzysta metrów, to najlepsza głębokość nasłuchowa.

- Tak jest, sir - potwierdził oficer dyżurny i wydał odpowiednie rozkazy sternikowi i oficerowi odpowiedzialnemu za zanurzenie.

- No i co się pan tak patrzy? - rozdrażniony Phillips zwrócił się do obsługującego wyrzutnie torped oficera. - Do roboty, dalej! Wystrzelić ósmą torpedę!

- Komputer zaczyna odliczanie. Pięć, cztery, trzy...

Trzy torpedy Nagasaki płynęły w kierunku piętnastego namierzonego przez „Arktyczny Sztorm” w czasie tej kampanii okrętu podwodnego, określonego krótko jako PC-15.

Płynęły osiem razy szybciej niż ich cel, wciąż znajdujący się w wynurzeniu peryskopowym. Patton patrzył na Pacina z niedowierzaniem.

- Nie mogę w to uwierzyć. On nie chce przyjąć do wiadomości, że w jego stronę płyną trzy torpedy plazmowe! - wykrzyknął Patton.

- Wystrzelmy do niego torpedę wirową- powiedział Pacino.

- Co?

- John, wystrzel wycelowaną w „Piranię” torpedę wirową, z zablokowaną możliwością podchodzenia do warstwy powierzchniowej. I nie zapomnij wyłączyć trybu detonacji na odliczanie.

Patton wreszcie zrozumiał intencje Pacina.

- Podłączyć komorę pierwszą, pocisk wirowy Charlie z zablokowanymi trybami dochodzenia do warstwy powierzchniowej i detonacji na odliczanie, cel - USS „Pirania”. Rozpocząć procedurę odpalania, „Pirania”, Charlie jeden. Proszę meldować!

- Co pan robi, sir? - zapytał pierwszy oficer, Walt Homick.

- Proszę natychmiast wykonać! -krzyknął Patton. Załoga zaczęła przygotowywać się do wystrzelenia, nie rozumiejąc, o co tu chodzi. A Patton nie miał czasu ani ochoty na wyjaśnienia.

Po pięćdziesięciu sekundach pocisk wirowy Charlie opuścił komorę numer jeden, a w jego wnętrzu nastąpił zapłon stałego paliwa raketowego. W przeciwieństwie do pocisków Bravo, które opuszczały wyrzutnie na pełnej mocy, mniejsze od nich pociski Charlie opuszczały komorę napędzane

dodatkowym silnikiem elektrycznym, a zapłon stałego paliwa raketowego następował dopiero w odległości trzystu metrów od okrętu.

Pacino zajął czwarte stanowisko bojowe, chcąc przekonać się, czy Phillips w końcu zareaguje.

- Sir - odezwał się Hornick - dlaczego strzelamy do „Piranii”?

- Proszę pomyśleć - odpowiedział Pacino. - Nie usłuchał naszego rozkazu, nie uciekł, bo nie chciał przerywać strzelania. Nie może usłyszeć płynących w jego stronę torped Nagasaki, nawet trzech naraz, kiedy odpala pociski napędzane stałym paliwem raketowym. Więc teraz usłyszy skierowany przeciw jego okrętowi pocisk wirowy. Wynurzy się na powierzchnię i wyciszy okręt. Charlie ma zablokowany tryb dochodzenia do warstwy powierzchniowej i zignoruje wszystko, co wykryje powyżej głębokości sześćdziesięciu metrów. Uciekając przed naszym pociskiem wirowym, Phillips ucieknie przed tamtymi, niewykrywalnymi dla niego

torpedami. Będą płynęły o wiele głębiej, miną go i popłyną dalej.

- Teraz tylko musimy się dowiedzieć, co się stanie z ostatnimi dwoma Wschodzącymi Słońcami i z Phillipsem - powiedział Pacino.

- Utrata kontroli bojowej! - zabrzmiało w jego słuchawkach, ekrany zamrugały i zgasły. Chwilę potem przez pokład okrętu przetoczył się odgłos ogłuszającej eksplozji.

- Mostek, tu sonar, zbliża się do nas pocisk wirowy.

- Wygląda na to, że „Devilfish” włączył się do akcji - powiedział Phillips do Whatneya.

- Mostek, tu sonar, ten pocisk wciąż się zbliża, płynie na nas, trzeba wykonać unik - obsługujący sonar oficer nagle zaczął krzyczeć. - Kapitanie, tu sonar, ten pocisk jest wycelowany w nas! Musimy natychmiast wynurzyć się!

Phillips nie miał pojęcia, co się dzieje. Odwrócił się do stojącego przy panelu zbiorników balastowych oficera dyżurnego i wrzasnął:

- Natychmiastowe wynurzenie! Opróżnić oba zbiorniki! Sternik, cała naprzód! Wynurzenie, kąt trzydzieści stopni!

Nikomnie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Sprężone powietrze wyparło wodę z obu zbiorników. Rozległ się potworny pisk. „Pirania” uniosła się dziobem do góry i w ciągu niecałych dwóch minut wyskoczyła na powierzchnię z prędkością trzydziestu czterech węzłów. Najpierw, wyrzucając w górę tony wody, wynurzył się jej dziób. Potem reszta okrętu, aż w końcu jego ogon wyskoczył nad powierzchnię wody. Wielki, cylindryczny kadłub zwałił się do wody, zanurzył się na głębokość siedemdziesięciu metrów i wynurzył się znowu, już na dobre.

- Wygasić reaktor! - rozkazał Phillips. - Wyciszyć okręt! W ciągu kilku sekund wszystkie światła na okręcie przygasły, klimatyzacja przestała działać. Działała tylko jedna konsola kontroli bojowej.

- Sonar, co z tym pociskiem?

- Wciąż się zbliża, sir.

Phillips sięgnął po następne cygaro, ale rozmyślił się i schował je z powrotem. Czekał, przytupując nerwowo nogą.

Pocisk wirowy Charlie przepłynął sto dwadzieścia metrów pod dnem „Piranii”. Zgodnie z programem zignorował wynurzony okręt, minął go i płynął jeszcze przez czterdzieści sekund, póki nie skończyło mu się paliwo. Wtedy, zgodnie z programem, wyłączył wszystkie swoje urządzenia i poszedł na dno.

Trzy torpedy Nagasaki, zmylone tym manewrem popłynęły dalej. Co prawda mogły nawet wynurzać się na powierzchnię, ale na głębokości pięćdziesięciu czterech metrów znajdowała się granica warstw termicznych, a woda nad nią była wzburzona przez wiatr i ogrzana przez słońce. Poniżej tej granicy woda miała dziesięć stopni ciepła. Torpedy Nagasaki płynęły głęboko, używając jedynie pasywnych sonarów, i dźwięki sponad granicy warstw termicznych dochodziły do nich jedynie wówczas, jeśli ich źródło znajdowało się dokładnie ponad nimi. Inne, dochodzące z góry dźwięki odbijały się od granicy warstw termicznych jak od lustra.

Kołysząca się cicho na powierzchni „Pirania” zmyliła wszystkie trzy torpedy. Krążyły tam i z powrotem, przeczesały głębiny na ślepo, aż detonowały. Ale wtedy znajdowały się już wiele kilometrów od wciąż wynurzonej

„Piranii”.

Eksplozje, które miały miejsce zaraz potem, jak zawiesił się system kontroli bojowej „Devilfisha”, pochodziły z dwóch Wschodzących Słońc, trafionych przez ostatnie wystrzelone przez „Piranię” pociski wirowe. Morze było puste. Prawie.

Przetrwiała „Pirania” i przetrwał też ostatni z okrętów podwodnych klasy Wschodzące Słońce, „Arktyczny Sztorm”.

USS „Devilfish”, PEOA-1

Co z Cyklopem? - spytał Pacino. - Wciąż zawieszony - za pośrednictwem obwodu bojowego odpowiedziała Colleen O'Shaughnessy.

- Czy można ręcznie odpalić pociski wirowe? - zapytał Pacino.

- Chyba tak - powiedziała Colleen.

- John, odpalmy piętnaście pocisków w zmasowanym ataku. I niech ktoś połączy się z „Piranią” i powie Phillipsowi, żeby w żadnym wypadku nie zanurzał okrętu.

- Tak jest, sir.

Pacino oparł się o barierkę platformy peryskopu, zamknął oczy i słuchał litanii komend i potwierdzeń. Otwarto przednie pokrywy wyrzutni pocisków wirowych Charlie i zaprogramowano pociski na trajektorie poszukiwawcze. Wachlarz piętnastu pocisków powinien załatwić sprawę, a jeśli nie, to prawdopodobnie Cyklop niedługo znowu zacznie działać i wtedy będą mogli dokładnie namierzyć ostatnie Wschodzące Słońce.

Odpalenie pocisków Charlie trwało pół godziny. W końcu wszystkie ruszyły w głąb morza na poszukiwanie wrogich okrętów. Nie było żadnego sposobu, żeby sprawdzić, czy pociski trafiły w cele. Po godzinie zaczęły dochodzić odgłosy pierwszych eksplozji. Ale mogły to być detonacje automatyczne, ponieważ wszystkie pociski zostały zaprogramowane tak, by detonować w chwili, w której skończy im się paliwo, na wypadek, gdyby ślepym trafem znajdowały się akurat w pobliżu celu.

Pacino poczuł się bardzo wyczerpany. Stracił pięć samolotów patrolowych pegasus P-5, dwanaście 688-mek, a może nawet „Piranię”. Wszystko to stało się w ciągu zaledwie paru godzin.

Patton wszedł na mostek z głównego korytarza.

- Colleen mówi, że system zacznie działać za dwie minuty - powiedział.

Pacino założył hełm i wszedł do ciemnego wnętrza stanowiska numer cztery, chcąc zobaczyć, co się wydarzyło od czasu, kiedy ogłuchli i oślepli.

SS-403 „Arktyczny Sztorm”

Wciąż nadpływały kolejne pociski.

Chu wiedział, że musi podkulić ogon i uciekać, ale zanim to zrobił, wystrzelił jeszcze w kierunku okrętu, który posłał przeciw niemu cały rój pocisków plazmowych, swoje ostatnie trzy szybkie torpedy Nagasaki. Potem zawrócił okręt na zachód i z maksymalną prędkością, na maksymalnym zanurzeniu, zaczął uciekać przed zmasowanym atakiem.

Było już jednak trochę za późno. Wirowy pocisk plazmowy numer sześć detonował automatycznie w odległości kilometra za jego rufą. Fala uderzeniowa wybuchu przetoczyła się przez wodę z prędkością dźwięku i uderzyła w „Arktyczny Sztorm” jak olbrzymi młot. Gdyby Chu nie był przypięty pasami do swojej konsoli, najprawdopodobniej zginąłby, ale pasy trzymały mocno i wyszedł z tego ledwie trochę potłuczony. Jednak jego okręt nie miał tyle szczęścia. Reaktor przestał działać.

Okręt zaczął przeciekać, przecieki pojawiły się gdzieś w systemie chłodzenia wodą morską. Peryskop nie działał, zostały urwane wszystkie maszty i anteny. Najgorsze było to, że w wyniku potężnego ciosu fali uderzeniowej przestał działać system komputerowy okrętu. Najpierw zawiodły jego wyższe funkcje. Równoległe procesory DNA przestały ostatecznie funkcjonować, kiedy z pękniętych zbiorników wylała się na pokład ich zawartość. Kiedy

wyższe funkcje obumarły, niższe zaczęły działać sprzecznie względem siebie. Była to konwulsja techniki, ostami taniec pozbawionego głowy kurczaka.

Chociaż podstawowe mechanizmy i kadłub okrętu były całe, utrata Drugiego Kapitana oznaczała, że muszą opuścić pokład okrętu.

Nie mogli opuścić okrętu po jego wynurzeniu, bo ten, kto wystrzelił przeciw nim kilkanaście pocisków plazmowych, nie przerwie ognia, kiedy okręt wypłynie na powierzchnię.

Muszą się wydostać włazem ratunkowym, a potem zatopić okręt. Przy odrobinie szczęścia weźmie ich na pokład któryś z jego trawlerów.

- Proszę o uwagę, panowie - powiedział. - Niech wszyscy zostawią swoje stanowiska i zbiorą się przy przednim włazie ratunkowym. Opuszczamy okręt w zanurzeniu.

Przy włazie ewakuacyjnym Japończycy umieścili dwanaście kapturew powietrznych i sprzęt ratunkowy. Chu posłał Xhiu po ich własne radiowe nadajniki ratunkowe i lampy sygnalizacyjne. Chu otworzył dolny właz i wszyscy weszli do śluzy. Pokład okrętu przechylał się coraz bardziej na prawą burtę. Chu zamknął pokrywę dolnego włazu, rozkazał swoim ludziom założyć kaptury i zalał wodą śluzę. Hydrauliczny mechanizm otworzył pokrywę górnego włazu. Chu odnalazł rozgałęziony przewód, wypełnił kaptury swoich ludzi sprężonym powietrzem, a potem wypchnął ich na zewnątrz. Jako ostami wypełnił swój kaptur i zanurzył się w zimnej wodzie.

Żałował, że musi porzucić ten okręt i pozwolić mu zatonać. Poklepał jego kadłub w geście pożegnania i wysunął się z włazu. Pełen powietrza kaptur ciągnął do góry. Przez całą drogę ku powierzchni Chu metodycznie wydmuchiwał powietrze. Na głębokości stu dwudziestu metrów sprężone powietrze rozsadziłoby mu płuca, gdyby nie robił mocnych wydechów.

Po dwudziestu sekundach dotarł na powierzchnię. Jego ludzie rozłożyli już dwie tratwy i zdążyli nawet włączyć radio.

- I jak, Lo? - zapytał.

- Udało mi się połączyć z Tiannjinem. Wyślą po nas samolot. Powinien tu być mniej więcej za dwie godziny.

- Dobrze.

- Admirale, myśli pan, że wygraliśmy?

Chu zastanowił się, co odpowiedzieć, ponieważ było dla niego całkiem oczywiste, że przegrali.

- Posłaliśmy na dno cały ich pierwszy konwój, potem dwanaście okrętów podwodnych i pięć samolotów patrolowych. Oni zniszczyli pięć naszych okrętów podwodnych i uszkodzili nasz okręt tak, że musieliśmy go zostawić na pastwę losu.

Głęboko pod nimi rozległ się stłumiony przez wodę huk.

- Albo nastąpiła implozja naszego okrętu, albo ktoś wykończył go torpedą - powiedział Chu. -

W każdym razie miarą naszego powodzenia będzie to, w jakim stopniu i na jak długo powstrzymamy amerykański desant. Jeśli Amerykanie uznają, że to morze jest zbyt dobrze bronione, by przez nie przepłynąć, będzie to nasze wielkie zwycięstwo. Jeśli natomiast uznają, że to oni zwyciężyli, jeśli przepłyną je i wspomogą Białe Chiny, będzie to uznane za naszą żalosną klęskę. Daliśmy z siebie wszystko. Winien jestem każdemu z was podziękowanie za waszą pracę, za to, że wielokrotnie ryzykowaliście swoje życie.

USS „Pirania”, SSN-23

- Całkiem tu teraz cicho - powiedział starszy chief Henry.

- Żadnych pocisków, żadnych torped, żadnych Wschodzących Słońc.

- Właśnie.

- Uruchamiamy reaktor, zanurzamy się i wynosimy się stąd - powie-I dział Bruce Phillips.

USS „Devilfish”, PEOA-1

- Cyklop zacznie działać na trzy, dwa, jeden... Pacino pomyślał, że to będzie prawdziwa ulga, zobaczyć otaczający ich świat. Nie miał racji.

Ekran znowu ożył i Pacino zapiął swój hełm pod brodą.

- Cholera! - powiedział pierwszy głos.

- O kurwa! - drugi.

- Torpeda w wodzie! - trzeci.

- Cała naprzód z maksymalną prędkością - powiedział Patton. - Kurs jeden sześć zero!

Na ekranie Pacino widział jedynie unoszącą się na powierzchni „Piranię”. W pobliżu nie było nikogo innego, żadnych Wschodzących Słońc, tylko samotna, oddalona o niecałe trzysta metrów torpeda Nagasaki płynęła w kierunku „Devilfisha”.

W miarę jak okręt nabierał prędkości, jego pokład dygotał coraz bardziej. Pacino miał nadzieję, że uda im się uciec od torpedy na bezpieczną odległość. Właśnie o tym myślał, kiedy Patton zaczął wydawać rozkazy:

- Włączyć obwód pierwszy i rozdać wszystkim awaryjne maski tlenowe.

- Tak jest, sir.

- Torpeda w wodzie! - rozległ się sztuczny głos pierwszego obwodu.

- Włączyć system tłumienia ognia.

- Panie kapitanie, czy to nie wykończy Cyklopa i innych elektronicznych urządzeń? - zapytał oficer dyżurny.

- Lepsze to od śmierci w ogniu - powiedział Patton.

Pacino spojrział na niego, ale postanowił nie interweniować. Może Patton był trochę przewrażliwiony po zatonięciu „Annapolis”?

Pacino zapiął swoją maskę i podłączył jej przewód do zbiornika. Powietrze w masce było suche i gorące.

Pokład wciąż wibrował. Czy ta torpeda była zaprogramowana na detonację w chwili skończenia się paliwa? Pacino pomyślał o Colleen. Czy miała na sobie maskę? Gdzie była w tej chwili? Wstał i wyciągnął rękę, chcąc odłączyć swoją maskę od zbiornika, żeby pójść zobaczyć, co dzieje się z Colleen.

Nie zdążył tego zrobić.

Detonacja torpedy Nagasaki cisnęła nim o pokład. Potem była już ciemność.

36

pierwszych kilka sekund po wybuchu torpedy upłynęło w ciszy - wszyscy członkowie załogi na chwilę ogłuchli.

Pacino ocknął się, leżąc na kimś jęczącym z bólu. Rozplatał skręconą rurę maski tlenowej, uchwycił się poręczy barierki platformy peryskopu i wstał. Wszystkie światła mrugały, tak jak dzieje się po wyłączeniu reaktora.

Spojrzał na panel kontroli okrętu. Okręt utrzymywał stałe zanurzenie. To oznaczało, że sternik wciąż miał nad nim kontrolę. Zdawało się, że nie ma bezpośredniego zagrożenia.

Trzeba uruchomić reaktor. To dziwne, że z manewrowni nie zameldowano o jego wyłączeniu.

Telegraf przekazujący rozkazy do obsługi silnika był na pozycji STOP. Pacino odwrócił się i zobaczył Pattona, który właśnie stał na nogi przy swoim stanowisku. Wyglądało na to, że nic mu się nie stało, podobnie jak oficerowi dyżurnemu. Obaj wstali i poprawili na twarzach gumowe maski.

System kontroli bojowej znowu nie działał, ale po takim wstrząsie należało się tego spodziewać.

A jednak udało im się wyprzedzić torpedę na tyle, że wyszli z tego cało. Pacino spojrział na Pattona i wskazał na maskę. Teraz, kiedy okręt był stosunkowo bezpieczny, nie musieli już ich używać.

I właśnie wtedy za pomocą czwartego awaryjnego obwodu przekazu dotarł na mostek głos:
- Ogień w pomieszczeniu torpedowym! Ogień w pomieszczeniu torpedowym, paliwo torped płonie!

Płonące paliwo torped oznaczało wyrok śmierci dla każdego okrętu podwodnego. Generatory pomocnicze pocisków wirowych i główne silniki torped Mark 52 napędzane były paliwem nadtlenkowym, które spalało się nawet bez dostępu tlenu, nie było więc sposobu, żeby je zgasić. Powstały w wyniku tego spalania dym był tak trujący, że jeden jego haust mógł powalić dorosłego mężczyznę. Pacino rozważał ten problem w czasie projektowania PEOA i znalazł dwa sposoby jego rozwiązania. Zamontował w pomieszczeniu torpedowym system tłumienia ognia ciekłym azotem i uszczelnił jego ściany. Przy zamkniętych włazach, oddzielających pomieszczenie torpedowe od reszty okrętu, można było zalać je wodą morską. Co prawda paliwo nadtlenkowe paliło się nawet pod wodą, ale w takim wypadku temperatura jego spalania spadała na tyle, że nie powinno dojść do poważniejszego uszkodzenia kadłuba. Mimo to w czasie komputerowych symulacji takiego pożaru za każdym razem tracił okręt - nie można było zapanować nad niszczącą siłą ognia paliwa nadtlenkowego. Dopiero po wyrzuceniu torped, które jeszcze się nie zapaliły - udało mu się wyjść z tego cało.

Pomyślał o Colleen. Jej pomieszczenie komputerowe znajdowało się dokładnie nad pomieszczeniem torpedowym. Wyobraził jasobnie, jak walczy z wydzielającym trujący dym ogniem i przegrywa. Najpierw pada na kolana, a potem osuwa się na ziemię. Niewiele myśląc, wziął głęboki oddech, odłączył rurę maski od zbiornika i wybiegł przez tylne drzwi. Nie będąc członkiem załogi okrętu, w żadnym wypadku nie miał prawa wstępu do pomieszczeń bojowych.

Jednak w tej chwili nie zamierzał zwracać uwagi na regulamin. Musiał zgasić ogień. Pobiegł do drabiny znajdującej się obok drzwi kajuty pierwszego oficera, ześliznął się po niej na dół pokład i podbiegł do ciężkich, stalowych drzwi pomieszczenia torpedowego.

Przez małe okienka widział kłęby czarnego dymu, przez który gdzieś przebijały się pomarańczowe płomienie. Na krótką chwilę Pacino zamarł w miejscu bez ruchu. Jeśli otworzy drzwi, wpuści do środka powietrze, co jeszcze pogorszy sprawę. Po chwili przypomniał sobie, że płonący tam ogień nie potrzebuje tlenu z zewnątrz; ma go tam mnóstwo w ciekłej formie. Otworzył szafkę z napisem TAO i wyciągnął z niej urządzenie przypominające aparat do nurkowania. TAO było skrótem od słów tlenowy aparat oddechowy. Założył go, zostawiając maskę swobodnie wiszącą na rurze, i zdjął z półki nabój - chemiczny generator tlenu. Umieścił nabój we właściwym miejscu i włączył generator. Po trzydziestu sekundach zaczął się wytwarzać tlen, tak niezbędny tam, w środku.

- Ogień w pomieszczeniu torpedowym - rozległ się głos z umieszczonego pod sufitem głośnika. - Ogień w pomieszczeniu torpedowym. Zespół ratowniczy na miejsce. Akcją dowodzi admirał Pacino. Okręt wynurza się na powierzchnię w trybie awaryjnym.

Przygotować pomieszczenie torpedowe do zatopienia.

Do Pacina dołączył krzepki mężczyzna w mokrej od potu koszuli.

- Kim pan jest? - zapytał Pacino przez maskę. Wziął głęboki wdech, ściągnął starą maskę i założył maskę TAO. Powietrze w niej było gorące i miało gumowy posmak.

- Hanson, oficer torpedowy, sir - powiedział krzepki mężczyzna. - Ja też założę TAO.

- Wchodzę do środka - powiedział Pacino. - Włączę system tłumienia ognia ciekłym azotem. Jeśli się da, skieruję wąż na ogień od przodu, a pan może zrobić to od tej strony. Potem opróżnimy pomieszczenie. Wie pan, jak obsługiwać torpedy z tylnego panelu?

- Tak jest, sir - odpowiedział Hanson.

Ukazało się następnych czterech ludzi. Hanson miał już na sobie działający TAO.

- Niech wszyscy założą TAO i wejdą do środka. Pozbądźmy się stąd tych pocisków! Jeśli zapali się stałe paliwo raketowe to jest już po nas!

Stałe paliwo raketowe pocisków wirowych wywaliliby w kadłubie okrętu półtorametrową dziurę i wypełniliby okręt śmiertelnie trującym cyjankiem wodoru.

- Sir, musi pan włożyć kombinezon, inaczej żywcem się pan usmaży!

- Nie ma na to czasu! - krzyknął Pacino.

- Więc proszę chociaż wziąć rękawice!

Pacino założył podane mu rękawice. Hanson przekreślił dźwignię i otworzył właz. Pacino wszedł do środka. Tak musiało być na samym dnie piekła. Otoczyły go płomienie i kłęby czarnego dymu. Po omacku dotarł do bocznej ściany, gdzie znajdował się włącznik systemu tłumienia ognia ciekłym azotem. Był to bardzo niebezpieczny środek. Ciekły azot ma temperaturę minus stu dziewięćdziesięciu stopni Celsjusza i zanurzony w nim człowiek natychmiast umiera. Polana nim ręka skazana jest na amputację, jedna jego kropla powoduje kriogeniczne oparzenie. Na dodatek, kiedy ciekły azot wyparowywał, pojawiał się skondensowany azot w formie gazowej. Wystarczyło raz nim odetchnąć, żeby człowiek umarł. Dlatego system tłumienia ognia ciekłym azotem włączało się ręcznie, a nie za pomocą komputera czy systemu elektrycznego. Pacino znalazł przełącznik i nacisnął guzik.

Kiedy strumienie ciekłego azotu spadły na płomienie i pociski, rozległ się dźwięk przypominający syk wielkiego węża. System zraszał pomiesz-I czenie przez pełne dwie minuty. Pacino schował się za umieszczoną na dole I zasłonę, nie chcąc, żeby choć kropla ciekłego azotu spadła na jego słabo chronioną skórę. W końcu zaczął słabnąć.

- Do przodu, admirale! Mam tylny wąż. Jenson! Do zaworu! - krzyknął z tyłu Hanson.

Pacino zbliżył się do płomieni. Ogarnęła go fala intensywnego gorąca. I Jego ogniotrwały kombinezon zaczął się tlić.

Nic nie mógł na to poradzić. Poczul paraliżujący strach.

Nogą nastąpił na czyjeś ciało. Martwe ciało, leżące na pokładzie twarzą do dołu. Spieczona skóra chrupnęła pod naciskiem jego stopy.

Przypomniał sobie o Colleen. Może właśnie umiera? Musi ją uratować! Zapomniał o strachu. Nie chciał jej stracić. Pacino podbiegł do przedniej przegrody, a serce biło mu jak młot - nie ze strachu - ze złości.

Chwycił za rurę i otworzył zawór. Ciekły azot uderzył w najgorętsze miejsce - nawet go nie widział, po prostu je czuł. Gdy żar osłabł, Pacino krzyknął do Hansona:

- Odpalić pociski!

- Mark 52 właśnie wypływa, admirale! - odkrzyknął tamten.

Rozległ się dźwięk wyrzutni odpalającej torpedy. Pacino zamknął wylot rury i czekał. Nawet nie zauważył tego, że otaczający go azot gasi płomienie pełzające po jego ubraniu. Nie czuł żadnego bólu, był jak odrętwiaty. Zabrzmiał odgłos drugiego odpalenia. Zaraz potem nastąpiło trzecie i czwarte. Robiło się coraz goręcej i Pacino co chwila polewał ogień ciekłym azotem.

Z drugiej strony pomieszczenia rozległ się syk, co oznaczało, że zapas ciekłego azotu jest na wyczerpaniu.

Otwarto więcej pokryw komór torpedowych. Hanson załadował do nich pociski wirowe i posłał je w morze. Pacino wciąż polewał ogień, mając nadzieję, że wystarczy ciekłego azotu do czasu, kiedy wszystkie pociski znajdą się na zewnątrz.

Kiedy azot się skończył, Pacino odrzucił rurę i w kłębach czarnego dymu wymacał drogę do prowadzącej do górnego włazu drabinki.

- Nie ma już azotu! Długo jeszcze? - krzyknął. Odpowiedzią był odgłos wylatującej torpedy.

- Jeszcze dwie, sir!

- Pośpieszcie się, ogień znowu narasta!

Hanson załadował pocisk wirowy, zamknął wewnętrzną pokrywę i posłał go w morze. Potem otworzył ostatnią pokrywę z prawej burty.

Ogień zaryczał ze wzmoczoną siłą. Ten dźwięk mógłby przyprawić człowieka o atak serca.

Nagle poczuł na piersiach dziwną wibrację - to był zegar naboju. Był ustawiony na piętnaście minut i zestaw mógł działać jeszcze najwyżej trzy minuty. Pacino nie mógł teraz otworzyć włazu, ponieważ płomienie sięgnęłyby w górę aż do pomieszczenia komputerowego i trujący dym zabiłby Colleen w parę sekund. Jeśli jednak tu zostanie, sam zginie. Już teraz z trudem oddychał.

Kiedy została odpalona ostatnia torpeda, płomienie sięgały mu nad głowę. Czuł, że zaczynają mu się już tlić włosy, gumowa maska miękła coraz bardziej, tlenu ubywało. Czuł coraz silniejsze zawroty głowy. Coś mu się majaczyło.

- Puszczamy wodę, admirale! Proszę wyjść przez właz! Ja wychodzę tędy!

Pacino usłyszał szum wlewającej się do pomieszczenia wody. Poczuł ją na stopach, po paru sekundach podeszła mu pod brodę - cudownie chłodna po tym piekle. TAO przestał działać i Pacino zerwał maskę. Trujący dym wtargnął mu do płuc. Ogarnęła go dziwna słabość.

Zapomniał, co należało teraz zrobić. Poziom wody znajdował się już o pół metra od pokrywy włazu, prowadzącego do pomieszczenia komputerowego.

Pacino uderzył o nią głową i wtedy przypomniał sobie, że właśnie tędy miał wyjść. Obrócił zamykający właz luźno przeciwnie do ruchu wskazówek zegara i otworzył pokrywę.

Wymagało to od niego takiego wysiłku, że poślizgnął się i wpadł do wody, która robiła się już gorąca, bo w dole wciąż płonęło paliwo.

Wyciągnął w górę ręce, ale nie znalazł nic, za co mógłby się chwycić. Woda zalewała mu głowę. Nie miał czym oddychać i kiedy pogrązał się w wodzie, przyszło mu do głowy, że może to już nie mieć znaczenia.

USS „Pirania”, SSN-23

- Odgłos silników samolotu na szerokości dwa siedem zero, kapitanie - powiedział starszy chief Henry.

- Idziemy do góry - rozkazał Bruce Phillips. Okręt zaczął się wynurzać. Phillips sam chwycił za peryskop. Okazało się, że na zewnątrz jest ciemno choć oko wykol i nie widać niczego w pobliżu.

Phillips przeszukał przestrzeń powietrzną, ale nic nie zobaczył.

- Sonar, tu kapitan, jaki napęd?

- Turbonapęd, kapitanie. Musimy uważać, kapitanie, to może być morski samolot patrolowy.

- Uzbroić WSWPP 80 - rozkazał Phillips. Pocisk Mark 80, nazywany WSWPP, był wyrzucanym spod wody pociskiem przeciwlotniczym. Jego wyrzutnia znajdowała się w głównym stateczniku, w powietrzu kierował się do źródła ciepła, jakim był samolot.

- Przetawić na podczerwień - powiedział Phillips. Od razu zobaczył samolot, lecący w ich stronę nisko nad horyzontem. Wrażenie było dziwne, w podczerwieni źródła ciepła świeciły, pozwalając Phillipsowi widzieć wewnątrz samolotu, sprzęt i konsole, jakby na zdjęciu rentgenowskim. Samolot zszedł niżej i uderzył w wodę.

- To hydroplan! - zawołał Phillips. - Właśnie usiadł na wodzie, jakie ma współrzędne?

- Dwa jeden zero.

- Ster na prawą burtę, stały kurs dwa jeden zero, cała naprzód na dwie trzecie.

Okręt zawrócił i zaczął zbliżać się do kołyszącego się na falach hydro-planu. Samolot miał wyłączone silniki, w wodzie panowała zupełna cisza. Phillips ustawił maksymalne powiększenie i dostrzegł człowieka wychylonego z samolotu podającego ręce drugiemu, który znajdował się w wodzie.

- To akcja ratunkowa Czerwonych - powiedział, nie wierząc własnym oczom. - Oficer dyżurny, proszę przejąć peryskop, wynurzyć okręt i jak najszybciej zbliżyć się do samolotu. Phillips pobiegł z Whatneyem do szafki z bronią. Każdy z nich wziął karabin automatyczny M-20, a Phillips jeszcze dodatkowo pistolet berette. Tak uzbrojeni udali się na górny pokład. Po drabince prowadzącej na znajdujący się na szczycie głównego statecznika mostek

zewnątrzny Phillips wspiał się w rekordowym czasie. Wyrzwał na zewnątrz. Świeże, wspaniale pachnące morskie powietrze! Tak długo byli zamknięci na pokładzie. Fala rozbiła się o kadłub okrętu i ochlapała ich drobnymi kropelkami wody. Phillips chwycił lornetkę i przystawił ją do oczu. Niecałe pięćset metrów przed nimi chiński hydroplan wciąż lądował rozbitków na pokład. Czerwoni nie spieszyli się zbyt. Phillips ustawił pistolet M-20 na ogień ciągły i wymierzył go w znajdujące się we włazie samolotu człowieka.

- Hej, dupki! - krzyknął i zaczął strzelać. Kule uderzyły w ogon hydroplanu i w wodę. Whatney wyszedł na mostek i także zaczął strzelać.

Pod gradem kul tratwa eksplodowała i zatonała. Kule rysowały krzywe linie na aluminiowej powierzchni samolotu. Rozległ się głośny ryk rozgrzewającego się silnika. Hydroplan próbował uciec. Phillips krzyknął w ciemność tunelu:

- Cała naprzód!

Zaczął pracować drugi silnik samolotu. Podpłynęli już całkiem blisko. Złożył się do strzału i nacisnął spust - ale magazynek był pusty.

- Po chwili Whatneyowi także skończyła się amunicja. Phillips wyjął pistolet i zaczął strzelać w kierunku Chińczyków. Byli jednak już za daleko.

- Cholera - zaklął, kiedy również w pistolecie skończyła się amunicja. Oba silniki pracowały już na pełnych obrotach i hydroplan, kołyszając się na falach, odpłynął na zachód, zostawiając na wodzie białą smugę piany.

- Zestrzelmy go - powiedział Phillips do Whatneya. - Zejdź na dół i powiedz im, żeby wystrzelili w tego skurwysyna WSWPP. Oddała się coraz bardziej.

- Sir, nie zestrzelimy go, będąc na powierzchni. Pocisk wylatuje na generatorze gazowym. Musimy się zanurzyć, żeby go zestrzelić.

- No więc, zanurzamy się, szybko! - Phillips ześliznął się po drabinie, zatrzymując się na chwilę, żeby zamknąć właz.

Kiedy jednak wpadł na mostek, stojący przy peryskopie oficer dyżurny pokręcił głową.

- Sir, nie możemy go zestrzelić. Zbiorniki balastowe są puste i WSWPP eksploduje wewnątrz komory. Uciekł, już nawet go nie widzę.

- Cholera jasna - zaklął Phillips. - Po tym wszystkim, co narobili, odlatują teraz cali i zdrowi. Potem spojrzął na Whatneya i obaj równocześnie wypowiedzieli to samo słowo:

- Myśliwce!

Phillips podszedł do mikrofonu i kazał obsługującemu radio marynarzowi połączyć się z lotniskowcem z konwoju. Wystarczy kilka F-22, żeby posłać ich na dno morza.

Po chwili cztery F-22 wystrzeliły z pokładu USS „Duglas MacArthur” i na pełnej mocy silników, wyjąc przeraźliwie, pomknęły nad Morze Wschodniochińskie.

Silne ręce wyciągnęły go z wnętrza włazu zatopionego pomieszczenia torpedowego. Kaszłąc, wypluwał wodę i wymiotował. Ciało miał ciężkie i obolałe. Leżał z zamkniętymi oczami, po policzkach płynęły mu łzy. Kiedy skończyły się konwulsje, zaczął oddychać. Szybko, łapczywie, ze świszczącym odgłosem. Nie kręciło mu już się w głowie tak strasznie jak przedtem. Wreszcie zaczynał coś widzieć.

Nabrał w płuca powietrza i poczuł, że jego umysł zaczyna pracować. Leżał w kałuży wody na pokładzie środkowego poziomu. Jego kombinezon, w którym ogień wywarł niewielkie dziury, był przemoczony. Otworzył oczy i natychmiast musiał je przymknąć. Raziło go światło, ponieważ od blasku ognia szalejącego w dole miał poparzone siatkówki. Zauważył jakąś twarz, pociągłą, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, z grubymi czarnymi brwiami i czarnymi jak smoła włosami. Kapitan John Patton patrzył na niego z zatroskanym wyrazem twarzy. Czym tak się zmartwił?

- Colleen - powiedział Pacino chrapliwym głosem. - Gdzie jest... Colleen?
- Jestem tutaj, Michael - usłyszał jej słodki, niski głos. - Kapitan Patton przysłał po mnie jednego ze swoich oficerów. Leżałam już, dusząc się, na podłodze, ale włożyli mi maskę i wyciągnęli mnie stamtąd.
- Nic ci nie jest?
- Wszystko w porządku.
- Na pewno? - spytał i wyciągnął do niej rękę. Kiedy go dotknęła, palący ból przeszył jego ramię. Pacino spojrzał na Pattona, potem na Colleen.
- O co chodzi, John? Coś ze mną nie tak? Jestem poparzony?
W wyobraźni zobaczył siebie bez włosów, potwornie poparzonego i oszpeconego, ze spaloną skórą naciągniętą na szerniałą czaszkę. Czy tak właśnie wyglądał? Dlatego tak na niego patrzyli?
- Wygląda pan jak tego dnia, kiedy po raz pierwszy pana zobaczyłam, admirale - powiedziała Colleen, uśmiechając się do niego.
- To dlaczego tak na mnie patrzycie?
- Uratował pan ten okręt, sir. Gdyby nie pan, poszlibyśmy na dno - Patton mówił jak w transie. - Było tak samo, jak na „Annapolis”. Tak samo śmierdział dym.
- Przeżył pan w czasie jednej operacji dwa pożary w pomieszczeniach z torpedami - powiedział Pacino, próbując usiąść. - Nie do pozazdroszczenia.
- Nie mogę uwierzyć, że pan tam wszedł...
- Nie miałem wyboru, John.
- Jak się pan czuje?
- Okropnie. Jestem poparzony? - Spojrzał na pokryte bąblami nogi i ręce. Twarz paliła go, jakby spalił ją sobie na słońcu.
- Niezbyt mocno, admirale. Wygląda pan jak po urlopie w Club Med.
- John, chciałbym porozmawiać z Colleen. Mógłbyś nas zostawić na minutę?
Kiedy Patton odszedł, Pacino rozciągnął się na pokładzie i zamknął oczy. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak wyczerpany.
- Nic nie mów, kochanie - powiedziała Colleen.
- Muszę - powiedział. - Muszę ci to powiedzieć. Ja...
- Wiem - powiedziała, kładąc palec na ustach. - Później do tego wrócimy. Za dużo tu ludzi. Wolę, żeby stało się to w bardziej romantycznej atmosferze.
- Masz rację - odpowiedział. Poczował, jak jej ramiona obejmują go i podtrzymują. Jej dotyk, zapach jej skóry podziały na niego uspokajająco. Zasnął prawie natychmiast, nie zdając sobie z tego sprawy.
Hydroplan z trudem utrzymywał się w powietrzu z jednym z silników zniszczonym przez wystrzelone z łodzi podwodnej kule. Szukające ich myśliwce przeleciały wysoko nad nimi, podczas gdy oni lecieli wzdłuż linii brzegowej prawie tuż nad powierzchnią wody. W końcu myśliwce zaprzestały poszukiwań i wróciły tam, skąd przyleciały.
Admirał Chu Hua-Feng siedział na płóciennym foteliku, obejmując swojego umierającego zastępcę, komandora-porucznika Lo Suna. Lo został trafiony w klatkę piersiową i Chu cały był w jego krwi.
- Tak mi przykro, Lo - powiedział Chu szeptem, żeby nikt inny go nie słyszał. - Straciłem twojego brata. Był moim jedynym przyjacielem, kiedy nikt się nie chciał ze mną przyjaźnić, bo byłem synem admirała. Teraz, Lo, ty jesteś moim przyjacielem, najlepszym przyjacielem na świecie. Porwaliśmy razem dwa okręty podwodne. Byłeś moim pierwszym oficerem. Posłałeś ze mną na dno cały wielki konwój. Walczyłeś razem ze mną o okręt i opuściliśmy go razem dopiero wtedy, kiedy nie było innego wyjścia. Lo, proszę cię, nie odchodź, nie umieraj. Jesteś moim przyjacielem. Proszę cię, Lo.
Dlaczego ta kula trafiła w Lo, a nie w niego?
- Chu - powiedział Lo Sun, patrząc na niego na wpół otwartymi oczami. - Ja umieram. Czuję to. Jest mi zimno. Ale tam jest światło. Musisz porozmawiać z... moją matką. Powiedz jej...

- Co?

Lo zamknął oczy. Z jego płuc wydobył się syk i zgrzytliwe rżenie. Ciało Lo znieruchomiało i admirał Chu Hua-Feng, dowódca misji Czerwony Sztylet się rozplakał.

Parę godzin później, kiedy wylądowali w Tianjinie, wysiadł z hydroplana z ciałem Lo na rękach jakby niósł chore dziecko. Sanitariusze delikatnie położyli zwłoki Lo Suną na przykrytych białym prześcieradłem noszach, wstawili je do karetki i odjechali. Chen Zhu i Xhiu Liu sprowadzili admirała na nabrzeże. Za nimi szła reszta załogi „Arktycznego Sztormu”. Przeżyli wszyscy, oprócz Lo.

Po odjeździe karetki z Lo Sunem Chu długo stał na nabrzeżu. Kiedy słońce wzeszło nad zatoką, zrobiło się trochę cieplej. W jednej chwili Chu zdał sobie sprawę, że nie jest tu sam.

- Czekałam na ciebie - powiedziała dźwięcznym głosem Mai. - Słyszałam, że jedna załoga ocalała. Miałam nadzieję, że twoja. Ale nikt tego nie wiedział.

- Mai! - Chu podszedł do niej i mocno ją przytulił, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję. Poczł jej szybko bijące serce.

- Co się stało? - zapytał. - Jakie są najnowsze wiadomości? Udało się nam? Smutne spojrzenie jej oczu powiedziało mu, zanim zrobiły to jej usta.

- Wszystkie Wschodzące Słońca zatoniły. Okręty drugiego amerykańskiego konwoju wpłynęły na Morze Wschodniochińskie. Przewodniczący Yang oglądał to w telewizji. Byłam wtedy przy nim.

- Jak zareagował?

- Powiedział: „Poprosimy o pokój. Damy Białym wszystko, czego będą chcieli. W żadnym wypadku nie możemy pozwolić, żeby Amerykanie stanęli na chińskiej ziemi”.

- I co dalej?

- Odkonczyło się kilka rozmów telefonicznych. Ludowa Armia Wyzwolenia wycofuje się na wszystkich frontach. Biali uzyskują więcej terenów na zachodzie. Pekin zostanie nasz. Rokowania pokojowe zaczną się jutro, ale amerykańska flota znajduje się o dziesięć kilometrów od Szanghaju, a ich broń wymierzona jest przeciw nam. To koniec. Prawie nam się udało, Chu.

- Prawie to tak jakby wcale-powiedział.

- Nieważne - powiedziała, kładąc mu głowę na ramieniu. - Grunt, że tu jesteś.

Objął ją, myśląc o Lo Sunie, o ich okręcie podwodnym, o Amerykanach i o tym, co przyniesie przyszłość. Kiedy Mai Sheng była obok niego, wszystko to nie wydawało mu się już tak tragiczne.

- Chodźmy - powiedział. - Nie chcę stać tu nad zatoką. Mam dość wody.

Epilog

Piątek 8 listopada

Morze Wschodniochińskie

Kiedy słońce weszło nad horyzont, atomowy okręt podwodny „Arktyczny Sztorm” wynurzył się powoli na powierzchnię. Najpierw wynurzył się olbrzymi statecznik, potem reszta kadłuba. Okręt był cichy i opuszczony, o czym świadczył otwarty przedni właz ratunkowy. Pół godziny później przypłynął amerykański niszczyciel, który wykrył wynurzony okręt za pomocą radaru. USS „Princeton” obwiązał okręt podwodny ośmioma linami i powoli odholował go.

Kiedy „Princeton” wpływał do portu Yokosuka, z falochronu patrzył na holowany przez niego okręt podwodny człowiek nazwiskiem Akagi Tanaka. Okręt ten był owocem wielu jego bezsennych nocy. Kiedy przepływał obok niego, Tanaka podniósł rękę i pomachał ją, jakby witał wracającego z długiej podróży przyjaciela.

Port Marynarki Yokosuka Yokosuka, Japonia

Kiedy USS „Pirania” pojawił się w zasięgu wzroku czekającego na nabrzeżu tłumu, rozległy się głośne powitalne okrzyki, orkiestra zaczęła grać, posypało się konfetti. Na pokładzie okrętu stu ubranych w uprasowane granatowe mundury marynarzy i oficerów stało na baczność, twarzami w kierunku nabrzeża. Wiatr powiewał ich luźnymi spodniami i zawieszoną na maszcie głównego statecznika amerykańską flagą.

„Pirania” przybiła do nabrzeża przy akompaniamencie syreny wszystkich stojących w porcie okrętów. Na szczycie głównego statecznika, na zewnętrznym mostku stał kapitan Bruce Phillips, wyprostowany jak struna w mundurze obwieszonym medalami. Kiedy zabrzmiały syreny, zsalutował energicznie. „Pirania” rzuciła na nabrzeże pierwszą cumę. Phillips spojrział na tłoczący się na nabrzeżu tłum, na reporterów, kamerzystów, kobiety, dzieci i całe rodziny, które przyleciały, żeby powitać powracających z misji bliskich. Rzecz

jasna, nie wszyscy świętowali, bo dwanaście okrętów nie wróciło do portu. Phillips przeskakał spojrzeniem cały tłum, ale Abby O'Neal nie było wśród witających ich ludzi.

- Twoja strata, mała - mruknął, krzywiąc usta w uśmiechu.

- Co pan powiedział, sir? - zapytał oficer dyżurny.

- Nic takiego - powiedział Phillips, patrząc na zebrany w dole tłum. Młoda reporterka machnęła do niego ręką.

- Kapitanie! Kapitanie Phillips! Zgodzi się pan na wywiad dla SNN? Pójdzie w głównych wiadomościach!

Reporterka była ładna i pełna entuzjazmu.

- Może w mojej kajucie? - krzyknął do niej. - Mam szampana!

- Świetnie! - odkrzyknęła.

Bruce Phillips poprawił krawat, wziął w zęby cygaro i po drabinie na * zewnątrz statecznika zszedł z mostka. Oficer dyżurny widział z mostka, jak Phillips przywitał się z reporterką, podał jej ramię i poprowadził ją przez pokład do wjazdu wejściowego.

„Devilfish” pojawił się dziesięć minut później. Jego załoga, także ubrana w świeżo uprasowane galowe mundury, stała na baczność na pokładzie.

Kiedy orkiestra zaczęła grać i kiedy znów zabrzmiały syreny, ponad dwadzieścia stojących w porcie statków strażackich włączyło swoje pompy i w niebo poleciały tworzące wysokie łuki strumienie wody. Z otaczających nabrzeże wzgórz posypał się deszcz konfetti. Kiedy okręt podpłynął bliżej, można było odczytać duże białe litery na czarnym stateczniku:

PEOA
USS DEYILFISH

Powyżej, na wysokim maszcie, powiewała na wietrze amerykańska flaga, częściowo zasłonięta przez powieszoną przed nią czarną, korsarską flagę z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami.

Pod czarną flagą kołysała się na wietrze słomiana miotła.

Kamerzysta filmował reportera na tle zbliżającego się do nabrzeża czarnego statecznika „Devilfisha”, który powoli wchodził w kadr. Reporter mówił do mikrofonu:

- ...widzimy powiewającą na maszcie miotłę. Jest to stary zwyczaj, podobno pochodzący jeszcze z czasów żaglowców. Wywieszona na maszcie miotła oznaczała, że okręt „wymiótł morze do czysta”, czyli że posłał na dno wszystkie okręty wroga. Jak państwo wiedzą, PEOA niemal w pojedynkę wygrał bitwę o Morze Wschodniochińskie...

Ekran telewizyjny był włączony w Gabinetce Owalnym w Białym Domu. Prezydent Jaisal Warner widziała na ekranie telewizyjnym, jak załoga PEOA schodzi na nabrzeże.

- Dobrze wiesz - powiedział admirał Richard O'Shaughnessy - że Pacino specjalnie dla ciebie zrobił ten napis na stateczniku. Miałaś przez ten okręt trochę przykrości, a on chciał, żeby wszyscy zapamiętali, że PEOA to twoje dziecko.

- Daj spokój, Dick - powiedziała Warner, uśmiechając się do O'Shaughnessy'ego. - Nie musisz mnie już więcej przekonywać. Przyjmuję twoje rekomendacje. Pacino przejmie stanowisko po tobie i będzie najwyższym rangą admirałem w marynarce.

O'Shaughnessy także się do niej uśmiechnął.

- Niechętnie oddaję to stanowisko, ale dobrze, że on je obejmie.

- Nie masz czego żałować, przechodząc na stanowisko Przewodniczącego Rady Szefów Agencji. Ale spójrz, ta dziewczyna, która stoi obok Pacina, nie jest podobna do twojej córki? O'Shaughnessy zaniemówił. Na ekranie widać było, jak Colleen i Pacino schodzą razem z okrętu, rozmawiając wesoło.

- Niech go diabli - wyjąkał. - Wziął Colleen na morze? Na bojową misję?

- Przykro mi, Dick, ale jest już za późno, żebym zmieniła swoje rekomendacje. I myślę, że powinieneś się przygotować na to, że Pacino stanie się dla ciebie kimś więcej niż

głównodowodzącym Operacji Morskich. Myślę, że powinieneś już zacząć myśleć o tym, co by było, gdyby został twoim zięciem.

Ocean Spokojny 12 kilometrów nad powierzchnią

- To Cyklop wygrał tę wojnę - powiedział Pacino, gdy na pokładzie naddźwiękowego SS-12 wracali do Pearl Harbor.

- Dobrze się sprawił - odpowiedziała skromnie szczęśliwa Colleen O'Shaughnessy.

- Mówię poważnie. Bez Cyklopa i bez AWSD wciąż szukalibyśmy tych cholernych Wschodzących Słońc.

- Może po prostu znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie - powiedziała, patrząc w oczy Pacina dużymi, brązowymi oczami. - Tak jak ja.

- Nasze drogi zeszyłyby się, w taki czy w inny sposób. Położyła się w swoim rozłożonym fotelu i zamknęła oczy. Jej oddech był równy i głęboki. Pacino patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem

zajął taką samą pozycję.

Sygnał połączenia na wideofonie był głośny i natarczywy. Pacino otworzył oczy i włączył ekran. Pojawiła się na nim twarz Masona Danielsa, zwanego Numerem Czwartym.

- Cieszę się, że dzwonisz, Czwarty - powiedział Pacino.

Daniels uśmiechnął się.

- Mam dla ciebie prezent za wygranie wojny - pochylił się do przodu i wyciągnął rękę, wskazując stojący obok przedmiot. - To grill. Sądzę, że teraz jesteś ekspertem od grillowania. No co, nie podoba ci się prezent?

- Idź do diabła, Daniels - powiedział Pacino i rozłączył się. Kiedy znowu zamknął oczy, pomyślał o Dicku Donchezie, o tym, co on by powiedział, gdyby mógł go dzisiaj zobaczyć.

Pearl Harbor, Hawaje Dowództwo Zjednoczonych Sił Podwodnych Nabrzeża Szwadronu Okrętów Podwodnych Floty Pacyfiku

Pacino wysiadł ze służbowego samochodu i wolnym krokiem poszedł na koniec nabrzeża, gdzie przed wyruszeniem na Morze Wschodniochińskie stało dwanaście okrętów podwodnych klasy 688. Przez jakiś czas przyglądał się obmywającej nabrzeża wodzie. Potem wziął wieniec od Colleen i rzucił go do wody. Stanął na baczność i zaszalutował.

Następnie odwrócił się i poszedł do samochodu. Patrzył na nabrzeże jeszcze z za szyb samochodu, wiozącego go na lotnisko, gdzie SS-12 czekał na nowego głównodowodzącego Operacji Morskich, żeby go zabrać z powrotem do Waszyngtonu.

KONIEC

Skanował i poprawiał



GARGAMEL

Podziękowania

Książkę tę pisałem z myślą o Dolores Quigley, która opuściła ten świat o wiele za wcześnie, ale wciąż jest między nami. Jej wpływ na nas, jej miłość odczuwamy z wdzięcznością każdego dnia.

Gorące podziękowania dla Richarda J. Quigleya Jr. Za jego ciepły, ojcowski stosunek do mnie. Dziękuję także Kathy Quigley, która przyjęła mnie jak członka rodziny. Dziękuję Rickowi i Patty Quigleyom, Terry'emu Quigleyowi, Tomowi i Deb-bie Quigleyom, Chrisowi Quigleyowi, Liz i Jeffowi Brownom i Brianowi Quigley-owi za to, że pozwoliliście mi być swoim bratem.

Jeszcze raz dziękuję wspaniałej Nancy Wallitsch, która była dla mnie przyjaciółką, surowym sierżantem, a przede wszystkim niezwykle dobrym doradcą.

Wielkie podziękowania dla Chrisa Allgeiera, który wierzył we mnie i wspierał mnie.

Dziękuję Paulowi Weissowi, który pomagał mi, kiedy nie mogłem się ruszać.

Dziękuję Craigowi Relyea, pierwszemu czytelnikowi i światłemu krytykowi, a także Mike'owi Matloszowi za jego wsparcie.

Dziękuję Patricii i Dee DiMercurio, Mamie i Tacie, za ich zawsze otwarte ramiona i za to, że nigdy nie stracili nadziei.

*Na zawsze zachowam wdzięczność dla Matthew i Marli DiMercurio za ich miłość,
wrozumiałość i mądrość, tak niezwykle w ich wieku.
Nigdy nie zapomnę też świętej pamięci Dona Fine'a, który — może nawet o tym nie wiedząc -
natchnął mnie siłą i odwagą.*

Książka pobrana ze strony

<http://www.ksiazki4u.prv.pl>